

# Julia

RODZINA JEST  
NA ZAWSZE...

# i jej córki

COLLEEN  
FAULKNER



Prószyński i S-ka

COLLEEN  
FAULKNER

Julia  
i jej córki

Przełożył  
Jan Hensel

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

JULIA'S DAUGHTERS

Copyright © 2015 by Colleen Faulkner

All rights reserved

Zdjęcie na okładce

© Don Farrall/Getty Images

Projekt okładki

Izabella Marcinowska

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta

Katarzyna Kusojć

Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-957-4

Warszawa 2017

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Dla mojej matki, która nauczyła mnie,*

*co znaczy to słowo – w całej rozciągłości.*

## ROZDZIAŁ 1

JULIA

47 dni

Zawsze myślałam, że najgorsze, co może spotkać matkę, to śmierć dziecka. Myliłam się.

Leżę pośrodku małżeńskiego łóżka, mam zamknięte oczy i słucham szumu wentylatora obracającego się pod sufitem. Czuję sprężystość materaca i zapach płynu zmiękczającego, w którym wczoraj wypłukałam pościel.

Leżę tu od wielu godzin. A dokładnie od wpół do ósmej – kiedy Izzy i Haley pojechały do szkoły. Robię tak codziennie. Czasami nie wstaję, póki Izzy nie wróci do domu za piętnaście czwarta. Teraz to Ben odwozi je do szkoły. Haley oczywiście ma zakaz wożenia Izzy. Jak się nad tym zastanowić, zakrawa to na absurd. Izzy prawdopodobnie byłaby bardziej bezpieczna, gdyby woziła ją Haley niż wtedy, gdy za kierownicą siedzimy Ben albo ja. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że siedemnastolatka zabije swoje dwie siostry w dwóch różnych wypadkach drogowych?

Łzy napływają mi do oczu. Nie wycieram ich. Stały się częścią mnie, tak samo jak blond włosy czy piegi na nosie, których nie znosiłam, gdy byłam nastolatką. Płacę na okrągło – dzień i noc. Czasami bez przerwy całymi godzinami. Nie miałam pojęcia, że człowiek jest w stanie płakać tak obficie i tak długo. Nigdy nie byłam beksą.

Do czasu, gdy umarła Caitlin.

Minęło czterdzieści siedem dni. Czterdzieści siedem dni, odkąd o dwudziestej trzeciej dwadzieścia siedem zadzwoniła policja. Dziewczyny nawet nie spóźniłyby się do domu. Gdyby do niego dotarły.

Ciekawe, jak wiele się dowiadujesz, kiedy zdarza ci się coś takiego. Nie zdawałam sobie na przykład sprawy, że gdy czyjeś dziecko ginie na miejscu wypadku, policja nie informuje o tym przez telefon. Mówią, że miało poważny wypadek samochodowy, i proszą, żeby przyjechać do szpitala. Chociaż przecież serce twojego dziecka już przestało bić. Chociaż wkrótce poczujesz się tak, jakby i twoje serce się zatrzymało... już na zawsze.

Wydaje mi się to dosyć okrutne, że każe się pędzić do szpitala rodzicom, którzy przez całą drogę modlą się o to, żeby – w najgorszym razie – zobaczyć swoje dziecko żywe choćby jeszcze ten jeden raz. A potem dowiadują się, że nie było powodu do pośpiechu. Że ich dziecko – ciało z ich ciała, krew z ich krwi –

jest już martwe. Że zmarło prawie godzinę przed tym, jak rodzice dotarli na miejsce.

Z perspektywy czasu myślę, że w głosie funkcjonariusza, który wtedy zadzwonił, dało się usłyszeć coś w rodzaju zniecierpliwienia. Powinnam się domyślić, że pośpiech nie ma sensu. Powinnam wynioskować to z tonu jego głosu. Później to samo usłyszałam w głosie pielęgniarki z izby przyjęć, gdy podeszłam i się przedstawiłam. A potem była ta klitka. Jedna z pielęgniarek zaprowadziła nas do pokoiku bez okien, gdzie mieliśmy poczekać, aż przyjdzie lekarz. W pokoju byliśmy tylko ja i Ben. Nikt inny nie czekał na to, by usłyszeć, że ich słodka, bystra, roześmiana córka, która tego ranka ciut za mocno wyregulowała sobie brwi, nie żyje.

Łzy spływają mi po policzkach, moczą świeżo wypraną poszewkę kołdry. Gdyby kot mojej dziesięcioletniej córki nie wyrzygał na tę poszewkę całej porcji karmy, nie wyprałabym jej. Od śmierci Caitlin trudno mi myć lub odkładać na miejsce rzeczy, których dotknęła. Dwa dni po pogrzebie Ben musiał pozbierać brudne ubrania, które porzuciła na podłodze w łazience. Powiedział, że to niehygieniczne, że jej szorty od wufu i lawendowa koszulka wciąż tam leżą, mimo że jej samej nie ma już od tygodnia. Wyprał je i schował; schował też jej plecak i różowy płaszcz przeciwdeszczowy, który wisiał w naszej domowej pralni. I nowe buty sportowe. Odłożył te rzeczy gdzieś, gdzie nie rzucałyby mi się w oczy; nie wiem gdzie. Ale nie posprzątał wszystkiego.

Po podłodze mojego samochodu wciąż wała się pusta butelka po soku, którą zostawiła. To moja mała tajemnica. Część jej życia – ta, której nie jestem gotowa się pozbyć. Bo w jakiś niewytłumaczalny, zwariowany sposób ta szklana butelka i łoskot, z jakim turla się pod fotelem, działają na mnie kojąco. Oczywiście, kiedyś trzeba będzie ją wyrzucić. Wiem, że tak... razem z innymi rzeczami.

Ale teraz nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będę w stanie wejść do jej pokoju, spakować jej ubrania, książki, nagrody, które zdobyła jako cheerleaderka. Zdarza mi się wchodzić do jej pokoju, ale tylko po to, żeby popłakać na jej łóżku. Ale to wyłącznie zmiana scenerii.

Dzwoni telefon stacjonarny. Nie odbieram.

Zastanawiam się, czy jej szczoteczka do zębów wciąż stoi w różowym kubeczku z księżniczkami Disneya w łazience dziewczyn. Czy Ben wyrzucił ją, kiedy zbierał brudne ubrania? Czy może wciąż używa jej Izzy, co zawsze strasznie wkurzało Caitlin?

Na dzień przed śmiercią Caitlin przyszła mi się poskarżyć, że młodsza siostra używa jej rzeczy do higieny osobistej: jej grzebienia, szczoteczki do zębów, jej ulubionej organicznej pomadki do ust. Caitlin miała hopla na punkcie produktów organicznych. Powiedziałam Izzy, żeby nie brała rzeczy siostry bez pozwolenia. Powiedziałam też Cai-tlin, żeby przestała jęczeć i narzekać. Gdybym

wiedziała, że moja druga córka wkrótce umrze, potraktowałabym jej skargi poważniej. Odłożyłabym kosz z praniem, który niosłam do dużego pokoju, żeby poskładać ubrania na kanapie. Zignorowałabym esemesa, który właśnie do mnie przyszedł, i zapytałabym Caitlin, jak się czuje, kiedy młodsza siostra zużywa resztkę jej szamponu o zapachu zielonego jabłuszka. Oderwałabym się od codziennych obowiązków i skupiła na tej chwili, na jednej z ostatnich chwil, które spędziłam sam na sam ze swoją córką.

Telefon milknie. Rękawem bluzy Bena, którą mam na sobie, ocieram nos. Nie płaczę tak intensywnie, jak mi się zdarza. Czasami ryczę tak bardzo, że aż zbiera mi się na wymioty. To na swój sposób fascynujące, jak długo można płakać i wciąż mieć łzy. Wydawałoby się, że człowiek w końcu się odwodni, pomarszczy się jak suchy owoc i umrze.

Niestety, nic z tego.

Moja komórka, która ładuje się na szafeczce nocnej, zaczyna wibrować. Ktoś dzwoni. Kiedy człowiekowi umiera dziecko, telefony nie przestają dzwonić. To kolejna rzecz, której się dowiedziałam. Z początku ludzie dzwonią, żeby powiedzieć, jak bardzo im przykro, i zapytać, czy mogą jakoś pomóc, a potem dzwonią, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Rzadko odbieram telefon. Bo co mam niby powiedzieć? Jak, do cholery, ma być w porządku? Nie pojmuję nawet, jak to możliwe, że wciąż żyję. W pierwszych dniach cierpiałam tak bardzo, że myślałam, że mnie to zabije. Kiedy okazało się, że jednak nie, pomyślałam, że sama przyspieszę ten proces. Myślałam o tym na tyle poważnie, że zastanawiałam się nad wykradnięciem słoiczka leków nasennych, które zauważyłam w torebce teściowej. Powstrzymało mnie chyba tylko to, że musiałabym je ukraść. Czy to nie głupie? Akceptować myśl o samobójstwie i osieroceniu dwóch córek, ale jednocześnie uważać, że okradanie faszeryjącej się lekami teściowej jest nie w porządku?

Komórka przestaje wibrować. Znowu słyszę tylko furczenie wentylatora i własne łkanie.

Za chwilę zaczyna wibrować ponownie. A ja wciąż nie odbieram. Obracam się na bok, plecami do telefonu, i kładę rękę na poduszce Bena. Jeszcze kiedyś wciągnęłabym głęboko powietrze przez nos z nadzieją, że poczuję jego zapach. Uważałam, że wspaniale pachnie. Dzisiaj już nie pamiętam, kiedy taka myśl ostatni raz przebiegła mi przez głowę. Prawda jest taka, że oddaliliśmy się od siebie dawno temu. Śmierć Caitlin sprawiła, że dzieląca nas szczelina zmieniła się w otchłań.

Komórka ponownie się odzywa. Tym razem obracam się szybko i wyciągam po nią rękę. Trzy próby z rzędu to rodzinny sygnał – sygnał mówiący „odbierz w końcu ten cholerny telefon”. Tak mówi Ben.

Szarpię aparatem tak mocno, że wyrwam kabel od ładowarki. Spoglądam na ekran. Jak przez mgłę widzę swoje załzawione oczy. To Laney, moja najlepsza



przyjaciółka od czasów college'u.

– Wszystko u ciebie OK? – pytam. – Z chłopakami w porządku?

– Powinnaś odbierać telefon, kiedy do ciebie dzwonię – odpowiada.

Obracam się na plecy. Serce mi łomocze. Ulżyło mi, że u Laney wszystko dobrze. Wcześniej raczej nie przejmowałam się tym, że osoby, które kocham, mogą umrzeć. Teraz martwię się o to cały czas. W zeszłym tygodniu przyszła mi do głowy szalona myśl – że Izzy nie dotarła na lekcje po tym, jak Ben odwiózł ją pod szkołę. Wsiadłam w samochód i pojechałam tam, po czym zażądałam, żeby przyprawiono ją do sekretariatu, żebym mogła zobaczyć ją na własne oczy i przekonać się, że nie została porwana na odcinku między samochodem mojego męża a drzwiami szkoły. Porwana, zamordowana i porzucona w przydrożnym rowie.

– Nie wiedziałam, że to ty – wyjaśniam.

– Żadnych wymówek!

Laney nigdy mi nie odpuszcza. Między innymi za to tak ją kocham.

– Mogłaś chociaż rzucić okiem na ekran telefonu, Jules. Wstałaś już z łóżka?

Pociągam nosem i znowu ocieram go rękawem bluzy.

– Tak. Podgrzałam Izzy pop-tarty na śniadanie...

– Ale jak tylko wyszli z domu, wróciłaś do łóżka.

To brzmi jak oskarżenie.

Zamykam oczy.

– Najpierw nakarmiłam kota. Dopiero potem wróciłam do łóżka.

Laney się nie śmieje.

– Julio, rozmawiałyśmy o tym. Nie możesz całymi dniami leżeć w łóżku.

Czy zadzwoniłaś do szefa, żeby porozmawiać o powrocie do pracy?

– Zadzwonię.

– Wyleje cię.

– Nie robi tego. Moja córka zginęła w wypadku. Nie uwierzyłybyś, ile przywilejów się z tym wiąże.

Nadal żadna z nas się nie śmieje. Ale ja przynajmniej przestałam płakać.

– Zabukuję sobie przelot – mówi Laney. – Mogę być u ciebie jutro.

– Nie, nie. Nie ma potrzeby – protestuję. – Nic mi nie jest.

– Nieprawda. – Jest zniecierpliwiona. – To przecież niemożliwe.

Wzdycham.

– Nie, oczywiście, nie wszystko jest w porządku, ale wiesz, co mam na myśli. Nie jest mi nic takiego.

Kiedy znowu się odzywa, mówi tonem łagodnym i delikatnym. Pewnie w ten sam sposób rozmawia ze swoimi trzecioklasistami.

– Jules, kochanie, minęło sześć tygodni. Wiem, że nie powinno się rozliczać czasu żałoby, ale nie możesz wciąż leżeć po ciemku w łóżku. Musisz wstać i czymś

się zająć: posprzątać w domu, zrobić zakupy w spożywczym, pójść na spacer. Myślę, że praca dobrze by ci zrobiła. Dałaby ci...

– Czterdzieści siedem dni – przerywam jej.

– Słucham?

– Czterdzieści siedem dni – powtarzam. – Powiedziałaś, że od śmierci Caitlin minęło sześć tygodni. A minęło czterdzieści siedem dni, więc ściśle rzecz biorąc...

– Wsiadam w samolot.

– Nie, nie. – Staram się mówić stanowczo. – Musisz pracować, Garret ma zbiórkę skautów, a poza tym zbliża się operacja Liama...

– To było dwa tygodnie temu, kochanie.

Otwieram oczy.

– Tak? Och, Laney, przepraszam. Jak on się czuje? Boże, tak mi przykro...

– W porządku. Nic mu nie jest. Wciąż trochę spuchnięty, ale opuścił tylko dwa dni szkoły. Chirurg szczękowy powiedział, że był bardzo dzielny.

– Kiedy Caitlin usuwali zęby mądrości, następnego dnia nawet nie chciała opuścić szkoły. Powiedziała, że nie zamierza marnować wolnego dnia po to, żeby siedzieć w domu i czuć się paskudnie. Namówiła mnie, żebym pozwoliła jej powagarować ten jeden dzień, kiedy już poczuje się lepiej. – Łzy napływają mi do oczu. Wzdycham ciężko i zaciskam powieki. Czuję się przytłoczona. Jakbym unosiła się na wodzie, ale ledwo, ledwo. – Och, Laney...

– Wiem, kochanie. – Wzdychamy jednocześnie. – Słuchaj, muszę kończyć – mówię. – Jadę odebrać swoje ukochane maleństwa z zajęć informatycznych, ale... Jules, mówię poważnie. Wsiądę w samolot i przylecę. Zrobimy coś wspólnie. Wybierzemy się na przejażdżkę. Posprzątam pokój Caitlin. Co tylko zechcesz. Jeżeli nie możesz wstać, to poleżę z tobą.

– Nie chcę, żebyś musiała brać przeze mnie urlop. I zostawiać chłopców.

– W takim razie ty przyjedź do mnie. Mamy tu przepiękną wiosnę. Może przyda ci się odmiana. Zawsze mówiłaś, że niebo musi wyglądać jak w Maine.

Laney mieszka pod Portland. Jest nauczycielką i matką dwóch chłopców. Wdową. Rozumie, co to znaczy utracić kogoś bliskiego. Sean, którego kochała od szóstej klasy, ojciec jej chłopaków, zginął trzy lata temu w Afganistanie.

– Nie nadaję się jeszcze do bycia wśród ludzi – mówię.

– No to przyjedź do chatki. Zawsze ją uwielbiałaś. – Jej dom rodzinny nad jeziorem Sebago, na zachód od Portland. Kiedy byliśmy w college'u, gdzie poznałyśmy się na pierwszym roku, dwa razy spędziłam letnie wakacje razem z Laney i jej zwariowaną, kochającą rodzinką. Żałowałam, że sama nie wychowałam się w takiej rodzinie. Dorastałam tylko z matką i ojczymem. Tworzyliśmy dosyć cichą, spokojną rodzinę, tymczasem bliscy Laney byli hałaśliwi i pełni energii. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, kiedy poznałam jej

rodziców, braci i siostrę w tamto pierwsze Święto Dziękczynienia, gdy pojechałam do niej w odwiedziny, było to, jak bardzo oni wszyscy się nawzajem lubią. Jej rodzice całowali się na moich oczach. Rodzeństwo ścisnęło się czule i opowiadało o tym, jak bardzo się za sobą stęsknili. Nigdy nie odnosiłam wrażenia, że moi rodzice się lubią... lub że lubią mnie. Przez piętnaście ostatnich lat co roku zabierałam Bena i dziewczyny do Mai-ne na wakacje. Chociaż Ben pauzował przez ostatnie dwa lata. Praca.

– Wracaj do uczniów – mówię. – Wypraw ich do autobusów i wracaj do domu, do swoich chłopaków.

Laney milczy przez chwilę. W tle słyszę władczy kobiecy głos, wzmocniony przez głośniki: „Ogłoszenia na koniec dnia. Jutro na obiad będzie pizza”.

– Martwię się o ciebie, Jules – szepcze moja przyjaciółka. „Ja też się o siebie martwię”, chcę powiedzieć, ale milczę. Myślę o lekach nasennych. Czy połknęłabym je, gdybym miała do nich dostęp? Czy naprawdę spróbowałabym odebrać sobie życie? Julia Renee Maxton, dobra dziewczyna, która nigdy nie chciała nikomu wadzić? Zastanawiam się, czy opowiedzieć o tym Laney. – Jules?

– Zadzwoń do ciebie w ten weekend – obiecuję, choć już wiem, że nie powiem jej o pigułkach. Najbliższym powinno się mówić o wszystkim. Absolutnie o wszystkim. To dowód miłości. Ale wiem, że o tym jej nie powiem, właśnie dlatego, że ją kocham. Laney i tak wystarczająco się o mnie martwi.

– Zadzwoń, proszę.

– Zadzwoń – zapewniam.

– Nie zadzwonisz. Obiecujesz, ale potem nie dzwonicz, Julio. Będę do ciebie dzwonić cały weekend, ale włączy się automatyczna sekretarka albo odbierze Izzy, która powie, że śpisz. Udaje mi się z tobą porozmawiać tylko wtedy, kiedy zadzwonię trzy razy z rzędu na twoją pieprzoną komórkę...

– Nie powinnaś przeklinać – przerywam jej. – Jesteś nauczycielką w podstawówce. A trzy telefony z rzędu powinny być zarezerwowane tylko na sytuacje awaryjne. – Znów zamykam oczy i kładę wolną dłoń na czole. – Zadzwoń. Przysięgam. Zadzwoń, gdy Ben i Izzy pojedą na obiad do teściowej.

– Mam nadzieję, bo inaczej wsiadam w samolot – grozi Laney.

– Zadzwoń – powtarzam. I naprawdę mam zamiar zadzwonić. Przynajmniej teraz. Ale gdy nadejdzie niedziela, pewnie nie będę w stanie się zmobilizować. – Pozdrów ode mnie chłopaków.

– Zadzwoń w niedzielę, bo inaczej pozdrowisz ich osobiście.

Rozłączam się i przyciskam telefon do piersi. Moja Laney... Dobra z niej przyjaciółka. Najlepsza. Mimo wszystkich tych lat i dzielących nas kilometrów udało nam się podtrzymać nasz związek. Co jest niesamowite, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nie udało mi się to z człowiekiem, który sypia obok mnie.

W tamtą noc, kiedy zginęła Caitlin, Laney wsiadła w najbliższy samolot

o czwartej nad ranem. Wcześniej zadzwoniła do swojej teściowej – anioła, choć trochę stukniętego – żeby zaopiekowała się chłopakami. Laney godzinami stała w kolejkach przy kasach na lotnisku w Portland, aż wreszcie komuś udało się znaleźć dla niej przelot do Kalifornii z przesiadką w Nowym Orleanie.

Komórka znowu dzwoni. Nie otwieram oczu. Stukam w ekran i przykładam aparat do ucha.

– Widzisz, mówiłam, że odbiorę.

Odpowiada mi cisza. W końcu słyszę chrząknięcie i męski głos:

– Czy mogę rozmawiać z panem Maxtonem lub panią Maxton?

Podrywam się. Siadam na łóżku; ręka z komórką zaczyna dygotać. Tak właśnie zaczął rozmowę policjant, który zadzwonił, żeby poinformować nas o wypadku. Przez sekundę moją klatkę piersiową ścisza panika i nie jestem w stanie nic powiedzieć. Kręci mi się w głowie.

– Tak, tu... pani Maxton.

– Dzień dobry, pani Maxton, mówi doktor Carlisle, dyrektor Akademii Smythe'a.

Udaje mi się odetchnąć z cichym stęknieniem.

– Tak?

– Przykro mi to mówić, pani Maxton, ale jestem zmuszony prosić, by przyjechała pani odebrać Haley. Pani córka została wydalona ze szkoły.

Znowu musi minąć chwila, zanim odpowiem, ale tym razem dlatego, że ogarnia mnie ulga. Haley żyje. Nie stała się jej żadna krzywda. Tylko wydalono ją ze szkoły.

– Ach... Dobrze – mówię i spuszcza nogi z łóżka. – Co... – Naprawdę usiłuję się skupić. – Czemu została wydalona?

– Muszę panią prosić o stawienie się w szkole, pani Maxton. To nie jest rozmowa na telefon. Kiedy mogę się pani spodziewać?

Liczę w myślach. Powinnam zrzucić z siebie bluzę Bena, założyć stanik i własną koszulę. Umyć zęby. Jeszcze buty. Piętnaście minut jazdy...

– Mogę być za pół godziny, doktorze Carlisle.

## ROZDZIAŁ 2

### HALEY

46 dni, 13 godzin

O tutaj.

Sekretarka wskazuje jedno z trzech krzeseł w przedpokoju między sekretariatem a gabinetem dyrektora. Nie wygląda na poirytowaną ani nawet zainteresowaną najnowszym przypadkiem mojego nieposłuszeństwa. Nie patrzy też na mnie jak na morderczynię, co jest dosyć miłe. Właściwie wcale na mnie nie patrzy. Bardziej zajmuje ją jedna z przywieszek, która dynda na złotej bransoletce na jej lewym nadgarstku. Wygląda jak kartofel. Zastanawiam się, po co ktoś nosi na bransoletce miniaturowego kartofla, nawet jeśli jest ze szczerego złota.

– Wiesz, co robić, Haley. Nie wstawaj, chyba że ogłoszą alarm pożarowy albo dojdzie do strzelaniny. A i wtedy lepiej, żeby to był alarm piątego stopnia lub broń maszynowa – mówi z kamienną twarzą.

Lubię to wyrażenie. „Z kamienną twarzą”. Wczoraj dodałam je do naszej (mojej i Caitlin) listy. Podoba mi się jego obrazowość. I ciężar. Ostatnio mówienie z kamienną twarzą wchodzi mi w krew. Ciągle myślę, że jeśli nie okażę żadnych uczuć, to może nie będę też niczego czuła.

– Nie powinna pani żartować na takie tematy – mówię, spoglądając na nią. Na swój sposób jest nawet ładna, trochę jak Zooey Deschanel, tylko że nosi czarne skórzane chodaki i ma odrosty. – Takim głównem w stylu Columbine może pani namieszać w głowach wrażliwym młodym kobietom.

– Bez przeklinania, proszę – mówi wciąż monotonnym głosem. Nic nigdy nie wyprowadza jej z równowagi. Byłaby lepszym dyrem niż Doktor Kula Kłaków. Przezywamy go tak z kumpelami, bo ma obleśną bródkę, która wygląda, jakby przed chwilą wypluł kulę kłaków.

Sekretarka rusza do swojego biurka – ma największe w biurze, bo kieruje pracą dwóch innych kobiet. Na blacie stoi słoje wypełniony miniaturowymi batonikami czekoladowymi. Przez prawie cztery lata, które spędziłam w tej budzie, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby zjadła choć jednego. Nikogo też nie poczęstowała. Nie ogarniam, czemu ma je na biurku. Może stara się sprawiać wrażenie kogoś, kim nie jest? Kogoś, kto częstuje uczniów słodyczami?

– Dopilnuj, żeby przed wyjściem mama na pewno cię wypisała – nakazuje.

Rzucam plecak na podłogę obok krzesła, na którym mam usiąść. Z doświadczenia wiem, że jak siądę na tym krześle i wychylę się w prawo, będę

mogła obserwować uczniów po drugiej stronie szyby. Pomachać, jak zobaczę znajomego.

– Mimo że mama przychodzi na rozmowę z doktorem Carlisle'em i że to on mnie wydała? – pytam.

– Musiałaby cię wypisać, nawet gdybyś została wydalona przez samego Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego.

Nie mam pojęcia, czy jest jedną z tych chrześcijańskich oszołomek, czy ironizuje, bo tak naprawdę jest ateistką. Trudno powiedzieć, co byłoby gorsze.

– Za parę tygodni skończę osiemnaście lat – mówię. – Wtedy sama będę mogła się wypisać.

– Mogłabyś, jasne. – Zatrzymuje się i odwraca. Posyła mi głupkowaty uśmiech. – Gdybyś wciąż tu była. Ale cię nie będzie.

Tak bardzo zaskoczyły mnie jej słowa, że nie potrafię znaleźć ciętej riposty. Dziwię się, bo to było dosyć złośliwe z jej strony. Odkąd zabiłam Caitlin, dorośli bardzo uważają na to, co do mnie mówią. Jakby się mnie bali czy coś. Od powrotu do budy nawet ostre numery uchodziły mi płazem. Naprawdę się zdziwiłam, kiedy doktor Carlisle powiedział, że mnie wydała.

Panna Charter znika za rogiem i może w ogóle z mojego życia. Siadam na krześle najbliższej sekretariatu. Krzesło jest z niebieskiego plastiku, buchnięte ze stołówki. „Buchnięte” to chyba za mocne słowo, skoro dyro kazał je tu przynieść. Ale na pewno nie jest biurowe, tylko stołówkowe. Nogi ma nie teges, więc się buja i trzeba podeprzeć się stopą. Pewnie brakuje mu plastikowej podkładki – jak w krześle, na którym siedzę na chemii.

Przechylam się w prawo; korytarz obok sekretariatu jest pusty. Przerwa się skończyła. Rozpieram się na krześle i wyciągam z przedniej kieszeni plecaka różową piłeczkę. Te durne spódnice od mundurków, które musimy nosić, nie mają kieszeni. Możemy nosić też długie spodnie, jak chłopaki, ale są jeszcze brzydsze niż spódnice. Odbijam piłeczkę od ściany przed sobą – tak od niechcienia, dla rozgrzewki, żeby ocenić odległość, wyczuć powierzchnię ściany. Gumowa fluorescencyjna piłeczka wraca prosto do mnie. Przez kilka ostatnich tygodni nabrałam wprawę w jej rzucaniu i łapaniu.

Uderza o ścianę i ląduje w mojej dłoni jak za sprawą magii. Magii fizyki, jak mówiła Caitlin, kiedy ją odbijała. Każdej sile odpowiada siła o takiej samej wartości i kierunku, ale o przeciwnym zwrocie. Trzecia zasada dynamiki Newtona.

Zastanawiam się, czy mama się wkurzy, że mnie wydaliłi. Kiedyś wściekała się na mnie na okrągło. Nic, tylko mnie krytykowała.

„Haley, czemu masz takie słabe stopnie?”

Rzucam. Łapię.

„Czemu nie masz miłszych kolegów?”

Rzucam. Łapię.

„Czemu malujesz oczy czarnym eyelinerem?”

Rzucam. Łapię.

Tak naprawdę zawsze chodziło jej o to, czemu nie mam tak dobrych stopni – jak Caitlin? Czemu nie mam tak miłych kolegów – jak Caitlin? Czemu nie ograniczam się w makijażu do różowej pomadki na ustach – jak Caitlin?

Rzucam piłeczkę za mocno i muszę zerwać się z krzesła, żeby ją złapać.

Mama to wredna sucz. Najgorsze, że udaje inną. A przynajmniej udawała, zanim Caitlin zginęła. Od tamtej pory właściwie nikogo i niczego nie udaje. Ledwie się do mnie odzywa, a kiedy już jej się to zdarzy, mówi tym cichym, omdlewającym głosem, który jest gorszy od krzyku.

Uważa, że śmierć Caitlin to moja wina. Tylko nie chce mi tego wygarnąć prosto z mostu.

Rzucam. Łapię.

Rzecz w tym, że ma rację. To moja wina. Niczyja inna, tylko moja.

Rzucam. Łapię.

Słyszę, jak otwierają się drzwi do sekretariatu. Pochylam się i widzę mamę. Ma na sobie dżinsy i klapki, i pomarańczową koszulkę z krótkim rękawem, którą zwykle zakłada, kiedy zabiera się do sprzątanía domu. Tyle że teraz już nie sprząta. Jeżeli ktoś w ogóle zabiera się do porządków, to Izzy. Tata mówi, że jeśli mama nie przestanie leżeć całymi dniami w łóżku, będziemy musieli zatrudnić sprzątaczkę.

Podchodzi do kontuaru. Jest bez makijażu, a jej włosy, zebrane w niedbały kucyk, wyglądają, jakby nie myła ich od wielu dni. Zawsze chciałam mieć takie blond włosy jak ona i Caitlin. A mam paskudne kasztanowe, po tacie. A raczej były kasztanowe, póki nie zaczęłam farbować ich na czarno. Izzy ma rude. Nie wiem po kim. Caitlin i ja droczyłyśmy się z nią czasem i mówiłyśmy, że została adoptowana i dlatego nie jest do nikogo podobna.

– Julia Maxton – mówi mama. – Do pana doktora Carlisle’a.

– Proszę wejść – słyszę pannę Charter. Nie widzę jej, bo siedzi za rogiem. – Zna pani drogę.

Mama chyba nie dostrzega tej małej złośliwości, ale ja owszem. Panna Charter sugeruje, że mama zna drogę do gabinetu Doktora Kuli Kłaków, bo już wcześniej wzywano ją tu z mojego powodu: w związku z niedostatecznymi wynikami w nauce; w sprawie mojego zachowania; w związku z zawieszeniem w prawach ucznia. Ale po raz pierwszy będę wydalona z placówki wychowawczej. No, może z wyjątkiem przedszkola, ale to się chyba nie liczy. Gryzłam inne dzieci, żeby wyrazić swoją indywidualność i dać upust radości związanej z nieznanym dotąd poczuciem wolności.

Mama skręca do przedpokoju. Patrzy na mnie, ale tak naprawdę mnie nie widzi. Po prostu jej wzrok prześlizguje się po mnie. Nie jest w stanie na mnie

spojrzeć, ale to w porządku, bo ja też nie mogę na nią patrzeć.

Gapię się przed siebie. Ściana jest z pustaków, pomalowana na jasną zieleń. Przy takim czesnym, jakie się tu buli, można by pomyśleć, że budynek będzie z czegoś lepszego niż pustaki, ale najwyraźniej szkoła kupiła go tanio. Wcześniej było tu coś innego.

Rzucam piłeczkę. Łapię.

Mama podchodzi, zatrzymuje się i po prostu sobie stoi. Nie ma nawet torebki, tylko kluczyki od samochodu.

– Co tym razem zrobiłaś? – pyta.

Nie wygląda nawet na przejętą.

– Paliłam – odpowiadam.

– Trawkę? – Mówi to takim tonem, jakby pytała, czy zjadłam na lunch jabłko.

Robię minę.

Rzucam piłeczkę. Łapię.

– Marlboro. Na oszklonym dziedzińcu.

– W szkole – mówi. Nie z kamienną twarzą, ale prawie.

Wzruszam ramionami.

– Nie chciałam się spóźnić na fizykę.

Czekam na jej reakcję. Gdyby moja kumpela Danielle powiedziała coś takiego do matki, dostałaby w twarz. Mnie mama nie bije. Zaciska tylko mocno wargi i wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpląkać.

Aż do śmierci Caitlin nigdy nie widziałam, żeby mama płakała. Teraz ciągle albo płacze, albo za chwilę zacznie płakać, albo akurat ociera łzy po porządnym wybuchu płaczu.

Przechodzi przede mną, akurat gdy znów łapię piłeczkę.

– Mogłabyś odłożyć tę piłkę, proszę? – pyta.

Odwodzę nadgarstek, poprawiam rękaw bluzy, którą noszę pod przepisową koszulką polo, i rzucam piłeczką o ścianę. Odbija się i wraca. Fizyka. Magia. W zależności od punktu widzenia.

Mama idzie do gabinetu Doktora Kuli Kłaków. Trzecie drzwi po lewej. Są otwarte. Puka w futrynę.

– Pani Maxton, zapraszam.

Słyszę płaczliwy głos, ale nie rozumiem słów. Zresztą nieważne. Nie zamierzam słuchać. Siedzę tylko i odbijam swoją piłeczkę, i zastanawiam się, czy gdybym umarła, mama płakałaby bardziej czy mniej.

### ROZDZIAŁ 3



JULIA

Wciąż 47 dni

Wychodzę z gabinetu dyrektora. Moja córka wciąż siedzi na tym samym krześle i odbija gumową piłeczkę o ścianę. Jest ubrana tak samo jak inne dziewczyny, które mijałam na korytarzu, ale podobieństwo nie wykracza poza mundurek z wyhaftowanym herbem szkoły. (Czarnej koszulce polo, którą nosi, powinna towarzyszyć czerwona spódnica, a nie czarna. I tylko moja córka nosi pod polo czarną bawełnianą koszulę z długim rękawem. Ostatnio codziennie ma na sobie czarną koszulę). Haley wygląda jak liderka zespołu punkowego, a nie jak uczennica ekskluzywnej szkoły średniej. Jej włosy, ufarbowane na nienaturalną czerń w odcieniu pasty do butów, są nierówno powycinane naokoło twarzy. Sama się tak obcięła. W uszach ma mnóstwo kolczyków, paznokcie pomalowane na czarno. Jej twarz jest blada, ale zielone oczy – moje oczy – obwiedzione grubą czarną kreską eyelinera. Wygląda na zmęczoną. I smutną. I starszą niż te jej siedemnaście lat.

Podchodzę do niej. Nogi mam jak z kamienia, ledwo podnoszę stopy. Zatrzymuję się. Nadal odbija piłeczkę. Robi to od tygodni. Zastanawiam się, czy wie, jak bardzo mnie to denerwuje. Pewnie wie.

– Powiedziałaś, że wydalili cię za palenie papierosów, Haley – mówię. – Doktor Carlisle stwierdził, że wydała cię za posiadanie marihuany i pigułek, które wyglądają na środki przeciwbólowe wydawane na receptę. Znalazł je w twoim plecaku. – Podnoszę dwie torebki strunowe, które wręczył mi dyrektor. – Skąd wzięłaś percocet?

– Od Lindy. – Znowu odbija piłeczkę. – Bez obaw. Nadal ma tego od groma.

Mam ochotę złapać tę piłeczkę w locie i rzucić nią. Z całej siły. Na przykład tak, żeby odbiła się mojej córce od czoła. Albo tej zadzierającej nosa sekretarce... albo temu aroganckiemu dyrektorowi. Biorę głęboki wdech. Muszę zachować spokój. Haley przeszła przez tak wiele. Nie mogę „dostać pierdolca”, jak zwykła mawiać. Biorę drugi wdech.

– Doktor Carlisle mógł wezwać policję, Haley. Mogliby cię za to aresztować.

Wymachuję jej przed nosem woreczkami z marihuaną i pigułkami.

– Eee tam. – Nie patrzy na mnie. – Starają się ściągnąć jak najwięcej uczniów na przyszły rok. Za Chiny nie zaryzykowałyby teraz afery. Przecież mogliby o tym napisać w gazecie. – Rzuca piłeczkę powolnym, niedbałym gestem, obliczonym na to, żeby maksymalnie mnie wkurzyć. Piłeczka się odbija. Haley ją łapie.

Powtarzający się odgłos gra mi na nerwach, i tak już zszarganych. Czuję

zawroty głowy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłam. Wczoraj w porze lunchu? Chyba tak.

– Porozmawiamy o tym w domu – mówię. – Razem z tatą. – Nie odpowiada. Znowu odbija piłeczkę. Łzy napływają mi do oczu, więc odwracam wzrok. Mam już dość płakania. Naprawdę chciałabym przestać. – Chodź – mówię. – Jedziemy do domu.

Bez pośpiechu wstaje z krzesła, podnosi plecak z podłogi i zarzuca go na ramię. Jest żywym uosobieniem stereotypowej strzelającej fochy nastolatki, w stereo i w kolorze, czy raczej – w jej wypadku – czarno-biało.

Wychodzi do sekretariatu i dalej, na korytarz.

– Proszę ją wypisać, pani Maxton – mówi do mnie sekretarka.

– Ona już nie wróci. Została wydalona.

Kobieta oszczędnie uśmiecha się zza biurka.

– Zasady to zasady.

Wzdycham. Podchodzę do kontuaru i wypisuję Haley ze szkoły.

Czeka na mnie przy samochodzie. Jest nowy. Ben kupił mi go w styczniu na czterdzieste drugie urodziny. Chciałam bardziej sportowy wóz, mniej mamuszkowaty niż mój poprzedni minivan. Tak bardzo się ucieszyłam, gdy podjechał pod dom toyotą RAV4. Miała wszystkie bajery, o których marzyłam: skórzane fotele, nawigację satelitarną, szyberdach.

Wciskam guzik pilota i otwieram drzwiczki. Kiedy wsiadam, wciąż czuję zapach nowych skórzanych obić. Zabawne, jak szybko to, co wydawało się tak ważne, stało się czymś, na co w ogóle nie zwraca się uwagi. Od tygodni nie myślałam o nowym aucie. Od czterdziestu siedmiu dni.

Rzucam torebki z marihuaną i prochami na deskę rozdzielczą, podczas gdy Haley, znów bez pośpiechu, siada obok mnie. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby zatrzymano mnie za przekroczenie dozwolonej prędkości i gdyby gliniarz zobaczył zioło i dragi. Zostałabym aresztowana? Ciekawe, czy bym protestowała. Cela więzienna wydaje się teraz przytulnym miejscem pobytu. Jeśli pójdę do kicia, to Ben będzie musiał sam się handryczyć z Haley. A mnie pozostaną problemy z pomarańczowym wdziakiem. Prawie się uśmiecham. Caitlin uwielbiała telewizję. Bardzo lubiła serial na Netflixie o kobiecie, która siedzi w więzieniu za przestępstwo, które popełniła przed laty. W ostatnie Halloween przebrała się za główną bohaterkę, Piper Chapman. Pomarańczowy kombinezon wciąż wisi w szafie w przedpokoju.

Zabawne, jakie myśli przychodzą człowiekowi do głowy... Wyglądała tak uroczo moja córka przebrana za skazaną.

Odpalam silnik, ale siedzę jeszcze przez chwilę z dłońmi na kierownicy. Moje myśli dryfują od pomarańczowego kostiumu do siedzącej obok mnie córki. Narkotyki? Do tego wszystkiego jeszcze ćpa? Czy diluje? Nie próbowała się nawet

wykręcić jakimś mało wiarygodnym „to nie moje, to koleżanki”. Wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nie wiem co. Łzy cisną mi się do oczu.

– O rany... – mamrocze Haley.

Pochylam się, przyciskam czoło do kierownicy i nakrywam dłońmi głowę. Haley nawet nie próbuje mnie pocieszać. Ale też nie protestuje. Słyszę, jak grzebie w plecaku. Kiedy podnoszę głowę i spoglądam na córkę, ma w uszach słuchawki, wpatruje się prosto przed siebie. Masuje sobie lewe ramię – jeszcze jeden nawyk, który nabyła po wypadku.

Po paru minutach wycieram nos wierzchem dłoni i wycofuję się z miejsca parkingowego. Jadę do domu z percocetem, marihuaną i moją córką.

\*

– Co teraz zrobimy, Jules? – Ben siada na brzegu łóżka. W sypialni jest ciemno, tylko z łazienki dociera trochę światła.

Jest po kolacji, chyba koło ósmej. W drodze z pracy Ben kupił pizzę. Słyszałam, jak on i Izzy rozmawiali w kuchni. Nie to, co mówili, tylko same głosy. A później dźwięki telewizora. Jestem pewna, że zjedli pizzę, oglądając coś na Discovery Channel. To jedyne wspólne zainteresowanie mojego męża i naszej dziesięcioletniej córki. Haley poszła do swojego pokoju, jak tylko wróciłyśmy, i zostanie tam aż do chwili, gdy wszyscy położą się spać. Dopiero wtedy wyjdzie, by poszukać jedzenia. Albo dragów w naszej apteczce...

Nie odpowiadam i Ben wydaje gardłowy pomruk, co oznacza, że go irytuję. Robi to od tygodni. Nie rozumie, jak zdruzgotane są moje serce i moja dusza. Wiem, że Caitlin była także jego córką, ale wydaje się, jakby nie czuł tego, co ja. Zresztą nie czuje tego, co ja, w żadnej sprawie. Po jej śmierci zrobił sobie dwa dni wolnego. Nie przestał grać z braćmi w kręgle i nie opuścił żadnego z cotygodniowych spotkań w klubie Kiwanis. Powiedział, że łatwiej mu, gdy życie toczy się dalej. Co to w ogóle znaczy?

– Musimy porozmawiać – mówi teraz.

– Wiem – mamroczę. I naprawdę to wiem. Musimy porozmawiać – o Haley, o Caitlin, o kondycji naszego małżeństwa. Ale nie jestem na to gotowa. Po prostu nie.

– W lodówce jest sałatka z Tony O's.

Leżę na plecach, z głową na poduszce i przedramieniem opartym o czoło.

– Dzięki. Może zjem później.

Oczywiście nie mam zamiaru jej jeść. Zawsze byłam trochę przy kości, zwłaszcza po urodzeniu dziewczynek. Rozmiar czterdzieści dwa, czasem czterdzieści cztery, choć wciąż usiłowałam się wcisnąć w dzinsy o numer mniejsze. Po raz pierwszy w życiu nie liczę kalorii i nie staram się jeść zdrowo. Jestem na diecie żałobnej po stracie dziecka, na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze.

Ben znów wzdycha, ale nie wstaje z łóżka, żeby wrócić przed telewizor. Chyba naprawdę uparł się na poważną rozmowę. W pierwszych tygodniach po wypadku zaglądał do sypialni dwa, trzy razy na wieczór, żeby zadać mi jakieś pytanie lub powiedzieć coś, co pomogłoby mi wrócić do normalnego życia, jakie kiedyś prowadziliśmy. Kiedy mijały kolejne dni, a ja wciąż się z tego nie otrząsnęłam (to słowa Lindy, nie jego), przestał przychodzić tak często. Teraz jest tu po raz pierwszy od wielu dni – ze mną w sypialni, kiedy nie śpię. Większość nocy spędza w dużym pokoju, śpi w swoim fotelu z podnóżkiem przed telewizorem.

W filmach, które Caitlin tak uwielbiała oglądać, zawsze widzi się małżonków tulących się do siebie po tragedii. Płaczą razem, mąż przyciska żonę do piersi, pociesza ją. Ale w prawdziwym życiu tak nie jest. Przynajmniej nie w domostwie Maxtonów. Choć może byłoby tak jeszcze kilka lat temu. Sama nie wiem.

Myślę, że Ignęliśmy do siebie, kiedy do małego pokoju wszedł lekarz pogotowia i powiedział nam, że Caitlin nie udało się przywrócić do życia. Ale to było tylko instynktowne. Jak uczipienie się tratwy ratunkowej, gdy statek idzie na dno. Trzymaliśmy się za ręce podczas pogrzebu, ale tylko tyle. Nie chodzi o to, że moim zdaniem Ben nie cierpi. Wcale nie o to. Wiem, że cierpi – cierpi tak bardzo, że boję się go dotknąć, boję się, że jego cierpienie przejdzie na mnie i będzie tego wszystkiego za dużo. Że załamie się pod ciężarem naszego wspólnego cierpienia. Rozpadnę się na drobne kawałki, zdematerializuję się. Zniknę w smużce dymu lub w kałuży brejowatej zielonej plazmy.

– Jules. – Głos Bena przebija się do moich myśli. On i Laney są jedynymi osobami, które mówią do mnie „Jules”. Jedynymi osobami, które znają mnie na tyle dobrze, by tak mnie nazywać. Włącza lampkę na szafce nocnej po mojej stronie łóżka, a ja mrużę oczy. Zmuszam się, by na niego spojrzeć. Tłumię łzy, które napływają mi do oczu. Wiem, że ma już powyżej uszu słuchania, jak płaczę. Sama mam tego powyżej uszu. – Dragi? – pyta. – Teraz bierze jeszcze dragi?

– To marihuana. – Siadam. Spoglądam mu w oczy. Ben ma brązowe oczy. Ładne i dobre. Kiedy poznałam go na uczelni Cal State w Bakersfield, gdzie oboje studiowaliśmy, najpierw zwróciłam uwagę właśnie na jego oczy. – Jest praktycznie legalna. – Zastanawiam się, czy przypomnieć mu, że sam od czasu do czasu, w niedzielne popołudnia, popala skręty ze swoimi braćmi w ogródku za domem ich mamy, ale ostatecznie tego nie robię. Właściwie nigdy nie stanowiło to dla nas problemu. Ja nie palę zioła, z moralnego punktu widzenia nie mam nic przeciwko temu, żeby dorośli sobie popalali, po prostu nie przyjmuję żadnych substancji zmieniających świadomość, które byłyby mocniejsze od kieliszka wina czy szklanki piwa.

– A te pigułki? – pyta. – Skąd je wytrzasnęła? Założę się, że od któregoś

z kumpli. Od Cassie... albo od tego dupka Todda. – Przeczesuje dłonią rzednące włosy. – Mówiłem ci, że powinniśmy jej zabronić kontaktów z nim po tej awanturze z policją w Boże Narodzenie. Mama mówiła, że w przeciwnym razie będziemy żałować...

Wzdycham.

– To wcale nie była awantura z policją. Po prostu mieli stłuczkę. I to nie z winy Todda. – Wiem, że ma rację: Todd jest dupkiem. Tylko że dupkiem, który tym razem nie ponosi żadnej winy. – Haley twierdzi, że zwędziła percocet z apteczki twojej mamy.

Ben nie reaguje. Rzadko zdarza mu się reagować, ilekroć rozmowa dotyczy faktu, że jego mamusia zrobiła lub powiedziała coś, czego nie powinna. Tak jakby był zupełnie ślepy i nie widział jej wad.

– Czy Haley brała te pigułki? – pyta. – Powiedziałaś, że miała ich całą torebkę. Brała je sama czy sprzedawała?

Zamykam na chwilę oczy.

– Pewnie jedno i drugie.

Przytyka kciuk i palec wskazujący do skroni, jakby mógł wyprzeć prawdę ze swojej świadomości.

Stwierdzam, że nie interesuje go rozmowa na temat faktu, że jego matka daje naszej córce łatwy dostęp do leków na bazie opium. W torebce musiało być ze czterdzieści tabletek. Zachodzę w głowę, jak to możliwe, że Linda nie zauważyła braku czterdziestu tabletek percocetu.

– Nie mogę uwierzyć, że ją wydalili. – Wyrzuca rękę w górę. – Jak, do diabła, zdoła teraz ukończyć szkołę? Bez dyplomu ukończenia liceum nie przyjmą jej nawet do dwuletniego college'u. Przypuszczam, że moglibyśmy ją wysłać gdzieś poza dom na semestr lub dwa.

Zerka mi przelotnie w oczy, po czym spuszcza wzrok na swoje buty.

Marszczę brwi.

– Wysłać gdzieś poza dom?

– Mama uważa, że powinniśmy wziąć pod uwagę szkołę z internatem. Oczywiście St. Andrews jej nie weźmie, ale może warto pomyśleć o jakiejś placówce zagranicznej... może we Francji. – Jak na to, by były to jego własne słowa, mówi stanowczo zbyt szybko. Ben i jego bracia uczyli się w St. Andrews od szóstej do dwunastej klasy. Lindzie nie chciało się wychowywać dzieci, które wkroczyły w trudny wiek. – Haley chciała polecieć do Francji w zeszłym roku po Wielkanocy. Mnóstwo dzieciaków tak robi. Mogłaby skończyć szkołę średnią, a potem może pochodzić na jakieś zajęcia w college'u. Może to byłoby dla niej najlepsze rozwiązanie? Tak zwana wymagająca miłość.

– Wysłać ją gdzieś poza dom? – powtarzam, bo nie mogę uwierzyć, że w ogóle sugeruje coś takiego. Właśnie straciłam jedną córkę, a mój mąż chce

wysłać drugą „gdzieś poza dom”? Pomysł jest tak absurdalny, że nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy raczej rąbnąć go czymś w łeb. Gdybym była skora do rękoczynów, na pewno by oberwał. Zastanawiam się, czy nabieram skłonności do przemocy. Wcześniej miałam ochotę rzucić piłeczką Haley w głowę. – Nie mamy pieniędzy na coś takiego. Wiesz, ile kosztuje szkoła z internatem we Francji?

Waha się. Widzę, że waży słowa.

– Ty masz pieniądze – mówi w końcu. – Te, które odziedziczyłaś po mamie.

Biorę głęboki oddech. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Pieniądze, o których mówi, od lat leżą na rachunku inwestycyjnym. Brudne pieniądze. Odziedziczyłam je po matce, która zmarła na marskość wątroby, ona z kolei dostała je po moim zmarłym ojcu. Pieniądze, które wygrał jako odszkodowanie w sprawie sądowej, której moim zdaniem nie powinien w ogóle wygrać. Gdybym kiedykolwiek miała je wydać, wydałabym je na własne dzieci, ale na pewno nie w ten sposób.

– Nie odeślemy Haley z domu – mówię półgłosem.

– Tak czy siak, musimy coś zrobić. Nie radzimy sobie z nią. Ten zwariowany czarny makijaż, kłamstwa, ciągle spóźnienia. A teraz do tej listy możemy dopisać narkotyki. Mam już dość problemów w robocie, Jules. Nie potrzebuję kolejnych. Już parę dni temu mówiłem ci, że Haley sprawiała wrażenie, jakby była naćpana. – Wstaje i podchodzi do kosza na brudną bieliznę, który stoi przy drzwiach do łazienki. Zaczyna wyciągać ciuchy do prania i rzucać je na podłogę – ciemne na jedną kupkę, jasne na drugą, tak jak go nauczyłam zaraz po ślubie. Wcześniej zawsze opierała go matka, nawet gdy studiował. Dopiero ja pokazałam mu, jak obsługiwać pralkę. Gdybym tylko na to pozwoliła, teściowa nadal prałaby mu gacie. – Może wyrwanie się stąd, z tego domu, z tego stanu, byłoby dla niej dobre – podejmuje. – Nowi znajomi. Nowe życie.

– Co z oczu, to z serca? – pytam.

Nie broni się przed oskarżeniem. Oboje wiemy, że to jeden z jego ulubionych mechanizmów obronnych. Wywalanie problemów za drzwi lub przynajmniej zamiatanie ich pod dywan. Zawsze tak było. Cała jego rodzina radzi sobie z kłopotami w ten sposób.

Milczymy przez chwilę. Czuję się taka samotna. Kompletnie odizolowana. Smutna i zagubiona. Zdaję sobie sprawę, że przynajmniej częściowo to moja wina. Pozwoliłam, żeby nasze małżeństwo się posypało, ale ta świadomość w żadnej mierze nie uśmierza bólu. Myślę o tym, że gdyby Caitlin z nami była, na pewno miałyby swoje zdanie na temat tego, co powinniśmy zrobić z Haley. Zawsze dogadywała się z nią lepiej niż my. Gdyby tu była. Gdyby Haley nie...

Czuję, że znów stoję nad krawędzią przepaści, która od czterdziestu siedmiu dni jest mi coraz bardziej znajoma. Wiem, że nie powinnam się złościć na Haley. To był wypadek. Tylko wypadek. Jeden straszny błąd. Haley tamtego wieczoru nie piła alkoholu, nie brała percocetu, nawet nie wypaliła skręta. Badania krwi

wykazały brak jakichkolwiek zakazanych substancji. Popełniła tylko błąd, nie zauważyła znaku „stop”. Nie spostrzegła półciężarówki, która nadjeżdżała z prawej strony.

Ben bierze naręcze ciemnych ubrań i rusza do drzwi.  
Zdaje się, że to koniec naszej rozmowy.

## ROZDZIAŁ 4

### IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Zamykam oczy. Otwieram. Zamykam. Znowu otwieram. Szybko. Pod łóżkiem jest tak ciemno, że właściwie nie widzę różnicy.

Dzisiaj wieczorem sprężyny materaca są jakby bliżej mojego nosa. Zastanawiam się, czy zaczął się kolejny etap szybkiego wzrostu. Na razie żadnych cycków. Przesuwam ręką po piersi, żeby upewnić się, czy aby przypadkiem nie urosły, odkąd rano sprawdzałam. Ale niczego nie wyczuwam. Płaska jak deska, tak mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Mówi, że nigdy nie urosną mi cycki. Mówi, że będę wybrykiem natury i sprzeda mnie do cyrku.

Amandzie Durum z mojej klasy już rosną cycki, mimo że jest w tym samym wieku co reszta dziewczyn w piątej klasie. Mama kupiła jej w Targecie kilka prawdziwych biustonoszy, takich zapinanych na haftki, a nie elastycznych, sportowych, które nosimy ja i reszta dziewczyn.

Moja mama ma cycki średniej wielkości, ale Caitlin miała niezłe melony. Jak babcia. Jak urosną mi takie duże cycki jak Caitlin, a naprawdę myślę, że urosną, bo Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, kłamie, to ciekawe, czy nadal będę mogła się zmieścić pod łóżkiem. Czy gdyby Caitlin tu była, zmieściłaby się pod łóżkiem? Ciekawe pytanie. Dobrze do *kontemplacji* (to jedno ze słów, jakich mam się w tym tygodniu nauczyć do szkoły).

Robię się śpiąca. Powinam wyjść spod łóżka i po prostu się do niego położyć. Mama będzie się martwić, jak mnie tu znajdzie. Zapyta, czy wszystko u mnie w porządku, mimo że zna odpowiedź. Oczywiście, że nie jest w porządku. Caitlin kopnęła w kalendarz.

Zamykam oczy i myślę o białej trumnie, w której ją położyliśmy. Czy w trumnie człowiek czuje się tak jak ja pod łóżkiem? Wieko musi być blisko nosa. Czy Caitlin potrzebowała wyższej trumny, żeby zmieściły jej się cycki? Czy trumna była przez to droższa?

Słyszę kogoś w przedpokoju i zastanawiam się, czy to mama idzie sprawdzić, co u mnie. Czasami do mnie zagląda. Kiedyś – przedtem – przychodziła na okrągło, teraz już nie tak często. Głównie leży w swoim łóżku, w ciemności, i płacze. Dużo płacze. Jeśli to tata, a nie mama, która zwykle wchodzi do mojego pokoju, to uda, że wcale nie siedzę pod łóżkiem. Stanie w drzwiach i powie „słodkich snów” albo coś równie głupiego. Kto mówi coś takiego na dobranoc



jedenastoletniej córce? (No, już niedługo będę miała jedenaście lat. Za parę miesięcy. Sześć). Serio, nie ma żadnych książek, które doradziłyby rodzicom, co powinni mówić dziecku po śmierci jego ulubionej siostry, najlepszej siostry na świecie? A przynajmniej czego nie powinni mówić? „Słodkich snów” to chyba jedna z największych głupot, jakie tata może z siebie wykrzesać. Nie mam słodkich snów. Śni mi się duża czarna ciężarówka uderzająca w naszą kię soul. Śni mi się Caitlin leżąca na drodze w kałuży krwi. Czasami śni mi się, że to ja tam leżę.

Słyszę, jak Pan Kot miauczy, więc wysuwam rękę spod łóżka i macham palcami.

– Kici, kici, kici – wołam.

Muszę kiciać dość głośno, bo pani weterynarz twierdzi, że Pan Kot głuchnie.

Słyszę, jak mruczy. Potem czuję pacnięcie jego łapki. Drocę się z nim, kiwając palcem. Teraz w przedpokoju już nikogo nie słyhać. Może to była tylko moja wyobraźnia. Mam dosyć bujną wyobraźnię. Raz zdawało mi się, że słyszę na dachu renifery Świętego Mikołaja. Serio, naprawdę myślałam, że słyszę, jak stukają kopytami o dach. To było, kiedy wierzyłam, że Święty Mikołaj istnieje, że życie jest dobre, a to, co złe, zdarza się tylko złym ludziom... i takie tam głupoty. Tuż po tym, jak Caitlin wykorkowała, zbudziłam się w nocy, bo myślałam, że czuję jej zapach. Zawsze tak ładnie pachniała, nawet jak nie używała tych dezodorantów z Victoria's Secret. To był wyjątkowy zapach. Jej własny.

Głaszczę Pana Kota po łebku, a on miauczy. Ukrywał się dzisiaj. Tak jak ja. Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, wkopała się w jakieś poważne kłopoty. Kiedy wróciłam ze szkoły, ona była już w domu. W swoim pokoju.

Chciałam zapytać tatę, co się stało, ale tego nie zrobiłam. Nikt mi już nic nie mówi. Potem Ann, moja koleżanka, napisała do mnie esemesa z pytaniem, co takiego przeszkobiła, że wylali ją z budy. Jej siostra też chodzi do Smythe'a. Zamiast napisać w esemesie jej imię, czego nie wolno jej robić na moich oczach, postawiła rząd gwiazdek, znaków funta i innych symboli, tak że wyglądało to jak przekleństwo. Gdybym kiedyś miała napisać jej imię, czego nigdy nie zamierzam zrobić, muszę to sobie zapamiętać. Odpisałam Ann, że nie wiem, czym podpadła. Teraz już rozumiem, dlaczego wróciła do domu wcześniej, i będę wiedziała, o co biega, jak nie pójdzie jutro do szkoły. Nie wiem, dlaczego ją wywalili, ale na pewno za parę dni się dowiem. Siostra powie o tym Ann, a Ann mi powtórzy.

Pan Kot wskakuje na łóżko. Materac ugina się trochę i czuję na sobie jego ciężar. Znowu miauczy. Chce, żebyśmy wyszła i położyła się z nim.

– Dobra, już dobra – mówię i wylażę spod łóżka. – Muszę jeszcze tylko zrobić siku. – Głaszczę go po łebku i obiecuję: – Zaraz wracam.

Miauczy, jakby rozumiał. To ciekawe, bo skąd może wiedzieć, co mówię, skoro mnie nie słyszy? Zastanawiam się, czy pani weterynarz nie kłamała. Ludzie ciągle mnie okłamują. Głównie dorośli. Nie rozumiem tylko, czemu miałyby mnie

okłamywać, akurat jeśli chodzi o słuch kota?

Wymykam się na ciemny korytarz. Widzę tańczące na ścianie cienie, z dużego pokoju dobiegają stłumione dźwięki strzelaniny. Tata śpi. Telewizor gra. Pewnie oglądał coś o drugiej wojnie światowej. Lubi hitlerowców. To znaczy nie lubi ich. Bo kto lubi hitlerowców? Lubi tylko oglądać programy o nazistach i Hitlerze. Parę dni temu oglądaliśmy dokument o niemieckich obozach koncentracyjnych i zobaczyłam zdjęcia pieców, do których wkładali ludzi. Chyba chciałabym kiedyś zobaczyć je na żywo.

Po ciemku idę do łazienki. Drzwi są otwarte. Wchodzę, ale nie włączam światła. Nie boję się ciemności. Myślę, że ludzie boją się ciemności, bo sądzą, że w ciemności może im się stać coś złego. Ja się tym nie przejmuję. Coś złego może się zdarzyć także przy zapalonym świetle.

Robię siku. Nie myję rąk. Robię to, tylko kiedy jestem ze znajomymi, bo wszyscy myją ręce po tym, jak się załat-wią, kiedy inni patrzą. Nie wiem właściwie, skąd takie wielkie halo z tym myciem rąk. Przecież nie sikam sobie na ręce.

Zamiast wrócić do swojego pokoju, skręcam w lewo i idę do kuchni po coś do picia. W drodze powrotnej wyłączę telewizor. Ale nie obudzę taty i nie powiem mu, żeby się położył do łóżka jak kiedyś, zanim Caitlin wykorkowała. Tata chyba już nie sypia z mamą. Chyba też nie obchodzi go, gdzie śpi.

Dopiero gdy biorę pojemnik soku z lodówki, orientuję się, że ktoś jest w kuchni. Siedzi przy stole pod oknem. Odwracam się, odkręcając kapsel. Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, siedzi po ciemku i je chrupki śniadaniowe na sucho, prosto z pudełka. Apple Jacks. Nic nie mówię. Czuję, że mnie obserwuje.

Przestałam z nią gadać. Zabiła Caitlin, a ja kochałam Caitlin. Od tego czasu próbuje być dla mnie miła, bo to ona nie zatrzymała się przed znakiem „stop” i to przez nią Caitlin skończyła na drodze w kałuży krwi. Ale ja nie chcę, żeby była dla mnie miła. Nie chcę, żeby się do mnie odzywała. Nie chcę, żeby na mnie patrzyła. Chciałabym, żeby to ona odwaliła kitę zamiast Caitlin. Wiem, że nie powinnam w ten sposób myśleć, ale nic nie poradzę. A gdyby Caitlin i tak musiała wykorkować, bo tak by się ułożyły rzeczy w kosmosie, to chciałabym, żeby Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, też wachała kwiatki od spodu.

– Hej, kruszynko. – Udaję, że jej nie widzę. Nie słyszę. Przechylam butlę z sokiem i piję, chociaż już wiem, że mi nie posmakuje. Lubię sok bez farfocli. Ale od śmierci Caitlin to tata robi zakupy, więc mam farta, że w ogóle pamiętał o soku.  
– Nie możesz w nieskończoność mnie ignorować – mówi, chrupiąc płatki.

W kuchni pachnie pizzą, apple jackami i papierosowym dymem. Ona czasem pali, co moim zdaniem jest obrzydliwe. W zeszłym roku, w czwartej klasie, napisałam pracę o niebezpieczeństwach palenia, o wszystkich paskudnych rakach, jakich można od tego dostać, jak rak wargi albo gardła, przy którym trzeba mówić

przez specjalny aparat. Praca miała kolorowe zdjęcia i inne takie. Dostałam piątkę. Potem dałam referat Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, do przeczytania. Wtedy jeszcze mówiłam do niej po imieniu i rozmawiałyśmy ze sobą – przynajmniej próbowałyśmy. Nie wiem, czy przeczytała. Pewnie nie.

Biorę oddech, a potem drugi łyk soku. Ona nadal chrupie płatki z pudełka.

Zakręcam butelkę i odstawiam ją do prawie pustej lodówki. Robię to powoli, chociaż najchętniej pobiegłabym z powrotem do pokoju i wlaża pod łóżko z Panem Kotem.

Zamykam lodówkę i znów robi się ciemno. Już jej nie widzę. Tak jakby zniknęła – zgodnie z moim życzeniem. Chcę, żeby po prostu zniknęła.

## ROZDZIAŁ 5

JULIA

48 dni

Leżę na łóżku i gapię się w wirujący pod sufitem wiatrak. Moja jedyna rozrywka. Z łazienki wlewa się słabe światło. Na dworze zrobiło się już ciemno. Ben wysłał mi esemesa, że idzie z braćmi na piwko, więc jesteśmy same – tylko dziewczyny i ja. Wcześniej poprosiłam Izzy, żeby zamówiła pizzę. Kupiła mi dwa paluszki chlebowe z sosem marinara. Zjadłam je tylko dlatego, że bardzo jej na tym zależało.

Słyszę, jak w dużym pokoju gra telewizor. Izzy. Uwielbia Discovery Channel i History Channel. Rodzice nie powinni układać rankingów swoich dzieci i staram się tego nie robić, ale Izzy jest chyba najbystrzejszą z moich trzech córek. Caitlin i Haley są inteligentne, ale Izzy ma umysł ostry jak brzytwa.

Caitlin *była* inteligentna... Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do mówienia o niej... do myślenia o niej w czasie przeszłym. Nie mogę objąć tego umysłem – to dla mnie za dużo.

Zastanawiam się, co robi Haley. Nie widziałam jej, odkąd wczoraj odebrałam ją ze szkoły. Wiem, że jest w domu. Słyszałam dziś odgłos spuszczonej wody w łazience dziewczyn, gdy Izzy była w szkole. Widziałam puszkę po coli w koszu na śmieci. Przełożyłam ją do pojemnika na odpady do recyklingu. Izzy nie pije coli. Odkąd w telewizji obejrzała jakiś program o syropie kukurydzianym, odmawia spożywania wszystkich produktów, które go zawierają. Ona i Caitlin robiły to razem. Zakupy z nimi trwały całą wieczność, bo upierały się, żeby przeczytać każdą etykietę.

Słyszę dźwięki wybuchu. Dochodzą z telewizora w drugim pokoju. Ciekawe, co Izzy ogląda. Powinnam to sprawdzić. Sprawdzić, jak się czuje. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio rozmawiałyśmy o czymś innym niż obiad lub pieniądze na lunch w szkole. Nie prosiła mnie już nawet o to, żebym cokolwiek jej podpisywała do szkoły. Przypuszczam, że teraz to Ben się tym zajmuje.

Obracam się na bok. Wstanie z łóżka wymaga mnóstwa energii. Ale wiem, że powinnam. Wiem, że muszę. Ben ma rację. Laney ma rację. Nawet moja teściowa ma rację. Ale moje serce krwawi tak bardzo, że...

Nie kończę tej myśli. Wiem, że gdybym ją dokończyła... Wiem, że jeśli ta myśl się rozwinie, będę dalej leżała w łóżku i płakała.

Wzdycham ciężko i dźwigam się do pozycji siedzącej. Siedzę na brzegu

łóżka tak długo, aż przestaje mi się kręcić w głowie. Pewnie powinnam zjeść coś więcej niż dwa paluszki chlebowe. Napić się czegoś. Może herbaty z miętą. Caitlin też lubiła herbatę. Czasami w sobotę rano, zanim inni wstali, siadałyśmy sobie przy kuchennym stole, nadal w piżamach, piłyśmy miętową herbatę i jadłyśmy tosty z żynnego pieczywa.

Zamykam oczy i czuję, jak łzy spływają mi po policzkach. Już nigdy więcej nie napiję się herbaty z Caitlin. Nigdy nie będziemy walczyły o piętke chleba żynnego z niemieckiej piekarni. Już nigdy więcej.

Z dużego pokoju dobiegają odgłosy kolejnych eksplozji, a potem głos Izzy. Zastanawiam się, z kim rozmawia. Nie słyszałam, żeby Ben wrócił. Może postanowiła jednak porozmawiać z Haley. O ile wiem, nie odezwała się do niej od... cóż, od czterdziestu ośmiu dni.

Zmuszam się do wstania. Wycieram twarz rękawem koszulki. Wsuwam stopy w japonki i wychodzę do przedpokoju. W domu jest prawie całkiem ciemno, widzę tylko światło sączące się spod drzwi pokoju Haley na końcu korytarza. Drzwi pokoju Caitlin są zamknięte, światło zgaszone. Na zawsze zgaszone. Odwracam się i idę za dźwiękami telewizora.

Izzy siedzi na kanapie, obok niej leży otwarta książka. Nie ma tu nikogo innego.

– Z kim rozmawiałaś? – pytam, siadając obok córki.

Wpatruje się przed siebie i przygryza dolną wargę. Robi taką minę, kiedy ma wyrzuty sumienia.

– Z nikim.

– O. Wydawało mi się, że słyszałam twój głos. – Pochylam się w jej stronę.

– Isobel... – szepczę. Całuję ją w głowę i stwierdzam, że przydałby jej się prysznic.

– Mamo.

Kładzie policzek na moim barku.

Biorę drżący głęboki oddech i obejmuję ją. Zdawałoby się, że w takiej chwili bliskość i dotyk dziecka w objęciach przyniosą pociechę. Skoro nigdy nie weźmie się w objęcie innego z dzieci. Ale jest wręcz przeciwnie. Ciepło Izzy, dotyk jej ciała sprawiają, że jeszcze bardziej tęsknię za Cait-lin. Tulę ją mimo wszystko.

– Co oglądasz? – pytam, patrząc w telewizor.

– Program o dziełach sztuki straconych podczas drugiej wojny światowej. – Spogląda na mnie. – Wiedziałaś, że Hitler zagrabił całe mnóstwo dzieł sztuki Żydom? Wielkiej sztuki, van goghi, degasy i klimty.

– Klimty? – pytam. Nie miałam pojęcia, że Izzy wie, kim byli Degas czy van Gogh.

Patrzemy w ekran. Mężczyźni w jeepie z czasów drugiej wojny światowej jadą przez górską przełęcz.

– Klimt był austriackim malarzem. Malował portrety i tak dalej – wyjaśnia. –

Taki jeden facet, Bloch-Bauer, zamówił u Klimta portret swojej żony. W farbie na obrazie było złoto. Prawdziwe złoto. I potem, w czasie wojny, Niemcy zabrali ten obraz. Jeszcze później trafił do jakiegoś muzeum. W każdym razie rodzina tego gościa odzyskała go dopiero w dwa tysiące szóstym roku. Dasz wiarę?

Spoglądam na nią i prawie się uśmiecham. Prawie.

– Skąd to wszystko wiesz, moja mała mądralo?

Pokazuje palcem telewizor.

– Z History Channel. I wydaje mi się, że był o tym jakiś film.

Puszczają reklamę środka na nadkwasotę. Oglądamy w milczeniu. Następnie reklamują żarcie dla kotów.

Czuję się, jakbym powinna coś powiedzieć, zagać rozmowę, ale jakoś nie wiem, jak zacząć. Może za dużo czasu spędzam ostatnio sama, z wiatrakiem obracającym się nad głową.

– Jak tam Pan Kot? – pytam, gdy nagle zapiera mi dech, bo rudy kot na ekranie wygląda kropka w kropkę jak Pan Kot.

– Całkiem nieźle. Rzadko wymiotuje. – Izzy wciąż się do mnie tuli.

– To dobrze. – Milczymy przez dłuższą chwilę. Dwie kolejne reklamy: dezodorantu i fast food. – Widziałaś swoją siostrę? – pytam.

– Masz na myśli jej ducha?

Kiedy orientuję się, że żartuje na temat swojej martwej siostry, jestem tak zaskoczona, że odpowiadam dopiero po chwili. To by była dobra okazja, żeby porozmawiać z Izzy o śmierci Caitlin. Tak naprawdę jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, jeśli nie liczyć podstawowych faktów. Ale w tej chwili nie jestem w stanie. Po prostu nie mogę. Jeszcze nie.

– Czy widziałaś Haley? – precyzuję.

Izzy spogląda na mnie, a potem znów w telewizor. Czuję, jak barki jej opadają.

– Pewnie jest w swoim pokoju.

Patrzę na swoją słodką córeczkę. Wiem, że gniewa się na Haley. I wiem dlaczego. Wini Haley za śmierć Caitlin. To oczywiste. Jest w takim wieku, że nie potrafi przyjąć do wiadomości wypadku jako wypadku. Musi obarczyć kogoś odpowiedzialnością. Powinnam z nią o tym porozmawiać. Wkrótce.

Oglądamy część odcinka o odnajdywaniu skradzionych dzieł sztuki zaraz po wojnie. Izzy wplata swoje uwagi w narrację lektora, dostarczając mi dodatkowych wiadomości. Tak naprawdę nie słucham ani jego, ani jej. Myślałam, że to Izzy potrzebuje prysznic, ale teraz podejrzewam, że to chyba ja. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się kąpałam. We wtorek? W poniedziałek?

Znowu przerwa na reklamy. Izzy opowiada mi o kopalni soli w Austrii, gdzie odnaleziono obrazy. Słyszę, jak otwierają się drzwi, i zerkam w stronę przedpokoju. Zastanawiam się, czy to Haley, czy Caitlin. Dopiero po chwili wiem.

Przypomina mi się.

Dziwię się, że na całą sekundę zapomniałam, że mój promyczek, moja radość odeszła.

Przy kanapie staje mroczny cień. Oglądamy zajawkę programu, w której obiecują odkryć prawdę o życiu Jezusa.

– *Jeeezu...* – rzuca pod nosem Haley.

Podnoszę na nią wzrok. Izzy bierze książkę i zaczyna czytać. Albo udaje, że czyta. Zauważam, że Haley ma na sobie swój zwykły uniform: czarne dżinsy i czarną bawełnianą koszulkę z długim rękawem pod czarną skórzaną kurtką. Mimowolnie marszczę czoło.

– Dokąd się wybierasz?

– Na miasto.

Wokół oczu ma tyle eyelinera, że wygląda jak jakaś egzotyczna postać z anime, pół dziewczyna, pół szop pracz.

– Nic z tego, moja panno – mówię spokojnym głosem. Nie krzyczę. Gdyby Ben był na moim miejscu, darłby się na całe gardło. Na pewno zdarzało mi się podnosić głos na córki. Głównie z frustracji, nie z gniewu. Od śmierci Caitlin ani razu nie nakrzyczałam na Haley. Jaką byłabym matką, gdybym to zrobiła po tym, co przeszła? – Nie możesz wyjść, bo masz szlaban – punktuje spokojnie.

– Nie mówiłaś mi o żadnym szlabanie. – Jej głos jest pełen jadu.

Zerkam na Izzy. Wciąż czyta, mimo że w telewizji skończyły się reklamy. Pocieram czoło.

– To oczywiste, że masz szlaban. Zostałaś wydalona ze szkoły za posiadanie narkotyków.

– Nie narkotyków, tylko zioła i paru tabletek percocetu – prycha.

Znowu zerkam na Izzy. Nie powiedziałam jej, dlaczego Haley wydalono. Nie zapytała. Nie chcę, żeby pomyślała sobie, że jej siostra jest ćpunką. Izzy nie rozumie, jak Haley jest teraz ciężko. Nie widzi jej cierpienia, bo sama za bardzo cierpi.

Postanawiam, że w tej chwili nie będę się wdawać z córką w dyskusję o tym, czym jest narkotyk. Wciąż trzymam percocet Lindy w szufladzie z bielizną. Marihuanę też. Sama nie jestem pewna po co.

– Nigdzie nie pójdziesz – oznajmiam wciąż spokojnym tonem, mimo że jakaś częśćka mnie ma ochotę złapać ją i solidnie potrząsnąć. Albo chociaż zmyć ten czarny makijaż w staromodny sposób – ręcznikiem i kremem. Kiedyś Haley była taką ładną dziewczyną. Zanim w zeszłym roku zaczęła nosić te czarne ciuchy, czarny makijaż i czarny lakier na paznokciach. Zanim zainwestowała w pół tuzina czarnych kredek do oczu.

– Chciałam pożyczyć twój samochód. Tylko na chwilę. – Wlepia wzrok w swoje masywne czarne buciorzy. Martensy. Sama jej kupiłam ostatniej jesieni.

Izzy bierze pilota i wyłącza telewizor. Wszystkie toniemy w półmroku.

– Idę spać – mówi i całuje mnie w policzek. Wychodzi z pokoju, nawet nie spojrzawszy na siostrę.

Haley stoi, jak stała. Dość długo, żebym poczuła, że powinnam powtórzyć.

– Donikąd nie jedziesz, Haley. Masz szlaban aż do... – Waham się. Tak naprawdę do tej pory nie zastanawiałam się nad tym, co z nią zrobimy. Jestem za bardzo zajęta myśleniem o mojej drugiej córce. Tej martwej. Nie wiem, jak sobie poradzić z wydalaniem Haley ze szkoły. – Ojciec i ja... musimy porozmawiać.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do pokoju, naprawdę na mnie patrzy. Ma taką minę, zagniewaną i bezczelną, że zaczynam się zastanawiać, co zrobię, jeśli po prostu weźmie kluczyki wiszące na haczyku przy tylnym wejściu i odjedzie moim samochodem. Zadzwonię na policję? Do Bena? Czy może wrócę do swojego pokoju z nadzieją, że przyjedzie z powrotem, zanim jej ojciec dowie się, że zabrała mi auto?

– Chcę się tylko wyrwać na parę godzin. – Pociąga za pukiel czarnych włosów. – Tęsknię za znajomymi – mówi bez cienia emocji.

Mam na końcu języka pytanie, czy nie tęskni za Caitlin. Nachodzi mnie nagła ochota, żeby wstać z kanapy, wziąć ją w objęcia i mocno przytulić. Powiedzieć jej, że może się wypłakać, że to w porządku. Nie pamiętam, żeby płakała od czasu szpitala – tamtej nocy, gdy doszło do wypadku. Jest jak jej ojciec. Wszystko w sobie dusi. Ben przyjął śmierć Caitlin podobnie, prawie bez łez. Nie mówi, jak się czuje, właściwie w żadnej sprawie – wiedziałam to o nim już wcześniej. On po prostu stara się żyć dalej.

Wstaję z kanapy.

– Nie wypuszczę cię teraz z domu – mówię cicho, ale z lekką irytacją.

Stoimy tak przez dłuższą chwilę, patrząc jedna na drugą. Po raz pierwszy od tygodni mogę się jej dobrze przyjrzeć. Wygląda strasznie: chuda, wypryski na twarzy, oczy jakby zapadnięte.

Haley stoi tak jeszcze przez chwilę, po czym odchodzi w kierunku swojego pokoju.

Idę do kuchni i gaszę światło.

Kładę się do łóżka w ubraniu i tulę twarz do poduszki. Wreszcie mogę się porządnie wypłakać.

\*

Budzi mnie dźwięk komórki wibrującej na blacie szafki nocnej. Odwracam się sennie i sięgam po aparat. Czy Ben wrócił do domu? Czy to właśnie on dzwoni? Mrużę oczy, patrząc na wyświetlacz. Zbliżam się do momentu, gdy będę potrzebowała okularów do czytania. To nie Ben. To Haley. Ale czemu Haley miałaby dzwonić do mnie ze swojego pokoju?



Opadam głową na poduszkę, przykładając telefon do ucha.

– Mamo... – Mówi tak cicho, że przez chwilę mam wrażenie, że to Caitlin.

– Haley? – Żałuję, że nie mogę zatrzymać świata w tej chwili, w tym wrażeniu, że rozmawiam z Caitlin.

– Mamo, musisz po mnie przyjechać – szepcze pośpiesznie. W tle słyszę dudnienie, jakby ktoś walił w drzwi.

– Ha...

– Proszę, o nic nie pytaj – przerywa mi. – Po prostu mnie stąd zabierz.

Siadam i spuszczam nogi na podłogę. Odgarniam włosy z twarzy.

– Nic ci nie jest?

Jakiś mężczyzna krzyczy coś w tle niezrozumiale.

– Mamo, proszę – błaga mnie. A potem krzyczy, najwyraźniej nie do mnie: – Zaraz wyjdę! Raaany! – I znów ciszej, jak mała dziewczynka: – Proszę, przyjeźdź po mnie.

Wstaję, szukając bosymi stopami japonek. Wciąż mam na sobie spodnie od dresu i koszulkę z wczoraj. Wsuwam stopę w pierwszy kłapek. Chcę zapytać Haley, dlaczego nie jest w swoim pokoju, jak powinna, ale jestem już na tyle przytomna, żeby wiedzieć, że to nie pora na takie pytania. Włoski na karku stają mi dęba. Moje dziecko jest w niebezpieczeństwie. Nagle czuję się w pełni obudzona.

– Powiedz, gdzie jesteś.

– Prześlę ci adres esemesem.

Wsuwam stopę w drugą japonkę.

– Jesteś u kogoś w domu? – Ruszam do drzwi. Znowu słyszę ten męski głos i łomotanie. Szybkim krokiem przechodzę przez duży pokój. Ben śpi na kanapie, przykryty wełnianą narzutą zrobioną na drutach. Ma otwarte usta. Chrapie. – Haley, co się dzieje? – szepczę do telefonu. Nie chcę go obudzić. Kiedy policja zadzwoniła w sprawie Caitlin, też spał. Nie mogę mu tego znowu zrobić. Haley nic nie jest, potrzebuje tylko podwózki.

– Mamo, zaraz padnie mi bateria w telefonie. Po prostu przyjeźdź... – Głos jej się załamuje. – Poradzę sobie aż do twojego przybycia.

– Haley? Haley? – szepczę do aparatu, ale odpowiada mi już tylko martwa cisza.

Rozłączyła się. Albo połączenie zostało zerwane. Zastanawiam się, czy nie oddzwonić, ale ze względu na tę słabą baterię wolę nie ryzykować. A co, jeśli nie uda mi się jej znaleźć? Jeśli będę musiała oddzwonić? Biegnę przez kuchnię do pralni, zrywam kluczyki z haczyka i wychodzę za drzwi.

Z jakiegoś powodu Ben zaparkował bezpośrednio za mną. Może dlatego, że ostatnio nigdzie nie jeździł? Wracam w pośpiechu, łapię jego kluczyki, a swoje rzucam na suszarkę do ubrań.

Moja komórka brzęczy, gdy wsiadam do półciężarówki męża. Esemes. Jedną

ręką uruchamiam silnik, a drugą podnoszę telefon. Serce wali mi jak młotem.

Haley przysłała adres. W niebezpiecznej części miasta.

W aucie Bena czuć woń jedzenia z fast foodu. Trochę mniej od tego mdli.

Na wstecznym wyjeżdżam na podjazd, a potem na ulicę i szybko ruszam przed siebie. Opony znajdują przyczepność, samochód wyrwa do przodu. Nie przywykłam do prowadzenia wozu z tak mocnym silnikiem. Śmiecie pod fotelem pasażera przesypują się i słyszę, jak jakieś cięższe przedmioty uderzają o siebie. Nic dziwnego, że Ben robi się gruby. Ja po śmierci Caitlin straciłam apetyt, a on chyba go nabrał.

Zatrzymuję się na końcu naszej ulicy tylko na chwilę. Jazda pod wskazany przez Haley adres zajmuje mi trzynaście minut na pełnym gazie. Tylko raz źle skręcam i muszę okrążyć cały kwartał. To okolica, przed którą zawsze przestrzegałam swoje nastoletnie córki. Parkuję przy chodniku. Nie jestem przyzwyczajona do prowadzenia takiego grzmota, więc parkowanie nie wychodzi mi najlepiej. W końcu piszę do Haley esemesa: „Jestem na zewnątrz”.

Czekając na odpowiedź, przyglądam się zaniedbanemu murowanemu bungalowowi. W środku palą się światła i dudni muzyka. Posesja jest ogrodzona drucianą siatką. Wygląda, jakby ktoś wjechał w nią samochodem. Albo buldożerem. Zza domu dobiega szczekanie psa. Dużego psa.

Spoglądam na zegarek na tablicy rozdzielczej. Jest druga pięćdziesiąt siedem.

Czekam jeszcze trzy minuty i piszę drugiego esemesa: „Gdzie jesteś? Czekam na zewnątrz”.

Mijają kolejne trzy minuty.

„Haley?”, piszę.

Wciąż nic. Obok mnie, z przeciwnej strony, przejeżdża policyjny radiowóz. Zastanawiam się, czy go nie zatrzymać. Powiedzieć policjantom, że moja nieletnia córka chyba jest w tarapatkach. Potem myślę o narkotykach znalezionych w jej szafce. O tym, co prawdopodobnie dzieje się w tym domu. Nie mogę pozwolić, żeby Haley została aresztowana. Teraz musimy pogłównkować nad tym, jak sprawić, żeby w ogóle skończyła szkołę średnią. Wiem, że nie zależy jej na college’u, ale jest jeszcze małolatą. Myślę, że kiedyś jednak pójdzie na studia. Znajdzie swoją drogę. Ma przed sobą przyszłość, nawet jeśli w tej chwili sama tego nie widzi. A ja, jako matka, mam obowiązek zatroszczyć się o tę przyszłość.

Zerkam na dom i znów na zegar. Czekam tu już dziewięć minut. Dojazd zajął mi trzynaście minut. Haley musi się domyślać, że już dotarłam na miejsce, nawet jeśli padła jej bateria w komórce.

Spostrzegam dwóch facetów. W kapturach na głowach idą chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Dwaj młodzi mężczyźni, na których widok ciarki mi chodzą po plecach. Co mogą tu robić o tej porze? Na pewno nic dobrego. Nie ma

się co oszukiwać: w środku nocy moja córka może tu robić tylko coś, czego robić nie powinna.

Ściskając telefon w jednej dłoni, drugą pociągam za klamkę. Otwieram drzwiczki i dopiero wtedy przypominam sobie o kluczykach. Wyciągam je ze stacyjki i wysiadam. Lampka w kabinie wozu oślepią mnie na chwilę. Szybko zatrzaskuję drzwi i rozglądam się. Dwaj faceci, których wcześniej zauważyłam, idą dalej w swoją stronę, ale jeden zerka na mnie przez ramię.

Boję się. Zastanawiam się, czy nie wsiąść z powrotem do auta i nie zadzwonić do Bena.

Ale Haley jest w tym domu. Nie zadzwoniłaby do mnie, gdyby mnie nie potrzebowała. Naprawdę mnie potrzebowała. Idę powoli do furki, wyrwanej z zawiasów, a potem po starych betonowych płytach chodnikowych do drzwi. Biorę wdech i pukam. Serce wali mi jak oszalałe. Trochę kręci mi się w głowie. Szkoda, że nie zjadłam jeszcze jednego paluszka chlebowego.

Nikt nie otwiera. Muzyka, dudniąca, gniewna muzyka, jest za głośna, żeby ktoś w środku mógł usłyszeć moje pukanie. Próbuję jeszcze raz, tym razem walę w drzwi pięścią. Zerkam na ekran telefonu w nadziei, że Haley mi odpisała.

Wreszcie drzwi się rozchylają. Światło z wnętrza mnie razi. Muzyka atakuje moje uszy. Właściwie więcej w niej wrzasku niż samej muzyki. W progu stoi jakiś mężczyzna. Trudno powiedzieć, ile ma lat. Dwadzieścia pięć, może trzydzieści. Ma długie i brudne włosy. Brudniejsze niż moje czy Izzy. I paskudne tatuaże na ramionach.

– Ja... szukam mojej córki – mówię. – Haley. – Głos mi drży. Pochyla się w moją stronę, jakby nie dosłyszał. Z wnętrza domu uderza mnie gęste od dymu powietrze. Czuję smród zwietrzałego tytoniu i świeżo palonej marihuany. – Haley Maxton – mówię głośniej. Kciukiem wybieram w komórce numer córki.

Przez chwilę gapi się na mnie przez okulary w czarnych grubych oprawkach. Słyszę, jak komórka w mojej dłoni zaczyna dzwonić. Trudno mi powiedzieć, czy jego czarne włosy mają taki naturalny kolor, czy są farbowane jak u mojej córki.

– Kto? – pyta.

– Haley. Metr sześćdziesiąt pięć. Czarne włosy. – Facet już zamyka drzwi, gdy w telefonie odzywa się nagrany głos Haley: „Jak chcesz, zostaw wiadomość albo i nie”. Zmanierowany, znudzony ton. Kończę połączenie. – Ona ma siedemnaście lat – próbuję przekrzyczeć muzykę, akurat gdy zaczyna się nowa piosenka. To rap. Taki, jakiego nienawidzę. Taki, w którym rymuje się o strzelaniu do policjantów i obraża się kobiety. Zabraniałam swoim dziewczynom słuchania podobnych rzeczy. Kiedy przesuwam się w lewo, żeby nie stracić faceta z oczu, za jego plecami widzę dwóch mężczyzn i dziewczynę. Siedzą na kanapie i podają sobie fajeczkę, przypalając ją zapalniczką. To, co palą, to nie marihuana. Kładę rękę na drzwiach i już wiem. Palą crack. Więc tak to wygląda narkotyczna melina,

o jakich piszą w gazetach? – Proszę – mówię. – Przyszłam tylko po swoją córkę.

Patrzę na niego. Nawiązuję kontakt wzrokowy.

– Przecież mówię, że jej nie ma. – Jego głos brzmi bardziej agresywnie. Boję się go. Ale nie zamierzam stąd odejść bez Haley. Muszę odzyskać córkę. Wiem, że tu jest. Czuję jej obecność. – Słyszysz, paniusiu? Spadaj – rzuca z nienawiścią, która nie jest skierowana jedynie do mnie. To nienawiść do całego świata.

I wtedy dzieje się coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Nie mam pojęcia, co mną powoduje. Zwykle nie jestem zbyt odważna, ale teraz odpycham go obiema rękami i wparowuję do środka.

– Haley! – wołam. – Haley! – prawie wrzeszczę. W domu jest pełno ludzi. Strasznych ludzi. Większość jest ubrana na czarno, jak Haley, ale mają więcej kolczyków. I tatuaże. – Haley, gdzie jesteś?

## ROZDZIAŁ 6

### HALEY

48 dni, 4 godziny

Siedzę na zamkniętej desce klozetowej i odbijam piłeczkę, gdy nagle słyszę wołanie mamy. Jej głos tak bardzo tu nie pasuje, że drgam z zaskoczenia: jakbym usłyszała ryk niedźwiedzia na lekcji matmy.

– Mamo? – rzucam, wstając z klopa, co jest akurat głupotą, bo oczywiście nie ma jej w łazience. Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Nie chciałam wpuścić Dodge’a. Facet zachowuje się jak skończony dupek. Uderzył mnie, bo powiedziałam, że nie zamierzam łączyć z nim po odbiór hajsu, który wisi mu jakiś ćpun. Pobiegłam do łazienki i zaryglowałam się w środku. Właśnie wtedy zadzwoniłam do mamy. Podwiozła mnie tu znajoma, ale zmyła się już dawno temu z jakimś kolesiem. Telefon do mamy pewnie był błędem. Teraz zrobi z tego wielkie halo. Ale po prostu nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Spietrałam, kiedy Dodge walił pięściami w drzwi od klopa. Wiedziałam, że gdyby dostał się do środka, byłoby ze mną krucho.

– Haley! – słyszę krzyk mamy.

Nie spodziewałam się, że dotrze tu tak szybko. Zwykle prowadzi jak emerytka.

Chowając piłeczkę do kieszeni, zaczynam chodzić po ciasnej łazience w tę i z powrotem. Ale wtopa. Mama w domu Dodge’a. Ja pierdolę!

Przystaję i otwieram drzwi.

– Mama?

– Haley!

Najpierw widzę ją na końcu przedpokoju, a potem dostrzegam Dodge’a, który siedzi na podłodze przy drzwiach łazienki. Zrywa się na nogi, a ja biegnę do matki.

– Mamo, co ty robisz? – Jestem przerażona. Nie chciałam, żeby tu włąziła. Jeszcze zadzwoni po gliny czy coś takiego. Nie mogę uwierzyć, że weszła do środka.

– Nic ci nie jest? – pyta mnie. Nagle jej wyraz twarzy się zmienia. Mama wyciąga rękę i dotyka mojego policzka. – O mój Boże, Haley, co się stało?

Odsuwam się. Nie chcę, żeby mnie dotykała. Boli mnie cały bok twarzy. Cios Dodge’a trafił w kość policzkową i rana trochę krwawiła. Ale to nic wielkiego. Nie chciał zrobić mi krzywdy.

Tymczasem Dodge chwyta mnie od tyłu za ramię.

– Zadzwońska do mamusi, ty mała piz...

– Chodźmy – mówię do mamy, popychając ją lekko. Tylko tak trochę, żeby zrozumiała, że nie może tu zostać. Próbuję iść za nią, ale Dodge usiłuje mnie powstrzymać.

– Puszczaj ją! – wydziera się moja matka. A przynajmniej myślę, że wrzeszczy, bo w dużym pokoju z głośników na cały regulator leci *Get Bread*. To Trick-Trick. Lubię Trick-Tricka. No, tak jakby lubię. Caitlin nienawidziła rapu. Kręciła ją hipisowska muza, na przykład Ben Harper. Kiedyś planowałyśmy wypad na festiwal Bonnaroo. Miałyśmy spać w namiocie i nosić farbowane domowym sposobem koszulki jak dzieci kwiaty.

Odwracam się i odpycham Dodge'a. To kawał chłopca – jest dużo większy niż ja – ale chyba się nie spodziewał, że będę się bronić. Puszczam mnie, wyraźnie wkurwiony. Maksymalnie wkurwiony.

Odwracam się do mamy i mówię jej do ucha:

– Chodźmy.

Jednocześnie wpycham ją do dużego pokoju. Ma na sobie T-shirt i spodnie od dresu. Włosy w totalnym nieładzie. Wygląda tak kiepsko, że można by ją pomylić z którąś z tych ćpunek, które pukają do drzwi Dodge'a.

Wszyscy w pokoju się na nas gapią. Moi kumple. No, powiedzmy. Tak naprawdę to nie. Teraz i oni wyglądają na wkurwionych. Jesteśmy już prawie za drzwiami, kiedy jeden kolo chwyta mnie za ramię. Palce boleśnie wpijają mi się w ciało.

– Wybierasz się dokądś? – pyta. – Hej, Dodge! Ona się gdzieś wybiera?

Mama jest już właściwie w drzwiach, ale się odwraca.

– Lepiej zabierz od niej łapska – mówi do koleś, jakby mogła mu coś zrobić, gdyby nie posłuchał.

Nie mogę uwierzyć, że to moja mama. Nigdy nie widziałam jej w takiej akcji. Daje czadu.

Wyszarpuję się koleśowi i ruszam do drzwi.

– Mam ją zatrzymać? – koleś znów zwraca się do Dodge'a.

– Nie. Niech spada – mówi Dodge i woła za mną: – Suka!

Pokazuję mu fucka i w krok za mamą wychodzę na zewnątrz. Pitbul Dodge'a wściekle ujada przy swojej budzie.

– Chodź, szybko – mówię półgłosem. Nie zdziwiłabym się, gdyby Dodge poszczuł nas swoim psem. Widziałam, jak napuszczał go na biednych ćpunków, którzy wisieli mu kasiorę, albo na ludzi, których po prostu nie lubi.

– Co ty tu robisz w środku nocy? – pyta mnie mama. Zaczyna się zachowywać jak zwykle. Nic, tylko robi mi wyrzuty. – Powiedziałam ci przecież, że masz szlaban.

– Wsiądźmy do samochodu.

– Haley, czy naprawdę muszę ci mówić, jakie to niebezpieczne miejsce? Jacy to niebezpieczni ludzie? Czy tamten facet przyjechał po ciebie pod nasz dom?

– Rzuca przez ramię spojrzenie i wygląda teraz jak żywcem wyjęta z jednego z tych filmów, za którymi tak przepadała Caitlin. Ma taką minę jak wszystkie matki rozczarowane „życiowymi wyborami” swoich dzieci. – Ile ten człowiek ma lat? Musi być pod trzydziestkę. Proszę, nie mów mi, że to twój chłopak.

Podbiegam do samochodu taty od strony pasażera. Nie mam pojęcia, czemu mama przyjechała półciężarówką. Część ludzi wychodzi za nami na dwór. Słyszę, jak Dodge drze się w domu i rozbija jakieś graty. Mam to gdzieś. Kolo jest u mnie skreślony. Ale gość, który próbował mnie zatrzymać, idzie teraz w naszą stronę. Boję się go.

– Wsiadaj do cholernego samochodu, mamó! – krzyczę.

Mama posyła mi jeszcze jedno spojrzenie, ale otwiera auto pilotem. Wskakuję do środka. Ona wsiada za kierownicę.

Przyciskiem na drzwiach blokuję wszystkie zamki. Nagle zdaję sobie sprawę, że serce wali mi jak szalone. Niefajne doświadczenie. Niefajnie jest tak się bać. Ale najdziwniejsze jest to, że czuję się tylko trochę gorzej niż normalnie. Od śmierci Caitlin ciągle się boję.

– Ruszajmy, prędko. – Zagłębiam się w fotel i naciągam kaptur na głowę. Gdzieś w tej norze zostawiłam swoją skórzaną kurtkę. Wkurwia mnie to, bo zarąbie ją któraś z ćpunek Dodge’a, ale na pewno po nią nie wrócę.

Mama uruchamia silnik, ale strasznie się guzdrze. Majstruje przy swoich pasach bezpieczeństwa. Ciul, który próbował mnie zatrzymać, jest już prawie przy naszym samochodzie.

– Mamo, ruchy! – Wciskam się w fotel.

Koleś wali w tył wozu pięścią. A może jakimś przedmiotem.

W końcu mama przesuwą dźwignię automatu i daje gazu. Odjeżdża tak szybko, że pali gumę.

Znowu mnie zaskakuje.

## ROZDZIAŁ 7

### IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Jesteś tam? – Czekam, a potem szepczę: – Nie mogę zasnąć. Nie wiem, gdzie jest mama.

Obracam się na bok, przytulając pluszowego króliczka. Mam go od dziecka. Jest już trochę zeszmącony, brakuje mu kawałka lewego ucha, a futerko na plecach ma upačkane lakierem do paznokci. Podobno też śmierdzi, chociaż ja tak nie uważam. Po prostu pachnie jak... stary pluszowy królik.

– Nie ma jej prawie od godziny – mówię, patrząc na zegar elektroniczny, który stoi przy łóżku.

Czekam na jej odpowiedź.

Kiedy Caitlin do mnie mówi, mam wrażenie, jakby jej głos dochodził z ciemności, ale nie z żadnego konkretnego miejsca. Słyszę ją tylko, kiedy jest ciemno. Wiem, że nie ma jej w pokoju, a nawet jeśli, to jest niewidzialna. Może po prostu gada w mojej głowie? Właściwie nie obchodzi mnie, jak do mnie mówi. Ważne, że w ogóle to robi.

– Może powinnam coś zrobić? Obudzić tatę? – pytam i myślę sobie, że to strasznie do dupy, że mogę pogadać tylko ze swoją zmarłą siostrą. – Powiedzieć mu, że Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, wyszła przez okno, a potem mamie zadzwoniła komórka i mama szybko wyjechała? – Zawsze jest długa cisza między moimi słowami a odpowiedziami Caitlin, tak jakbyśmy rozmawiały przez krótkofalówki. Wiem o krótkofalówkach z Discovery Channel.

*Kto zadzwonił do mamy?*

Wreszcie się odzywa, a ja się uśmiecham, mimo że zupełnie nie mam z czego się śmiać.

– Nie wiem. Może policja. Zadzwonili do mamy, kiedy kopnęłaś w kalendarz. Może Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, miała kolejny wypadek i też odwalila kitę. – Jak tylko to mówię, orientuję się, że to nie było zbyt miłe. To znaczy... wiem, że Caitlin wie, że jest martwa, ale to nie jest zbyt uprzejme wspominać o tym w rozmowie. – Sorki – dodaję półgłosem. – Nie chciałam ci przypominać, że no... wiesz, skremowaliśmy cię i tak dalej.

Caitlin się śmieje. Tym razem nie ma poślizgu w czasie. Po prostu się śmieje. Uwielbiam ją rozśmieszać, bo wtedy słyszę jej śmiech nie tylko w uszach, ale i w klatce piersiowej. To brzmi jak wariactwo (wiem, że wariactwo to jedna



z możliwości, bo zmarła osoba rozmawia ze mną jak w tym starym filmie z Bruce'em Willisem), ale czuję ją w swoim sercu.

*W porządku, Izi Mizi. Nie przejmuj się.*

Kiedyś nazywała mnie tak na okrągło. Izi Mizi. To gra słów od mojego imienia i „kizi-mizi”. Wiem, że jestem już za duża na takie dziecinne przezwisko (i na pluszowe zabawki), ale mi się podoba. Tęsknię za nim. Brakuje mi tego, że Caitlin mówiła na mnie Izi Mizi, mimo że gdy żyła, wcale mi się to nie podobało. Teraz żałuję, że tego nie lubiłam. Zastanawiam się, czy jej o tym teraz nie powiedzieć, ale tego nie robię. Myślę, że i tak wie.

– A jak mama miała wypadek? – szepczę, znowu wystraszona.

*Wszystko będzie dobrze.*

– Nieprawda – mówię głośno i gniewnie. – Nic nie będzie dobrze. Już nigdy. Mówią tak dorośli, bo wydaje im się, że powinni. Jakby dzieci były na tyle głupie, żeby w to uwierzyć. Nic nie będzie dobrze, Caitlin. Ty akurat powinnaś to wiedzieć. – Nie chcę płakać. Nie chcę być beksą jak mama, ale nie mogę się powstrzymać. Łzy napływają mi do oczu, mocniej ściskam króliczka. Pocieram przednią łapką o swój policzek, jak wtedy kiedy byłam mała. Pociągam nosem, żeby nie poleciały mi glutu. Króliczek jest za stary na to, żeby mazać go glutami.

*Wycieram twarz w poduszkę.*

– Jak tam u ciebie? – pytam. – Niby wszystko dobrze? – Nie odpowiada, a mnie robi się głupio, że coś takiego powiedziałam. Kiedy jestem taka złośliwa, robię się podobna do Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. A nie chcę być taka jak ona. Nigdy. Chcę być jak Caitlin. Chcę być bystra i zabawna. Chcę być też taka ładna jak ona, ale mam dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, że to niemożliwe. – Caitlin? Jesteś tu jeszcze? – szepczę. Boję się, że odeszła. Proszę, nie odchodź, myślę. Zawsze, gdy odchodzi, boję się, że już nie wróci. Albo że uwierzę, że w rzeczywistości to niemożliwe, żeby tu była. I wtedy już nigdy z nią nie porozmawiam. – Caitlin? – mówię znowu.

Słyszę szum powietrza z przewodu wentylacyjnego. I jak tata chrapie w dużym pokoju. Głośno chrapie. Powinien zakładać sobie na twarz maskę podłączoną do specjalnego urządzenia, które pomaga oddychać w nocy i powstrzymuje chrapanie. Ale tata twierdzi, że maszyna nie działa, i trzyma ją w szafie. Aparat nazywa się PAP coś tam. Nie „test PAPP-A”, bo wiem, że to nie dla facetów.

*Ciiii*, pociesza mnie Caitlin. Słyszę jej głos tuż przy swoim uchu. Jest taki łagodny i piękny, że zamykam oczy. Wydaje się tak blisko, że jakbym wyciągnęła rękę, mogłabym jej dotknąć. Jakby pochylała się nad moim łóżkiem. Jestem całkiem pewna, że czuję zapach jej perfum, tych z Victoria's Secret, które zawsze kupuje. Ale nie wyciągam ręki. Bo co, jeśli się okaże, że jej tu nie ma?

– Martwię się o mamę – mówię. Robię się śpiąca, co też może znaczyć, że

zwariowałam. Jak normalny człowiek mógłby zasnąć w takich okolicznościach? Jak w ogóle mogę spać od siedemnastego lutego? – A jak też się przekręciła? – pytam Caitlin. – A jak Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, ją też zabiła?

Znowu cisza. Szum powietrza. Chrapanie taty.

*To nie była wina Haley, Izzy, mówi moja ładna mądra siostra. Martwa siostra.*

– Była – odpowiadam uparcie. – To ona się nie zatrzymała przed znakiem „stop”. To ona przejechała przez skrzyżowanie i doprowadziła do tego, że rąbnęła cię ciężarówka. To przez nią przeleciałaś przez przednią szybę i twój mózg rozbryzgał się na drodze!

Znowu płaczę. Nie na głos – jak mama przez pierwszy tydzień po śmierci Caitlin. Płaczę po cichu, jak człowiek, który nie chce przeszkadzać innym. Jak mama po tym pierwszym tygodniu.

*To był wypadek, szepcze Caitlin. Prawie czuję jej dotyk na swoich włosach, czuję, jak przygląda mi je palcami. Ona nie chciała, żeby do tego doszło.*

– Jeżeli nie chciała, to powinna się zatrzymać. Mam dziesięć lat, nie mam prawa jazdy, ale wiem, że trzeba się zatrzymać przed znakiem „stop”, bo inaczej dochodzi do wypadków i giną ludzie.

*To był wypadek. A jeżeli ktoś jest winny, to ja, szepcze.*

Pocieram łapką króliczka o policzek. Nie chcę zasnąć. Chcę poczekać i przekonać się, czy policja nie zadzwoni, żeby powiedzieć, że ktoś jeszcze nie żyje. Ale nie daję rady. Zasypiam.

– To bez sensu – mówię jeszcze. – To nie mogła być twoja wina.

*Jasne, że mogła. Gdybym zapięła pasy, nie byłabym teraz martwa.*

## ROZDZIAŁ 8

### HALEY

48 dni, 13 godzin

Słyszę, jak na szafce nocnej wibruje komórka. To już drugi albo trzeci raz. Stękając, obracam się na bok i wyciągam po nią rękę. Ki chuj? Patrzę na ekran. To Marissa. Moja najlepsza kumpela. Aktualnie jedyna. Ta druga jest w urnie na cmentarzu.

Przesuwam palcem po zielonej słuchawce na ekranie.

– Hejka – mówię i opadam z powrotem na poduszkę.

– Hej, dzwonię i dzwonię! Czemu nie odbierałaś?

Zamykam oczy.

– Myślałam, że wybierasz się dziś na zakupy z babcią czy coś takiego.

– No tak – mówi. – Właśnie stoję w przymierzalni Forever 21. Babcia powiedziała, że kupi mi, co mi się tylko spodoba. Mam tu całą furę rzeczy. Wpadnij do nas.

Otwieram oczy. Mam zaciągnięte zasłony, ale przez szpary na obrzeżach przedziera się światło. Czuję się, jakbym miała kaca, mimo że wczorajszej nocy wcale dużo nie wypiałam.

– Pewnie nie mogę. Mam przejebane.

– Starzy cię przyłapali, jak wymykałaś się z chaty? Mówiłam ci, że to kiepski pomysł. Myślisz, że do twarzy mi w żółtym? Mam wrażenie, że moja cera wygląda na niezdrową.

Wkładam telefon między bark i ucho i rozcieram przez koszulkę drobne guzki na przedramieniu. Czuję, jak głód narasta. Staram się nie zwracać na to uwagi.

– Nie kupuj niczego żółtego.

– Ale ja lubię żółty – skarży się Marissa.

– W żółtym wyglądasz jak kupa. Nikomu nie jest dobrze w żółtym. – Wzdycham ciężko, przypominając sobie koszmarną noc. – Wczoraj musiałam zadzwonić do mamy, żeby wyciągnęła mnie z domu Dodge’a.

– Ja pierdołę! Zalewasz!

Zamykam oczy i krzywię się boleśnie. Jedna z ranek na przedramieniu naprawdę boli. Powinnam posmarować ją neosporinem.

– Chciał, żebym zrobiła coś, na co nie miałam ochoty – mówię.

– Coś zboczonego i wyuzdanego?

– Nieważne.

– Nie mogę uwierzyć, że zadzwoniłaś po starą, żeby cię stamtąd zabrała. Czy ona w ogóle wiedziała o Dodge'u?

– Już wie. – Rozcieram bolesne zgrubienie. – Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić. Twój wóz jest w warsztacie, a twoja mama nie pozwala ci siadać za kółko jej auta. Cassie nie odbierała telefonu. Spękałam.

– Ty? Przecież ty nigdy nie pękasz. – Marissa stęknęła. – Boże, muszę przestać jeść. Mój tyłek z dnia na dzień staje się większy. Mają to w rozmiarze numer sześć? – woła do kogoś. Pewnie do babci. Marissa odnosi się do niej tak, jakby były kumpelkami. Mama mojej mamy nie żyje, a mama taty... Nie jestem w stanie znieść tej jędry. Tak się przemądrza, taka z niej hipokrytka. Nawet nie jest mi przykro, że buchnęłam jej te prochy.

– Co powiedziała twoja stara, kiedy po ciebie przyjechała? – pyta Marissa. Znów stęka i jęczy: pewnie próbuje wbić tyłek w dżinsy o dwa rozmiary za małe.

– Weszła Dodge'owi na chatę – mówię.

– Co?

– Po tym, jak mnie uderzył, zamknęłam się na klucz w kiblu. A mama wparowała do jego domu jakby nigdy nic.

– Ja pierdolę!

– No – zgadzam się. – A tam ludziska palą crack na kanapie, czaisz?

– Masz poważnie przejebane, Haley.

Wzdycham i rozcieram mocniej skórę. Czuję, że materiał koszulki robi się mokry od krwi.

– Wątpię. Mama nie robi mi wyrzutów. Obawia się chyba, że kompletnie mi odbije czy coś takiego. A tata... Wiesz, jaki on jest. Olewa wszystko od dawna.

– Z powodu Caitlin?

– Może. Nie wiem. Od jej śmierci jest gorzej, to na pewno. Nie kręci go bycie tatą czy mężem. Ma swoją mamusię, braci i swój biznes.

– Ale przecież słyszałaś, jak mówił twojej starej, że powinni cię posłać do szkoły z internatem. Myślisz, że to zrobią?

– Wątpię. – Zaciskam wargi. Ręka coraz bardziej mi krwawi. Czuję w powietrzu metaliczny zapach. Pachnie jak krew Caitlin tamtej nocy. Dziwne, ale od tej krwi czuję się lepiej. – Zresztą mam to gdzieś – dodaję.

– Myślę, że twoja mama się nie zgodzi. Nie miałyby serca. Wciąż jesteś jej córką, bez względu na to, co zrobiłaś.

– Tak, ale ma jeszcze drugą córkę. Izzy jest bystra i zawsze robi wszystko, jak należy.

– Mam dla ciebie nowinę: twoja młodsza siostra jest dziwna. Zwróć uwagę na te wszystkie informacje, którymi zawsze nas zasypuje. I to siedzenie pod łóżkiem. Dziwna, jak w książkach piszą.

Uśmiecham się.

– To prawda. Mała dziwaczka.

– Już prawie skończyłam! – mówi Marissa podniesionym głosem. – Muszę lecieć. Babcia zgłodniała. Spadł jej cukier. Na pewno nie wpadniesz do centrum handlowego? Idziemy na obiad do Chipotle.

– Lepiej zostanę w chacie – mówię, powoli podsuwając rękaw. Czuję się tak spięta, jakbym zaraz miała pęknąć. Jeśli nie rozładuję tego napięcia, stanie się coś złego. Naprawdę złego. Odsuwam szufladę szafki nocnej i szperam w środku. – Na wypadek gdyby mama zajrzała do mnie do pokoju. Gdyby mnie nie zastała, mogłaby dostać kompletnego pierdolca.

## ROZDZIAŁ 9

JULIA

49 dni

Zadzwoiłaś do mnie! – Laney wykrzykuje do telefonu wyraźnie zadowolona. – Jules, nie mogę uwierzyć, że faktycznie do mnie zadzwoniłaś.

– I to dzień wcześniej, niż miałam – podkreślam. – I nie leżę w łóżku.

– I bardzo dobrze. A prysznic?

Cała Laney. Dasz jej palec, a ona chce rękę.

– Nawet ogoliłam się pod pachami.

– Jestem z ciebie dumna.

Stoję przed lustrem w łazience, właśnie wyszłam spod prysznica. Jest południe. Nie rozmawiałam jeszcze z Haley; wciąż leży w łóżku. Zastanawiałam się, co jej powiedzieć. Co powinnam powiedzieć. Myślę, że właśnie dlatego chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Laney. Nie dlatego, że obiecałam zadzwonić. Nie dlatego, że liczę na jej rady (choć na pewno będzie miała na ten temat swoje zdanie; Laney ma swoje zdanie na każdy temat). Myślę, że po prostu potrzebuję jej siły. Bo muszę porozmawiać z Haley. Muszę coś zrobić.

Ręcznik zsuwa się na podłogę. Wpatruję się w swoje nagie odbicie. Nie rozpoznaję już własnego ciała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam swoje kości biodrowe, kiedy stałam. Przed pokwitaniem? Podoba mi się ta nowa szczupłość, osiągnięta bez żadnych starań, ale nie podoba mi się to, jak zmieniła moją twarz. Wyglądam, jakbym przez siedem tygodni postarzała się o dziesięć lat. Widzę drobne zmarszczki wokół ust i oczu, zmarszczki, których dwa miesiące temu nie było.

– Serio – mówi łagodnie Laney. – Wiem, jak ciężko jest wstać z łóżka. Wiesz, że wiem.

Wiem, że wie. Po śmierci męża, po przebrnięciu przez pogrzeb i całą resztę, Laney też przestała wstawać z łóżka. Ale u niej trwało to tylko kilka tygodni. Możliwe, że znalazła drogę powrotną wcześniej, dlatego że musiała się zająć małymi dziećmi. W każdym razie sama tak twierdzi. Ja przypisuję to sile jej charakteru, jej doskonałości. Laney jest kobietą, jaką zawsze pragnęłam być, choć wiem, że nigdy nie będę. Wszystko jest dla niej takie proste, czarne albo białe. Jej działania, jej myśli, jej uczucia są jednoznaczne – nie to, co u mnie.

Włączam tryb głośnomówiący i kładę telefon na umywalce. Ponownie owijam się ręcznikiem i przecieram zaparowane lustro. Moje zielone oczy wciąż są

ładne, ale nie mogę tego powiedzieć o reszcie. Czy dlatego Ben nie dąży już do intymnych kontaktów ze mną?

Mam wrażenie, że od pogrzebu ani razu nie pomyślał o seksie. Ja na pewno nie pomyślałam. Nie chcę uprawiać seksu – ani z mężem, ani z nikim innym. Moja córka nie żyje. Chcę posypać głowę popiołem, oderżnąć sobie włosy nożem kuchennym i rzucić się na ziemię, pod którą w marmurowej wnęce, w urnie spoczywają jej prochy.

Ale przedtem... Dlaczego nie chciał mnie dotykać? Co się między nami stało? Ben i ja zawsze mieliśmy świetne życie erotyczne, nawet po tym, jak urodziłam trójkę dzieci. Satysfakcjonujące dla obu stron, co nie zdarza się zbyt wielu kobietom w moim wieku. Lubiłam chodzić z nim do łóżka, tak samo jak on ze mną. Jeszcze trzy, cztery lata temu zazdrościli nam tego znajomi i przyjaciele. Kobiety, które się nie rozwiodły, przenosiły się do osobnych sypialni, bo mężczyźni za bardzo chrapali. Moja była bratowa nazywała nas zakochanymi gołąbkami. Znajomi żartowali z nas, bo często trzymaliśmy się za ręce i całowaliśmy się namiętnie na powitanie i pożegnanie. Co się stało z tym małżeństwem? Z perspektywy czasu widzę, że naszego związku nie ostudziło jakieś konkretne zdarzenie. Po prostu – cielesna namiętność powoli wyparowała.

Brakowało mi jej. Zająłam się życiem codziennym i córkami. Wymyślałam preteksty za siebie i Bena, ale jak teraz o tym myślę, muszę przyznać, że brakowało mi intymności. Bliskości – emocjonalnej i cielesnej. Kiedyś Ben był moim najlepszym przyjacielem, nie gorszym od Laney. Teraz jest tylko facetem, który śpi w fotelu w dużym pokoju i raz na jakiś czas prosi, żebym kupiła mu w Targecie paczkę nowych gaci.

Wzdycham i skupiam uwagę na swoim odbiciu. Wiatrak wentylatora kręci się nad moją głową. Trzeba go naprawić, jak wiele rzeczy w tym domu.

– Mam poważne odrosty – mówię Laney, ciągnąc się za mokre pukle. Noszę blond włosy, już nie tak naturalne jak kiedyś, prawie do ramion. Ale od dwóch miesięcy nie byłam w salonie, żeby je obciąć lub pofarbować. I to wyraźnie widać.

– To idź do salonu. Zafunduj sobie farbowanie i strzyżenie. A przy okazji jeszcze manicure i pedicure.

– Może powinnam. – Pochyliłam się do lustra i patrzę na czerwony pryszcz na podbródku. Może rzeczywiście powinnam zadzwonić do salonu i się umówić. Zawsze lubiłam wizyty u fryzjera i manicurzystki. To taka grzeszna przyjemność.

Spoglądałam w swoje oczy w lustrze, nagle przerażona tą myślą. Co ze mnie za matka? Co za potwór? Potwór wśród matek! Moje dziecko nie żyje, a ja zastanawiam się nad tym, jak miło byłoby wybrać się do salonu i pomalować paznokcie u stóp.

Caitlin uwielbiała malować paznokcie u stóp. Zawsze wybierała zwariowane kolory: niebieski, zielony, fioletowy. Pamiętam, że ostatnim razem, jak

wybrałyśmy się do salonu, zaledwie tydzień przed jej śmiercią, zażyczyła sobie, żeby pomalowali jej paznokcie na fioletowo. Podczas uroczystości pogrzebowej, kiedy leżała w zamkniętej białej trumnie, zanim ją skremowano, pewnie wciąż miała na paznokciach ten lakier.

Zamykam oczy. Ból jest tak przytłaczający, że chyba go nie wytrzymam, padnę trupem. Zalewa mnie fala czarnej rozpacz.

– Jules? Jesteś tam jeszcze? – Głos Laney przedziera się przez ciemną otchłań, przyzywając mnie do świata żywych.

– Tak – mówię. Mrugam i otwieram oczy. – Nie mogę iść do fryzjera. Muszę się zająć córką.

– Którą?

– A jak myślisz? Haley.

– Co tym razem zbroiła?

– Pomyślmy. – Odwracam się i opierając o umywalkę, biorę telefon do ręki.

– Chcesz posłuchać o tym, jak wydalono ją ze szkoły, czy o tym, jak pojechałam po nią w środku nocy i wyostałam z narkomańskiej meliny? A może o sińcu na twarzy, który zafundował jej jakiś facet? – Laney wzdycha z niedowierzaniem, więc ciągnę: – Zadzwoiła do mnie, śmiertelnie przerażona, podczas gdy jakiś maniak usiłował włamać się do łazienki, w której się ukryła. Był środek nocy. Myślałam, że śpi w swoim łóżku, Laney. Obudziła mnie. Nie mogłam zrozumieć, czemu dzwoni do mnie ze swojego pokoju.

– Kurde. I jeszcze wylali ją ze szkoły?

– Nie inaczej. Nie zawiesili w prawach ucznia, jak w zeszłym miesiącu. Wydalili. Za palenie papierosów na terenie szkoły i za posiadanie marihuany i prochów, które ukradła z torebki Lindy.

– Ukradła zioło swojej babci?

Parskam czymś w rodzaju śmiechu, ale tylko po to, żeby się nie rozpląkać.

– Nie mam pojęcia, skąd wzięła zioło. Pewnie od jednego ze stryjów. – Teraz żartuję. Bracia Bena nigdy nie daliby mojej córce marihuany. Chyba. – Bardziej martwi mnie ten percocet, Laney. Miała go mnóstwo.

– Bierze to?

– Nie wiem – wzdycham. Naprawdę nie wydaje mi się, żebym widziała ją na haju czy naćpaną, ale ile czasu spędziłam z nią przez ostatnie dwa miesiące? Byłam zbyt zajęta tonięciem we łzach we własnym łóżku. – Byłabym idiotką, gdybym zakładała, że nie bierze, prawda?

– To zależy. A zachowuje się tak, jakby była na prochach? Jest przymulona? Bo tak działałby percocet. – Kiedy nie odpowiadam, Laney głośno wzdycha. – Jasne – mówi i wiem, że przypomina sobie, jak to jest. – Wiem. Wszyscy jesteście teraz przymuleni. Więc obie te akcje wydarzyły się wczoraj?

– Wydalono ją w czwartek. A wczoraj w nocy uratowałam ją z kibla przy



ulicy Narkotykowej – ironizuję.

– Czekaaj, czekaaj.

Prawie widzę, jak robi zaskoczoną minę.

– Wydalili ją w czwartek, a ty jeszcze nie zapytałaś ją o percocet? – pyta z niedowierzaniem. – Na litość boską, Jules! – Laney nigdy nie czekałaby tak długo, żeby gruntownie zbadać sprawę, gdyby to przy jej dzieciach znaleziono narkotyki. Oczywiście, żadne z jej dzieci nie nosiłoby prochów w torebce strunowej w swoim szkolnym plecaku. Wszystkie były idealne: dobre stopnie, wzorowe zachowanie, bezkrytyczna miłość do matki. No i to byli chłopcy. Chłopiec to zupełnie inny gatunek dziecka. Poza tym żadne z jej dzieci nie zabiło jej innego dziecka. Laney nie może mieć pojęcia o tym, jak Haley musi się teraz czuć. – Dlaczego z nią o tym nie porozmawiałaś? – Nie dała mi czasu na odpowiedź, tylko od razu podjęła: – I o tym, co robiła w melinie ćpunów w środku nocy? Nie wiem nawet, jak wygląda taka melina.

– Możesz się domyślić. Widziałam na własne oczy coś, co musiało być fajką do palenia cracku. – Trzymam telefon w jednej dłoni, a drugą masuję sobie skroń. – Nie mogę nawet sobie wyobrazić, przez co ona przechodzi, Laney. Ona i Caitlin były najlepszymi przyjaciółkami, były... – Czuję, że zbiera mi się na płacz. – Nie mogę sobie wyobrazić – powtarzam. Ale oczywiście mogę. Rozumiem, że strata najbliższej osoby jest druzgocąca i obezwładniająca. Po prostu nie mogę wiedzieć, jak to jest być Haley. Nie tak naprawdę. Moja córka umarła, ale Haley odpowiadała także za śmierć siostry.

– Nie możesz tego olać, Jules. Wiem, że Haley przeszła przez koszmar, ale nie możesz jej odpuścić.

– Wiem.

– Jest twoją córką, a ty jesteś za nią odpowiedzialna, za jej wybory, za jej życie – mówi z coraz większym przejęciem.

– Wiem, wiem. – Pociągam nosem. – Ale nie wiem, co robić. – Zaczynam drzeć nie z zimna, tylko ze strachu. – Nie mogę stracić jeszcze jej – mamrocę bardziej do siebie niż do Laney, gdy zdaję sobie sprawę z tego, że zagrożenie może być zupełnie realne.

– To zabierz ją stamtąd. Zafunduj jej przeprowadzkę. Zabierz ją od ludzi i miejsc, które mają na nią zły wpływ.

– Nie. – Sięgam po chusteczkę higieniczną z pudełka na umywalce. Pudełko jednak jest puste. Pochyliam się i odrywam kawałek papieru toaletowego. – Nie – powtarzam stanowczo. – Nie ma mowy. Nie wyślę jej do szkoły z internatem. Ben tak chce rozwiązać ten problem. Ale to nie jest dziewczyna do szkoły z internatem. Wyślę ją do szkoły w innej części kraju, a ona ucieknie stamtąd albo zrobi coś jeszcze gorszego, Laney. Wiem, że tak będzie – szepczę z rozpaczą.

– To wyślij ją do mnie. Załatwię jej szkołę tutaj.

Uśmiecham się smutno. Nie dość, że Laney zawsze ma plan, to jeszcze nie zawaha się wskoczyć w ogień, byle go zrealizować.

– Nie mogę zepchnąć ci jej na głowę. To nie byłoby fair wobec ciebie i twoich chłopaków. – Wycieram nos. Ben znowu kupił nie taki papier, jak trzeba. Nie zamierzam się jednak skarżyć. Nie byłam w sklepie od co najmniej... cóż, od czterdziestu dziewięciu dni. – To moja córka – mówię. – Znajdę jakieś rozwiązanie.

– Wiem, że znajdziesz. Bo jeśli nie, jeśli jakoś temu problemowi nie zaradzisz, Jules, to prędzej czy później twoja córka skończy w areszcie albo na odwyku.

Albo jeszcze gorzej. Wiem to, ale nie chcę powiedzieć tego na głos. Nie mogę powiedzieć tego na głos. Myślę o prochach, o innych niebezpiecznych zagraniach Haley od śmierci Caitlin. Chodzi o Caitlin, wiem to. Może przez ostatnie dwa miesiące żyłam we mgle, ale nie aż tak gęstej, żeby nie spostrzec akurat tego. Musiałabym być ślepa i głupia. Przed śmiercią Caitlin Haley na pewno nie była aniołem, ale zachowywała się jak typowa zbuntowana nastolatka: wracała do domu później, niż się umawialiśmy, nie odrabiała lekcji, mówiła, że jest w jednym miejscu, podczas gdy w rzeczywistości była gdzie indziej. Ale nic poważnego. Nic, co dałoby się porównać z kradzieżą prochów i wymykaniem się w środku nocy do jakiejś ćpunerii.

– Wiem, że muszę coś zrobić – mówię, gdy wraca mi głos. – Nie wiem tylko co.

– Więc Ben uważa, że najlepiej posłać ją do szkoły z internatem? To jego jedyny pomysł? – pyta Laney. W tej chwili naprawdę się wcina. Wcina się na bezczela. Zaczynam żałować, że do niej zadzwoniłam. Nie jestem w stanie z nią o tym rozmawiać. Nie mam siły bronić swojej rodziny. Nie mam siły bronić samej siebie. – Jakie ma argumenty? – pyta Laney, kiedy nie odpowiadam.

Jest jak pies z kością: jak chwyci, to już nie puści. Znam ją na tyle dobrze, żeby nie mieć co do tego wątpliwości.

– Julia? – Z sypialni dobiega mnie głos Bena. – Jesteś tutaj?

– Mogę do ciebie oddzwonić? – rzucam do słuchawki, wdzięczna za pretekst do przerwania rozmowy. Z Benem też nie mam ochoty rozmawiać, ale w tej chwili wolę z nim niż z Laney. – Jestem w łazience! – wołam. A potem mówię do telefonu: – Ben mnie szuka. Muszę iść.

– Musicie we dwoje usiąść i porozmawiać o Haley – mówi jeszcze Laney. – Jesteście jej rodzicami. Jesteście jej to winni. Jesteście to winni Caitlin – dodaje żarliwym tonem.

Ocieram oczy. Słyszę, jak Ben kładzie dłoń na klamce.

– Zadzwoń później – mówię, starając się trzymać jednocześnie telefon i ręcznik.

Ben otwiera drzwi bez pukania, co mnie irytuje. Zawsze ceniłam sobie prywatność w łazience. Jeżeli drzwi są zamknięte, to znaczy, że nikt nie jest tu mile widziany, chyba że zostanie zaproszony. W rodzinie Bena jest jednak inaczej. Uważają, że to normalka, jak jedno z małżonków myje zęby, podczas gdy drugie siedzi na klozecie. Nie mam ochoty oglądać, jak Ben przycina sobie włoski w nosie, albo na jego oczach wyciągać sobie tampon. Niektóre sprawy powinny pozostać prywatne, prawda? Czy to nie jeden ze sposobów na podtrzymanie romantyzmu w związku? Najwyraźniej z tym też nie idzie nam zbyt dobrze. To akurat popsulo się jeszcze przed śmiercią Caitlin.

– O, tu jesteś – mówi Ben. Ma na sobie dżinsy i czerwoną koszulkę polo z logo swojej rodzinnej firmy zajmującej się pielęgnacją trawników. Koszulka wygląda na za małą, jest zbyt opięta na brzuchu.

– Rozmawiałam z Laney. – Ręcznik znów mi się zsuwa i z jakiegoś powodu ogarnia mnie panika. Nie chcę, żeby zobaczył mnie nago. Dlaczego tego nie chcę? Przecież widuje mnie bez ubrania, odkąd skończyłam dwadzieścia lat.

Odkładam komórkę na brzeg umywalki i zakrywam obnażoną pierś. Nie wiem, czy jej nie zauważył, czy po prostu zupełnie go to nie obchodzi. Jeszcze rok temu oczy by mu się rozżarzyły. Jego wyraz twarzy – chociaż to raczej brak wyrazu – przejmuje mnie głębokim smutkiem, nawet nie wiem dlaczego. To nie jest wyłącznie wina Bena – to, jak wygląda nasze małżeństwo. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Muszę... musimy porozmawiać.

– Nie mów. – Ben zwykle nie jest cyniczny, ale teraz jego słowa ociekają sarkazmem.

Odwraca się i z haczyka na drzwiach zdejmuję mój biały płaszcz kąpielowy. Rozchyła go w zapraszającym geście. Waham się, a potem odwracam plecami do niego i upuszczam ręcznik na podłogę. Z ulgą opatulam się szlafrokiem. Zawijam pasek mocno, zanim stanę twarzą do męża.

– Chodzi o Haley – mówię.

Wzdycha ciężko.

– Izzy mi powiedziała.

– Co ci powiedziała? – Wychodzę z łazienki. Czuję się obnażona. Muszę się ubrać. – Co wie Izzy?

– Powiedziała, że wyjechałaś w środku nocy i sprowadziłaś Haley do domu. Gdzie, do cholery, była? – podnosi głos.

Wchodzę do swojej garderoby. Ben wciąż stoi przy drzwiach do łazienki. Obserwuje mnie. Zakładam majtki, a potem, odwrócona od niego, zrzucam szlafrok. Biorę sportowy stanik i zakładam go przez głowę. Nie odwracam się, dopóki nie mam na sobie spodni do jogi i T-shirtu z jakiegoś obozu, na którym były kiedyś dziewczyny.

Ben stoi bez ruchu i patrzy na mnie. Nawet tęższy niż kiedykolwiek wcześniej nadal jest przystojny: ma krótkie ciemne włosy i jednodniowy zarost, który wygląda seksownie, a nie niechlujnie. Duży z niego facet. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, potężnie zbudowany. Nigdy nie był gruby – aż do teraz. Zawsze podobali mi się duzi faceci.

– Gdzie była? – pyta Ben, wyraźnie poirytowany. Nie wiem, czy to gniew na mnie, czy na Haley. Pewnie na nas obie.

– Była u kogoś w domu. Przy Trzeciej ulicy.

– W tamtej dzielnicy? O trzeciej nad ranem? Myślałem, że ma szlaban. Jak to się stało, że w ogóle wyszła z domu, do cholery?

– Przypuszczam, że znów wymknęła się przez okno. – Zrobiła to już parę tygodni temu. Wróciła, tylnymi drzwiami, dopiero następnego dnia koło południa.

– A dlaczego najpierw uciekła przez okno, a potem zadzwoniła, żebyś po nią przyjechała? I dlaczego mnie nie obudziłaś?

Mam ochotę odpowiedzieć: „Nie obudziłam cię, bo jest dosyć oczywiste, że bardziej niż własna córka obchodzi cię to, jakim rodzajem nawozu użyżnisz w tym tygodniu trawniki”. Ale milczę. Podchodzę do łóżka i siadam.

– Pojechała do domu, w którym była jakaś impreza, i sprawy trochę wymknęły się spod kontroli. – Podnoszę na niego wzrok. – Cieszę się, że miała dość rozumu, żeby do mnie zadzwonić. To chyba dobrze, że wciąż uważa, że może się do nas zwrócić o pomoc, jeśli wpadnie w kłopoty, prawda?

Ben kręci głową.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Będziesz musiała mi to lepiej wytłumaczyć. Ale to później. Mam spotkanie z klientem. Wybierasz się dziś ze mną na kolację? Mama ma urodziny. Spodziewa się nas w komplecie. – Zamykam oczy. – Powiedziałem jej już, że dziewczyny będą. Musi wiedzieć zawczasu. Robi wołowinę po burgundzku.

Oczywiście nie chcę tam iść, ale wiem, że powinnam. Pora, żebyśmy znów zaczęli zachowywać się jak normalna rodzina. Haley i Izzy tego potrzebują. Nie wiem tylko, czy dam radę.

Nie otwierając oczu, pytam:

– Gotuje we własne urodziny? Czemu po prostu nie wychodzimy do restauracji? – Konieczność zjedzenia posiłku przy jednym stole z rodziną Bena w restauracji to wystarczająca tortura. Przebywanie w ich domu, pod jednym dachem z nimi wszystkimi, wydaje się po prostu nie do zniesienia.

– Znasz mamę. Nie lubi jadać na mieście. Woli domowe posiłki. To jej urodziny, Julio. – W głosie mojego męża pobrzmiwa jawna wrogość. – Jeżeli chce coś dla nas ugotować na swoje urodziny, to jej na to pozwólmy. Nie umrzesz od tego.

Milczymy przez chwilę. Cisza boli prawie tak bardzo jak jego ostry ton.

– Może nawet byłoby to dla ciebie dobre – mówi już łagodniej. – No, wiesz, wyjść i zrobić coś normalnego?

Do oczu cisną mi się łzy.

– Co jest jeszcze normalne, Ben?

– Wiesz, co mam na myśli. – W jego głosie nie ma już cienia gniewu. Słyszę za to cierpienie. – Musimy znaleźć sposób, żeby pogodzić się z tym nieszczęściem i żyć dalej. Wiem, że nie może być tak samo jak przedtem. Ale musimy myśleć o Haley i Izzy. O tym, czego potrzebują.

Ma rację. Wiem, że ma rację.

– Dobrze, pójdę – mówię i otwieram oczy. W tej chwili nie wyobrażam sobie kolacji u Lindy, słuchania Bena i jego braci, śmiejących się i rozmawiających przy stole. Ta rodzina zawsze była hałaśliwa, a ja nigdy nie czułam się z tym najlepiej. Nie wyobrażam sobie tych odwiedzin, nie wyobrażam sobie włożenia do ust kęsa wołowiny po burgundzku w wykonaniu Lindy. Nie wyobrażam sobie pogaduszek ze swoimi szwagierkami czy z nową dziewczyną Jeremy'ego. – Zgadza się – mówię jednak.

Idąc do drzwi, Ben rzuca:

– O szóstej. Spotkajmy się na miejscu. Mam pracę.

Patrzę na niego.

– Myślałam, że porozmawiamy o Haley.

– Mówiłem ci, że mam spotkanie z klientem. – Zatrzymuje się i stoi tak przez dłuższą chwilę. – Chcesz, żebym z nią porozmawiał? Dowiedział się, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi?

„Wiesz, o co w tym wszystkim *naprawdę* chodzi! W tym wszystkim chodzi o twoją nieżyjącą córkę!”, mam ochotę wrzasnąć, ale nie robię tego. Odpowiadam tylko:

– Idź, spotkaj się z klientem. Ja postaram się porozmawiać z Haley. Ale musimy usiąść we dwoje, Ben, i przedyskutować całą sprawę. Musimy ustalić jakiś plan. I musimy porozmawiać o twojej matce. Oczywiście Haley nie powinna kraść jej percocetu, ale Linda powinna bardziej uważać na to, gdzie trzyma leki, skoro są tak łatwo dostępne.

Ben podnosi rękę i mówi:

– Nie mogę teraz się w to wdawać. – W jego głosie jest już tylko przejmujący smutek.

Wbijam wzrok w podłogę.

– Widzimy się o szóstej.

## ROZDZIAŁ 10

IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Izzy, uściskaj babcię!

Moja babcia jest hałaśliwa i mówi jakby nieszczerym głosem. Otwiera ramiona. W jednej ręce trzyma szklanekę dzinu z tonikiem.

Zatrzymałam się w drzwiach między przedpokojem a kuchnią domu, w którym wychował się tata, więc robi się korek: mama i Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, stoją za mną. Mama przywiozła nas swoim autem, bo tata już tu był. Tata zawsze tu jest. Fajnie, że przynajmniej jechałam z przodu, a Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, musiała usiąść na tylnej kanapie. Ma szczęście, że mama nie kazała jej biec za samochodem.

Oglądam się przez ramię za sami wiecie kim i odnajduję wzrokiem mamę. Mówiłam ci, że babcia będzie chciała mnie przytulić z drinkiem w dłoni, myślę i mam nadzieję, że wiadomość dotrze do niej telepatycznie. Wiem, że to brzmi głupio, ale mnóstwo ludzi uważa, że telepatia istnieje. Oglądałam program poświęcony temu tematowi.

Nie słyszę, co myśli mama, ale jestem prawie pewna, że prosi, żebym zagryzła zęby i dała się babci przytulić. Mogę też odmówić, ale wtedy stryjowie: Jeremy i Bruce, a także tata – wszyscy mnie osaczają. Pewno przybiliby mnie do ściany, żeby babcia mogła mnie uściskać na siłę.

Czuję, jak Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, szturcha mnie w plecy.

– Tu Linie Lotnicze Maxton, lot zero zero. Proszę nie wstawać z miejsc i nie blokować przejścia – mówi.

Gdyby powiedziała to Caitlin, pewnie bym się roześmiała. Odwracam się do babci i ruszam sztywnym krokiem, jakbym maszerowała na krzesło elektryczne. Trzymam ręce wzdłuż ciała. Babcia ściska mnie i daje siarczystego buziaka w policzek. Czuję od niej dzin. Pachnie aptecznie, paskudnie.

– Jak leci, robaczku? – pyta szeptem. Robaczku. Nie mam pojęcia, czemu tak mnie nazywa. Jakbym była jakimś owadem. Czymś, co chciałaby zdeptać skórzaną podeszwą swojej pomarańczowej japonki. Pyta, jak się mam, ale wiem, że tak naprawdę gucio ją to obchodzi. Ma w nosie wszystkich oprócz „swoich chłopaków”. Ciekawe, czy obchodziłabym ją, gdybym była chłopcem. Ale wygląda na to, że Maxtonowie nie mają żadnej męskiej spermy. Tylko taką do płodzenia dziewczynek. Stryjek Bruce, najstarszy z braci, ma cztery córki, dwie z pierwszą żoną i dwie z drugą. Następny z kolei jest tata – z trzema córkami minus jeden. A stryjek Jeremy, który właśnie znów się rozwiódł, ma dwie dziewczynki. – Jak się trzymasz? – pyta babcia, chuchając mi dzinem w twarz.

– W porządku.

Schylam się pod jej ramieniem i uciekam.

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, unosi dłonie.

– Nawet tego ze mną nie próbuj, Lindo – mówi. Ma czarne rękawiczki bez palców, a na krótkich paznokciach świeży czarny lakier. Oczy obrysowała na czarno, jeszcze mocniej niż zwykle. Tak jakby specjalnie na tę okazję zrobiła się na jeszcze większą gotkę.

Babcia tężeje, gdy jej wzrok prześlizguje się na moją mamę. Tak, że aż to widać. Bierze łyk drinka.

– Tak się cieszę, że przyszłaś, Julio – mówi, ale w jej głosie nie ma ani odrobiny radości. Babcia nie lubi mojej mamy. Chyba nigdy jej nie lubiła. Widzi w niej rywalkę. We wszystkich dziewczynach Maxtonów widzi konkurencję. Tak jakby każda sekunda życia taty, którą daje nam, była sekundą odebraną babci. Myślę, że babcia naprawdę wkurzyła się na Caitlin, że przez swoją śmierć skupiła na sobie tyle uwagi.

– Wszystkiego najlepszego, Lindo – mówi mama. Pochyliła się i całuje babcię, mimo że wyraźnie nie ma na to ochoty. I nie mówi nic złośliwego. Pod tym względem mama ma klasę.

– Cześć, mała! – Stryjek Bruce przytula mnie na niedźwiedzia i daje buziaka. Jego ruda broda, tego samego koloru co moje włosy, drapie mnie w policzek.

– Cześć, stryjkule Bruce – mówię. Stryjek zawsze robi mi wstyd, kiedy mnie tak ściska. Tata nie jest taki przytulaśny jak jego bracia. Owszem, w domu czasem mnie tuli, ale tylko tak, że obejmuje mnie ramieniem. Wiem, że mnie kocha, ale po prostu na co dzień tyle się nie przytulamy. Może właśnie dlatego, że tak dużo przytulamy się u babci.

Stryjek Bruce robi mi karuzelę, a potem prawie rzuca mną do stryjka Jeremy'ego.

– Hej, mała – mówi Jeremy i całuje mnie w głowę. – Pamiętasz Tabithę?

To jego nowa dziewczyna. Pewnie będzie jego trzecią żoną. Zaczął się z nią spotykać, jeszcze zanim wyniósł się z łóżka cici Pat. Podśluchałam, jak ciocia Maria szeptała o tym z moją mamą, kiedy przedstawiono nas sobie na pogrzebie. Ciocia Maria jest drugą żoną stryjka Bruce'a. Ciekawe, czy Tabitha zdaje sobie sprawę, że stryjek Jeremy też zacznie ją zdradzać, jak już się z nią chajtnie.

– Jest Casey? – pytam stryjka Jeremy'ego. Casey jest o rok starsza ode mnie i dobrze się dogadujemy. Zawsze była dla mnie miła. Nawet zanim umarła mi siostra. Nie uważa, że jestem dziwna, nawet jak opowiadam o czymś fajnym, czego dowiedziałam się z History Channel albo z książki. A jeśli tak myśli, to przynajmniej nie mówi mi tego prosto w oczy.

Stryjek Jeremy marszczy czoło.

– Przykro mi. To weekend jej mamy.

– Ale są Alice i Maddie – wtrąca stryjek Bruce. – Siedzą w pokoju

telewizyjnym.

Idę się przywitać z ciocią Marią, która właśnie wkłada bułki do koszyka z pieczywem. Nowa dziewczyna stryjka Jeremy'ego stoi obok z kieliszkiem wina w dłoni. Ma bardzo mocny makijaż jak na rodzinną kolację w domu. Zwłaszcza w domu rodziny, która wciąż jest w żałobie. Ostatnio dużo czytałam o zwyczajach żałobnych. Zgodnie z kulturą wiktoriańską wciąż jesteśmy w „grubej żałobie”. Technicznie rzecz biorąc, mama i tata muszą czekać dziewięć miesięcy, zanim mogą przejść do etapu „półżałoby”.

– Cześć, ciociu – mówię.

Ciocia Maria uśmiecha się smutno.

– Cześć, Izzy.

Zawsze ją lubiłam, ale odkąd Caitlin kopnęła w kalendarz, lubię ją jeszcze bardziej. Ciocia Maria nie stara się mnie rozweselać i nie pyta mnie ciągle, jak się czuję. Tak jakby wiedziała, że po prostu jest mi teraz źle.

Zwracam się w stronę Tabithy, która jest młodsza od cioci Pat, która była młodsza od mamy Casey. Muszę przyznać, że jest ładniejsza od nich obu.

– Cześć.

Zaczyna coś mówić, ale ja już odchodzę. Nie jestem pewna, czy mam dość siły, żeby angażować się emocjonalnie w znajomość z kolejną żoną wujka Jeremy'ego. Naprawdę lubiłam ciocię Pat, była zabawna i rozmawiała ze mną jak z koleżanką, a nie jak z jakimś głupim dzieciakiem.

Chyba pójdę poszukać Alice. Jest moją rówieśniczką. Też chodzi do piątej klasy. Lubię ją, chociaż maluje paznokcie różowym lakierem z brokatem i ogląda Nickelodeon, więc nie mamy zbyt wiele wspólnych tematów.

Słyszę głos mamy. Zatrzymuję się i odwracam, żeby przyjrzeć się temu zwariowanemu zjawisku zwanemu rodziną. Jakoś nie spieszy mi się do oglądania powtórki *Sam i Cat*.

Kuchnia jest duża, jak te, które widuje się w filmach telewizyjnych, kiedy producentom zależy na pokazaniu wielkiej szczęśliwej rodziny. Na podłodze kafelki w stylu hiszpańskim, duże granitowe blaty i miejsce, gdzie można usiąść i przyglądać się, jak babcia przygotowuje pasztet z wędzonego łososia i nabija kawałki owoców na wykałaczki. I oczywiście barek z alkoholem. Mama mówi, że babcia kazała go tu wstawić, kiedy dziadek zmarł. Byłam wtedy mała. Nie pamiętam niepijącej babci. Teraz zawsze albo trzyma w ręku szklankę dzinu z tonikiem, albo właśnie mówi, że musi nalać sobie następnego drinka. Myślę, że technicznie rzecz biorąc, może być alkoholiczką, mimo że nigdy nie wydaje się pijana. Na pewno nie tak, jak czasem upija się stryjek Jeremy – wtedy dużo się śmieje, rzuca butelkami po piwie w tatę i stryjka Bruce'a i żartuje z ludzi.

Przyglądam się każdej osobie w kuchni. Robię sobie w głowie ich zdjęcie, żeby później mieć materiał do analiz. Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać,



grzebie w lodówce babci. Pewnie szuka coca-coli. Nikt nie zwraca na nią uwagi, a ona odwdzięcza się tym samym. Babcia przy barku dolewa sobie džinu do drinka. Mama rozmawia z ciocią Marią, ale mówią tak cicho, że zupełnie ich nie słyszę. Tabitha stoi nieco z boku sama jak palec. Nie pasuje tutaj. Tata i jego bracia trzymają w garściach po piwie i gadają ze sobą. Tata wygląda na szczęśliwego. Robi mi się przykro, bo w domu nigdy nie wygląda na szczęśliwego. Wiem, że jest mu smutno z powodu Caitlin, ale wcześniej też był smutny.

– Och, Julio... – słyszę głos cioci Marii. Zastanawiam się, o czym ona i mama rozmawiają. Chociaż w pewnym sensie wiem, o czym rozmawiają. O tym, o czym wszyscy. Czyli albo o Caitlin, albo o Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Myślę, że tym razem o tej żywej.

W kuchni ładnie pachnie. Babcia umie gotować. Kiedyś przyjeżdżaliśmy tu na obiad prawie co niedzielę. Nawet mama. Zanim Caitlin odeszła z hukiem.

Uśmiecham się do siebie. Dobrze. Odejść z hukiem.

Nagle przez przypadek spojrzenia moje i Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, na sekundę się spotykają. Nie mogę odwrócić od niej wzroku. Stoi przy lodówce, która jest oklejona zdjęciami, głównie „chłopaków Maxtonów”, ale jest też kilka z nami, wnuczkami. Wśród nich duża fotografia roześmianej Caitlin. Tę samą umieściliśmy na okładce pamiątkowej książeczki pogrzebowej. Kiedy patrzę na twarz Caitlin, a potem na twarz tej drugiej, widzę, jak bardzo są do siebie podobne. Tyle że Caitlin zdaje się otoczona światłem. Może to te jej piękne blond włosy, może oświetlenie tła, a może jakiś rodzaj czarów, do których dochodzi, kiedy ktoś trafia do nieba. Za to Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, wygląda jak pogrążona w ciemnościach: czarne włosy, czarna kredka na oczach i czarne brwi. Otacza ją czarna chmura, która mnie przeraża i sprawia, że jednocześnie jej współczuję.

Od wypadku udawałam, że jej nie widzę, ale teraz mnie przyłapała. Wie, że ją widzę. Nagle zaczynam drżeć, łzy napływają mi do oczu. Najdziwniejsze, że jej oczy też wyglądają na załzawione. To pewnie od tego eyelinera. I tylko ciągle na mnie patrzy. Tak jakby czegoś ode mnie chciała. A ja nie wiem czego. I nie wiem, czy mogłabym jej to dać, nawet gdybym pragnęła.

Odwracam się i wychodzę do przedpokoju. Słyszę dźwięk telewizora. Nickelodeon. Wycieram oczy, żeby nie wyglądać głupio, i wołam Alice.

## ROZDZIAŁ 11

JULIA

49 dni

Wpatruję się w drzwi toalety. Tkwię tu od co najmniej dziesięciu minut. Dziwię się, że jeszcze nikt nie zaczął mnie szukać.

Choć tak naprawdę to się nie dziwię.

Kto niby miałby mnie szukać? Izzy? Może. Na pewno nie Haley. Przecież mnie nienawidzi. Ani mój mąż. Myśli Bena są teraz tysiące kilometrów ode mnie; jest na łonie swojej rodziny.

Wzdycham. Jak to się dzieje, że po tylu latach nie wyrosłam, nie zmądrzałam, nie dojrzałam na tyle, by pozbyć się tej małosłownej zazdrości?

Nie mam prawa do zawiści. Wiem to.

Wiedziałam, w co się pakuję, kiedy prawie dwadzieścia lat temu wychodziłam za Bena. Byłam dorosłą kobietą, dokonującą dojrzałych wyborów. Wiedziałam, jaka jest jego rodzina. Jak przytłaczająca, wszechogarniająca potrafi być. To nie tak, że o tym nie rozmawialiśmy. Ben ostrzegł mnie przed tym, kiedy zaczęliśmy się zastanawiać nad ślubem, na ostatnim roku studiów. Prosto z mostu przyznał, że jest maminsynkiem. Powiedział, że jego najlepszymi kumplami są jego bracia.

Ale tak naprawdę wtedy go nie słuchałam. Teraz, z perspektywy czasu, dobrze to widzę. Ben był taki fajny, a ja taka zakochana. Byłam zbyt przejęta marzeniami o domu z wypielegnowanym trawnikiem, dzięki przedsiębiorstwu Maxton i Synowie, i o dziecku na rękach. Nie chciałam czytać między wierszami. Prawda jest taka, że byłam młoda i głupia. Nie chciałam też słuchać własnej matki. Nie chciałam, żeby miała rację. Co do mnie i co do Bena. W żadnej kwestii.

Ale miała rację. Myliła się w wielu sprawach, ale w tej jednej miała rację. Ben już wtedy próbował mi zakomunikować, że nigdy nie będę najważniejszą kobietą w jego życiu. Że nigdy nie będę jego najlepszym przyjacielem.

To właśnie powiedziała mi matka. Niech ją diabli.

Nie mam więc prawa żądać teraz zmiany reguł. Nie po tych wszystkich latach. Nie po urodzeniu trójki dzieci. A na pewno nie po pochowaniu jednego z nich.

No i znów wracam do tego samego, do Caitlin. To jak w tej komedii, którą Caitlin tak uwielbiała – w *Dniu świstaka* z Billem Murrayem. Bohater przeżywa w kółko ten sam dzień.

Opieram się plecami o spłuczkę. Deska jest opuszczona i siedzi mi się dość wygodnie. Linda zawsze pali świece zapachowe w całym domu. Ta na umywalce pachnie wanilią. Ładnie. Ja też kiedyś paliłam w domu świece. To było zanim udrapowaliśmy lustra czarną krepiną, a na meblach zaczął się zbierać kurz.

Weszłam do łazienki, żeby zrobić siusiu. Spoglądam na swoją komórkę, która leży przy umywalce. Minęło już prawie czterdzieści minut. Jak już tu

weszłam, zdałam sobie sprawę, że potrzebuję chwili dla siebie. Po co? Nie jestem pewna. Prawdopodobnie w ciągu ostatnich czterdziestu dziewięciu dni jeszcze nigdy tak długo nie wytrzymałam bez płaczu.

Myślę, że po prostu musiałam złapać oddech.

Dzisiejszy wieczór jest trudny. Trudniejszy, niż się spodziewałam. Tak trudny, że więcej niż raz poważnie zastanawiałam się nad tym, czy nie wstać i nie wyjść.

Ale nie wyszłam. Schowałam się tylko w łazience. Duży postęp, prawda?

Zamykam oczy.

Powinam sobie trochę odpuścić. To moja pierwsza poważna próba wyjścia z domu, do ludzi. Kolacja urodzinowa u teściowej. W kontrolowanych warunkach, gdzie nikt niezorientowany nie zapyta, jak idzie Caitlin w zawodach cheerleaderek. A taka właśnie sytuacja przydarzyła mi się ostatnim razem, gdy spróbowałam wyjść na zakupy. Ostatecznie porzuciłam swój załadowany w połowie zakupami wózek tuż przy lodówce z nabiałem – z mrożonymi frytkami i całą resztą.

No więc dzisiejszy wieczór. Stosunkowo bezpiecznie, ale i tak trudno. Niełatwo było słuchać rozmów przy stole. Mimo że nikt się nie spodziewał, że cokolwiek powiem. Niełatwo było siedzieć i patrzeć, jak inni żyją dalej jakby nigdy nic.

Szybko zaprzestałam wszelkich prób śledzenia któregoś z wątków rozmów, które toczyły się równocześnie przy dużym stole w jadalni. Rodzina Bena zawsze taka była – głośna i gadatliwa: jeśli bardzo się nie postarasz, żeby wtrącić swoich kilka słów, po prostu cię przegadają. Dzisiaj wieczorem nawet mi to nie przeszkadzało, bo i tak nie miałam nic do powiedzenia. Nie obchodzi mnie, jaki gatunek czy odmianę trawy powinni zdaniem Jeremy'ego wypróbować, aby poradzić sobie z problemem letniej suszy. Nie obchodzi mnie, jak bardzo Tabitha wścieka się na cenę makijażu permanentnego, choć jak na nią spojrzeć z drugiego końca stołu, człowiek się zastanawia, czy właśnie dlatego ma coś nie tak z twarzą. A już myślałam, że przesadziła z botoksem.

Wątpię, by ktokolwiek przy stole zauważył, że nic nie mówię. Że tylko siedzę, pijam wino i rozgrzebuję jedzenie na swoim talerzu.

Haley robiła dokładnie to samo: milczała i widelcem przesuwiała jedzenie po talerzu, udając, że je. Ale nie jadła.

Nagle ta myśl mnie martwi. Kiedy ostatnim razem widziałam, żeby coś jadła? Czy dlatego wygląda tak blado? Musi przecież coś jeść, prawda? Od śmierci Caitlin nie zjawiałam się na żadnym rodzinnym posiłku. Nie było żadnych rodzinnych posiłków od jej śmierci.

Muszę porozmawiać z Haley. Nie mogę tego dłużej odwlekać. Wiem to. Naprawdę zamierzałam to zrobić dziś po południu. Starłam się tylko opracować plan ataku. Zamiast tego ucięłam sobie drzemkę.

Pochylam głowę i opieram ją o rękę. Muszę się wziąć w garść. Muszę tylko...

Podskakuję z zaskoczenia, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Odruchowo wstaję.

– Julio! Tu Linda.

– Chwileczkę – mówię i spuszczam wodę, żeby się nie zorientowała, że tylko się tu chowam.

Drzwi się otwierają. Linda bezpardonowo wchodzi do łazienki. Oczywiście.

Mam ochotę się cofnąć, żeby nie naruszyła mojej przestrzeni osobistej, ale nie mogę się ruszyć. Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam zamknąć drzwi na zamek.

– Nic ci nie jest? – pyta, zamykając za sobą drzwi.

Teraz naprawdę zajęła moją przestrzeń. Ten akt agresji odbieram gorzej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Wtedy pomyślałabym: Och, Linda po prostu taka już jest. Narusza przestrzeń innych osób na okrągło. Ale teraz nie tylko narusza moją przestrzeń – narusza moją żalobę.

– Ee... – Robię krok w bok, podchodzę do umywalki i odkręcam wodę. – Nic mi nie jest.

– Chcę porozmawiać z tobą o Haley. – Zerkam na swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jak jędza. Jędza z siwymi odrostami. – Ben powiedział mi, że została wydalona. I o narkotykach.

Wyciskam odrobinę mydła na dłoń. Pachnie jak żel pod prysznic, którego używała Caitlin. Napawam się tym zapachem przez moment, a potem spoglądam na Lindę w lustrze.

– Czy Ben powiedział ci też, skąd wzięła percocet? – pytam.

– Masz na myśli to, że mi go ukradła? Owszem. Co znaczy, że jest nie tylko narkomanką, ale też złodziejką, prawda?

Bez pośpiechu spłukuję mydło z rąk. Rzadko sprzeczasz się z Lindą. Na pewno nigdy się z nią nie kłócę. Zawsze wmawiałam sobie, że nie wyrażam swojej niezgody otwarcie po to, żeby nie burzyć spokoju w rodzinie Bena. Ale teraz moja rodzina jest w rozsypce i szczerze mówiąc, dziś wieczorem mam Lindę w głębokim poważaniu.

– Czemu trzymasz w domu tyle percocetu? To środek objęty kontrolą.

Krzyżuje ręce na piersi. Jest drobną kobietą. I ładną, chociaż alkohol i prochy zaczynają odciskać na jej twarzy swoje piętno. Wygląda mizernie i blado. Ma wory pod oczami, choć nie są tak duże jak moje.

– To nie twoja sprawa. Ale jeśli musisz wiedzieć, mam receptę – mówi arogancko, jak zwykle, gdy ktoś jej się stawia. – Na ból pleców. Pamiętasz, miałam wypadek samochodowy. Ale mniejsza z tym. Nie uda ci się zmienić tematu rozmowy, Julio. Bardzo się martwię o Haley. Wszyscy się martwimy.

Odwracam się i opieram swój chudy tyłek o brzeg umywalki. Czuję perfumy Lindy. Jeden z zapachów Estée Lauder. Zdejmuję z wieszaka biały ręczniczek z wyhaftowaną żaglówką i wycieram dłonie.

– Ben mówi, że twoim zdaniem powinniśmy wysłać ją do szkoły z internatem.

Jej ręce wciąż są skrzyżowane. Przy zapachu świecy z jednej strony i perfum z drugiej ledwo wyczuwam od niej dżin. Nie wydaje się pijana. Oczywiście nigdy na taką nie wygląda. Gdybym ja wypila dziś tyle drinków, ile Linda wychyliła na moich oczach, już dawno leżałabym nieprzytomna pod stołem.

– Myślę, że to byłoby dla niej dobre. – Linda wwierca się we mnie spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Oczu Bena. – Jestem gotowa jej to sfinansować. W Oregonie jest kilka dobrych szkół. Szkół, które chętnie...

– Nie chodzi o pieniądze, Lindo – przerywam jej. – Nie zamierzam pozbywać się córki z domu. – Mówię z siłą, której faktycznie nie czuję. – Jak miałabym to zrobić po tym, co się stało... – Głos mi się łamie. Nie mogę powiedzieć: „po tym, co się stało z Caitlin”.

– Chodzi tylko o jeden semestr. – Linda przybiera łagodniejszy ton. – Góra dwa. Dzięki temu miałyby czas, żeby zastanowić się nad sobą w miejscu, gdzie byłaby bezpieczna. Możemy wysłać ją gdzieś, gdzie będzie pod stałym nadzorem, w dzień i w nocy. Bez dostępu do narkotyków. Bez złego wpływu rówieśników. Tylko nauka i dyscyplina. A czas spędzony przez nią poza domem ty i Ben moglibyście wykorzystać do pracy nad waszym małżeństwem.

– Nad naszym małżeństwem?

– Bądźmy szczerze, w tej chwili przydałoby mu się trochę starań z waszej strony, prawda?

Podnoszę wzrok.

– Co to ma znaczyć?

– Daj spokój, Julio, przecież wiesz, z kim rozmawiasz. Jestem matką Bena. Myślisz, że nie wiem, jak jest nieszczęśliwy? Myślisz, że nie wiem, że wasze małżeństwo się popsuło, jeszcze zanim straciliśmy Caitlin?

Zerkam na drzwi, zastanawiając się, czy po prostu stąd nie wyjść, ale Linda zagradza mi drogę. Żeby uciec, musiałabym ją przewrócić. Przypuszczalnie również ogłuszyć.

Wzdycha niby ze współczuciem, ale za dobrze ją znam. Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że po tylu latach nie nabiorę się na jej sztuczki?

– Wiesz, że Peter miał romans. Ben ci mówił? – To pytanie retoryczne. – Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, w jakim teraz jesteście ty i Ben. To wiek, kiedy w małżeństwie pojawiają się zdrady.

– Nikt z nas nie miał romansu, Lindo. – Wpatruję się w nią, podczas gdy jej słowa powoli do mnie docierają. – Czekaj... Chcesz powiedzieć, że Ben mnie

zdradza?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Chodzi o to, że udało nam się przez to przebrnąć. Poszliśmy na terapię małżeńską, obiecaliśmy, że będziemy dla siebie nawzajem lepsi. – Wzrusza ramionami. – Oboje zgodziliśmy się, że jeden skok w bok nie jest wart rozpadu naszego małżeństwa, naszej wspólnej firmy, naszego wspólnego życia. Odłożyliśmy tę sprawę na bok i postanowiliśmy żyć dalej. I to właśnie musicie zrobić ty i Ben. Musicie pogodzić się ze śmiercią Caitlin.

Wciąż jestem zafiksowana na zawartej w słowach Lindy insynuacji, że mój mąż ma romans. Jasne, między nami nie układało się ostatnio najlepiej, ale po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby mnie zdradzać. Tyle że chyba zaczynam to sobie wyobrażać. Czy to właśnie o to chodziło przez te miesiące przed śmiercią Caitlin? Dlatego tak często zostawał dłużej w pracy? Zaglądam Lindzie w oczy.

– Ta... rozmowa... jest... zakończona, Lindo. – Kładę nacisk na każde słowo, jednocześnie wyobrażając sobie, jak wracam do domu pogrzebowego Montgomery's, żeby wybrać trumnę dla męża. Po tym, jak go zabiję.

Linda nie rusza się z miejsca. Stoi wciąż z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Wiesz, kiedy Ben przyszedł, żeby mi powiedzieć, że poprosił cię o rękę, błagałam go, żeby jeszcze raz przemyślał swoją decyzję. – W moich oczach kręca się łzy. Nie wiedziałam o tym. Ben nigdy się nie przyznał. I nagle ogarnia mnie dziwna tkliwość wobec męża, której nie czułam od bardzo dawna. Wydaje się to kompletnym wariactwem, bo jeszcze sekundę temu myślałam, że mnie zdradził. – Powiedziałam mu, że chociaż moim zdaniem jesteś dość miłą dziewczyną, to nie pasujecie do siebie. Powiedziałam mu, że pochodzisz z takiej rodziny...

– Lindo – wtrącam, ale ona gada dalej:

– Nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy przynależć do prawdziwej rodziny. Nigdy nie...

– Lindo – powtarzam i unoszę dłoń. – To nie czas ani miejsce na tego rodzaju rozmowę. Właściwie nie wyobrażam sobie odpowiedniego momentu na to, co mi teraz mówisz. Ben i ja jesteśmy małżeństwem od dziewiętnastu lat. – Sięgam za nią i chwytam kłamkę. – Donikąd się nie wynoszę. Nie rozwodzimy się.

Kiedy naciskam kłamkę, nakrywa dłonią moją rękę.

– Musicie coś zrobić w sprawie Haley.

– Wiem. – Szarpię i otwieram drzwi.

– Zanim będzie za późno – dodaje już za moimi plecami.

– Dziewczyny? – wołam w przestrzeń głosem bliskim wrzasku. – Jesteście gotowe do wyjścia?

## ROZDZIAŁ 12

### IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Leżę na łóżku. Słucham, jak Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, odbija tę głupią piłeczkę o ścianę w swoim pokoju, i jednocześnie zastanawiam się, w co chciałabym być ubrana na własny pogrzeb. To był duży problem, kiedy Caitlin nam kojfnęła. Tata chciał, żeby miała na sobie niebieską sukienkę, którą miała na zakończenie ósmej klasy. Wyglądała jak coś, co założyłaby dziewczyna w moim wieku na herbatkę z królową angielską. Nie miała falbanek, ale równie dobrze mogłaby je mieć. Jestem pewna, że babcia kupiła jej tę sukienkę, a mama zmusiła Caitlin, żeby ją założyła. Nie wiem nawet, dlaczego Caitlin jej później nie wyrzuciła. Mama natomiast chciała zanieść do domu pogrzebowego ulubione dżinsy i T-shirt Caitlin.

Mnie nikt nie pytał o zdanie. Tej, która ją zabiła, też nie.

Rodzice właściwie nie kłócili się o strój, jaki mają założyć Caitlin w domu pogrzebowym. W ogóle mało się kłóca, w każdym razie z tego, co wiem. Ale tamtego dnia słyszałam, jak rozmawiają w jej pokoju po tym, jak zajrzeli do jej garderoby. Każde po prostu powtarzało, czego chce i dlaczego właśnie tego. Mama oczywiście dużo płakała. Nie mam pojęcia, czemu im tak zależało. Przecież i tak nikt nie widział, co miała na sobie, bo nie otwierano trumny. Ja też nie widziałam jej po śmierci, mimo że błagałam mamę, żeby mi pozwoliła. (Powiedziała, że to „niezdrowe”, cokolwiek to znaczy). Myślę, że głowa Caitlin była dosyć poturbowana w miejscu, którym uderzyła o jezdnię, po tym, jak wyleciała przez przednią szybę. W domu pogrzebowym po prostu ją spalono. Bo kremacja oznacza, że się kogoś pali. Sprawdziłam w słowniku. Piecze się człowieka w temperaturze siedmiuset sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Przez dwie, trzy godziny. Na YouTube jest film pokazujący, jak to robią. Oglądałam go czasem, jak nie mogę zasnąć.

Ciekawe, czy Caitlin zastanawiała się kiedyś, czy chce zostać upieczona po śmierci. Wątpię. Nie była taka dziwna jak ja. Nie myślała o takich rzeczach. Była, jak to się mówi, radosna i beztroska. Kto by nie był na jej miejscu? W końcu była wysoka, ładna, bystra i miała blond włosy. Nie rozmawiałyśmy nigdy o śmierci, chociaż kiedy zdechła mi złota rybka, Caitlin pomogła mi ją pochować pod niebieskim rododendronem za naszym domem. Przeczytała wtedy na głos wiersz Roberta Frosta. Pamiętam go, bo było w nim zdanie „Wszystko, co złote, krótko trwa”. Ten sam wiersz jest mottem *Outsiderów*, jednej z moich ulubionych

książek. Ale o tym, że umrzeć może człowiek, nigdy nie rozmawialiśmy w rodzinnym domu. Ani z Caitlin. Ani z mamą i tatą. Nie znałam nikogo, kto umarł, dopóki Caitlin nie przekreśliła się na tamtym skrzyżowaniu.

Pan Kot, który siedział na brzegu łóżka, teraz wdrapuje się na mnie i kładzie na moich piersiach. Głaszczę go, a on mruczy.

– Ominęły cię urodziny babci – mówię mu. – Stryjek Bruce się upił. Nowa dziewczyna stryjka Jeremy’ego dała babci naprawdę paskudny wieniec do powieszenia na frontowych drzwiach, a poza tym wszyscy ignorowali mamę, jakby jej tam nie było. Chyba dlatego, że poprzednio nie przychodziła na rodzinne kolacje i są na nią obrażeni. Na deser był sernik czekoladowy.

Pan Kot nic nie mówi, tylko dalej mruczy. Nie żebym się spodziewała, że coś powie. Wiem, że koty nie mówią. Ale mała wątpliwość gdzieś z tyłu głowy jednak jest. W końcu martwe siostry też nie powinny mówić.

Zamykam na chwilę oczy. Zastanawiam się, czy Caitlin jest ze mną teraz, w tej ciemności. Nie czuję jej obecności. Myślę o tym, czy jej nie zawołać, tak na wszelki wypadek, ale właściwie w tej chwili jej nie potrzebuję, więc nie wołam. Martwię się trochę, że może liczba jej wizyt jest jakoś ograniczona, a kiedy już wyczerpie ten limit, przestanie się zjawiać. Jak dżin w lampie spełniający życzenia. Zanim jej dusza odejdzie czy jakoś tak. Dlatego nie chcę ryzykować wzywania jej bez potrzeby.

– Aha – mówię za to do Pana Kota – i myślę, że mama i babcia pokłóciły się w łazience. – Całuję go w łebek, jego ucho łaskocze mnie w usta. – Nie mam pojęcia, co robiły razem w łazience za zamkniętymi drzwiami. Ja tylko...

Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Pan Kot i ja spoglądamy w ich stronę. Oboje gapimy się na drzwi. W pierwszej chwili myślę, że to Caitlin, ale szybko orientuję się, że to nie ma sensu, bo ona pewnie po prostu przechodzi przez drzwi, ściany i inne przeszkody.

Pukanie się powtarza. To na pewno ktoś żywy.

Drzwi się uchylają.

– Izzy? Nie śpisz jeszcze?

To mama. Bardzo się z tego cieszę. Ostatnio nie przychodziła do mojego pokoju.

– Nie śpię – odpowiadam głośnym szeptem.

Siadam na łóżku i spycham z siebie Pana Kota.

Mama wchodzi i zamyka drzwi. W pokoju jest ciemno, ale i tak ją widzę, bo tuż za moim oknem świeci mocny reflektor i nawet przy zasuniętych żaluzjach trochę blasku wpada przez szczeliny. Mama ma na sobie bawełniane spodnie sportowe i koszulkę z krótkim rękawem. To jej piżama. Przez chwilę stoi przy moim łóżku i na mnie patrzy. Nie widzę jej twarzy. A potem mnie zaskakuje – kładzie się obok mnie z głową na mojej poduszce.



– Zastanawiałam się, jak się miewasz – mówi szeptem. Odwraca się na bok, w moją stronę, i obejmuje mnie ramieniem.

Tuli mnie, a mi jest tak dobrze, że mam ochotę się rozplakać.

Pan Kot znowu się na mnie wdrapuje. Spycham go. Pomiaukuje, ale nie schodzi z łóżka.

– W porządku – odpowiadam szeptem, ale nie dlatego, że mama szepcze. Po prostu się boję, że gdybym odezwała się głośno, mama zniknęłaby, tak samo jak znika Caitlin.

Mama odgarnia mi włosy z twarzy, a potem znów ich dotyka. Jakby mnie głaskała. Nie przeszkadza mi to. Przeciwnie – to bardzo miłe. Zamykam oczy i biorę głęboki oddech. Mama chyba dziś rano się wykąpała, bo czuję zapach jej szamponu. Wcześniej rzadko się myła, więc od razu to zauważam. Ale w tym owocowym zapachu kryje się coś, czego nie potrafię opisać. To po prostu moja mama. Zapach, od którego robi mi się ciepło i przestaję się tak bardzo bać.

– Naprawdę, Izzy? – pyta i całuje mnie w skroń. – Na pewno w porządku? Powiedziałabyś mi, gdyby było inaczej? – Nie jestem pewna, o co właściwie pyta. Pewnie o to, jak sobie radzę z tym, że Caitlin wacha kwiatki od spodu. A może chodzi jej o szkołę. Albo o moich kumpli. W sumie mnie to nie obchodzi. Ważne, że się o mnie troszczy. Kiwam tylko głową, żeby zakłęcie nie przyszło, żeby mama nie rozplynęła się w mroku. – Jak tam dzisiejsza kolacja? W porządku? – Wciąż mnie głaszcze, a ja zamykam oczy.

Znowu kiwam głową.

– A ty jak się tam czułaś? – szepczę. Nie odpowiada od razu, więc mówię: – Nie wyglądałaś na zadowoloną. – Milczę przez chwilę, a potem dodaję: – Co takiego powiedziała ci babcia w łazience? Słyszałam, że się kłóciłyście.

– Nie nazwałabym tego kłótnią. – Teraz ja milczę. – Słyszał nas ktoś jeszcze? – pyta mama.

Kręcę głową.

– Myślę, że tylko ja. Nie szpiegowałam was ani nie podsłuchiwałam. Po prostu poszłam do kuchni po więcej soku z granatu i wtedy was usłyszałam.

Toaleta w domu babci znajduje się między kuchnią i salonem.

Mija dużo czasu, zanim mama znowu się odzywa. Pan Kot wyciąga się obok mnie na brzegu łóżka. Mruczy naprawdę głośno.

– Przykro mi, że musiałaś to usłyszeć – mówi wreszcie mama.

– Nie słyszałam, co mówiłyście... tylko wasze głosy. Jakby babcia mówiła ci, co powinnaś robić. Babcia często tak mówi. Na przykład uważa, że powinnam nosić krótkie włosy. Powiedziałam jej, że wyglądałabym wtedy głupio, ale za każdym razem, jak się widzimy, odgarnia mi włosy do tyłu i mówi, że dobrze pasowałyby do mojej okrągłej buzi. Uważa, że jestem gruba i mam tłustą twarz.

– Nie masz tłustej twarzy – szepcze mama. – Masz piękną twarz, moja

Isobel.

Znowu mnie całuje.

Czuję, jak łzy cisną mi się do oczu. Przelykam ślinę. Mam ochotę powiedzieć jej, jak się cieszę, że do mnie przyszła. Chcę jej powiedzieć, jak bardzo za nią tęskniłam, odkąd Caitlin się zawinęła. Czułam się tak, jakby mama też umarła. Ale nie chcę, żeby zrobiło jej się przykro, więc milczę. Wystarczy spojrzeć jej w twarz, żeby to zobaczyć. Czasami wygląda tak kiepsko, że mam wrażenie, że ona też może umrzeć. Umrzeć z żalu. Nie wiem, czy to prawda, ale słyszałam o takich zdarzeniach. A wiem, że mama bardzo cierpi po stracie Caitlin. Caitlin była jej ulubienicą. Była najładniejsza. Najbystrzejsza. I nie była dziwna.

Haley i ja czasem droczyłyśmy się z Caitlin, mówiąc, że jest ulubioną córką rodziców. Księżniczką w różu, jak przezywała ją Haley. Było to dosyć zabawne, bo Caitlin i Haley bardzo się przyjaźniły, ale kiedy najeżdżałyśmy na Caitlin, to Haley i ja byłyśmy w jednej drużynie. Nigdy nie przeszkadzało mi, że Caitlin była ulubienicą rodziców, i myślę, że Haley też nie miała nic przeciwko, bo jakby dzięki temu presja oczekiwań w stosunku do nas była mniejsza. Miałyśmy więcej luzu. Nigdy nie przejmowałam się tym, że nie jestem ładna, bo Caitlin była śliczna za nas wszystkie. I uważałam, że to okay, że jestem dziwna, bo nie byłam księżniczką w różu. Myślę, że Haley nie odważyłaby się malować oczu tak mocno i chodzić na kółko teatralne, gdyby to ona musiała robić za rodzinną księżniczkę.

– A jeśli chodzi o tę rozmowę z babcią, to rozmawiałyśmy o... – odzywa się mama. – Rozmawiałyśmy...

– O niej – dopowiadam z odrazą w głosie. „Odraza”. To też słowo, które mamy za zadanie włączyć do swojego słownictwa.

– O Haley – poprawia mnie mama.

– Bo wywalili ją ze szkoły? – pytam. – I dlatego, że jest wariatką?

– Twoja siostra nie jest wariatką.

– Jest kompletnie pierdolnięta – mówię, zanim zdążę się powstrzymać. Patrzę na mamę z obawą, bo pewnie dostanie mi się za to przekleństwo. Zwykle nie używam tego słowa, tylko mówię „pieprznięta”.

Ale mama nie mówi nic na ten temat. W ogóle przez chwilę nic nie mówi, a jak już się odzywa, to tak, jakby mówiła bardziej do siebie niż do mnie:

– Haley nie jest wariatką... Ona po prostu bardzo... cierpi.

Zastanawiam się przez moment.

– No, to moglibyśmy ją posłać do szkoły w Szwajcarii – podsuwam z nadzieją. Oglądałam film dokumentalny o Alpach. Jeden gość, Hannibal, próbował przekroczyć te góry z armią na słoniach. Nie skończyło się to zbyt dobrze. – Mogłoby jej się tam spodobać, a my moglibyśmy ją odwiedzać i jeździć na nartach.

Mama się śmieje. Ja też się uśmiecham i żałuję, że nie przychodzi mi do

głowy już nic zabawnego, co znowu by ją rozśmieszyło. Uwielbiam jej śmiech. Brzmi jak śmiech Caitlin. Chociaż pewnie powinnam powiedzieć odwrotnie: śmiech Caitlin brzmiał jak śmiech mamy.

– Nie wyślę Haley do Szwajcarii. Nie wyślę twojej siostry donikąd, Izzy. Jej miejsce jest z nami. Teraz bardziej niż kiedykolwiek – dodaje tak cicho, że muszę wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć.

Na szczęście mam dość rozumu, żeby trzymać buzię na kłódkę. Mama też nie odzywa się przez dłuższą chwilę. Ogarnia mnie senność. Mama jest taka ciepła i tak ładnie pachnie, a Pan Kot ciągle mruczy.

Z jednej strony wolałabym spędzić więcej czasu z mamą, ale w końcu się poddaję i zasypiam z myślą, że gdybym z jakiegoś powodu miała dziś w nocy kopnąć w kalendarz, to byłoby to idealne ostatnie doświadczenie.

## ROZDZIAŁ 13

JULIA

49 dni

Cicho zamykam za sobą drzwi od pokoju Izzy i opieram się o nie plecami. Zostałam z nią, aż zasnęła. Tak dobrze było poczuć ją w ramionach, jej ciepłe i miękkie ciało. Przypomniały mi się czasy, kiedy była niemowlęciem i spała mi na rękach, wtulona we mnie. Izzy jest tą córką, której dzieciństwo pamiętam najlepiej, nie dlatego, że była dla mnie najważniejsza, ale dlatego, że wiedziałam, że to moje ostatnie dziecko. Po tym, jak ją urodziłam, kazałam sobie podwiązać jajowody, w związku z tym miałam podwyższoną świadomość kluczowych momentów jej rozwoju, podwyższoną świadomość, że po raz ostatni przeżywam takie chwile jako matka: ostatni raz biorę na ręce swoje nowo narodzone niemowlę, ostatni raz karmię piersią, ostatni raz patrzę, jak moje dziecko stawia pierwsze kroki.

Izzy była taka szczęśliwa, że do niej przyszłam, że położyłam się obok niej. Kiedy stoję w ciemnym korytarzu, zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało mi mojej małej Isobel. Oczywiście ona też bardzo za mną tęskniła.

Ogarnia mnie poczucie winy. Zatraciłam się w swoim cierpieniu do tego stopnia, że nie poświęcałam dość uwagi najmłodszej córce. Zabawne, że ta myśl nachodzi mnie tak nagle. Wydaje mi się, że nie położyłam się do łóżka z Izzy ani nie zaprosiłam jej do swojego od prawie dwóch miesięcy, odkąd zmarła Caitlin. Jak to możliwe, że nie dostrzegłam, jak bardzo mnie potrzebuje?

Wiem, jak to możliwe. Cierpienie zaślepiało mnie do tego stopnia, że nie dostrzegałam Izzy. Teraz czuję się przez to paskudnie. Zawsze byłam dumna z faktu, że jestem dobrą matką. Ale jaka matka porzuca emocjonalnie swoją najmłodszą córkę podczas takiej tragedii? Caitlin była moją córką, ale była też siostrą Izzy.

Idę w głąb korytarza, przystaję przed drzwiami Haley i nasłuchuję. Czasami słyszę, jak w nocy rozmawia przez telefon z przyjaciółmi, ale dzisiaj jest cicho. Za cicho? Ogarnia mnie panika. Jest w swoim pokoju czy znów uciekła? Czy powinnam okratować jej okno? Otwieram drzwi bez pukania. Ciemno. Inaczej niż u Izzy, przez szczeliny w żaluzjach nie przedostaje się światło. Haley powiesiła sobie w oknach grube zasłony. Podchodzę do łóżka i kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, dostrzegam zarys jej postaci. Śpi na boku, z ramionami oplatającymi jasek. Słucham jej cichego, równego oddechu i przypominam sobie, jaka była we wczesnym dzieciństwie. Była małym wrzaskunem. Nie chciała jeść.

Nie chciała spać. Była moim trudnym dzieckiem od samych narodzin. Na dowód tego mam bliznę po nacięciu krocza.

Ale kiedy się nie darła, była taka piękna. Ciekawska i pełna życia. Uśmiecham się smutno i wycofuję z jej pokoju, zamykając za sobą drzwi. Muszę z nią porozmawiać. Musimy przedyskutować, co dalej począć. Ale już nie dzisiaj. Nie zrobię jej tego. Nie skradnę jej spokoju, jaki przynosi tylko sen.

W korytarzu słyszę dźwięki telewizora. W ciemności widzę błysk światła, które dociera z dużego pokoju. Ben wrócił z imprezy u matki godzinę po nas i ruszył prosto na swój fotel, po drodze zabierając z lodówki dwa piwa.

Stoję w korytarzu niezdecydowana. Iść do łóżka? Czy porozmawiać z mężem w cztery oczy i zapytać, czy uprawiał seks z inną kobietą? Niezły dylemat. Łóżko mnie wzywa. Nie płakałam od wielu godzin. Poza tym czy naprawdę chcę się dowiedzieć, czy posuwa inną? Bo jeśli mam być szczerą, myślę, że czasem lepiej nie wiedzieć. A jak się dowiem, że faktycznie mnie zdradza, to co? Jestem prawie pewna, że mogę poradzić sobie tylko z jedną katastrofą życiową jednocześnie.

Czuję chłód drewnianej podłogi pod bosymi stopami. Spoglądam w stronę dużego pokoju. Naprawdę chcę po prostu wgramolić się do swojego łóżka i schować przed całym światem. Może nawet nakryć głowę kołdrą i wyprzeć ze świadomości wszystko, co się dzieje w tej chwili w pozostałych pokojach tego domu. Straciłam dziecko. Już nigdy więcej nie powinnam być zmuszona do radzenia sobie z jakimikolwiek innymi problemami, prawda? Z żadnymi problemami rodzinnymi. Z żadnym szefem, który zasypuje mnie mejlami i zostawia wiadomości głosowe. Tak naprawdę myślę, że niesprawiedliwością byłoby oczekiwanie po mnie, że kiedykolwiek będę musiała stanąć w kolejce w sklepie. Albo zapłacić w restauracji za sushi.

Mimo wszystko zmuszam się do zrobienia najpierw jednego kroku, a potem kolejnych i kieruję się w stronę tańczącego blasku telewizora.

W dużym pokoju zatrzymuję się za kanapą. Ben ogląda coś o budowie rzecznych tam. Narrator opowiada o tamie San Roque na Filipinach. Na ekranie pojawiają się kolejne obrazy.

Spoglądam na męża. Biorę głęboki oddech i obchodzę kanapę dookoła. Nie jestem pewna, czy emocjonalnie jestem w stanie przeprowadzić taką rozmowę, ale nie mogę tak po prostu odpuścić. Nie mogę pójść spać bez zapytania go o to, co powiedziała mi jego matka. Albo czego mi nie powiedziała.

– Hej – mówię cicho.

Patrzy na mnie. Wygląda na zaskoczonego. Jakby to nie był mój duży pokój. W pewnym sensie ostatnio nie był.

– Hej – odpowiada, pochylając się do przodu.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Okay... – Jego twarz natychmiast przybiera ten potulny wyraz, który tak dobrze znam, jakby pytał: „Co tym razem przeskrobałem?”. Ale wszyscy faceci mają tę minę w swoim repertuarze, prawda?

Siadam na brzegu kanapy obok niego. Zabawne: zdawałoby się, że w takiej chwili będę mówić podniesionym głosem. Krzyczeć i miotać oskarżenia. Tymczasem nic z tych rzeczy. Kiedy się odzywam, głos mam bardzo spokojny:

– Twoja mama zdybała mnie dziś w łazience. W łazience, Ben. Po prostu wlała mi do klopa.

Ben stęka przeciągle.

– Przykro mi. Wiem, że nie zawsze umie uszanować granice ludzkiej prywatności. Ma dobre intencje. Bardzo martwi się o Haley. – Nie sądzę, żeby Linda miała dobre intencje, ale zachowuję tę myśl dla siebie. Już dawno nauczyłam się nie wdawać w spory, na które nie mam ochoty. A dziś wieczorem nie o ten spór mi chodzi. – Chce tego, co dla Haley najlepsze – ciągnie dalej Ben. – A to, co mówi, mówi...

– Powiedziała, że masz romans – wypalam.

– Co?

Gwałtownym ruchem bierze ze stolika pilota i strąca butelkę po piwie.

Podnoszę butelkę, a Ben ścisza telewizor. Ogromna tama wypełnia ekran telewizora i w pokoju robi się jaśniej.

– Nie mam żadnego romansu, Jules. – Bierze mnie za rękę, co mnie zaskakuje.

Spoglądam mu w twarz. Chcę mu wierzyć. Kiedy patrzę mu w oczy, wciąż widzę faceta, w którym zakochałam się przed laty.

– Przysięgam ci – mówi Ben. – Co jej, do cholery, strzeliło do głowy, że powiedziała coś takiego?

Moje palce splatają się z jego palcami. W pierwszym odruchu chcę mu wierzyć. Ben ma swoje wady, ale nie jest kłamcą. Nawet jeśli próbuje kłamać, kiepsko mu to wychodzi. Już na wczesnym etapie małżeństwa, kiedy parę razy chciał mnie oszukać w jakichś błahych sprawach, oboje przekonaliśmy się, że nieszczerść mu nie służy.

Wzdycham. Wierzę mu, ale nie chcę być głupia. Mnóstwo żon widzi tylko to, co chce widzieć. Nie zamierzam być taką kobietą. I nie będę.

– Czemu miałyby mówić coś takiego, skoro nie ma nic na rzeczy? – pytam, wciąż na niego patrząc.

Przeklina pod nosem.

– Rzeczywiście powiedziała ci, że cię zdradzam?

Zastanawiam się nad tym, co Linda powiedziała mi dziś w łazience.

– Nie – wyznaję. – Ale chciała, żebym pomyślała, że to mówi. Że mnie zdradzasz, że mnie zdradziłeś. Jedno albo drugie. Znasz swoją matkę. Wiesz, jaka

potrafi być: insynuować bez mówienia wprost.

– Nie zdradzam cię, Jules. – Patrzy mi prosto w oczy. – Nigdy cię nie zdradziłem przez te dwadzieścia lat. Przysięgam. – Marszczy brwi. – Matka była pijana. Wiesz, że była. – Teraz skrzywienie warg. – O czym, do diabła, gadałyście, że coś takiego wypłynęło w rozmowie?

Jestem zbyt zmęczona, by odwrócić wzrok. Mimo że chcę. Bo wolałabym nie mówić mu tego prosto w twarz. Przyznać się przed nim... ponieważ wtedy przyznawałabym się przed samą sobą.

– O godnym pożalowania stanie naszego małżeństwa – mówię jednak. – Myślę, że w ten sposób chciała mi dodać animuszu. Opowiadała mi o tym, jak twój tata ją zdradzał, i o tym, jak udało im się przez to przejść i naprawić swoje małżeństwo.

– Może chciała tylko dać ci do zrozumienia, że możemy przejść przez... no wiesz, śmierć Caitlin.

– Może.

Zerkam na telewizor. Oboje zerkamy.

Leci reklama, w której kobieta i mężczyzna jadą kabrioletem, romantycznie wpatrzeni w siebie nawzajem. Zastanawiam się, dlaczego wszystkie reklamy dotyczące zaburzenia erekcji pokazują młode kobiety w towarzystwie starszych mężczyzn.

– Ale czemu w ogóle miałyby sugerować coś takiego, skoro nie ma w tym ani krzty prawdy? – pytam go.

Ben kręci głową.

– Nie wiem, Jules.

– Flirtowałaś z kimś? W pracy? Z klientką? Może ktoś flirtował z tobą?

Wciąż kręci głową.

– Nic z tych rzeczy. Ja miałbym cię zdradzać? To największa bzdura, jaką słyszałem. Nigdy bym tego nie zrobił. Znasz mnie, Jules – teraz mówi urażonym tonem. – Wiesz, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

– W tej ciasnej łazience upchnęła naprawdę sporo informacji – ciągnę. – Powiedziała mi też, że radziła ci, żebyś się ze mną nie żenił. Że ostrzegła cię, że nasze małżeństwo nie przetrwa.

Ben stęka. Zamyka oczy i przesuwając dłoń po twarzy. Ale wciąż trzyma mnie za rękę. I zaczynam dostrzegać promyczek nadziei. Czułam, że jestem tak daleko od Bena, od naszego małżeństwa, tak długo. Zapomniałam już o intymności wspólnych rozmów w ciemnym pokoju. A wszystko zaczęło się od oskarżenia o niewierność. Zabawne.

Ben opuszcza rękę.

– Przykro mi. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. To były jej urodziny. Za dużo wypija. Wiesz, że jak za dużo wypije, robi się wredna.

Patrzę na niego. Jesteśmy małżeństwem wystarczająco długo, żebym wiedziała, co myśli. Rozmawialiśmy już o problemie alkoholowym jego matki. Wielokrotnie. Ben albo zaprzecza, że problem istnieje, albo stwierdza, że nikt nie jest w stanie nic na to poradzić aż do czasu, gdy Linda sama przyzna, że ma problem. Tak czy inaczej, dalsza nasza rozmowa na ten temat byłaby jałowa.

– To rzeczywiście wredne z jej strony, że mi to powiedziała. – Zaciskam wargi. – Nie pojmuję, czemu chce mnie zranić, Ben. – Głos mi się załamuje. – Czy nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo już cierpię? – Łzy kręcą mi się w oczach, ale na szczęście udaje mi się je zatrzymać. Nie chcę płakać. Mam już dość tego, że tak się czuję.

– Chodź tu – szepcze Ben, ciągnąc mnie za rękę.

Trochę niezdarnie siadam mu na kolanach i kładę głowę na jego barku. Oplata mnie ramionami i po prostu tuli. Kiedyś robiliśmy to na okrągło. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem.

– Nie uprawiałeś seksu z inną kobietą? – szepczę.

– Zastanów się nad tym logicznie. Z kim? Kiedy? Wiesz, jak długo codziennie pracuję. No tak, już wiem. Z Margie – naigrawa się.

Margie to jedna z pań pracujących w biurze rodzinnego przedsiębiorstwa Maxtonów. Dobia siedemdziesięciu pięciu lat i klnie jak szewc. Nie mogę zdobyć się na śmiech, ale przynajmniej się uśmiecham.

– Och, Ben...

Całuje mnie w skroń. Może nie jest to wstęp do romantycznych igraszek, ale najbardziej intymny gest, na jaki którekolwiek z nas się zdobyło od dawna. Jest mi przyjemnie. Zaczynam się znowu czuć jak żywy człowiek. Znowu chce mi się żyć.

– Straciłaś na wadze – szepcze, kładąc dłoń na moim biodrze i zsuwając ją na pupę. – Musisz zacząć jeść. Żeby mieć siłę.

– Nie żebym nie miała zbędnych kilogramów – mruczę.

Ben wzdycha i głaszcze mnie po plecach. Zamykam oczy.

– Wciąż nie porozmawialiśmy o Haley – mówi po kilku sekundach. – Musimy się zastanowić, co z nią zrobić.

Z zamkniętymi oczami leżę zwinięta w kłębek na jego kolanach.

– Wiem. Po prostu nie mogę... ja nie... – Biorę głęboki oddech. – Ben, bez względu na to, czy to najlepsze rozwiązanie dla samej Haley, nie mogę odprawić jej z domu. Nie mogę jej wysłać do szkoły w Szwajcarii.

– W Szwajcarii? O czym ty, do cholery, mówisz?

Otwieram oczy i widzę, że na mnie patrzy.

– To pomysł Izzy. Chce jeździć na nartach w Alpach.

– Nadal nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wzdycham i znowu zamykam oczy, kładąc głowę na jego barku. W jego oddechu czuję zapach piwa, ale nie przeszkadza mi to.



– Nie odprawię Haley do szkoły z internatem. Nie ma mowy, żebym się na to zgodziła. Ale Linda może mieć rację, sugerując, że Haley potrzebuje zmiany otoczenia.

– Co? Wakacje? – Ben sprawia wrażenie wkurzonego. Łagodność wyparowuje z jego głosu jak za dotknięciem różdżki. – Wywalili ją ze szkoły za posiadanie narkotyków, a my wyślemy ją na wakacje do Europy? Nie mogę wyrwać się z pracy, Jules. Wiesz, że o tej porze roku mamy urwanie głowy. Jest wiosna i...

– Ben – przerywam mu. – Nie mówiłam o wakacjach dla Haley. – Wyprostowuję się. Teraz sama jestem trochę wkurzona. Czemu przestaliśmy rozumieć się bez słów? Jak załagał mi się w głowie pomysł, że według mnie rozwiązaniem problemu są wakacje? Czy naprawdę tak słabo mnie zna? I dlaczego ta rozmowa tak szybko się zmieniała: z poważnej dyskusji o problemach Haley w gadaninę o jego pracy i o tym, na co nie może sobie pozwolić?

Daję sobie sekundę, żeby się uspokoić. Wiem, że złoszczenie się na Bena nie pomoże nam w wymyśleniu planu.

– Rozmawiałam z Laney i... zasugerowała, żebyśmy posłali Haley do niej. Nie mogę się na to zgodzić. To nie byłoby w porządku w stosunku do Laney, ale może... – Myślę teraz na głos. – Może Haley i ja mogłybyśmy... sama nie wiem. Pojechać do Laney w odwiedziny.

– Co? Polecieć tam na weekend czy coś takiego?

– No. Może. Nie wiem. – Jego ramiona już mnie nie oplatają i czuję się dziwnie. Niezdarnie wstaję z jego kolan i odwracam się do niego twarzą. – Pewnie na dłużej niż weekend. Albo... mogłybyśmy pojechać samochodem.

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Przejechać pięć tysięcy kilometrów do Maine?

– Cztery i pół tysiąca – mówię. – Sprawdzalam w mapach Google'a.

– Nigdy nie przejechałaś samochodem tak długiej trasy. Nie, nie zgadzam się. Za bardzo bym się niepokoił. – Kręci głową. – Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Jules. – Zastanawia się przez chwilę. – A co z Izzy? Przejazd na drugi koniec kraju zająłby wam co najmniej tydzień. Co zrobiłabyś z Izzy?

– Nic bym z nią nie zrobiła. Izzy po prostu została by w domu razem z tobą. Chodziłaby do szkoły, tak jak zwykle.

– Nie mógłbym wozic jej na zajęcia taekwondo ani nic takiego. Przecież dlatego uzgodniliśmy, że będziesz pracować tylko na część etatu. Żebyś mogła zajmować się takimi sprawami.

Biorę się pod boki.

– Przecież nie robię tego od dwóch miesięcy. – Ben tylko na mnie patrzy. – Gdybyśmy się na to zdecydowali, Izzy po prostu nie poszłaby na swoje treningi. Albo jeździłaby z mamą Ann. Twoja mama też mogłaby pomóc. – Podkreślam,

unosząc palec. – Oczywiście o ile da sobie spokój z popołudniowymi koktajlami.

Ben patrzy na mnie i kręci głową.

– No, nie wiem, Jules. Kiedy mówiłem, że musimy porozmawiać o Haley, miałem na myśli raczej... czy powinniśmy wysłać ją na odwyk, czy od razu umieścić w jakiejś szkole, a może zatrudnić prywatną nauczycielkę...

Wzdycham. Wlepiam wzrok w podłogę. Ben ma na nogach same skarpetki. Buty zostawił w pralni, tak jak zwykle. W jednej skarpecie ma dziurę na palcu. Dużą dziurę. Na tyle dużą, że paluch z niej wystaje.

– Nie wydaje mi się, żeby była uzależniona od narkotyków, Ben. Możliwe, że bierze coś od czasu do czasu, ale myślę, że nie z tym ma problem.

– Na jakiej podstawie tak uważasz?

Wzruszam ramionami.

– Bo ja wiem? Intuicja. Może instynkt macierzyński? – Wyraz jego twarzy nie pozostawia złudzeń: Ben nie podziela mojej wiary. – Pomyślałam po prostu, że gdybyśmy spędziły trochę czasu razem, z dala od jej kumpli, z dala od szkoły, mogłybyśmy... porozmawiać. – Odgarniam włosy i spoglądam gdzieś za niego. – Może dla mnie też byłoby to dobre, Ben. Wyrwać się stąd. Bo oboje wiemy... – przełamuję własny opór i spoglądam na męża – oboje wiemy, że nie mogę dłużej żyć w ten sposób. Nasze życie nie może dłużej tak wyglądać.

– I myślisz, że samotny rajd samochodem, tylko ty i Haley, pomoże ci w czymś? W poradzeniu sobie ze śmiercią Caitlin?

Tłumię płacz. Duszę w sobie cierpienie gotowe mnie pochłonąć.

– Może – szepczę. – Może... może uda nam się znaleźć drogę powrotną.

– Drogę powrotną dokąd?

Mówi to takim tonem, że robi mi się głupio. Czuję się naiwna. Ben ma rację. To zły pomysł. Zresztą skąd wzięło się we mnie przekonanie, że Haley zgodziłaby się wsiąść ze mną do samochodu i pojechać na drugi koniec kraju? Ledwie udaje mi się ją namówić, żeby pojechała ze mną do babci.

– To tylko taki pomysł, nad którym można się zastanowić – mówię z poczuciem porażki. – Taka możliwość.

Patrzymy na siebie. Bliskość, którą czułam parę minut temu, zniknęła. A może była tylko złudzeniem?

– Chyba się położę. – Kiwam głową w stronę sypialni. – Idziesz?

– Może za chwilę. – Bierze pilota. – Nie jestem jeszcze śpiący. Ale ty idź. – Celuje w telewizor i podkręca dźwięk.

Stoję przed nim jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy błagać go o to, by poszedł ze mną do łóżka. Nie chodzi o seks. Po prostu nie chcę być sama. Chciałabym się do niego przytulić. Żebyśmy razem się przytulili. Ale skoro on nie ma ochoty mnie objąć, nie ma ochoty ze mną być, to byłoby to z mojej strony dość żalodne, prawda? Że wciąż go pragnę?

Wychodzę z dużego pokoju, tłumiąc łązy, które dziś wieczorem wydają się innego rodzaju.

## ROZDZIAŁ 14

### HALEY

49 dni, 13 godzin

W niedzielny poranek człapię do kuchni. Właściwie jest niedzielne popołudnie. Dochodzi trzynasta. W domu cisza. Tata pojechał do pracy: podobno w niedzielę nadrabia w biurze papierkową robotę. Myślę, że mówi tak tylko po to, żeby nie spędzać dnia z nami. Mama pewnie leży w łóżku i płacze, ponieważ jej ulubiona córka nie żyje. Nie wiem tylko, gdzie podziewa się moja genialna siostrzyczka. Może jest na mszy. Czasami chodzi do kościoła z przyjaciółką, co jest dość zabawne, ponieważ nie jesteśmy katolikami. W ogóle nie jesteśmy wierzący. Ojczym mamy był jakimś nawiedzonym chrześcijaninem. Po opuszczeniu domu mama nigdy więcej nie poszła do kościoła. I nigdy nas tam nie zabierała.

Co wcale mi nie przeszkadza.

Podchodzę do lodówki. Nie ma w niej zbyt wiele, ale jest mleko. W szafce znajduję pudełko płatków śniadaniowych. Biorę miskę i łyżkę. Zanoszę to wszystko do stołu przy oknie. Na krzaku za szybą siedzi jakiś ptak. Gapi się prosto na mnie. Przeskakuje z gałązki na gałązkę i mi się przygląda. Ciekawe, jaki to gatunek. Gdyby Caitlin tu była, natychmiast wygugłałaby: „szary ptak z jasnożółtym brzuszkiem, wschodnia pustynia Mojave”. Caitlin co rusz robiła takie głupie rzeczy. Gdyby tu teraz była, dowiedziałaby się, jaki to gatunek ptaka, a potem przeczytałaby mi na głos hasło w Wikipedii.

Zastanawiam się, czy nie pójść do jej pokoju po jej iPada i jednak spróbować sprawdzić, co to za ptak. Potem zdaję sobie sprawę z tego, że to głupie. Gdyby była tu Caitlin, byłoby to zabawne, bo moja siostrzyczka Caitlin sprawiała, że wszystko było fajne. Ale gdybym miała to robić sama? Żenada.

Jestem już w połowie miski lekko zwietrzałych płatków golden graham, kiedy do kuchni wchodzi Izzy. Moja grubawa najmłodsza siostra ma na sobie szorty gimnastyczne, T-shirt i buty na wuf. Burzę kręconych rudych włosów spięła w kucyk wysoko na głowie. Za wysoko. Nigdy przedtem nie widziałam jej w takim stroju. Nie przepada za sportem. Chodzi na taekwondo chyba tylko dlatego, że jest jeszcze w takim wieku, że rodzice mogą ją zmusić do takich rzeczy, bo to niby zdrowe. Ale to gówno prawda. Uprawianie sportu, kiedy nie ma się do tego predyspozycji, wcale nie wychodzi dzieciakowi na zdrowie: czujesz się tylko jak jeszcze większa melepeta. Z naszej trójki tylko Caitlin była wysportowana. Ja nie uprawiam żadnego sportu od siódmej klasy, kiedy wypisałam się z drużyny

softballa, bo tak koszmarnie mi nie szło.

Zastanawiam się, czy zapytać Izzy, co robi w tych ciuchach, ale ostatecznie uznaję, że tylko niepotrzebnie strzępiłabym sobie język. Izzy i tak nie odpowie. Nie odezwała się do mnie ani słowem, odkąd Caitlin zginęła. Wiem, że jej zdaniem ten wypadek to była moja wina. Zresztą ma rację. Uważa, że gdybym wtedy nie siedziała za kierownicą, Caitlin wciąż by żyła. Prawdopodobnie w tym też ma rację. Ale nie wie wszystkiego. Żałuję, że nie mogę jej opowiedzieć. Żałuję, że nikomu nie mogę tego opowiedzieć. Wtedy może wszyscy nienawidziliby mnie trochę mniej. Ale po co? Caitlin nadal byłaby martwa. Więc niech już sobie wszyscy dalej myślą, że była idealna.

Mieszam łyżką płatki i obserwuję ptaszka za oknem. Wciąż przefruwa z gałązki na gałązkę i patrzy na mnie. Zastanawiam się, czy widzi mnie za szybą. Czy może widzi tylko swoje odbicie i to ono tak go interesuje, a nie ja.

Słyszę, jak Izzy otwiera lodówkę. Wyciąga sok pomarańczowy. Tata znów kupił nie ten sok, co trzeba. Kiedy następnym razem będę robiła listę zakupów, napiszę mu wołami i może jeszcze podkreślę wężykiem „bez mięszu”, żeby wreszcie nie zawałił. Izzy nigdy nikogo o nic nie prosi. Mógłby przynajmniej kupić jej taki sok, jaki lubi.

– Na dworze jest ptaszek, który na mnie patrzy – mówię. Macham łyżką przed szybą, ale ptaszek nie reaguje. Pewnie tego nie widzi, bo już by odleciał. Chyba że to ptasi wariat i zaraz wleci prosto na szybę, popełniając samobójstwo. – Widzisz? Nawet ładny. – Słyszę, jak Izzy pije duszkiem sok. Chyba jednak farfocle aż tak jej nie przeszkadzają, skoro tak dudli. – Ma szare upierzenie z odrobiną zieleni na grzbiecie. I jasnożółty brzuszek. – Nie patrzę na nią, bo wiem, że gdybym to zrobiła, prawdopodobnie natychmiast by sobie poszła. Nie chcę, żeby odchodziła. Nawet nie musi się do mnie odzywać. Chcę po prostu побыć razem z nią w kuchni przez kilka minut. Mam wrażenie, że ludzie zawsze wychodzą z pomieszczeń, w których akurat jestem. No bo kto chciałby się zadawać z siostróbójczynią? – Tak sobie myślałam – mówię głosem, który dziwacznie brzmi w moich własnych uszach – że gdyby Caitlin tu była, to wyszukałaby w Google, jak się nazywa ten gatunek ptaków. – Śmieję się pod nosem. – Pamiętasz, jak zawsze sprawdzała rozmaite dziwne rzeczy? Na przykład „czy pancerniki są jadalne”. Albo „ile drażetek mieści się w uncjowym opakowaniu emenemsów?”

W końcu zerkam na Izzy, bo zaczynam czuć się głupio, że tak gadam w próżnię. Pisze coś w notesie na blacie. Widzę, jak odkłada długopis i odnosi sok do lodówki. Wychodzi tylnymi drzwiami, przez pralnię, ani razu na mnie nie spoglądając.

Siedzę dalej, za jedyne go towarzysza mając ptaka za oknem, i dojadam swoje płatki. Właśnie wstaję od stołu, kiedy do kuchni wchodzi mama. Wygląda, jakby też dopiero się obudziła.

– Dzień dobry – mówi.

Włosy sterczą jej na wszystkie strony. Wygląda, jakby zdążyła się już rozplakać.

– Dobry – odpowiadam, odchodząc od stołu.

Nie mam pojęcia, co dzisiaj robić. Nie muszę odrabiać żadnych lekcji. To jedna z zalet wylecienia z budy. Ale czym się zająć? Zwykle w niedziele odrabiałam lekcje. Albo spotykałam się z kumplami. Teraz prawie na pewno mam szlaban. Mogłabym się znów wykraść przez okno, ale myślę, że lepiej się teraz nie wychylać. Dodge wydzwaniał do mnie i słał esemesy, więc zablokowałam połączenia od niego. Na szczęście nigdy nie powiedziałam mu, gdzie mieszkam. I kto jest teraz mądry, Caitlin?

Z kieszeni piżamowych bokserek wyciągam piłeczkę. Odbijam ją delikatnie, tylko na tyle, żeby wskoczyła mi z powrotem w dłoń. Robię się w tym niezła. Umiem dobrać siłę rzutu do konkretnej płaszczyzny odbicia, tak że piłeczka do mnie wraca.

Mama, z kubkiem do kawy w dłoni, opiera się o blat i czyta liścik.

– Izzy poszła pobiegać? – Rzuca okiem na zegar na mikrofalówce. – Właśnie poszła? Od kiedy ona biega?

Musiła zapisać w liściku godzinę. Ale z niej pedantka.

– Właśnie poszła – potwierdzam.

Mama spogląda na mnie i marszczy czoło.

– *Pobiegać?*

– Skoro tak napisała. – Odbijam piłeczkę. Łapię. – Więc chyba to właśnie robi. Mnie nic nie mówiła. – Odbijam. Łapię. – Nigdy nic mi nie mówi.

Mama wzdycha i odwraca się w stronę kawiarki, którą tata włączył rano, jeszcze przed wyjściem do pracy. Co rano zostawia mamie kawę, chociaż ostatnio ona rzadko ją pije.

– Musisz dać jej trochę czasu.

– Czasu. – Odbijam. Łapię. – Jasne – mówię znudzonym głosem. Jeszcze jedno ze słów z naszej listy.

Mama odwraca się gwałtownie i odstawia kubek na blat. Jej czoło znaczą drobne zmarszczki. Nie pamiętam, żeby miała zmarszczki. Zawsze była taka piękna. Może nawet piękniejsza niż Caitlin.

– Haley... skąd się wzięła ta piłeczka? – Odbijam. – Należała do Caitlin, prawda? – Zamyka na chwilę oczy. Otwiera je. – Pamiętam, jak odbijała tę różową piłeczkę. – Wskazuje na mnie palcem, wyraźnie próbując przywołać wspomnienie. – Nie wtedy. Parę dni wcześniej. Wybrałyśmy się na pizzę. Poprosiłam, żeby odłożyła tę piłeczkę i komórkę.

Nic nie mówię. Głównie dlatego, że boję się, że się poryczę. A nie chcę teraz ryczeć. Następnego dnia rano Caitlin wszędzie szukała tej swojej różowej piłeczki.

Wychodzę z kuchni, ciągle odbijając.

– Sprzątnij, proszę, ze stołu – mówi mama jakby nigdy nic, zanim udaje mi się dać dyla. – I odłóż mleko.

Ociągając się, wracam do stołu; po drodze odbijam piłeczkę, raz, drugi, trzeci. Mama nalewa sobie kawy. Chowam piłeczkę do kieszeni i zanoszę mleko do lodówki. Wkładam miskę i łyżkę do zlewu.

Mama wychodzi z kuchni.

– Opłucz i wstaw do zmywarki – woła, nie zatrzymując się.

Puszczam wodę z kranu. Jestem wkurzona, choć nawet nie wiem dlaczego. Logicznie rzecz biorąc, ogarniam, że nie powinnam zostawiać miski z mlekiem i płatkami na stole albo w zlewie, aż zrobi się syf, ale chyba nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić. Kiedy sięgam po miskę, moczę sobie rękaw. Ale ze mnie ćwok. Podwijam oba rękawy, zastanawiając się, czemu właśnie mi dostały się geny głupoty. Caitlin była taka bystra, a Izzy... Izzy jest tak bystra, że aż strach. Więc czemu...

– Chciałam cię jeszcze zapytać – mama wraca do kuchni – czy zamierzasz...

Urywa w pół zdania, zupełnie jak w filmach. I nagle sama też czuję się tak, jakbym była w filmie. Tak jakby czas zwolnił. Myślę szybko, naprawdę szybko, ale poruszam się zbyt wolno. Tak jakby moje ciało nie odbierało sygnałów z mózgu dostatecznie prędko. Sygnał z mózgu wrzeszczy: „Rękaw! Rękaw, idiotko!”. Prawą ręką sięgam, żeby opuścić lewy rękaw, ale mam wrażenie, jakby trwało to całą wieczność.

Mama, z kubkiem kawy w dłoni, stoi w drzwiach i się gapi. Ma na sobie jedną z tych radosnych koszulek Caitlin, a pod spodem żadnego stanika. Nagle uświadamiam sobie, że zrobiła się naprawdę chuda. Kiedy tak wychudła? To znaczy nigdy nie była gruba, ale wcześniej nie widziałam, żeby tak sterczały jej obojczyki.

– Haley. – Mówi półszepsem, na wpół płacząc. Robi mi się strasznie przykro, bo ma w oczach coś takiego, że po prostu boli mnie, jak na nią patrzę, boli tak bardzo, że aż kręci mi się w głowie. Jakbym miała zemdleć. Wiem, jakie to uczucie, bo zemdlałam tamtej nocy, gdy zginęła Caitlin. Od razu, na środku jezdni. Kiedy się ocknęłam, leżałam na noszach, a sanitariusze mówili do mnie powoli, jakbym miała dwa lata albo uszkodzenie mózgu.

– Haley, coś ty zrobiła? – Idąc w moją stronę, mama odstawia kubek na brzeg blatu. Mam wrażenie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Tylko woda leje się normalnie. Po prostu leci z kranu mocnym strumieniem.

Mama chwyta mnie za lewą rękę. Próbuję się wyrwać, ale jest za silna. Znacznie silniejsza, niż mogłabym przypuszczać. Trzyma mnie i podciąga rękaw.

Obie spoglądamy w dół na moje ramię i odnoszę dziwne wrażenie, jakby to nie było moje ramię. Jakby to było ramię kogoś innego. Bo nie wygląda jak moje.

Zrobiło się brzydkie, usiane wypukłymi szramami. Bliznami. I czerwonymi krechami, z których sączy się krew. I białymi gazikami przyklejonymi taśmą pakową, bo nie mogłam znaleźć żadnych plastrów w naszej łazience w szafce pod umywalką, gdzie powinny być. To takie dziwne, bo pamiętam, jak odrywałam kawałki taśmy pakowej, ale nie pamiętam, żeby moja ręka tak wyglądała.

– Och, Haley, kochanie... – szepcze mama i podnosi na mnie wzrok. W jej oczach stoją łzy. – Coś ty sobie zrobiła?

– Nie wiem – słyszę własną odpowiedź takim samym ściszym głosem. Bo naprawdę nie wiem.



## ROZDZIAŁ 15

JULIA

50 dni

Stoję tak przez sekundę, trzymając Haley za nadgarstek i wpatrując się w jej przedramię poznaczone świeżymi jaskrawoczerwonymi kreskami blizn i ran. Czuję się, jakbym brnęła przez gęste błoto, podczas gdy mój mózg stara się zidentyfikować to, co widzę. Myślę, że wiem, co to jest. Instynkt macierzyński, zrodzony w chwili, gdy Haley złapała swój pierwszy oddech, podpowiada mi to. Ale nie chce mi się wierzyć. Wolę myśleć, że to pomyłka. Nieporozumienie.

Moja bystra, uparta, silniejsza niż ja córka nie może się okaleczać.

Tłumię łzy. Duszę je w sobie. Haley próbuje mi się wyrwać, ale jej nie puszczam. Już nigdy jej nie puszczę.

– Ty to sobie zrobiłaś? – Czemu w ogóle o to pytam? Przecież znam odpowiedź. – Haley, dlaczego?

Jej oczy są pełne łez.

– Przykro mi. Przepraszam, mamó – powtarza jak mantrę.

Bardzo delikatnie dotykam palcem zaschniętej krwi na jej ramieniu. Nie mam pojęcia, po co to robię. Żeby przekonać się, że jest prawdziwa?

Jest, jak najbardziej.

Mam ochotę zerwać jej z ręki kawałek gazy – przyklepiony czymś, co wygląda jak taśma pakowa. Taśma pakowa?! Ale boję się to zrobić.

– Haley... – szepczę znowu.

– Puść mnie. – Wrywa mi się, usiłuje się wyswobodzić. Tak jak wtedy, gdy była raczkującym maluchem. Haley zawsze była nieposłuszną dziewczynką. Hardą, jak zawsze mawiałam. Kiedyś żartowałam, że pewnego dnia jej się to w życiu przyda: buntownicza kobieta w świecie, który wciąż w dużej mierze należy do mężczyzn. Co bym teraz dała za odrobinę uległości.

Trzymam jej nadgarstek w jednej dłoni, a drugą łapię ją za łokieć.

– Przestań, Haley. Musisz przestać robić krzywdę sobie i mnie. Przestań! – mówię tak głośno, że głos odbija się echem w mojej głowie. I Haley przestaje. – Tniesz się? – Spoglądam w mokrą od łez twarz. Ledwie mogę oddychać. Ale muszę, dla Haley. Dla mojego ukochanego, krnąbrnego dziecka, krwi z mojej krwi, kości z kości. Bo w tej chwili zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, co zrobiła, wciąż jest moim dzieckiem, z mojego ciała i mojej duszy. Wartym nie mniej niż moja Caitlin. Kochanym nie mniej niż Caitlin, której nigdy więcej nie wezmę

w ramiona tak, jak teraz trzymam Haley. – Czemu mi nie powiedziałaś? – naciskam. – Czemu do mnie nie przyszałaś?

Odwraca ode mnie głowę, jakby nie była w stanie dłużej na mnie patrzeć.

– A co miałabym powiedzieć? – Zaciska mocno usta, jej wargi zupełnie tracą kolor. Jest taka chuda. Taka blada. Kiedy do tego doszło? Jak? – I tak byś mnie nie usłyszała. Nikt mnie już nie słyszy. – Ostatnie słowa wypowiada szeptem.

Puszczam jej rękę i biorę ją w ramiona.

– Przepraszam – mówię, tuląc jej chude ciało do swojego. Kości do kości. – Tak mi przykro.

– Puszczaj!

Odpycha mnie i znów próbuje się wyrwać. Szarpie się ze mną tak mocno, że tracę równowagę. Lecę na bok i klękam na jedno kolano, żeby nie upaść, ale ciągnę ją ze sobą. Nie puszczę.

Uderzenie o kafelkową podłogę chyba jest dla niej wstrząsem, bo przestaje się siłować. Ładuję tyłkiem na twardej podłodze i przesuwam się tak, żeby oprzeć plecy o wyspę, ani na chwilę nie puszczając córki.

– Już w porządku – mruczę. Jedną dłonią głaszczę ją po włosach, drugą wciąż ją trzymając. – Jak długo to trwa? Od kiedy to sobie robisz, Haley? – Głos mi drży, ale się nie rozklejam. I się nie rozkleję. Nie rozkleję się, bo gdzieś w głębi duszy wiem, że gdybym się rozkleiła, utraciłabym dziecko. Drugie dziecko. Po czymś takim już bym się nie pozbierała. Więc się nie rozkleję, do jasnej cholery, mowy nie ma! Wiem, że już nigdy nie będę tą samą osobą, którą byłam przed śmiercią Caitlin – to po prostu niemożliwe. Tamta Julia zniknęła i zmieniła się w proch razem z ciałem córki. Ale coś mi mówi, że znów mogę być kimś. Nie wiem kim... Na pewno matką. Matką Haley. Matką Izzy. Kołyszę się na boki. Haley opuszcza głowę i kładzie mi ją na ramieniu. – Wszystko będzie dobrze – szepczę.

Z jej rozedrganych ust wyrywa się łkanie.

– Nie. Nigdy nie będzie dobrze. Ona nie żyje, mamó. Caitlin nie żyje.

Kołyszę ją dalej tak jak wtedy, gdy była mała. Co rusz się przewracała i obijała. Kiedy miała kilka lat, musiałam co tydzień kupować nową paczkę plastrów. To właśnie ona złamała sobie rękę, kiedy miała sześć lat i próbowała sfrunąć z górnego łóżka piętusa, na którym spały z Caitlin w naszym starym domu. To jej trzeba było założyć trzy szwy na podbródku, kiedy spadła ze zjeżdżalni na placu zabaw.

Spoglądam na nią i widzę blady zarys blizny po tamtym upadku, gdy miała osiem lat. Całuję jej ciemną głowę. Kołyszę ją i kołyszę. Wydaję ściszone dźwięki, które może zrozumieć tylko dziecko.

Nie wiem, jak długo siedzimy tak na kuchennej podłodze. Na tyle długo, że zaczynają drętwieć mi ręce. Na tyle długo, że Izzy wraca ze swojej przebieżki.

Moja najmłodsza córka wchodzi do domu, zatraskując za sobą drzwi. Trzaska nimi tak mocno, że mam ochotę wrzasnąć: „Nie trzaskaj tymi cholernymi drzwiami!”. Ile już razy prosiłam Izzy, żeby nie trzaskała drzwiami?

Ale wiem, że trzaśnięcie nie jest tak mocne, jak mi się zdaje. Słyszałam trzaśnięcie tych drzwi tysiące, miliony razy w ciągu jedenastu lat, które mieszkamy w tym domu. Z jakiegoś powodu moje zmysły są chyba bardziej wyczulone niż zwykle. Dźwięki wydają się głośniejsze: mój oddech, oddech Haley, kapanie wody w kostkarce do lodu. Zmysł dotyku też mam wyostrzony, wyraźnie czuję ciężar jej chudego ciała i dotyk jej włosów na swoim policzku. Wyczuwam zapach jej szamponu, świeżość jej ubrań, a nawet cytrynowy aromat płynu, którym zawsze myję kuchenne meble.

– Mamo, co się dzieje? – Podnoszę wzrok na Izzy. Stoi nad nami. Jej twarz jest zarumieniona i zroszona kropelkami potu. Oddycha ciężko. Ma na sobie parę lśniących zielonych spodenek gimnastycznych, podciągniętych o wiele za wysoko. – Mamo? – Jej dziecięcy wysoki głos jest o pół tonu od paniki. – Co jej jest?

Odruchowo ściągam rękaw Haley jak najniżej.

– Idź do swojego pokoju. Proszę, Izzy, idź.

Wpatruje się w nas. Wciąż tulę Haley w ramionach. Jej oczy są zamknięte.

– Co jej się stało? – Głos Izzy jest pełen gniewu. – Co tym razem zrobiła?

– Isobel Mae. Idź do swojego pokoju i nie wychodź, póki do ciebie nie przyjdę. – Nie daję jej czasu na odpysknięcie. – Natychmiast.

Izzy parska gniewnie, ale na szczęście odchodzi, tupiąc nogami.

Daję sobie chwilę na złapanie oddechu. Haley leży w moich ramionach tak spokojnie, że zastanawiam się, czy zasnęła. Albo umarła załamana. Z gardła wyrwa mi się łkanie, ale natychmiast je tłumię. Odgarniam kosmyk granatowoczarnych włosów z jej policzka i całuję ją w czubek głowy. Słyszę, jak oddycha. Nie umarła. Żyje. Całuję jej skroń. Jest mokra od wysiłku, z jakim ze mną walczyła.

Przynajmniej nie pocięła sobie twarzy.

Zastanawiam się, czemu ta myśl przyszła mi do głowy.

Mam w pamięci obrazy, które wzięły się nie wiadomo skąd. Pewnie z Internetu. Zdjęcia, na które natknęłam się przez przypadek, gdy szukałam materiałów o samouleczeniu czy czymś takim. Zdjęcia ran bardzo podobnych do tych na ramieniu Haley, tylko że na czole nastoletniej dziewczyny. Trwałe blizny. Blizny, które pozostaną do końca życia, nawet gdy taka dziewczyna wyzdrowieje od środka.

– Haley – szepczę. – Musisz mi powiedzieć, czemu to sobie robisz, bo inaczej nie będę mogła ci pomóc. – Haley...

– Nikt nie może mi pomóc – mówi, nie otwierając oczu.

– Zadzwonimy do doktora Pullmana. Możemy...

– Żadnych lekarzy! Żadnego doktora! – Drży w moich ramionach. – Lekarze przypominają mi tamtą noc na ostrym dyżurze. Przypomina mi się, jak leżałam w szpitalnym łóżku ze świadomością, że Caitlin wciąż leży na jezdni.

Oczy zachodzą mi łzami. Chcę jej powiedzieć, że nikt nie zostawił ciała Caitlin na jezdni. Że kiedy dotarła do szpitala, Caitlin też już tam była. W każdym razie jej zwłoki. Ale intuicyjnie czuję, że gdybym to powiedziała, to by jej nie pomogło. Przynajmniej nie teraz.

– Haley, musimy znaleźć kogoś, kto ci pomoże. To... to, co sobie robisz... od tego można dostać zakażenia. Możesz... – „Umrzeć”, mam ochotę powiedzieć, ale nie mówię, bo co by było, gdyby właśnie w ten sposób próbowała odebrać sobie życie?

– Nic mi nie będzie. – Sztywnieje, a potem odsuwa się ode mnie.

Puszczam ją. Bardzo niechętnie, ale puszczam. Bo tamta chwila, bez względu na to, co tak naprawdę oznaczała, minęła. I kiedy znowu spoglądam córce w oczy, widzę pochmurną zbuntowaną nastolatkę, którą znam, a nie załamane dziecko, które trzymałam w ramionach jeszcze przed minutą.

Wstaje i naciąga rękawy, ale wcześniej udaje mi się dostrzec, że jej prawe ramię jest nienaruszone. Na szczęście.

– Dokąd idziesz? – pytam, podnosząc się z podłogi. Boli mnie jedno kolano i pośladki. Chyba od tego, że tak twardo na niej wylądowałam.

– Do swojego pokoju. – Haley wyciera rękawem twarz. – Idę po prostu do swojego pokoju – rzuca na odchodne.

Nie wiem, czemu tak się na mnie złości. Dlatego że zobaczyłam tę wrażliwą, cierpiącą stronę jej osobowości, którą tak dobrze ukrywała? Czy może w ogóle nie jest na mnie zła? Tylko na siebie?

Nie zatrzymuję jej. Patrzę, jak wychodzi z kuchni, i sięgam po kubek z kawą. Biorę łyk. Wystygła. Zostawiam ją na blacie i idę do swojego pokoju. Przystaję w drzwiach do sypialni i spoglądam w głąb korytarza. Drzwi do pokoju Izzy są zamknięte. Drzwi do pokoju Haley – zamknięte. Do pokoju Caitlin też. Muszę pójść do pokoju Caitlin i wreszcie go posprzątać, myślę z roztargnieniem.

Dzwonię do Bena. Odbiera dopiero po czwartym sygnale, tuż zanim włączyłaby się poczta głosowa.

– Musisz przyjechać do domu – mówię bez wstępów.

– Dlaczego? Właśnie jestem w trakcie roboty. Co się stało, Jules?

– Porozmawiamy, kiedy wrócisz. – Zaskakuje mnie siła w moim głosie. Nie czuję się silna. – Musisz wrócić. Natychmiast. Nie obchodzi mnie, co właśnie robisz. Musisz przyjechać już teraz.

Ben milczy. Milczy tak długo, że zaczynam się zastanawiać, co będzie, jak jednak nie przyjedzie. Co wtedy zrobić? Pojadę po niego? Czy powiem po prostu: „Pieprzyć to” i załatwię sprawę sama?

Przez chwilę nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę, żeby wrócił.

– Będę za kilka minut.

Oddycham z ulgą i kończę połączenie.

I co teraz? – zastanawiam się. Co mam teraz zrobić? Iść do Haley? Czy zostawić ją na kilka minut samą? A później? Jak sobie z tym poradzę?

Idę w głąb korytarza. Nasłuchuję. Słyszę, jak Haley rozmawia przez komórkę. To dobrze. Rozmawia z koleżanką. Kładę dłoń na klamce, a potem ją cofam. Gdybym była Haley, nie chciałabym, żeby matka włąziła mi teraz do pokoju. Tego byłoby za wiele.

Podchodzę do drzwi Izzy. Pukam i wchodzę.

## ROZDZIAŁ 16

JULIA

50 dni

I jesteś pewna, że robi to specjalnie? – Ben stoi przed drzwiami, które kazałam mu zamknąć, żeby dziewczyny nas nie słyszały. Kiedy weszłam do pokoju Izzy, nie powiedziałam jej, co Haley sobie zrobiła, tylko że bardzo trudno jej sobie poradzić ze śmiercią Caitlin. Moja najmłodsza córka nie sprawiała wrażenia szczególnie empatycznej.

Opieram się pokusie, by powiedzieć mężowi coś nieodpowiedniego, na przykład: „Głupi jesteś? Oczywiście, że robi to specjalnie. Na tym właśnie polega samookaleczenie”. Mówienie takich rzeczy w niczym by jednak nie pomogło i byłoby po prostu złośliwe. Nie chcę być wobec Bena złośliwa. No... może jakaś część mnie chce, część, której się wstydzę, ale z tym akurat problemem mogę się teraz zmierzyć. Mówię więc tylko:

– Tak, robi to specjalnie.

– Dlaczego?

To oczywiste, że nie chce tu być, w tym domu, w tym bajzlu, w jaki się zmieniło nasze życie, ale podobnie jak Izzy wobec Haley – nie mam w tej chwili dla niego za grosz współczucia.

– Jak ona to robi?

– Nie rozmawiałyśmy na ten temat. – Siadam na brzegu niepościelonego łóżka. – Kiedy to zobaczyłam, Haley była... cała sytuacja była dość przytłaczająca.

– No, nie dziwię się – mówi głośniej, niż potrzeba. Ale potem spogląda mi w oczy i ścisza głos: – Myślisz, że próbowała się zabić?

Kręcę głową.

– Gdyby chciała to zrobić, Ben... Haley to bystra dziewczyna. – Odwracam wzrok, starając się dojść do ładu z samą myślą o tym, że mogłaby podjąć próbę samobójczą. Ale znam swoją córkę. Zaczynam rozumieć, że może znam nawet niektóre z jej demonów, bo i mnie kiedyś prześladowały. – Gdyby chciała się zabić, toby jej się to udało.

– W takim razie nie rozumiem. – Zaczyna się przechadzać w tę i z powrotem. – Czemu miałyby... robić sobie krzywdę? Musiało ją boleć jak wszyscy diabli. – Myśli na głos. – Ranić się w ten sposób. Musiało ją bardzo boleć, kiedy się kaleczyła, prawda?

Obejmuję się ramionami.

– Poszperałam trochę w Internecie na ten temat, kiedy na ciebie czekałam. Samookaleczenie to mechanizm obronny. Znacznie bardziej rozpowszechniony, niż można by przypuszczać, zwłaszcza wśród nastolatków.

– Mechanizm obronny? – powtarza.

– Sygnały ostrzegawcze pojawiały się od wielu tygodni, Ben. Po prostu ich nie zauważaliśmy, bo... – Nie kończę. Nie chcę, żeby pomyślał, że moim zdaniem to jego wina, bo szczerze mówiąc, winię raczej siebie niż jego. To ja jestem matką. Jako matka powinnam widzieć coś więcej niż własne cierpienie. Powinnam dostrzec również cierpienie mojego dziecka. – Te problemy w szkole...

– Narkotyki – wtrąca.

– To też zachowanie autodestrukcyjne. Powinniśmy dojrzeć w nich to, czym były. A były objawami tego, jak Haley próbuje sobie radzić ze śmiercią Caitlin.

Ben wciąż drepcze w tę i z powrotem. Dociera do drzwi łazienki, zawraca i idzie w moją stronę.

– Pewnie powinniśmy znaleźć jakiegoś psychologa, psychiatrę, kogoś takiego? Wiem, że doradca żałobny okazał się totalnym niewypałem, ale może... Sam nie wiem. Ktoś inny? Muszą być jacyś specjaliści, którzy zajmują się tego rodzaju problemami. Zawodowcy.

Wzdycham, starając się uporządkować myśli, które bieg-ną w tylu różnych kierunkach jednocześnie. Wiem, że logicznie rzecz biorąc, powinniśmy natychmiast poszukać dla Haley pomocy profesjonalisty, ale... nie jestem pewna, czy w tym przypadku to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie.

Rozumiem niechęć Haley do lekarzy... albo doradców psychologicznych. Jej skojarzenie z wypadkiem jest w pełni uprawnione. Sama miałam do czynienia z psychoterapeutą, kiedy byłam nastolatką. Mój ojczym uparł się, żebym chodziła na terapię, kiedy byłam w wieku Haley. Myślał, że coś jest ze mną nie tak: byłam humorzasta, nie widziałam w nim autorytetu, byłam zła na matkę, że go słucha i że za niego wyszła. Psychoterapia zupełnie mi nie pomogła – wręcz przeciwnie, wywołała we mnie jeszcze większy gniew i wbiła klin głębiej między matkę i mnie.

Teraz intuicja podpowiada mi, że ciągnięcie Haley do terapeuty, którego nie zna, już jutro, z samego rana, wcale jej nie pomoże. Nie jestem przeciw temu, by w ogóle poddała się leczeniu, ale w głębi duszy czuję, że akurat w tej chwili nie byłoby to dobre rozwiązanie.

Ale co mam robić? Muszę coś zrobić.

Przez tych kilka minut, gdy siedziałam na kuchennej podłodze, trzymając Haley w ramionach, czułam łączącą nas więź. A przynajmniej odczuwałam jej ból. Muszę wymyślić sposób, jak dokonać tego znowu – na takim poziomie, żebyśmy mogły porozmawiać. Żebym pomog-ła jej przedrzeć się przez uczucia, które najwyraźniej ją przytłaczają. Kurczę, mam czterdzieści dwa lata i mnie też

najwyraźniej one przytłaczają. Przez dwa miesiące leżałam w łóżku i gapiłam się w wiatrak pod sufitem.

Podnoszę wzrok na Bena, który stoi teraz przede mną. Jest wyraźnie zdenerwowany, ale oprócz tego czuję, że się gniewa. Gniewa się na mnie za to, że ściągnęłam go z pracy do domu. Albo na Haley za to, że stała się przyczyną tego całego zamieszania w niedzielne popołudnie. Nie jestem pewna powodów. Zresztą w tej chwili chyba mnie to nie obchodzi.

– Haley musi się stąd wyrwać na jakiś czas – słyszę samą siebie. Kiedy to mówię, przekonanie, że mam rację, coraz bardziej się we mnie ugruntowuje. Wstaję i patrzę na męża, zmuszając go do tego, by spojrzał mi prosto w oczy. Ostatnimi czasy rzadko patrzymy sobie w oczy. – Pojadę z nią do Maine, w odwiedziny do Laney. Pojedziemy samochodem.

– Czy chodzi ci o to, że niby mam romans, Jules? Bo jeśli tak, to...

– Nie, nie o to chodzi. Wierzę ci. – Naprawdę mu wierzę. – Chodzi o Haley. Myślę, że ta podróż dobrze jej zrobi.

Odwraca się ode mnie, kręcąc głową.

– To zły pomysł.

– Dlaczego? Dlaczego to taki zły pomysł, Ben? Sam martwiłeś się o to, jaki wpływ mają na nią znajomi. Nie chcemy, żeby zadawała się z tym dilerem narkotykowym. To dobry sposób, żeby odciągnąć ją od takich ludzi. I może potrzebuje też odpocząć od tego domu, od... sama nie wiem... od Caitlin.

Ben gniewnie marszczy brwi.

– Zamierzasz po prostu wsiąść z nią do samochodu i pojechać do Maine? I zostawić Izzy tutaj?

– Nie mogę zabrać Izzy ze sobą. Ma szkołę. I... – Teraz to ja przechadzam się po pokoju, a Ben wodzi za mną wzrokiem. – Może jeśli będziemy tylko we dwie, Haley i ja, będziemy mogły porozmawiać.

– Porozmawiać? – Ben niemal na mnie prycha. – A kiedy to Haley posłuchała choć raz tego, co mieliśmy jej do powiedzenia?

– Nieważne. – Kręcę głową. – To zupełnie bez znaczenia. Muszę spróbować.

– Więc zamierzasz pojechać z nią na drugi koniec kraju? – Nie odpowiadam. Właśnie to powiedziałam. Ben wpatruje się przez chwilę w próżnię, a potem znów przenosi wzrok na mnie. – A jak zamierzasz namówić na to Haley, skoro nawet mnie nie możesz przekonać do tego pomysłu?

– Nie zamierzam dawać jej wyboru. – Podchodzę do szafy. Czuję, że muszę zrobić coś z rękami. Wyciągam torbę podróżną, odpinam suwak i rzucam torbę na łóżko. Podchodzę do swojej komody.

Ben przygląda mi się z taką miną, jakbym postradała zmysły. I może rzeczywiście trochę tak jest. Spontaniczność nie jest moją mocną stroną. Rodzinne wakacje planuję z półrocznym wyprzedzeniem. Zawsze spisuję listę zakupów.



Planuję wypad do miasta, kiedy mam coś pozałatwiać, w taki sposób, żeby nie latać głupio w tę i z powrotem. Ale kiedyś byłam spontaniczna, dawno temu, zanim zostałam matką i uznałam, że dobrej żonie i matce impulsywność nie służy.

– Myślę, że powinniśmy zadzwonić do doktora Pullmana – mówi Ben. – Uważam, że nie powinniście nigdzie wyjeżdżać, dopóki z nim nie porozmawiacie. Mógłby też rzucić na nią okiem. No wiesz, na jej ramię.

– Jako jej pediatra? Rany nie są zakażone. To nie tymi nacięciami się martwię, Ben. One się zagoją. Martwię się o jej... – Głos więźnie mi w gardle. O co właściwie się martwię? O jej serce? Jej duszę?

– No tak, ale doktor Pullman może nam doradzić, do kogo powinna pójść. Do kogo możemy ją zaprowadzić.

Nie wiem, jak mu to wyjaśnić. Może dlatego, że sama tego nie rozumiem, ale na jakimś fundamentalnym poziomie wiem, że muszę pojechać w tę podróż z Haley. Wiem, że muszę nakłonić ją do tego, żeby wsiadła ze mną do samochodu i odjechała – jak najdalej od domu i swoich znajomych. Wtedy będzie musiała ze mną porozmawiać, prawda?

Biorę stertę bielizny i dwa staniki z górnej szuflady, po czym przemierzam sypialnię i wrzucam rzeczy do torby. Wracam do komody i otwieram następną szufladę. Parę koszulek z krótkim rękawem i parę z długim. Wszystkie starannie złożone. Nie patrzę nawet na to, co biorę. Prawie codziennie noszę to samo ubranie: bawełnianą koszulkę w serek, niebieską lub zieloną, do tego dżinsy, a o tej porze roku półbuty. W maju zacznę chodzić w szortach i japonkach. T-shirty te same. Mój mundur, jak mawiała Caitlin.

– Nie mogę uwierzyć, że to robisz, Jules. To jest... to...

– Co? – Wrzucam koszulki do torby i odsuwam trzecią szufladę. Dżinsy na tę porę roku na Wschodzie. W Maine nadal będzie zimno. Zwłaszcza w nocy. Biorę jedną parę. Z dna szuflady wyciągam zielony sweter, który kiedyś Ben bardzo lubił. Mam go od lat. Podobał mu się, bo ma ten sam odcień zieleni co moje oczy.

– To szaleństwo, Jules, ot co. I... – Odgarnia grzywkę, która opadła mu na czoło. – I głupota. Niebezpieczna głupota.

Przyciskam sweter do piersi.

– Niebezpieczna? Dlaczego?

– Kobieta i nastoletnia dziewczyna same w samochodzie? A co jeśli... jeśli auto się zepsuje?

Teraz chyba się wygłupia. Naprawdę myśli, że nie jestem zdolna do samodzielnego przejechania czterech i pół tysiąca kilometrów?

– Zadzwoń do ubezpieczyciela.

– A gdzie będziecie nocować?

Staram się nie mądrzyć. Nie mogę pozwolić, żeby rozmowa przerodziła się

w kłótnię. Tu chodzi o Haley. O naszą córkę.

– W hotelach. To chyba jasne. – Obchodzę Bena i dokładam sweter do torby. A on tylko stoi i kręci głową. – Ja już zdecydowałam, Ben. Myślę, że Haley to dobrze zrobi. A na pewno nie pogorszy sprawy, prawda?

W odpowiedzi Ben marszczy brwi.

– A jak spróbuje zwiać? Bo mogę ci to powiedzieć już teraz: ten pomysł naprawdę jej się nie spodoba.

– Nie obchodzi mnie, czego chce. I tak pojedzie. Jedziemy do Maine i koniec.

– I co potem?

Siadam na łóżku i wyrzucam ręce w górę.

– Nie wiem. Przez parę dni posiedzimy u Laney. Pójdziemy do tej pizzerii w Portland, którą Haley tak lubi. Popływamy canoe. Będziemy spacerować i robić, co tylko będzie chciała. Haley lubi Maine.

– I po tych wakacjach po prostu wrócić do domu i będziemy żyć jak dawniej?

Padam plecami na materac i spoglądam na wiatrak pod sufitem.

– Nie wiem. Chyba tak. – W gardle rośnie mi gęsia skórka, oczy mnie pieką, ale nie wybucham płaczem. Czyżby wreszcie skończyły się łzy?

Ben zaskakuje mnie, gdy siada na łóżku tuż obok. Zamykam na chwilę oczy, a potem podnoszę się i siadam.

– Kiedy Haley i Caitlin były małe, rozmawialiśmy o przeprowadzce do Maine i otworzeniu punktu z kanapkami. Pamiętasz? – Kładę policzek na jego barku. Ben umie robić niesamowite ciągutkowe kanapki, które są skrzyżowaniem cheeseburgera i pieczonego serka. Dziewczyny nazywają je Benburgerami. Przez lata Ben udoskonalał recepturę, a kiedy Caitlin zainteresowała się zdrową żywnością, zaczął używać ekologicznej wołowiny oraz organicznego pieczywa i sera, ale wciąż jest to nasza ulubiona rodzinna potrawa. – Mógłbyś sprzedać swoje udziały w firmie i przenieśliśmy się do Maine – mówię tęsknym głosem.

– To było tylko takie gadanie – mąż sprowadza mnie na ziemię. – Marzenie ściętej głowy. Rzeczywistość jest inna, Jules.

Wzdycham.

– Tak, wiem. – Kładę dłonie na swoich chudych udach. – Wyjeżdżamy z samego rana.

– Naprawdę to zrobisz?

Podnosi się i zostawia mnie na łóżku.

Zastanawiam się przez chwilę, a potem kiwam głową.

– Naprawdę to zrobię. Spakuję jeszcze trochę rzeczy, zadzwonię do Laney, złożę wypowiedzenie.

– Rezygnujesz z pracy? Nie wrócisz do niej?

– Robert nie wywalił mnie tylko dlatego, że zwolnienie kobiety, która zbyt długo rozpacza po śmierci córki, byłoby w złym guście. I tak nie przepadałam za tą robotą. Po powrocie poszukam sobie nowej. W końcu tak naprawdę nie potrzebujemy tych pieniędzy.

– Myślałem, że uwielbiasz swoją pracę. Pracowałaś tam prawie trzy lata.

Czy ktokolwiek może uwielbiać prowadzenie księgowości kwiaciarni?

– Nigdy nie mówiłam, że ją uwielbiam – odpowiadam. Ben jest już przy drzwiach. W drodze do wyjścia. Przypuszczam, że nie zostanie, by pomóc mi powiadomić Haley o moich planach. Ulotni się z domu w ciągu pięciu minut. – Podobało mi się to, że mogłam wyrwać się z domu, Ben. Podobało mi się, że mój dzień nie ograniczał się do robienia porządków w szafie w przedpokoju, czyszczenia nawilżacza powietrza i czekania na to, aż któreś z dzieci trzeba będzie odebrać ze szkoły i zawieźć do ortodonty.

Kładzie dłoń na klamce.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tego nie lubisz.

– To nie twoja wina. Tylko moja. – Stoi i patrzy na mnie w milczeniu. – Wychodzisz? – pytam, po czym wstaję i podchodzę do komody.

– Eee, tak. Wrócę po obiedzie u mamy.

– Nie sądzisz, że powinienes wrócić na obiad do domu?

– Powiedziałem już mamie, że wpadnę. Izzy nie chce ze mną jechać.

Za dużo babci jak na jeden weekend.

Nie wiem, które z nas odwraca się pierwsze.

## ROZDZIAŁ 17

### HALEY

49 dni, 19 godzin

Jest po szóstej, kiedy mama puka do moich drzwi. Czekałam na to, na to pukanie. Spodziewałam się, że będzie delikatne i niepewne. Mama nie dobija się do moich drzwi, tak samo jak na mnie nie krzyczy, bo jest jej mnie żal. Współczuje mi.

Wolałabym, żeby waliła do drzwi. Żeby otworzyła je kopniakiem.

Od dłuższego czasu siedzę na łóżku i gapię się na swoje ramię. Zdjęłam gaziki i rany zaczęły krwawić, bo gdzieś tam zerwały się strupy. Taśma pakowa była durnym pomysłem. Ale to tylko jeszcze jedna durnota, którą zrobiłam, w całym paśmie durnot składających się na moje życie.

Nie mogę przestać się gapić na swoją rękę.

Co, do cholery, jest ze mną nie tak? Czemu to sobie robię? Czemu nie przestaję tego sobie robić?

Boję się, że dostaję świra, że może ujawnia mi się schiza czy coś takiego. Uczyliśmy się o schizofrenii w zeszłym semestrze na lekcjach psychologii. Zwykle człowiek dostaje schizę, kiedy jest nastolatkiem albo nawet później. Jestem więc w odpowiednim wieku. Oczywiście ciachanie się nie jest objawem schizy. W ciachaniu się chodzi o poczucie władzy, gdy sprawy wymykają się z rąk. Wyguglałam to, ku czci Caitlin. Według E-lekarza czy innego bzdurnego portalu medycznego tnę się, bo bardzo cierpię. Co brzmi paradoksalnie nawet dla mnie, a przecież sama to robię.

Zaczęłam na ostrym dyżurze po śmierci Caitlin. Nie cięcie – ono przyszło później. Tamtej nocy ciągle się szczypałam w rękę, w udo. Staralam się obudzić, bo w tych pierwszych godzinach nie mogłam uwierzyć, że to może być rzeczywistość. Byłam przekonana, że to, co się dzieje, to tylko koszmar senny.

Skoro już ktoś miał zginąć w tym wypadku, to powinnam być ja. Z wielu powodów. Pamiętam, że w pewnym momencie, kiedy leżałam na szpitalnych noszach i czekałam na rentgen, naprawdę przyszło mi do głowy, że to właśnie ja nie żyję i że ten ból, który rozrywa mi serce, to część mojego pobytu w czyszcju czy czymś takim. I chociaż nie wierzę w tego typu bzdury, w tych pierwszych godzinach stanowczo trochę mi odbiło.

Kiedy szczypanie nie wybudziło mnie z tego snu, zaczęłam się drapać. To było dzień po śmierci Caitlin. A może dwa dni? Nie podziałało – wciąż się nie

obudziłam. Za to inni ludzie zaczęli pakować mi się do mojego koszmaru, zmuszając mnie do przyznania, że to wcale nie sen, tylko jawa: płacz mamy, przygotowania do pogrzebu, płacz mamy. Ludzie dzwoniący i przychodzący do naszego domu, wszyscy zapłakani. Płacz mamy.

W którymś momencie w ciągu tego pierwszego tygodnia, gdy zabrakło mi Caitlin, zdałam sobie sprawę, że jeśli się uszczypnę albo zadrapię naprawdę mocno, poczuję się... sama nie wiem... Lepiej. Potem przyszedł czas na sznyty. Od szczypania i drapania czułam się lepiej. Od cięcia było mi znacznie lepiej. Zwinęłam tacie parę żyletek z tekturowego pudełeczka w jego łazience. Wciąż używa staromodnej maszynki, pędzla i mydła do golenia. Żyletka daje ostry ból, pełen słodczy. Potem w ranie nabrzmiewają kropelki krwi. A ja, gdzieś w tym piekącym bólu, znowu znajduję miejsce na głęboki oddech.

Na pewno zwariowałam.

Mama znów puka do drzwi. Dźwięk przypomina mi gryzonia skrobiącego w ścianę.

– No włącz już! – wołam głośno i złośliwie.

Drzwi się otwierają. Nie naciągam rękawa na rękę. Bo niby po co? I tak już wie.

– Hej – mówi.

Wzdycham głośno.

Podchodzi i siada obok. Nie dotyka mnie, ale jest tak blisko, że czuję jej zapach. Poprawia mi się od niego nastrój, co z jakichś niejasnych dla mnie powodów mnie denerwuje. Teraz chce mi się płakać. To denerwuje mnie jeszcze bardziej.

– Tata i ja rozmawialiśmy o tobie – mówi. Jej głos jest łagodny i opanowany. Nie mam pojęcia, jak może być taka spokojna. Gdybym to ja była mamą, solidnie bym się wkurzyła. Milczę. Siedzę tylko i czekam na tę całą pogadankę o potrzebie terapii: psycholog, psychiatra i tak dalej. Jestem tak świrnięta, że może chcą zatrudnić i jednego, i drugiego. Najlepiej w innym stanie, jeśli tata postawił na swoim. On i Linda szeptali wczoraj wieczorem między sobą. Tylko że babcia była tak napruta, że jej szept brzmiał głośniejszy niż krzyk mamy. Linda chce, żeby tata posłał mnie do szkoły z internatem gdzieś daleko stąd. Postarała się nawet o broszury reklamowe, które zostawiła mu w pracy na biurku. Powiedziała, że jest gotowa zapłacić. Myślę, że sporo by zapłaciła, byle się mnie pozbyć. Nie zdziwiłabym się, gdyby wynajęła cyngla, żeby mnie zabił, bo takiego bajzlu narobiłam w jej rodzinie. Mama patrzy na moje ramię. Na jej twarzy pojawia się smutek, od którego mi też robi się smutno. Żałuję, że tak się wygłupiłam i odsłoniłam te paskudne rany. – Rozmawialiśmy i...

– Już to powiedziałaś – przerywam jej.

Spuszcza wzrok na swoje białe stopy, a potem znów spogląda na mnie.

– Myślę, że powinnaś opuścić na jakiś czas ten dom.

– Nie pozwolę się zamknąć w jakiejś cholernej szkole z internatem! – Podrywam się z łóżka.

Wcześniej rozmawiałam ze swoim byłym chłopakiem, Toddem. Po fiasku w kuchni. Straszny z niego wał, ale po śmierci Caitlin tak jakby znowu zaczęliśmy się spotykać. Nie że jakoś bardziej go lubię, po prostu on jeden nie zachowuje się w stosunku do mnie inaczej niż przed śmiercią siostry. I wie, że się tnę, więc nie muszę tego przed nim ukrywać, inaczej niż przed Marissy czy Cassie. Od tygodni mówi mi, że powinniśmy się stąd urwać, on i ja, i zostawić za sobą ten pieprznik, zwany naszym życiem. Todd ma brata, który pracuje na Alasce przy rurociągu. Pewnie moglibyśmy zahaczyć się u niego na kilka tygodni. Todd stwierdził, że wyjeżdża, tak czy inaczej. Powiedział, że jakoś nie czuje klimatu studiowania w lokalnym college'u. Gadaliśmy nawet o otwarciu kawiarni na Alasce. Ale Todd nie wie, gdzie dokładnie mieszka jego brat, więc nie mam pojęcia, czy ten plan w ogóle jest sensowny. Zwłaszcza że Todd to chyba największy leser, jakiego w życiu spotkałam.

Ale jeśli rodzice posyłają mnie do szkoły z internatem, to nie ma bata – wyjeżdżam z Toddem.

– Nie mówię o szkole z internatem, Haley. – Mama patrzy na mnie tak, jakby się bała powiedzieć to, co chce powiedzieć. – Postanowiliśmy, że ty i ja wybierzemy się na wycieczkę. Daleką wycieczkę. – Patrzę na nią, jakby w głowie jej się pomieszało. Naprawdę podejrzewam, że odbiła jej szajba. Ale też dlatego, że oczekuje się ode mnie takiego spojrzenia – od sfiksowanej dziewczyny, która się tnie. Dziewczyny takiej jak ja, gniewnej, zbuntowanej. – Pojedziemy do Maine – mówi mama.

– Nie jadę z tobą do żadnego Maine. – Naciągam rękaw. – Nie ma mowy.

Mama wstaje.

– Jedziesz ze mną do Maine, Haley, czy tego chcesz, czy nie. Twój ojciec i ja tak postanowiliśmy.

Krzywię się z lekceważeniem. (Caitlin spodobałoby się użycie słowa „lekceważenie” w tym kontekście).

– Tata postanowił? Nie wiedziałam, że tata decyduje w jakiegokolwiek sprawie oprócz tego, czyj trawnik zostanie skoszony danego dnia.

Mama idzie do drzwi.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, Haley. Musisz wyrwać się stąd na jakiś czas. Zresztą myślę, że ja też powinnam. Dlatego jedziemy we dwie. Ta sprawa nie podlega dyskusji.

Rozcieram zgrubienia na ręce. Boli, ale potrzebuję teraz bólu. Nie zmierzam nigdzie z nią jechać. Nie ma mowy, żebym dała się zamknąć z matką w jednym samochodzie na wiele dni. Nie mogę znieść jej płaczu nawet przez pięć minut. Po

paru dniach będę miała ochotę wyskoczyć z pędzącego auta.

– Nie jadę, mamó. – Trę ranki na ramieniu, żeby zabolęły. Pod kciukiem czuję ciepłą krew. – Nie zmusisz mnie. – Czuję, jak narasta we mnie panika.

– Mogę cię zmusić. – Stanowczość w jej głosie mnie zaskakuje. Cały czas czekam, kiedy wybuchnie płaczem, ale ona wciąż się trzyma. Póki co tego dnia to ja okazałam się beksą. – Jestem twoją matką, a ty nie skończyłaś osiemnastu lat – mówi. – Więc mogę cię zmusić.

– Nie rozumiem! – Podnoszę głos. Wciąż trzymam się za ramię. – Pojedziemy do Maine samochodem? Tak zamierzasz postawić mnie do pionu? Za pomocą wycieczki?

– Lubisz Maine. W każde lato sama mówisz, że powinniśmy tam zostać. Przeprowadzić się.

– Caitlin chciała się przeprowadzić do Maine. Nie ja.

– Nie – odpowiada ściszym głosem. – Obie chciałyście się tam przeprowadzić. Nie pamiętasz, jak w zeszłe wakacje pytałyście mnie, czy możecie spędzić ostatni rok szkoły u Laney?

– Teraz to po prostu ściemniasz. – Odsuwam się, żalując, że nie mogę odejść dalej niż za drugi koniec łóżka.

Klamka zapadła, myślę. Jak tylko mama wyjdzie, dzwonię do Todda. Powiem mu, że w to wchodzę. „Przenieśmy się na Alaskę i otworzymy kawiarnię albo może tak, jak proponowałeś, kawiarnię na kółkach”. Oczywiście wiem, że tak naprawdę nie będę musiała dzwonić do Todda i mówić mu, że uciekam z nim na Alaskę, mimo że taki z niego wał, ponieważ mama się wycofa. Nie ma w sobie tyle ikry, żeby mnie zmusić.

– Spakuj się. – Sięga do klamki. – Jutro rano ruszamy.

Czuję, jak panika rozsadza mi klatkę piersiową. Trochę tak, jakbym nie mogła oddychać.

– Nie jadę – mówię, gdy otwiera drzwi.

– Jedziesz.

– Nie. – Krzyżuję ręce na brzuchu. Mierzymy się wzrokiem. – Co mi zrobisz? Zaciągniesz mnie do samochodu? Zwiążesz mnie?

Odwraca wzrok i wiem, że wygrałam. Wiem, że nie pojedziemy do Maine. Nigdzie nie pojedziemy.

Mama znów na mnie patrzy.

– Wybór masz taki – mówi wciąż spokojnym głosem. Tylko że teraz brzmi tak spokojnie, że aż się boję. Jakby ona też zwariowała. – Albo wsiądziesz ze mną jutro do samochodu, albo trafisz na oddział. – Przez chwilę nie rozumiem, o czym mówi. Oddział? Jaki oddział? Potem się orientuję. Mówi o oddziale psychiatrycznym. O wariatkowie. Dziewczyna, z którą chodziłam na fizę, trafiła na obserwację w psychiatryku ostatniej jesieni. Po próbie samobójczej. Rozstała się

z chłopakiem i podcięła sobie żyły. Tak jakby podcięła. Najwyraźniej nie zrobiła tego, jak trzeba, bo nie umarła. Moim zdaniem wcale nie chciała się zabić. – Rozumiesz, co mam na myśli, Haley? Jestem twoim prawnym opiekunem – mówi mama. – Zadzwoń na pogotowie i powiem, że boję się, że popełnisz samobójstwo. Jak tylko sanitariusze zobaczą twoje ramię, nikt nie będzie ze mną polemizował.

Wyraz jej twarzy mnie zdumiewa. Jest w stu procentach poważna. Łapię się na tym, że z jednej strony jestem na nią tak wściekła, że mogłabym w nią czymś rzucić, ale z drugiej – zupełnie zafascynowana. Nie podejrzewałam, że Julię Maxton stać na coś takiego. Zawsze była taka bezkonfliktowa, taka... słaba.

– Mamo – mówię takim tonem, jakbym chciała przyciągnąć jej uwagę – zamknęłabyś swoją córkę u czubków? Tak naprawdę byś tego nie zrobiła, co nie?

A ona tylko stoi i na mnie patrzy. Poznaję tę minę. To mina Caitlin. Mina upartej Caitlin. Nie pamiętam, żebym wcześniej widziała ją u mamy, ale Caitlin musiała ją po kimś odziedziczyć. A skoro geny Caitlin były genami mamy...

Ta dziwna myśl na chwilę zbija mnie z tropu. Potem przypominam sobie, że stoję w swoim pokoju i dyskutuję z matką o moim potencjalnym pobycie w zamkniętym oddziale psychiatrycznym. Z matką, która powinna być po mojej stronie.

– Spakuj się – mówi. – Ruszamy z samego rana, jak tylko Izzy pojedzie do szkoły.

Potem po prostu wychodzi, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

A ja mało nie wybucham śmiechem.



## ROZDZIAŁ 18

### IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Nie spodziewałam się, że mama wyjdzie z drugiego pokoju tak szybko. Myślałam, że zła siostra będzie się drzeć i przeklinać dłużej. Zakładałam, że będę miała więcej czasu, by wrócić do swojego pokoju i zamknąć drzwi tak, żeby mama nie zorientowała się, że podsłuchiwałam.

Mama wychodzi na korytarz, gdy ja docieram do moich drzwi. Przyłapała mnie. Mogłabym udawać, że idę po coś do kuchni, ale jestem nie po tej stronie drzwi. Mama nie jest głupia.

Patrzę w jej oczy, a ona patrzy w moje i wiem, że wie, że podsłuchiwałam. A przynajmniej próbowałam. Przyciskam dłonie do chłodnej ściany.

Nie wiem, co dokładnie przeszkrobała Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Słyszałam tylko część ich rozmowy. Ale wiem, że to coś złego. Na tyle, że mama powiedziała jej, że albo pojedzie z nią do Maine, albo zamknie ją u czubków.

– Nie zostawisz mnie tutaj? – szepczę. Mama milczy. Tylko stoi i milczy. Jest naprawdę chuda. Nigdy jeszcze nie widziałam jej takiej chudej. Ale widzę też coś innego, coś w jej wyrazie twarzy, czego nie widziałam, odkąd Caitlin wykorkowała. Stanowczość. – Mamo – mówię, tak jakby była moją prawdziwą miłością, tak jak ludzie wymawiają imię swojego chłopaka albo dziewczyny w filmach, które Caitlin lubiła oglądać. – Nie zostawiłabyś mnie? Nie zabrałabyś jej i nie wyjechałybyście beze mnie... prawda? – Boję się, że się rozplaczę, a naprawdę tego nie chcę. Muszę być silna – dla mamy. Caitlin chce, żebyśmy była silna. Mówi, że tylko ja w tym domu się nie rozklejam.

– Izzy. – Mama wymawia moje imię z westchnieniem, jakby była bardzo zmęczona. Zmęczona tą drugą. Ale wymawia moje imię w taki sposób, że przez chwilę nie mogę złapać tchu. Nie mogę jej na to pozwolić. Jeżeli mnie zostawi, to nie wiem, czy to zniosę. Nie wiem, czy uda mi się przetrwać. Kocham tatę. Serio. I myślę, że on też mnie kocha. Jesteśmy kumplami. Oboje lubimy History Channel i czarno-białe shaki. Ale to, co do niego czuję, różni się od tego, co czuję do mamy. Nie umiem tego wyjaśnić, po prostu tak już jest. – Izzy, twoja siostra... – Mama spogląda za siebie, w głąb korytarza.

Drzwi do pokoju Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, zamykają się powoli. Tak jakby za sprawą czarów. Ale mama i ja wiemy, kto za tym stoi.

– Zostaw otwarte! – woła mama głosem tak ostrym, że drgam z zaskoczenia. Tak jakby ktoś upuścił szklankę na kuchenną podłogę w środku nocy i ta szklanka by się rozbiła. Albo jak trzaśnięcie biczem. Nigdy nie słyszałam trzaśnięcia biczem na żywo, tylko w telewizji.

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, milczy, ale drzwi przestają się zamykać.

Mama czeka sekundę. Obie gapimy się na drzwi na końcu korytarza. Potem znowu odwraca się do mnie.

– Izzy, ja muszę to zrobić.

Kręcę głową. Nie przestaję nią kręcić. Naprawdę z całych sił staram się nie rozpląkać.

– Pozwól mi jechać z wami. Nie będę nic mówić. Nie powiem ani słowa przez całą drogę, aż do Maine. – Robię gest, jakbym zamykała usta na suwak. – Obiecuję. Nie będziesz nawet wiedzieć, że jestem w samochodzie. Nie musisz mnie karmić ani nic...

– Nie mogę cię zabrać – mówi to cicho, pewnie po to, żeby zabójczyni z pokoju obok nie usłyszała.

– Nie będę dla niej niegrzeczna – dodaję szybko, próbując podbić stawkę. Zwykle o stawce mówi się podczas zakładów, ale to słowo tu pasuje. Wiem, że używam go odpowiednio. – Nie mogę obiecać, że będę dla niej miła, bo jednak zabiła mi siostrę – ciągnę – ale nie będę niegrzeczna. Będę siedziała z tyłu i nie będę rzygała. Ona może sobie jechać z przodu przez całą drogę do Maine, a ja będę jechała z tyłu i wtedy nie będę jej śmierdzić.

Myślę, że tak naprawdę nie śmierdę. Czasami pod pachami wyczuwam lekko kwaśny zapach, ale nie śmierdę tak jak wtedy, gdy wchodzi się w wiek pokwitania. Rozmawialiśmy o tym na lekcji o zdrowiu. O tym, jak hormony sprawiają, że dziewczyna poci się pod pachami, a czasem także w miejscach intymnych. Właśnie wtedy pomaga higiena osobista. W każdym razie tak nam mówiła pani Wooters. Nie skaczę z radości na myśl o śmierdzeniu, ale naprawdę zależy mi na cyckach, więc chyba muszę przyjąć nie tylko to, co dobre, ale też to, co złe.

Mama stoi przede mną, ale znów patrzy w stronę drzwi, które przed sekundą zdawały się same zamykać.

– Jak usłyszę dźwięk otwieranego okna, to klnę się na wszystkie świętości, Haley, że przywiążę cię do siebie plastikową opaską do pakowania! – krzyczy w głąb korytarza.

Jej głos brzmi tak głośno i strasznie, że kulę się pod ścianą. Nigdy nie słyszałam, żeby zwracała się do którejś z nas w taki sposób. Zwykle jest całkiem spokojna i... rozsądna. A co, jeśli to ją trzeba zamknąć u czubków?

Powoli przenosi uwagę na mnie.

– Chcę, żebyś została i chodziła do szkoły. I opiekowała się Panem Kotem. – Uśmiecha się do mnie tym swoim smutnym, ale nie żalonym uśmiechem. Uśmiechem, na którego widok robi mi się jej tak bardzo żal. – Niedługo wrócimy, Izzy.

– To nie fair. – Głos mi drży. Nie mogę zostać z tatą. Nie dam rady. Boję się. Nie taty. Tylko braku mamy. Nawet mama, która leży w łóżku i cały dzień płacze, jest lepsza od braku mamy. – To znaczy kiedy? – pytam.

– Nie wiem. Droga na miejsce powinna nam zająć z pięć, sześć dni, ale nie wiem, jak długo potem...

– Tydzień w jedną stronę?! – Gapię się na nią, serio zaskoczona. – Zostaniecie tam tydzień, może dziesięć dni. Tydzień na podróż z powrotem. To miesiąc! Zostawisz mnie samą na miesiąc?!

– Izzy, nie zostaniesz sama. Tata tu będzie. A mnie nie będzie krócej niż miesiąc – mówi, ale słyszę w jej głosie, że sama nie jest tego stuprocentowo pewna.

– Nie wrócisz... – Mój głos robi się piskliwy.

– Izzy, kochanie. – Mama zerka na drzwi na końcu korytarza. Nie poruszyły się ani trochę.

Czekam, aż sobie przypomni, że żyję.

– Proszę, mamó... – Łapię ją za rękę. Nie mogę już nic na to poradzić. Zalewam się łzami. – Pozwól mi z wami pojechać.

– Izzy, Izzy. – Przyciąga mnie do siebie, a ja daję się przytulić. – Nie mogę. Zrobiłabym to, gdybym mogła. – Całuje mnie w czubek głowy. – Ale to nie byłoby dla ciebie dobre. Haley jest...

Kim?! – mam ochotę krzyknąć. Morderczynią? Suką? Złym człowiekiem?

– Ale ja chcę jechać – mówię z twarzą wtuloną w jej pierś. Wiem, że jej koszulka robi się od tego mokra. Pewnie też ją obśliniam. – Proszę, mamó, proszę... Ja muszę jechać. Błagam...

– To nie byłoby wobec ciebie w porządku, Izzy. Musisz mieć normalne życie. Musisz mieć swoich przyjaciół, swojego kota i swoje łóżko. – Podnoszę na nią wzrok. Odgarnia mi z twarzy włosy, które przykleiły się do policzków. – Pojadę teraz z Haley, ale po powrocie, kiedy skończy się szkoła, ty i ja wybierzemy się gdzieś razem. Tylko we dwie. Mogłybyśmy pojechać do Oregonu i zobaczyć Jezioro Kraterowe. Miałabyś ochotę?

Zastanawiam się. Wiem, że próbuje mnie przekupić, ale w sumie byłoby fajowo. Pojechać dokądś tylko z mamą. Nigdy nie wyjeżdżałam tylko z nią. To znaczy jeździłyśmy we dwie na treningi taekwondo i do sklepu, ale nigdy nie byłam z nią i tylko z nią na wakacjach. Nigdy nie mieszkałam w hotelu tylko z mamą. To by była najfajniejsza wycieczka w moim życiu. Podnoszę wzrok. Czuję, że mięknę. Korci mnie, żeby się zgodzić.

Ale nie mogę. Nie mogę pozwolić, żeby mnie tu zostawiła.

Wyrywam się i wpadam do swojego pokoju. Wierzchem ręki wycieram smarki z nosa. Biorę swoją fioletową torbę z suwakiem. Jest wypełniona klockami Lego, które miałam zamiar sprzedać na eBayu. Właściwie to ciągle lubię się nimi bawić, ale wiem, że robię się na to za duża. Niedługo urosną mi cycki. Dziewczyny z cyckami nie bawią się lego.

Mama idzie za mną. Staje w drzwiach, jednym okiem wciąż zerkając na koniec korytarza. Na drzwi Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

– Co robisz? – pyta, patrząc, jak wysypuję klocki na łóżko. Nie odpowiadam. Wkładam do torby koszulki. – Nie jedziesz ze mną, Izzy. Tata i ja uzgodniliśmy, że zostajesz w domu.

– Nie zostanę tu sama. – Wrzucam parę dzinsów. Bluzę. Moje spodnie od pizamy z Małą Syrenką. Spodnie od pizamy ze SpongeBobem Kanciastoportym. Moje spodnie od pizamy ze *Zwariowanych melodii*. Uwielbiam spodnie od pizamy, poza tym spodnie od pizamy są ważne podczas długich podróży. Można je zakładać do snu, ale można też nosić je w samochodzie. Miałam też parę szortów od pizamy, z żółtymi kaczuszkami, bo nigdy nie wiadomo, kiedy takie szorty mogą się przydać.

– Izzy, mówię poważnie. Nie możesz ze mną jechać.

– Co ona takiego zrobiła? – Wciskam do torby Królika. – Co takiego złego zrobiła, że musi wyjechać? – Dorzucam książkę, pierwszy tom serii o trollach, którą właśnie czytam. – Mama opiera się o futrynę, wciąż ma oko na drzwi Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. – Próbowwała ze sobą skończyć? Czy dlatego ukradła babci środki przeciwbólowe? Żeby zakończyć to wszystko? – Orientuję się, że powiedziałam to głosem bardziej paskudnym niż morderczyni z pokoju obok. Jest mi wstyd. Nie chcę być taka jak ona. Nigdy. Łzy lecą mi po policzkach, a mama opuszcza swoje stanowisko w progu i podchodzi do mnie.

– Wszystko będzie dobrze, Izzy – mówi i mnie przytula.

Obejmuję ją tak mocno, jakbym już nie zamierzała jej puścić.

## ROZDZIAŁ 19

JULIA

50 dni

Chyba po prostu zobaczę, jak nam będzie szło, Laney. – Stoję na środku swojego pokoju. Staram się dokończyć pakowanie, ale robienie dwóch rzeczy naraz mi nie wychodzi: albo rozmowa, albo pakowanie. Dawniej, przed śmiercią Caitlin, potrafiłam robić dziesięć rzeczy jednocześnie. – Ale będę cię informować na bieżąco. Myślę, że jazda zajmie nam tydzień, może po drodze trochę pozwiedzamy. Sama nie wiem. Może Wielki Kanion. Zależy od tego, którą drogą pojedziemy.

– Chcesz się przekonać, która z was pierwsza zrzuci drugą z urwiska, ty czy Haley? – żartuje Laney.

– Raczej nie – mówię i nachodzi mnie chwila zwątpienia. – Czy to na pewno dobry pomysł? Zabrać moją problematyczną córkę w podróż samochodem przez cały kraj? Okay, zamknę ją w samochodzie, ale co potem? A jak nie odezwie się do mnie przez całą drogę? A jak się odezwie? Nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Boże, Laney, ona jest tak bardzo podobna do mnie w młodości.

– Jeśli nie liczyć oczu maźniętych czarną kredką – zauważa dowcipnie moja przyjaciółka.

– Jasne, jeśli nie liczyć oczu maźniętych czarną kredką – przyznaję. – Gdybym była na jej miejscu, w jej wieku, mnie też zżerałoby poczucie winy. Co mam jej powiedzieć? Jak pomóc jej przez to przebrnąć?

– Poradzisz sobie – mówi łagodnym, ściszym głosem. – Nie wiem, co powinnaś jej powiedzieć, ale wiem, że jak nadejdzie pora, sama będziesz wiedziała. Jesteś dobrą matką, Jules.

Słyszę kroki i podnoszę wzrok.

Ben wchodzi do pokoju. Chce zamknąć za sobą drzwi.

– Zostaw otwarte – mówię do niego, na chwilę odsuwając komórkę. Stoi jak wryty i patrzy na mnie. – Może zadzwonię do ciebie jutro wieczorem, Laney? – rzucam do telefonu.

– Obiecuj. Nie udawaj, że cię nie ma, Jules. – W jej głosie słychać emocje. – Dobrze robisz.

Nie wiem, czy to prawda, ale przynajmniej coś robię. A fakt, że Laney uważa, że robię dobrze, poprawia mi nastrój. W każdym razie nie czuję się już taką wariatką. I Laney nie ma żadnych wątpliwości, że uda mi się przejechać z córką

samochodem przez kraj i dotrzeć do Maine, nie padając ofiarą gwałtu ani morderstwa.

– Dzięki, Laney. Pogadamy jutro.

Rzucam telefon na łóżko.

– O co chodzi z tymi drzwiami? – Ben wskazuje je ręką. – Chciałem z tobą porozmawiać.

– W takim razie będziemy musieli rozmawiać po cichu. Nie ufam jej. Nie zdziwiłabym się, gdyby spróbowała dać nogę. – Podchodzę do szafki nocnej i odłączam czytnik Kindle od ładowarki. Bateria była całkiem wyczerpana. Nie uruchamiałam go od śmierci Caitlin, co jest dosyć dziwne, jak się nad tym głębiej zastanowić. Zawsze dużo czytałam. Książkę tygodniowo, czasem więcej. Nie wiem, dlaczego teraz chcę wziąć czytnik ze sobą. – Wysłałam Joemu mejla ze swoją rezygnacją – mówię.

– Nawet do niego nie zadzwoniłaś? Jules!

Puszczam mimo uszu ton jego głosu, mieszankę potępienia i rozczarowania.

– Nie miałam na to ochoty.

Patrzy, jak zwijam przewód ładowarki.

– Więc naprawdę zamierzasz to zrobić? – pyta, wciąż tkwiąc w tym samym miejscu, w naszej sypialni, ale tak naprawdę poza nią. Nie do końca się angażuje. Czy to odzwierciedlenie naszego związku?

– Naprawdę to zrobię. – Kiwam głową trochę zbyt energicznie. Spoglądamy sobie w oczy. Ben się na mnie gniewa. Nie jestem pewna czemu. Raczej nie dlatego, że jego zdaniem najlepszym rozwiązaniem byłoby natychmiastowe zapisanie Haley na jakąś terapię. Czuję, że fakt, że zabieram Haley do Maine, to dla niego kłopot. Kłopot, bo będzie musiał zrobić coś z Izzy. Kłopot, bo będzie musiał powiedzieć swojej matce, co jego zwariowana żona robi z jego zwariowaną córką.

Gdzieś w głębi serca cieszę się, że wkurzę teściową. Nie podoba mi się ta myśl.

Ben pociera grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Wzdycha, jakby usiłował wykrzesać w sobie dość energii, by rzeczywiście się przejąć. Wolałabym, żeby krzyczał. Przynajmniej wtedy wiedziałabym, że mu zależy. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby się ze mną po prostu nie zgadzał. Chcę wierzyć, że to... że ten jego brak zaangażowania jest skutkiem utraty naszej córki. Ale wiem, że to nieprawda. Widziałam oznaki tego stanu rzeczy jeszcze przed śmiercią Caitlin. Wiele miesięcy, może nawet całe lata temu.

Tak samo jak z naszym życiem małżeńskim, nie jestem w stanie precyzyjnie wskazać momentu, kiedy doszło do zmiany. Ani określić powodów. Myślę, że musiało się to stać mniej więcej wtedy, gdy Haley poszła do szkoły średniej. Ja zaczęłam pracować na część etatu. Ben zaczął spędzać więcej godzin

w pracy, a mniej w domu. Jego wyjaśnienia (czy raczej wymówki?) były całkowicie racjonalne; kiedy doszło do załamania gospodarczego, rodzinna firma mocno ucierpiała, a później nie udało jej się wrócić do stanu sprzed kryzysu. Ben i jego bracia zaczęli znowu pracować u klientów, kierując ogrodnikami z przednich foteli swoich furgonetek, a nie zza biurka. Kiedy wracał do domu, był zmęczony; nie miał ochoty słuchać o mojej nudnej pracy w rachunkowości ani o codziennych dylematach, na przykład o tym, jaki rodzaj brokatu wybrać do nowych strojów, które szylałam dla zespołu cheerleaderek Caitlin. I jeśli mam być sprawiedliwa, muszę przyznać, że wcale nie wymagałam od niego uwagi. Poświęcał więcej czasu przedsiębiorstwu, braciom i matce, ale nie kwestionowałam jego decyzji. Jeśli mam być ze sobą szczerą, tak do bólu szczerą, muszę stwierdzić, że może nawet przyczyniłam się do powolnego rozkładu naszego związku. Przestaliśmy umawiać się na randki, oboje byliśmy tacy zajęci. Kolacja na mieście była kosztowna, pieniądze można było wydać na bardziej potrzebne rzeczy: aparat ortodontyczny czy nową lodówkę. Oboje mieliśmy mnóstwo wyjaśnień i wymówek, którymi uzasadnialiśmy przed sobą to, jak się do siebie odnosimy.

Teraz stoimy twarzą w twarz, a ja zastanawiam się nad tym wszystkim, przez co przeszliśmy przez te lata. Myślę o tym, co dobre i co złe, i ogarnia mnie nostalgia. Kiedy w końcu przebrniemy przez ten kryzys, kiedy będę miała poczucie, że Haley wyszła na prostą. Może powinniśmy się zapisać na tę terapię małżeńską. Może potrzebujemy tylko drobnej pomocy, by ponownie się odnaleźć. Wiem, że go kocham. Myślę, że on też mnie kocha. Ale czuję, jakbyśmy byli teraz sobie bardzo odlegli, nawet gdy stoimy tak blisko siebie.

– I zamierzasz tak po prostu zostawić Izzy? – pyta.

– Mówisz to tak, jakbym przeprowadzała się do Australii. Nie zostawiam Izzy. – Wyrzucam ręce w górę. – Haley i ja jedziemy do Maine. Wrócimy.

– Powiedziałaś o tym Izzy?

Opuszczam ręce i biorę się pod kościste boki.

– Nie jest zbyt zadowolona – przyznaję. – Chce jechać z nami.

– To zły pomysł. – Ben podchodzi do swojej komody, gdzie poukładałam stos jego bokserów i skarpet. Trudno mi w to uwierzyć, ale zrobiłam dziś pranie dla samego prania, a nie dlatego, że kot coś obrzygał.

– Wyjaśniłam Izzy, że Haley musi się stąd na jakiś czas wyrwać, a ona zostanie z tobą. Powiesiłam twoje koszulki polo w twojej szafie.

– Dzięki. – Nie uśmiecha się, gdy to mówi.

Stoję pośrodku pokoju, zastanawiając się, czy nie zapomniałam spakować czegoś ważnego. Czuję się dziwnie, bo mam tylko małą torbę, ale wiem, że to nie wakacje. Nie potrzebuję kostiumu kąpielowego ani kombinezonu narciarskiego. Myślę, że mam wszystko, co potrzeba. Moja kosmetyczka z przyborami toaletowymi leży w łazience przy umywalce, wrzucę ją do torby jutro rano.

A nawet jeśli czegoś zapomniałam, mogę to kupić. Mam kartę kredytową.

– Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać – przypominam Benowi.

Stoi plecami do mnie. Układa swoje rzeczy.

– Chciałem przedyskutować scenariusze alternatywne dla wycieczki do Maine, ale wygląda na to, że już podjęłaś decyzję.

– Wygląda na to, że tak. – Przeczesałam palcami włosy i nagle zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem zmęczona. Podchodzę do łóżka i biorę swoją poduszkę.

– Dokąd się z tym wybierasz? – pyta Ben.

Przyciskam poduszkę do piersi.

– Będę spać z Haley. Nie chcę, żeby się wymknęła w środku nocy.

Dryfuję w stronę drzwi, myśląc, że przecież musi być jeszcze coś, co powinniśmy sobie powiedzieć. W końcu zostawiam nie tylko Izzy, ale i jego.

Ben wrzuca skarpety do szuflady.

– Dziwię się, że jeszcze nie nawiała przez okno.

– Nie mogła. Zabiłam je gwoździami od zewnątrz.

– Co takiego?!

Już w progu odwracam się do niego. Ben ma znów tę samą minę. Jakbym zwariowała. Ale kiedy zabijałam to okno, pomysł wcale nie wydawał mi się szalony. Przeciwnie – sądziłam, że to zupełnie racjonalne. Słuchanie stłumionych krzyków protestu Haley z za szyby było prawie zabawne.

– Wzięłam z szopy dwa duże gwoździe i wbiłam je w parapety od zewnątrz, tak żeby jej okna się nie otwierały.

– A teraz zamierzasz z nią spać. – Spogląda na mnie przez ramię.

Zastanawiam się nad tym i przez ułamek sekundy myślę, że może rzeczywiście przesadziłam. Ale nie. Haley jest wściekła. Poza tym się boi. Nie tylko tego, że będzie sam na sam ze mną w samochodzie – boi się być sama ze sobą. Myślę, że właśnie przez ten strach związały, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

– Tak.

Odwraca się, kręcąc głową.

Wychodzę na korytarz. Czuję się trochę jak lwica broniąca swojego lwiątko. W tej chwili ochronienie Haley przed światem zewnętrznym wydaje się dość proste. Ale jak lwica broni lwiątko przed nim samym?

51 dni

Ranek nadchodzi niespodziewanie szybko.

Przespałam noc w podwójnym łóżku Haley razem z nią, ignorując protesty i poduszkę, którą wepchnęła między nas podobno po to, żebym nie szturchała jej podczas snu. Odeskortowałam ją nawet do łazienki w środku nocy i rano, gdy



uparła się, że musi się wykąpać – jestem pewna, że tylko grała na zwłokę. Weszłam do łazienki razem z nią. Rozejrzałam się w poszukiwaniu ostrych narzędzi, którymi mogłaby się pociąć. Skonfiskowałam cząski do obcinania skórek oraz dwie pincety. Kazałam jej nie zamykać drzwi na klucz. Kiedy rzuciła przemądrzałą uwagę o tym, że potrzebuje pod prysznicem prywatności, pokazałam jej zza framugi kluczyk, który zdążyłam zabrać. Trzasnęła mi drzwiami przed nosem, ale to ja postawiłam na swoim – i obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę.

Haley się kąpie, więc pukam do Izzy.

– Śpisz?

– Wstałam! – krzyczy. Słyszę, jak wyskakuje z łóżka. – Ubieram się!

Kładę rękę na klamce i zastanawiam się, czy wejść do pokoju. Czy spróbować jeszcze raz jej wytłumaczyć, dlaczego muszę postąpić tak, a nie inaczej.

Nie robię tego jednak, tylko idę w głąb korytarza, do pokoju Caitlin. Waham się, a potem otwieram drzwi. Nie wchodzę. Stoję tylko w drzwiach, jak mój mąż, bez przekonania. Chcę wejść, ale nie jestem pewna, czy powinnam. Boję się, że gdybym weszła, rozpacz, która przytłaczała mnie przez ostatnich pięćdziesiąt jeden dni, bez reszty mnie pochłonie. A na to nie mogę teraz pozwolić. Nie mogę ze względu na drugą nastoletnią córkę, która mnie potrzebuje. Nie mogę ze względu na naszą rodzinę.

Pokój Caitlin wygląda tak samo jak w dniu jej śmierci, brakuje tylko brudnych ciuchów na podłodze. Wiem, że Ben je uprzątnął. Na biurku leży otwarty podręcznik do matematyki, a szkolny plecak wisi na krześle. Jest nawet szklanka – wciąż stoi na nocnej szafce. Jest pusta. Wpatruję się w nią i myślę, że gdybym podniosła ją do ust, może dotknęłabym miejsca, którego dotykały jej wargi.

Na chwilę zamykam oczy i łapię się futryny. Trzeba posprzątać jej pokój. Już czas. To niezdrowe zachowywać pokój w takim stanie, jakby Caitlin miała wrócić, bo przecież nie wróci. Haley i Izzy mogą wziąć sobie na pamiątkę to, co będą chciały, a resztę muszę spakować i oddać potrzebującym.

Ale nie dzisiaj. Zrobię to po powrocie.

Wycofuję się i chcę odejść. Boję się, że jeśli postoję tu za długo, wgramolę się do jej łóżka, gdzie pościel wciąż lekko nią pachnie, i już nigdy z niego nie wstanę. Kiedy zamykam drzwi, coś jaskraworóżowego miga mi przed oczami. Buty do biegania Caitlin. Chwytam je odruchowo. Nie mam pojęcia dlaczego. Caitlin i ja nosimy... nosiłyśmy ten sam rozmiar. Trzymając buty w dwóch palcach, zatraskuję drzwi.

Wracam do siebie i wpycham adidas do swojej torby. Jestem już ubrana. Biorę komórkę i wsuwam ją do kieszeni džinsów. Potem dźwigam torbę podróżną – moja torebka jest w środku – i idę do kuchni.

Ben stoi oparty o blat i czyta gazetę. Jakby to był zupełnie zwyczajny dzień.

– Kawa zaparzona – mówi, nie podnosząc wzroku.

– Dzięki.

Rzucam torbę na podłogę i biorę z szafki kubek. Co rusz zerkam ukradkiem na Bena. Czuję, że powinnam coś powiedzieć. Że oboje powinniśmy sobie coś powiedzieć. Obserwuję go. Ze spuszczoną głową i wzrokiem wlepionym w gazetę, podnosi swój kubek i bierze łyk kawy, siorbiąc przy tym trochę. Miał dobre maniery przy stole, w ogóle miał dobre maniery, ale to siorbanie mnie drażni. Od zawsze.

Przełyka i odstawia kubek na blat. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przycisnął swoje wargi do moich. Chyba tuż przed Bożym Narodzeniem. Oboje trochę się wstawiliśmy na przyjęciu u sąsiadów. Po powrocie do domu poszliśmy do łóżka. Nie było może wspaniale, ale seks po kieliszku jest wspaniały chyba tylko, kiedy jest się nastolatkiem. Wtedy po raz ostatni dotykaliśmy się w ten sposób. To smutne. Przez tyle lat było nam ze sobą tak dobrze. Brakuje mi tego.

Podchodzę i nakrywam dłonią jego rękę. Po chwili podnosi wzrok.

– Dwa tygodnie – mówię szeptem. – Nie będzie nas tylko dwa tygodnie.

Nie bierze mnie za rękę, w ogóle nie próbuje mnie dotknąć. Po prostu trzyma dłoń na blacie.

– Myślisz, że wyprowadzisz ją na prostą w dwa tygodnie? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie. Oczywiście, że nie, ale... – Cofam dłoń. Czuję się głupio. Wyraźnie jest na mnie zły. Nie chce, żebym go dotykała. – Ale może uda mi się zachęcić ją do rozmowy... – urywam i zaczynam od nowa: – Jeżeli wywiozę ją daleko stąd, z dala od rzeczy, które nieustannie przypominają jej o Caitlin, może uda nam się porządnie pogadać o tym, co czuje. Może... – Tak naprawdę nie wiem, co zamierzam osiągnąć. Wiem tylko, że musimy wyjechać.

Ben wraca do czytania gazety, a mnie na chwilę ogarnia taka złość, że mam ochotę wydrzeć mu tę gazetę i wrzasnąć, że najwyższa pora, żeby się ocknął i zaczął zwracać uwagę na mnie, na nasze córki, które wciąż żyją, na naszą rodzinę!

Zamiast tego odchodzę. Biorę kubek i nalewam sobie kawy.

Do kuchni wchodzi Izzy. Jest ubrana w swój szkolny mundurek, który nie mógłby być bardziej pognieciony, nawet gdyby zmięła go w kulkę i przespała na nim całą noc. Mam ochotę zaproponować, żeby zdjęła spódnicę i top, wrzuciła je do suszarki i włączyła program usuwania zagnieceń, jednak gryzę się w język. Nie chcę krytykować jej na pożegnanie.

– Cześć, tata – mówi.

– Cześć, Izz. – Ben nie podnosi wzroku.

Izzy spogląda mi w oczy, ale się nie wita.

Podchodzę do niej.

– Przykro mi – mówię cicho. Obejmuję ją i tulę do swojego boku. Powieki

pieką mnie od łez, ale nie pozwalam sobie na płacz.

Wargi jej drżą. Nie odwzajemnia uścisku, ale też mnie nie odpycha.

Słyszę, jak Haley wychodzi z łazienki.

– Wyjeżdżamy za dziesięć minut! – wołam. Chcę jak najszybciej wyruszyć w drogę. Z odwlekania wyjazdu nie wyniknie nic dobrego. Spoglądam na swoją najmłodszą pociechę. – Soku? Może chcesz gofra? Mogę włożyć do opiekacza. – Przechodzi mi przez myśl, żeby zaproponować, że zrobię naleśniki, ale Izzy i Ben muszą wyjść za piętnaście minut, inaczej Izzy spóźni się do szkoły.

– Tylko soku – odpowiada i odsuwa się ode mnie.

Wyjmuję sok, podczas gdy Izzy bierze sobie szklankę.

Popijam kawę, kiedy do kuchni wkracza Haley. Bierze mnie z zaskoczenia, bałam się, że będę musiała wywlec ją siłą z domu i wepchnąć do samochodu. Po jej minie widzę, że nadal nie chce jechać, ale przyjmuje tę konieczność z rezygnacją. Oddycham z ulgą.

– Spakowałaś się? – pytam. Staje przy stole i wygląda przez okno. Znowu odbija tę cholerną piłeczkę. Ma na sobie czarne dżinsy, czarną bawełnianą koszulkę z długim rękawem i czarne conversy. Na plecach swój szkolny plecak. Nie odpowiada na pytanie. – Haley...

– Wszystkie rzeczy mam tutaj.

Podnosi ramię, wskazując plecak. Niemożliwe, żeby zapakowała tam więcej niż parę dżinsów, bluzę i kilka par majtek.

Gryzę się w język.

– Powinnyśmy się zbierać – rzucam gdzieś w przestrzeń. Widzę, że Izzy nawet nie napiła się soku. Stoi nieruchomo. – Odprowadź nas – zwracam się do niej. – Zaniesiesz moją torbę? – Wskazuję zieloną torbę podróżną, leżącą na podłodze. Kupiłam ją podczas jednej z naszych podróży do Maine wiele lat temu, w dużym sklepie LL Bean we Freeport. Tego samego dnia kupiliśmy też namioty. Ben uważał, że wszyscy możemy jeździć na biwaki. Pomysł był taki, że będzie to coś nowego, co odtąd będziemy robić razem, jako rodzina – coś, co wzmocni nasze więzi. Od tamtej pory byliśmy na biwaku dwa razy. Zastanawiam się, co się stało z namiotami. Pewnie leżą na strychu. Ben wciąż czyta gazetę i siorbie kawę. Muskam dłonią jego ramię. – Ben, jedziemy.

Podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. Przez chwilę mam nadzieję, że powie: „Ja też jadę. Pojedziemy razem”. Zamiast tego zerka na Izzy i pyta:

– Gotowa?

O dziwo, Haley idzie przodem, odbijając po drodze piłeczkę. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że ma w uszach słuchawki bezprzewodowe. Słucha muzyki na swoim iPhone. Obecna ciałem, nieobecna duchem. Ale przynajmniej się nie buntuje. W ciągu ostatnich dwunastu godzin musiała chyba uznać, że nie żartuję z tym, że oddam ją na terapię.

I chyba rzeczywiście nie żartowałam.

Wychodzimy na jasne poranne słońce. Na dworze robi się już ciepło, jak zwykle na pustyni, nawet o tak wczesnej porze roku. Patrzę na mizerną zielenią podwórek, na brzydkie juki i palmy, i zastanawiam się, czemu w ogóle zgodziłam się tu przeprowadzić. Czemu ostatnie dwadzieścia lat życia spędziłam w miejscu, którego nie cierpię. Nagle zaczynam tęsknić za soczystą zielenią traw i połyskliwymi jeziorami Maine.

Na podjeździe podchodzę do Bena i otwieram ramiona. Przytula mnie, ale jakoś nienaturalnie. Kładzie ręce nie tam, gdzie trzeba, ja zresztą też. Wspinam się na palce, żeby go pocałować, a on pochyla głowę, tak że moje usta muskają tylko kącik jego ust.

– Damy sobie radę – szepczę. – Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Puszcza mnie bez zapewnienia, że *wszystko oczywiście będzie dobrze, Julio. Haley wyjdzie na prostą. Przebrniemy przez to. Nasza rodzina przetrwa, zobaczysz.*

Haley idzie do samochodu, powłócząc nogami. Nie żegna się ani z Benem, ani z Izzy. Nie mam pojęcia, czemu jest wkurzona na ojca. Siada na tylnej kanapie, a nie na fotelu z przodu.

Odwracam się do Izzy. Pada mi w ramiona, a ja tulę ją mocno.

– Niedługo wrócimy. – Całuję ją w czubek głowy. – Nawet nie zdążysz się stęsknić, a już będę z powrotem. – Całuję ją w skroń i jeszcze raz w czubek głowy, wdychając zapach jej włosów. – Będzie dobrze, Izzy... – Ostatnie słowa więzną mi w gardle, a kolana robią się na chwilę jak z waty. Mam wrażenie, że zaraz osunę się na ziemię, ciągnąc Izzy ze sobą. Tylko siłą woli udaje mi się utrzymać na nogach. Nie mogę się teraz wycofać.

– Nie zostawiaj mnie, mamusiu, proszę... – błaga Izzy. – Proszę! Proszę, pozwól mi z wami pojechać. Proooszę... – łka już na całego.

– Izz. – Ben odzywa się półgłosem zza moich pleców.

– Zadzwoń do was wieczorem. – Wyplątuję się z uścisku córki.

– Mamo... – płacze Izzy, a potem odwraca się do ojca.

Na szczęście Ben bierze ją w ramiona.

Podnoszę torbę, którą Izzy upuściła na betonowy podjazd, i rzucam ją na tylne siedzenie obok Haley, która sprawia wrażenie, jakby nie zauważyła rozpaczy swojej młodszej siostry.

Siadam za kierownicą i uruchamiam silnik. Łzy płyną mi po policzkach, ale nic mi nie jest. *Nic mi nie jest.*

Wycofuję i wyjeżdżam na drogę. Nie patrzę już ani na Bena, ani na Izzy. Nic jej nie będzie. Jest zdenerwowana, ale przejdzie jej, wmawiam sobie, gdy dojeżdżam do końca naszej ulicy. Dwa tygodnie. Nie będzie mnie dwa tygodnie. Wrócę, zanim się obejrzy.

Zatrzymuję się przed znakiem „stop” i dopiero wtedy spoglądam we

wsteczne lusterko.

Izzy puściła tatę i podeszła na koniec podjazdu. Stoi tam bez ruchu w swoim pogniecionym mundurku, rozczochrana, z ramionami zwisającymi po bokach. W świetle słońca jej włosy płoną czerwienią. Widzę, że wciąż płacze. Wciąż łka.

Waham się.

A potem zdejmuję nogę z hamulca i dodaję gazu.

## ROZDZIAŁ 20

### HALEY

50 dni, 9 godzin

No i co? – rzucam wrogim tonem. Wyciągam jedną słuchawkę z ucha. – To jednak nie jedziemy?

Gapię się na mamę, gdy zaczyna zawracać na środku skrzyżowania, gdzie kończy się nasza ulica. Robi to tak szybko, że muszę złapać się oparcia przedniego fotela. Łysy facet, który wyszedł na spacer z psem, odwraca się za nami. Piłeczka wypada mi z ręki i turla się pod siedzenie mamy. Specjalnie usiadłam za nią, żebym nie musiała na nią patrzeć. Jestem wściekła. Nie mogę uwierzyć, że mi to robi. Nie mogę uwierzyć, że mnie do tego zmusza. Ale może coś jej się odwidziało. Może wreszcie zajarzyła, że podróż z pierdolniętą córką przez cały kraj to totalne wariactwo.

Schylam się po piłeczkę, a wtedy mama dodaje gazu, tak że rzuca mną na oparcie kanapy. Usiłuję zaklinować się jedną ręką, podczas gdy drugą macam na oślep w poszukiwaniu zguby. Manewr zawracania jednak trwa, więc co rusz rzuca mną na boki. Do głowy mi nie przyszło, żeby zapiąć pas, zanim wyjedziemy z osiedla.

– Mamo! Co jest, do diabła?

Rozczapierzam palce, gorączkowo przeszukując podłogę pod siedzeniem. Nie mogę zgubić tej piłeczki. Nie mogę!

Migiem mijamy sąsiednie domy. Mama jedzie szybciej, niż pozwala ograniczenie prędkości. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Zastanawiam się, czy nie przechodzi załamania. Załamania na tle tego, że Izzy się rozkleiła. Przez chwilę naprawdę myślałam, że mama zawiezie mnie aż do Maine. Muszę podziękować Izzy za uratowanie mi życia.

O ile kiedykolwiek jeszcze się do mnie odezwie.

Wiszę pomiędzy siedzeniem a podłogą. Druga słuchawka wypada mi z ucha. Wreszcie czuję pod palcami znajomą strukturę. Już prawie mam piłeczkę, gdy nagle mama ostro hamuje, a ja lecę twarzą na oparcie fotela.

– Mamo! – drę się.

Podnoszę głowę i widzę we wstecznym lusterku, jak gromi mnie wzrokiem.

– Zostań w wozie.

– Co? – Łapię piłeczkę i gramolę się z powrotem na siedzenie. Przez przednią szybę widzę Izzy, która wciąż stoi na naszym podjeździe. – Więc jednak

jedziemy?

Mama nie odpowiada.

Tata jest jakieś pół metra za Izzy. Mówi coś, ale nie słyszę co.

Mama wysiada z samochodu i opiera się o otwarte drzwiczki.

– Odjeżdżamy za pięć minut, Izzy – woła. – Idź po swoje rzeczy.

Izzy odwraca się i biegnie na tych swoich grubych nóżkach. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby biegła tak szybko. Co, do cholery? Ona też się z nami zabiera? To jeszcze gorzej niż cztery i pół tysiąca kilometrów w samochodzie sam na sam z mamą.

To nie może się dziać naprawdę! Może jednak powinnam dać się zamknąć u tych czubków.

Tata znowu coś mówi. Mama mocno zatrzaskuje drzwiczki, wychodzi przed maskę samochodu i zbliża się do taty. Przesuwam się na środek kanapy, między fotelami, i obserwuję rodziców. Mama jest odwrócona do mnie plecami. Zasłoniła mi tatę, więc nie widzę jego twarzy.

Patrzę na drzwi samochodu i zastanawiam się gorączkowo. Jestem wściekła, mam pietra, ale przede wszystkim się wkurzam. Nie dam rady pojechać tym samochodem aż do Maine – razem z nią. A już na pewno nie dam rady wytrzymać z Izzy. Patrzy na mnie tak, jakby chciała wyryc mi na czole szkarłatną literę „M” – jak morderczyni. Cait-lin czytała *Szkarłatną literę* na anglika. Rozmawiałyśmy o niej rano tego dnia, gdy zginęła. Podobała nam się ta książka, choć nikomu z naszych kumpli jakoś nie podeszła. Wspomnienie jest rozdzierające. Czuję się jeszcze gorzej. Mam jeszcze większego pietra.

Nie wytrzymam tej podróży z nimi dwiema.

Jeśli wysiądę, jeśli zwieję, mogę przebiec przez ogród na tyłach Stevensonów. Dwie przecznice i będę na głównej ulicy. Nie ma mowy, żeby mama dała radę dogonić mnie na nogach. Nie złapałaby mnie, nawet gdyby mocno się spięła. A zanim zdążyłaby wskoczyć do samochodu i wyjechać z sąsiedztwa, mnie już dawno by nie było. Mogłabym się ukryć w wielu miejscach, w fast foodach, w sklepach...

Jeśli zadryndam do Todda, na pewno po mnie przyjedzie. Moglibyśmy pojechać na Alaskę. Już dzisiaj. Mam spakowany bagaż. Chociaż właściwie prawie nic nie wzięłam. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Jeśli mam jechać na Alaskę, potrzebuję znacznie więcej rzeczy. Szkoda. Taka szkoda.

Ale mam kasę i kartę bankową Caitlin. Nie ma mowy, żeby mama i tata mieli teraz głowę do tego, żeby zlikwidować jej rachunek bankowy. Jestem pewna, że Caitlin nie miałaby nic przeciwko temu, że bym wykorzystała pieniądze, które odkładała na festiwal Bonnaroo. Okay, pewnie miałaby coś przeciwko wyjazdowi na Alaskę, bo jadę tam z Toddem, a Caitlin go nienawidziła. Mówiła, że to leszcz i że stać mnie na lepszego faceta. Że zasługuję na lepszego faceta. Po tym, co jej

zrobiłam, pewnie zmieniłaby zdanie.

Wyciągam komórkę ze swojego stanika sportowego i piszę do Todda: „Gdzie jesteś?”

Obserwuję mamę i tatę przez przednią szybę. Tata jest poważnie wkurwiony. Choć wciąż nie widzę jego twarzy, poznaję to po tym, jak stoi. Mama zresztą też. Jest cała sztywna. Ale nikt się nie wydziera. Moja rodzina jest taka cholernie kulturalna. Nikt nigdy na nikogo nie drze ryja. Oprócz babci, ale ona robi to tylko wtedy, kiedy jest naprawdę naprana, więc i tak nikt nie zwraca na nią uwagi.

Dzwonek w telefonie informuje mnie o nadejściu esemesa. Odczytuję wiadomość: „U Pogrzebacza”. Pogrzebacz to starszy brat Todda. Kolejny leszcz. Mieszka z matką swojego bachora, ale umawia się z inną laską, którą zna z roboty. Pogrzebacz pracuje na zmywaku w jadłodajni przy lombardzie, gdzie chodzą wszyscy turyści.

„Przyjedziesz po mnie?”, pytam. Todd migiem odpisuje: „Myślałem że masz szlaban”. Napisał „myślałem” z błędem. To nie literówka. Todd wali takie ortografy, że głowa mała.

Ściskam telefon w dłoni. Jak wczoraj do siebie esemesowaliśmy, nie wspomniałam Toddowi, że matka próbuje mnie porwać do Maine. Nie wiem dlaczego. Czy podświadomie jednak pragnę jechać z nią przez cały następny tydzień i słuchać jej płaczu? Albo jeszcze gorzej – słuchać, jak próbuje rozmawiać ze mną tym swoim cichym, spokojnym głosikiem, od którego dostaję jeszcze większego pierdolca?

„Mozesz po mnie przyjechać czy nie?”, odpisuję, energicznie uderzając w ekran telefonu.

„Pół godz”.

„Teraz”, piszę. Wysyłam wiadomość i za chwilę piszę następną: „Alasko, nadchodzimy!”.

Telefon brzęczy. „Zajebiscie”.

„Nie pod moim domem. Dam znać za pare minut”.

Zerkam na rodziców. Są tak zajęci swoją kulturalną kłótnią, że raczej o mnie nie myślą. Spoglądam na drzwiczki. Wpycham piłeczkę głęboko do kieszeni dzinsów i wyciągam rękę po plecak, leżący na siedzeniu obok. Spoglądam na starych raz jeszcze i kładę dłoń na klamce.

Akurat gdy mam otworzyć drzwi, mama odwraca się i rusza do samochodu.

– Izzy! – woła. – Jedziemy, kochanie! – Mówi „kochanie”, ale głos ma podniesiony i piskliwy.

No, ja pierdolę!



## ROZDZIAŁ 21

JULIA

51 dni

Zatrzymuję się w połowie drogi do samochodu, odwracam do Bena i podnoszę rękę w geście, którym sam czasem mnie raczy. Ten gest zawsze mnie wkurzał. Tak jakby wtedy, gdy się ze sobą nie zgadzamy, nagle chciał mnie traktować po ojcowsku.

– W tej chwili nie mogę, Ben.

Odwracam się w stronę samochodu i widzę, że Haley przesunęła się na kanapie. Opiera się o drzwiczki. Nie odrywam od niej wzroku i szybko idę w jej stronę. Wygląda, jakby chciała dać nogę. Celuję w nią palcem. Spoglądamy sobie w oczy. Haley spuszcza wzrok. Przyłapana. Mała jędrza zamierzała uciec.

– Zadzwoń wieczorem, Ben – rzucam. Boję się spuścić z oka zakładniczkę na tylnym siedzeniu mojej toyoty. – Izzy! – wołam znowu.

Czuję w piersi ucisk, narastającą panikę. Nie mogę oddychać. Mam wrażenie, że jeśli natychmiast stąd nie odjadę... to nie wiem, co się stanie.

Docieram do samochodu. Otwieram swoje drzwiczki i zaglądam do kabiny.

– Wybierasz się dokądś? – pytam córkę mało matczynym tonem. Opada na oparcie kanapy. W garści ścisną komórkę. – Mówiłam. Zadzwoń na policję – grożę i wsiadam za kierownicę.

– Nie zrobiłabyś tego. – Haley mówi to tak cicho, że nie jestem do końca pewna, czy dobrze usłyszałam. – Brak ci ikry.

– Tylko spróbuj, a sama się przekonasz – odpowiadam równie cicho.

Zaczyna klepać kolejnego esemesa. Prostuję się i patrzę w stronę domu. Minęło co najmniej pięć minut. Raczej dziesięć. Gdzie ta Izzy? Chętnie poszłabym po nią, ale boję się, że wtedy Haley zwieje. Wątpię, żeby Ben za nią pobiegł.

Mój mąż stoi w tym samym miejscu na podjeździe. Wciąż jeszcze może powiedzieć, że z nami jedzie. Myślę, że teraz, gdy zabieram ze sobą Izzy, tym bardziej mógłby podjąć taką decyzję. Izzy zawsze była jego ulubienicą. Proszę, Ben. Pojedź z nami. Ucieknij z nami. Ucieknij dla nas...

Spoglądam na niego, a potem na Haley. Jej telefon znowu brzęczy.

– Z kim esemesujesz? – pytam, po raz kolejny zerkając w stronę domu.

Haley nie odpowiada.

Jeszcze raz patrzę na Bena. Proszę, modlę się. Nie do Boga. Myślę, że nie wierzę już w Boga. Może raczej do sił rządzących wszechświatem. Proszę, pojedź

z nami. Izzy, a ty załaduj wreszcie swój tyłek do samochodu.

Haley esemesuje jak szalona.

– Z kim esemesujesz? – powtarzam.

Siedzi pośrodku kanapy i ściska komórkę, jakby od niej zależało jej życie.

Telefon znowu brzęczy.

Wtedy coś we mnie wstępuje. Sięgam do tyłu i wyrywam jej iPhone'a z ręki.

– Oddawaj! – piszczy Haley. Nie może dosięgnąć telefonu, więc przysuwa się do drzwi.

Zatraskuję auto i blokuję zamki we wszystkich drzwiach w tym samym momencie, kiedy moja siedemnastoletnia córka uderza barkiem o jedno z nich. Na konsoli w moich drzwiczkach włączam blokadę uniemożliwiającą małym dzieciom otworzenie wozu od środka.

Haley jeszcze kilkakrotnie mociuje się z klamką.

– Wpuść mnie! Puszczaj! – Klamka szczęka wściekle. Haley drze się na mnie i miota jak zwierzę w klatce. – Oddawaj telefon!

Ściskam jej komórkę. Na ekranie wyskakuje esemes: „Bede za piedz min”.

W tym samym momencie słyszę klekotanie klamki od strony pasażera. Potem pukanie do okna.

– Mamo?

Podnoszę wzrok.

Izzy. Stoi przy drzwiach od strony pasażera, obładowana bagażami. Ma ich tyle, że nie wiem, jak udało jej się przytaszczyć je wszystkie samodzielnie. Pod pachą ma jedną ze swoich poduszek.

Zawsze, gdy wybieraliśmy się w podróż samochodem, a dziewczyny były młodsze, pozwalaliśmy im zabierać poduszki. Nie podróżowaliśmy tak od lat. Odkąd Haley poszła do szkoły średniej, po prostu byliśmy zbyt zajęci.

– Mamo? – Teraz to Izzy zaczyna panikować. Jej głos jest przytłumiony, ale słyszę strach w wysokich tonach, na które się wznosi. Co ja robię swoim dzieciom? Co ja robię w tym samochodzie, gotowa wyruszyć w drogę przez cały kraj? Jesteśmy takie pokaleczone. Wszystkie. Przecież to czyste szaleństwo! Ale teraz nie mogę się wycofać. Tak jakbym pędziła przed siebie i nie była w stanie zmienić toru, po którym się poruszam. – Jestem gotowa – woła Izzy, uderzając kolanem w drzwiczki. – Wpuść mnie.

Uruchamiam silnik, ale waham się, czy odblokować zamki. Po chwili zdaję sobie sprawę, że tak długo, jak działa blokada, Haley nie może się wydostać. Opuszczam trochę szybę od strony pasażera i pochylam się. Widzę zarumienioną buzię Izzy. Wciąż trzymam w ręce telefon Haley. Spoglądam na niego. Esemes jest od Todda. Jej byłego. To Todd nie widzi różnicy między „piedz” a „pięc”. Jedzie po nią. Chciał jej pomóc w ucieczce.

Nie mam pojęcia, co zrobić z jej telefonem, ale na pewno nie mogę go jej

oddać. Ona naprawdę chciała zwiać.

Znowu spoglądam na Izzy przez uchyloną szybę.

– Posłuchaj mnie uważnie – mówię. – Podejdź do samochodu od tyłu. Odblokuję bagażnik. Kiedy usłyszysz kliknięcie, otwórz klapę, włóż swoje torby i zatrzaśnij. Zrób to naprawdę szybko.

– No nie, mamoo! – woła Haley. – Serio myślisz, że spróbuję uciec przez pieprzony bagażnik?

Puszczam jej słowa mimo uszu. Tak, myślę, że mogłaby tego spróbować. Ja w jej wieku nie zawahałabym się. Raz wysiadłam z samochodu, kiedy ojczym zatrzymał się na czerwonym świetle. Nie wróciłam do domu przez trzy dni: każdej nocy spałam u innej koleżanki, żeby trudniej było mnie namierzyć.

Izzy podchodzi do bagażnika.

– Julio? Co ty wyprawiasz? – słyszę głos Bena.

Odwracam się i spoglądam do tyłu. Kiedy widzę w oknie Izzy, odblokowuję zamki.

Haley siedzi zgarbiona, tuli się do bocznych drzwi. Ma skrzyżowane na piersiach ręce, a w oczach łzy. Nie chce na mnie patrzeć.

– Wszystko będzie dobrze, Haley – mówię cicho.

Nie odpowiada.

Izzy pakuje swoje rzeczy do bagażnika: dwie torby podróżne, worek na pranie, siatkę na zakupy i płócienną torbę. Nie mogę sobie wyobrazić, jak udało jej się spakować to wszystko w ciągu paru minut. Zatrzaskuje bagażnik i podbiega do drzwi pasażera.

– Gotowa! Gotowa! – krzyczy.

Otwiera drzwiczki i rzuca swój fioletowy szkolny plecak na podłogę przed fotelem. Wciąż tuli do piersi poduszkę, a w dłoni ściska ulubiony kubek. Kubek Tervis podpisany jej imieniem; Caitlin dała jej go na Gwiazdkę.

Kiedy siada na fotelu i zamyka drzwi, z kieszeni bluzy wypada jej puszka kociego żarcia. Nie mam pojęcia, po co bierze karmę dla kotów, ale cieszę się, że wzięła bluzę. Wciąż ma na sobie szkolny mundur.

Zerka na tylne siedzenie.

– Co z nią? – pyta, odchylając oparcie fotela i zapinając pasy.

Patrzę we wsteczne lusterko. Wciąż mam w ręce iPhone'a Haley.

– Zapnij pasy – mówię do starszej córki.

Nie odpowiada, ale robi, co każe.

Sama też zapinam pasy. Po raz ostatni patrzę w stronę domu. Ben wciąż stoi tam, gdzie stał. Wciąż też wygląda na wkurzonego, ale jednocześnie wydaje się smutny.

Wiem, że nie mogę się czuć odpowiedzialna za smutek wszystkich w rodzinie.

Przesuwam dźwignię automatu i zaczynam kręcić kierownicą.

Kiedy czekam, aż będę mogła wyjechać na główną ulicę, poza nasze sąsiedztwo, telefon Haley w mojej garści znów się odzywa.

– Oddaj mi komórkę. – Głos mojej córki jest niski i groźny.

Spoglądam na ekran. „Dzie jesteś?”

Znowu Todd.

Droga wolna. Ruszam.

– Pozwól mi przynajmniej odpisać – burczy Haley z tylnego siedzenia.

Opuszczam szybę i ciskam telefon na ulicę. Łąduje na jezdni z przyjemnym trzaskiem. Kiedy podnoszę szybę, wyobrażam sobie, jak ktoś go rozjeżdża.

– Włączyć radio czy nie?

## ROZDZIAŁ 22

### IZZY

3 lata, 8 miesięcy

Ja nie mogę! Mama właśnie wyrzuciła przez okno iPhone'a Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Był prawie nowy, dostała go na Gwiazdkę. Musiał być wart z trzysta albo czterysta dolców!

Boję się odezwać. Siedzę wciśnięta w fotel i patrzę przed siebie. Wiem, że oczy pewnie wyłazą mi z orbit. Nie wiem, do kogo ta na tylnym siedzeniu pisała esemesy, ale mamie chyba bardzo zależało na tym, żeby więcej tego nie robiła.

Tamta na tylnym siedzeniu przeklina, ale ledwo ją słyszę. Jest dla mnie jak szum w radiu.

Od dłuższego czasu chcę mieć telefon komórkowy, ale mama ciągle powtarza, że jestem za mała. Mówi, że mogę mieć komórkę, jak będę na tyle duża, żeby chodzić gdzieś bez opieki. W tej chwili magiczną liczbą wydaje się trzynaście lat, ale wątpię, żeby kazała mi czekać aż tak długo. Na razie mam starego iPoda touch, z którego mogę pisać z kumplami wiadomości. Cieszę się, że nie mam telefonu, bo założę się, że Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, próbowałaby mi go odebrać.

Wciskam poduszkę między drzwiczki i swoją nogę. W tej chwili dzieje się tak dużo, że trudno mi to wszystko ogarnąć. Jestem prawie pewna, że porywamy tę jędzę na tylnym siedzeniu, a mama... moja matka po mnie wróciła. Najpierw powiedziała, że nie mogę z nią jechać, a potem zmieniła zdanie.

Nie mogę uwierzyć, że po mnie wróciła.

Nie mogę uwierzyć, że wróciła. Jestem taka szczęśliwa, że chce mi się płakać, ale nie będę, bo wtedy mama zaczęłaby się o mnie martwić, a wolałabym, żeby się nie martwiła. Ma już dość zmartwień z tą wariatką za nami, która nie wykrzykuje już brzydkich słów, ale myślę, że mamrocze je pod nosem. Uderzyła w tył fotela mamy, a potem jeszcze kopnęła, ale mama zachowywała się tak, jakby tego nie zauważyła, więc ja też udawałam, że nic nie widzę.

Spuszczam wzrok na puszkę kocięj karmy w pobliżu mojej lewej stopy. Zastanawiam się, czy nie spróbować wepchnąć jej piętą pod fotel, ale skoro mama jej nie zauważyła, postanawiam, że na razie zostawię ją tam, gdzie jest. Nie ma sensu przyciągać do niej uwagi. Zwłaszcza tak blisko domu.

Biorę głęboki oddech. Mam nadzieję, że wzięłam wszystko, czego potrzebuję.

Kiedy pobiegłam do domu, spakowałam się tak szybko, jak mogłam. Miałam już spakowane ubrania z wczoraj, bo nie rozpakowałam ich, na wypadek gdyby mama zmieniła zdanie. Ale chyba nie wierzyłam, że je zmieni – inaczej już wczoraj spakowałabym więcej rzeczy.

Nie wiedziałam, co wziąć. Mama powiedziała, że mam tylko pięć minut, i nie było mowy, żebym mogła poświęcić na to więcej czasu. Ale trudno mi było zdecydować, co powinnam ze sobą zabrać. Jeszcze nigdy nie podróżowałam samochodem przez kraj z mamą i parszywą siostrą. Nie wiem nawet, dokąd jedziemy, więc nie miałam pojęcia, jakie ciuchy wziąć. Oczywiście jeśli jedziemy na Południe, a potem na Wschód, przydadzą mi się ubrania na cieplejszą pogodę. A jeśli na Północ, a potem na Wschód, to będę potrzebowała ubrań na chłodniejsze dni. Myślę, że wzięłam i jedno, i drugie, ale jestem tak podniecona, że sama już nie wiem, co właściwie mam w swoich bagażach.

Jak fajnie, że jestem z mamą. Byłoby jeszcze fajniej, gdyby nie było z nami Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Ale nawet z nią nie jest tak, że nie ma mowy o umowie, jak mawia Liz Lemon. (Ja, Caitlin i ta, która posłała ją na zieloną trawkę, oglądałyśmy nałogowo *Rockefeller Plaza 30*, gdy rodzice zostawiali mnie pod opieką starszych sióstr). Niesamowicie się cieszę, że jestem w samochodzie, nawet z Tą, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. I to jeszcze siedzę z przodu! Uwielbiam jeździć na przednim fotelu, bo widok jest o wiele lepszy. Rzadko udaje mi się zająć miejsce z przodu. Mama ma hopla na punkcie poduszek powietrznych, ale mnie bardzo się tu podoba. Kiedy jadę z przodu, czuję, że biorę udział w tym, co się dzieje. Wszystko widzę i wszystko słyszę. Nie tylko obserwuję, ale też uczestniczę: jestem częścią świata. Na tylnym siedzeniu czuję się przegrana.

Zerkam we wsteczne lusterko, sama nie wiem po co. Nie obchodzi mnie, co robi tamta. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby mama wyrzuciła ją z samochodu razem z jej iPhone'em, ale i tak zerkam. Jest odwrócona jakby bokiem, podkuliła nogi na siedzeniu. Ma zamknięte oczy i policzek przyciśnięty do skórzanego obicia kanapy. Ściska coś w ręce, ale nie widzę co. Ma w uszach bezprzewodowe słuchawki, co najlepiej świadczy o tym, że jej miejsce jest u czubków – przecież skoro nie ma już telefonu, nie może słuchać muzyki.

Patrzę na mamę. Sięga do schowka nad głową i wyciąga swoje ray-bany. Kiedy je zakłada, spogląda na mnie przez chwilę, po czym znów skupia wzrok na drodze, bo właśnie wjeżdżamy na obwodnicę miasta, Woodbury Belt-way. Mieszkamy w zachodniej części Vegas, w pobliżu Czerwonego Kanionu, w Summerlin.

Przyglądam się, jak mama kręci kierownicą, i mam ochotę się uszczypnąć, bo nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że siedzę w samochodzie razem z nią. Że po mnie wróciła. Kiedy powiedziała, żebym wzięła swoje rzeczy i wsiadła do samochodu, miałam tylko jedną obawę. Chodziło

o Caitlin.

Kiedy wrzucałam swoje rzeczy do toreb, zastanawiałam się, czy kiedy wrócę, Caitlin wciąż tu będzie. Wiedziałam, że jej obecność to niedostateczny powód, żeby zostać, bo w końcu ona nie żyje i w ogóle, ale zrobiło mi się smutno, jak pomyślałam, że może już nigdy nie będziemy mogły pogadać.

Kiedy usłyszałam, jak mama mnie woła, wzięłam torby, które spakowałam, i pobiegłam do drzwi. Pan Kot miauczał, ale nie zwracałam na to uwagi. W drzwiach przystanęłam i spojrzałam za siebie – na plakaty lasu deszczowego i mumii egipskiej, które wisiały na ścianie. Pożegnałam się z Caitlin i powiedziałam jej, że ją kocham. Na wypadek, gdyby nie mogła pojechać z nami do Maine.

## ROZDZIAŁ 23

JULIA

51 dni

Trzęsę się. Kurczowo ściskam kierownicę i skupiam uwagę na drodze, kiedy wjeżdżam na obwodnicę miasta. Jestem wściekła, zdenerwowana i... dziwnie podekscytowana.

Nie mogę uwierzyć, że właśnie wywaliłam przez okno iPhone'a za cztery stówy. Co we mnie wstąpiło?

W sumie to wiem, co we mnie wstąpiło. W każdym razie wiem, na co zareagowałam w ten sposób. Bez swojego telefonu Haley nie może rozmawiać z Toddem. Nie może z nim uciec, jeśli chłopak nie będzie miał z nią kontaktu. Dlatego telefon powędrował za okno.

Znowu przychodzi mi na myśl matka lwica.

Ale co się stało z moim zdrowym rozsądkiem?

Czy lwice mają zdrowy rozsądek, czy działają tylko na podstawie pierwotnego instynktu?

Mogłabym po prostu zadzwonić na infolinię i zawiesić Haley usługę telefoniczną. Mogłabym wymienić karty SIM i sama miałabym nowy telefon zamiast starego, który nie zawsze łączy się z Internetem, a czasem nie łączy też rozmów.

Haley i Caitlin zawsze dostawały nowy telefon, jak tylko dany model pojawiał się w sprzedaży, a Ben i ja dostawaliśmy aparaty, których używały poprzednio. Raz odbyliśmy dyskusję o tym, czy dziewczyny rzeczywiście potrzebują najnowszego i najlepszego modelu na rynku. Ja sprzeciwiałam się kupowaniu co roku nowych komórek, na co Ben stwierdził, że wypruwa sobie flaki siedem dni w tygodniu po to, żeby stać go było na kupowanie nastoletnim córkom najnowszych telefonów komórkowych. Poniosłam porażkę. Głównie dlatego, że to z jego zarobków się utrzymujemy. Moje pieniądze idą na przyszłe czesne za studia dla dziewczyn, a także na rozmaite dodatkowe wydatki, takie jak wyjazd na narty czy nowy sześćdziesięciopięciocalowy telewizor, który Ben chciał dostać na Gwiazdkę.

Zastanawiam się, co się stało z telefonem Caitlin. Myśl przychodzi znikąd i wydaje się taka... obca. Sprawa jest dziwna podwójnie, bo Caitlin nie żyje od prawie dwóch miesięcy, a ja po raz pierwszy zastanawiam się, gdzie jest jej telefon. Jak to możliwe, że nie pomyślałam o tym wcześniej?



Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny myślę o całej masie spraw, o których, o dziwo, wcześniej nie pomyślałam. Czuję się tak, jakbym wychodziła z gęstej mgły, w której brodziłam przez dwa miesiące. Nie uwolniłam się z niej jeszcze w pełni, ale mgła się przerzedza i widzę trochę więcej.

Pamiętam, że ktoś przekazał nam wszystko z samochodu, zanim odholowano go tam, gdzie trafiają skasowane pojazdy, które brały udział w wypadkach z ofiarami śmiertelnymi. Zastanawiam się, czy Ben unieważnił umowę Caitlin z operatorem. Czy operator pobrał jakąś opłatę za odłączenie numeru, czy może takie rzeczy robi się za darmo? Myślenie o czymś takim wydaje się upiorne, ale czuję się z tym dobrze. Tak jakbym wracała do jakkolwiek pojętej normalności.

Ale kogo próbuję oszukać? To, co się dzieje w tym samochodzie, nie jest normalne pod żadnym względem.

Właśnie wyrzuciłam przez okno zupełnie dobrego iPhone'a.

Praktycznie porwałam swoją nastoletnią córkę.

Na pewno istnieją przepisy zabraniające przetrzymywania siedemnastolatek w samochodzie wbrew ich woli. Na dodatek bez telefonu komórkowego.

A ja, nie dość, że przetrzymuję jedną córkę w swoim aucie, to jeszcze zabrałam dziesięcioletkę ze szkoły bez powiadomienia kogokolwiek. Nie można tak po prostu wziąć dziecka ze szkoły na dwa tygodnie bez wypełnienia odpowiednich formularzy, bez uzgodnienia planu odrabiania prac domowych i harmonogramu zdawania zaległych testów czy klasówek. Takie czasy. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle mam prawo zabrać Izzy ze szkoły na tak długo.

Wiem, że Ben myśli, że brak mi piątej klepki. Może ma rację.

Jadę na Północ naokoło miasta. Sama nie wiem dokąd. To znaczy wiem dokąd – jadę do Maine. Jadę do domu Laney. Już niedługo wypiję z nią kieliszek wina na frontowej werandzie. Ale nie wiem, jakimi drogami będę jechała, żeby tam dotrzeć. Wczoraj w mapach Google'a wpisałam trasę z domu do Portland tylko po to, żeby zorientować się mniej więcej, którądy jechać. Z Vegas trzeba jechać albo na Północ, albo na Południe, żeby ominąć Wielki Kanion. Postanowiłam pojechać na Północ wyłącznie z tego powodu, że lubię podróżować przez Utah, a nie robiłam tego od lat. Na pierwszym postoju wpiszę coś w nawigację satelitarną. Może nie adres Laney, ale przynajmniej jakiś ogólny kierunek, żebyśmy nie trafiły przez przypadek do Kanady.

Rzucam okiem na Izzy. Wygląda na nieco wstrząśniętą, oczy jej błyszczą. Wyrzucenie iPhone'a przez okno musiało ją przerazić. Chyba jeszcze nigdy nie zrobiłam przy niej czegoś tak szalonego. Zresztą nie robiłam niczego szalonego od lat. Spontaniczność nastoletniej młodości skończyła się u mnie, kiedy wyszłam za Bena i założyliśmy rodzinę.

Ponownie zerkam na Izzy. Prawdopodobnie popełniłam błąd, wracając po nią. Nie powinna z nami jechać. Nie kiedy Haley jest w takim stanie. Najstarsza

córka jest na mnie tak wściekła, że chyba żadne zachowanie z jej strony by mnie nie zszokowało. Nie powinnam jednak narażać Izzy. Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, zjechałabym z obwodnicy i zadzwoniła do Bena, żeby ją zabrał. Tak byłoby najrozsądniej.

Ale kiedy znowu na nią patrzę, odwraca się do mnie i uśmiecha tak promiennie, jak wtedy, gdy była mała. I po prostu nie mam serca dzwonić do Bena i prosić, żeby po nią przyjechał. Po prostu nie mam serca.

Wyciągam rękę i ściskam jej dłoń.

– Jesteś pewna, że chcesz z nami jechać? – pytam półgłosem. Nie dlatego, żeby Haley nie usłyszała, po prostu zależy mi, by Izzy zrozumiała powagę tej podróży. Wiem, że musi zdawać sobie sprawę z tego, że Haley jest w kiepskiej formie psychicznej, ale nie jestem pewna, czy rozumie w jak kiepskiej. – Możemy zatrzymać się i poczekać gdzieś na tatę. Możesz wrócić z nim do domu – mówię, kładąc rękę z powrotem na kierownicy. Wciąż jestem trochę rozedrgana.

Izzy energicznie kręci głową.

– Nie chcę wracać, mamó. Chcę zostać z wami. Nie chcę wracać do domu z tatą.

Nie wspomina ani słowem o tym, że nie chce zostawić swojej siostry w potrzebie, ale pewnie za dużo od niej wymagam.

Zerkam we wsteczne lusterko. Haley siedzi skulona w pozycji embrionalnej. Ma zamknięte oczy. Wetknęła sobie do uszu słuchawki, mimo że nie może słuchać żadnej muzyki. Odgradza się ode mnie. Odgradza się od świata. Jej dłoń się porusza. Spoglądam na szosę przed sobą, a potem znowu na Haley w lusterku i zdaję sobie sprawę, że obraca w rękę tę cholerną piłeczkę.

– Haley i ja musimy porozmawiać o pewnych bardzo poważnych sprawach, Izzy – staram się wyjaśnić. – O sprawach, o których dziesięciolatka raczej nie powinna słuchać.

Izzy milczy przez chwilę, a potem pyta:

– Czy to coś gorszego niż to, że moja siostra nie żyje, ponieważ moja druga siostra zabiła ją w wypadku?

Czuję, jak drga mi szczęka. Koncentruję się na drodze przed sobą. Jadę z maksymalną dopuszczalną prędkością, ale mam wrażenie, jakbyśmy poruszały się w zwolnionym tempie. Wydaje się, jakby cały świat mijał nas w pędzie, podczas gdy my stoimy bez ruchu.

– Prawdopodobnie nie – słyszę swoje słowa.

Izzy splata dłonie, opuszcza je na podolek, a potem spogląda przez przednią szybę.

– Tak właśnie myślałam.

Uśmiecham się mimowolnie i przez chwilę po prostu cieszę się ciepłem słońca wpadającego przez okna. Zastanawiam się, kiedy moja Isobel stała się taką

mądrą, dojrzałą dziewczyną. Może zawsze taka była, a ja po prostu tego nie dostrzegałam.

– Może się zrobić nieprzyjemnie – uprzedzam.

Izzy łypie na mnie z ukosa.

– Bardziej nieprzyjemnie niż przez ostatnie dwa miesiące?

Zaciskam wargi i skupiam uwagę na drodze.

– Pewnie nie.

Przez kilka minut jedziemy w ciszy. Potem Izzy pyta:

– To co ona takiego zrobiła? Próbowwała ze sobą skończyć, co? – Nie odpowiadam, więc ciągnie: – Możesz mi już powiedzieć. I tak się dowiem. Będziemy w tym samochodzie przez co najmniej pięć dni. Będziemy się zatrzymywać co dwie godziny, żebyś mogła się wysiusiać, a potem będziesz grzała całą drogę z maksymalną dozwoloną prędkością. – O mało nie parskam śmiechem. Faktycznie, mój pęcherz to już nie to, co kiedyś. – No to jak? Targnęła się na swoje życie? – W głosie Izzy nie słyszę współczucia.

– Słyszę, że o mnie rozmawiacie – woła Haley z tylnego siedzenia.

Zerkam na nią we wstecznym lusterku. W tej chwili wolałabym, żeby się na mnie darła, może nawet przeklinać, oby się odzywała. Jej milczenie mnie przeraża.

– Spędzimy ze sobą mnóstwo czasu, dziewczyny. Musimy odnosić się do siebie grzecznie.

– Mogę być grzeczna – mówi Izzy. – Jak najbardziej. To co zrobiła? Próbowwała przedawkować pigułki babci? A może poderżnąć sobie żyły? Widziałam, że zużyła sporo gazików i plastrów z apteczki w łazience. Od tygodni widzę puste opakowania.

Patrzę na Izzy, a potem znowu na drogę. Mam ochotę zapytać, dlaczego nie powiedziała mi nic, skoro podejrzewała, że siostra robi coś niebezpiecznego, ale nie chcę, żeby sobie pomyślała, że w jakikolwiek sposób odpowiada lub ponosi winę za to, co zrobiła sobie Haley.

– Zgadzasz się, żebym jej powiedziała? – pytam starszą córkę, spoglądając we wsteczne lusterko.

– Przecież wiadomo, że moje zdanie się tu nie liczy. – Słowa Haley są pełne pretensji.

Wzdycham ciężko, zastanawiając się, co powiedzieć. Nie planowałam tej rozmowy, na pewno nie na dzisiaj, chociaż przypuszczałam, że będziemy musiały poruszyć ten temat.

Ostatniej nocy, kiedy leżałam w łóżku obok Haley, zdałam sobie sprawę, że nie rozmawialiśmy z nią o śmierci Caitlin. Zupełnie. Wszyscy snuliśmy się po domu w jakimś otumanieniu i w ogóle o tym nie mówiliśmy. Nawet że za nią tęsknimy.

Myślę, że to jedna z pierwszych rzeczy, które Haley powinna zrobić.

Powinna przyznać się głośno do tej straty. Może wszystkie powinnyśmy to zrobić, ze mną włącznie. Musimy wyrazić na głos swój żal, zakomunikować go jedna drugiej. Musimy też pogadać o ostatecznym skutku. O tym, że Caitlin odeszła, a Haley wciąż tu jest.

Ale nie brałam pod uwagę tego, że będzie z nami Izzy. Myślałam, że uda mi się jakoś poprawić nasze relacje, zanim dotrzemy do tych trudnych tematów. Nie zastanawiałam się natomiast nad tym, że będę musiała porozmawiać ze swoją dziesięcioletnią córką na tak drażliwy temat jak samookaleczenie. Teraz nawet nie wiem, od czego zacząć.

Mówię więc po prostu:

– Haley się kaleczy.

Izzy marszczy czoło.

– Jak to?

Biorę wdech.

– Słyszałaś o cięciu się?

Izzy wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem jej buzię rozjaśnia zrozumienie.

– Chodzi ci o ciachanie się nożem i ranienie się, żeby poleciała krew? – Odwraca się i spogląda na Haley, a ja orientuję się, że to może pierwszy raz, kiedy spojrziała na siostrę, odkąd Caitlin umarła. – Chyba sobie, kurna, żartujesz!

Przybieram wyćwiczony wyraz twarzy, który mówi „Mamusi nie podoba się, że używasz takich słów”.

– Co? – Izzy odwraca się do mnie. – Powiedziałam „kurna”, przez „n”.

Przez jakąś minutę jedziemy w ciszy, po czym Izzy pyta:

– Więc dlatego zużywa tyle gazy?

– Tak – potwierdzam.

Izzy znów marszczy brwi.

– Dlaczego miałyby to robić? Czy to nie boli?

– Ciągle was słyszę – woła Haley.

I po raz kolejny tego ranka nie wiem, co we mnie wstępuje. Włączam kierunkowskaz i gwałtownie skręcam w zjazd z obwodnicy.

Izzy wytrzeszcza na mnie oczy.

Nie odzywam się słowem do czasu, aż parkuję wóz przed sklepem i gaszę silnik. Potem odwracam się na fotelu. Serce mi dudni. Jakaś częśćka mnie ma ochotę skulić się w kłębek, tak jak skuliła się Haley, i wybuchnąć płaczem. Przewyciężam jednak tę chęć. Zamiast tego powoli i spokojnie, ale zarazem stanowczo mówię:

– Nie będziesz się tak do mnie odzywać. Rozumiemy się, Haley Grace? Jestem twoją matką. Nie musisz mnie lubić. Nie musisz mnie nawet kochać, ale będziesz mi okazywać szacunek, na jaki zasługuję. Czy wyrażam się jasno?

Haley nie patrzy na mnie, ale kiwa głową. Marny wyraz zgody, ale tym razem mi wystarczy.

Odwracam się i kładę ręce na kierownicy. Dyszę ciężko. Jak, do cholery, mam sobie z tym wszystkim poradzić? Ledwie się trzymam. Jak mogę pomóc córce poskładać się do kupy, skoro sama jestem w rozsypce?

Nikt w samochodzie się nie odzywa. Dźwięki na zewnątrz – szum aut na szosie, mężczyzna z chłopcem przechodzący obok nas na parkingu – wydają się bardzo odległe.

Pierwsze, co muszę zrobić, żeby pomóc Haley, to się wysiusiać. Rano tak bardzo się spieszyłam, że nie pomyślałam o skorzystaniu przed wyjazdem z toalety. Teraz naprawdę mi się chce.

Wyciągam kluczyk ze stacyjki.

– Mogłabyś wyjąć portmonetkę z mojej torby podróźnej? – proszę Haley.

Haley kwęka z niezadowoleniem, ale słyszę, jak odpina pasy. Mam ochotę westchnąć z ulgą. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mi odmówiła.

Patrzę na Izzy. Moja młodsza córka zachowuje się tak, jakby to wszystko było normalne. Zachodzę w głowę, skąd czerpie tyle siły. Jeszcze trochę, a nie wytrzymam. Popuszczę.

– Pit stop! – oznajmiam radosnym głosem. – Idziemy do łazienki, a potem kupimy sobie coś na ząb.

– Mogę dostać icedea? – pyta Izzy.

Zastanawiam się przez chwilę. Zwykle staram się kupować butelkę soku lub czegoś choć odrobinę zdrowszego niż pokaźny kubeł mrożonego cukru, ale teraz kiwam głową. Nie przyznaję się do tego głośno, ale sama lubię mrożone napoje gazowane z automatów w sklepach, zwłaszcza te z Coca-Coli.

– Dobrze. Myślę, że ja też sobie kupię. A skoro już tu jesteśmy, zatankujemy do pełna. Następny przystanek: Utah. – Otwieram drzwi, dzięki czemu odblokowuję zamek w drzwiczkach Izzy. Blokada dziecięca przy miejscu Haley nadal działa.

– Wiedziałam! – woła Izzy z podnieceniem. – Miałam nadzieję, że tamtędy pojedziemy. – Otwiera drzwiczki i mocuje się ze swoją poduszką i plecakiem, usiłując wysiąść. Gdy jest już na zewnątrz, zdejmuje bluzę i rzuca ją na fotel. Stoi przez chwilę, niezdecydowana, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem pyta: – Możesz otworzyć bagażnik?

Otwieram klapę, zamykam swoje drzwi i oddycham głęboko przed otwarciem tylnych. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli Haley da nogę. Nie wyobrażam sobie gonienia jej po parkingu, ale nie wyobrażam sobie również tego, że po prostu odpuszczę.

Haley wręcza mi portmonetkę. Cały czas unika mojego wzroku.

– Dziękuję – mówię. – A teraz chodź.

– Nie mam potrzeby.

– Tak czy siak, idziesz z nami. Chyba nie sądzisz, że zostawię cię samą w samochodzie? – Robię krok w tył i przytrzymuję jej drzwi. – Pójdiesz do łazienki, a później wybierzesz sobie coś do picia. Weź też coś do przegryzienia, jeśli jesteś głodna albo spodziewasz się, że wkrótce poczujesz głód. Nie spakowałam żadnego prowiantu. – Kiedyś byłam jedną z tych matek, które tną owoce na kawałki i przygotowują całą lodówkę turystyczną napojów na każdą dłuższą wycieczkę. – Następny postój będzie za jakieś trzy, cztery godziny.

W końcu Haley wysiada. Powoli idzie w stronę sklepu. Mową ciała manifestuje swoją kategoryczną niezgodę, ale jednak idzie. Robi to, co jej każe.

– Izzy – wołam.

– Już idę.

Patrzę, jak Haley wchodzi do sklepu. Wolę nie spuszczać jej z oczu nawet na chwilę.

– Chodź, Izz – ponaglęm.

Izzy trzyma głowę w bagażniku i sprawia wrażenie, jakby gadała do siebie. Już mam znowu na nią krzyknąć, kiedy prostuje się i zamyka klapę. Naciskam guzik pilota, zamykając samochód.

– Chcesz, żebym weszła z nią do łazienki? – pyta mnie szeptem, gdy wchodzi do sklepu parę kroków przede mną.

Patrzę na plecy Haley.

– Pójdziemy wszystkie razem.

## ROZDZIAŁ 24

### HALEY

50 dni, 10 godzin

Nie mogę uwierzyć, że wejdzie za mną do łazienki! Może jeszcze do jednej kabiny?

Wchodzę do ostatniej kabiny, opuszczam dzinsy i siadam. Sikam i się podcieram, ale nie wstaję. Słucham ich obu – w kabinach obok. Obracam piłeczkę między palcami, bo nie chcę odbijać jej o posadzkę w publicznym kiblu. To byłoby obrzydliwe.

Nie mogę uwierzyć, że mama tak się uparła na ten wyjazd do Maine. Niewiarygodne.

Muszę się stąd wydostać. Muszę uciec. Nie wiem tylko jeszcze, jak to zrobić bez telefonu.

Słyszę szum spuszczonej wody, a potem kroki Izzy. Po chwili mama też spuszcza wodę i wychodzi z kabiny. Z kranu leje się woda. Izzy mówi coś o niebieskim mydle w dozowniku, uważa, że pachnie czarnymi jagodami. Mama się śmieje i przyznaje jej rację.

Słucham ich głosów i szumu wody. Izzy zastanawia się, czy wziąć czerwony napój Icee, czy niebieski. Zachowuje się, jakby była na wakacjach. Taki z niej głuptasek. Do tego uroczy. Żałuję, że mydło w publicznej toalecie, które pachnie jak jagody, nie jest w stanie ucieszyć mnie tak samo jak ją.

W wyłożonej kafelkami toalecie rozlega się dudniący warkot elektrycznej suszarki. Chowam głowę w dłoniach. Mama i Izzy dalej gadają.

Wymiękam. To jakaś masakra. Muszę jakoś się im urwać, tylko nie wiem, dokąd prysnąć ani jak. Potrzebuję Todda. Przyjedzie po mnie. Muszę tylko wykombinować, jak do niego zadzwonić.

Telefon! Telefon! Królestwo za telefon! Na jesieni przygotowałam projekt na anglika o cytatach z literatury, których wciąż używamy w codziennym życiu, i o tym, jak je zmieniamy. Ryszard III powiedział coś takiego w sztuce Szekspira, tylko że on potrzebował konia, a nie telefonu.

Izzy nie ma komórki. Mama mówi, że jest na to za mała. Ale ma iPod'a touch, z którego mogłabym wysłać esemesa. Tylko nie wiem, czy go ze sobą wzięła, a jeśli tak, to jak mam go zdobyć?

Słyszę, jak otwierają się drzwi i Izzy wychodzi z łazienki. Poznaje odgłosy jej kroków. Stawia kroki z charakterystycznym plaśnięciem, jakby jej stopy były za

duże w stosunku do reszty ciała.

– Haley? – woła mama.

– Zaraz. – Nie odpowiada przez chwilę. Stękam przeciągle, żeby wiedziała, jak strasznie mnie wkurza. – Przecież nie ma tu tylnego wyjścia. Daj mi jeszcze sekundkę.

Mama się waha.

– Okay. Będę w sklepie. – Otwiera drzwi, a potem znowu woła: – Potrzebujesz czegoś ze swojej torby?

Chyba chodzi jej o tampon. Chciałabym go potrzebować. Zaczynam się trochę martwić.

– Nie. Zaraz wyjdę.

Drzwi zamykają się za nią, a ja słucham dalej, żeby upewnić się, że naprawdę wyszła z kibla i nie próbuje mnie nabrać. Kiedy jestem pewna, że jej tu nie ma, podciągam spodnie i spuszczam wodę. Gdy idę do umywalki, do wucetu wchodzi kobieta, trochę starsza od mojej mamy. Rozmawia przez telefon.

– Do zobaczenia wkrótce – mówi. Spogląda mi przelotnie w oczy i się uśmiecha. Ja też się uśmiecham. Szerokim uśmiechem Caitlin. Nie mam zielonego pojęcia, czemu to robię. Zwykle nie szczerzę zębów do nieznajomych.

To Caitlin z nas dwóch była tą przyjazną i towarzyską. Nic dziwnego. Nikt nie mógł się oprzeć jej wspaniałym blond włosom i zielonym oczom. Jestem pewna, że zostałyby królową balu maturalnego, królową balu na koniec sezonu sportowego, królową pieprzonego święta majowego.

Obserwuję w lustrze, jak kobieta wchodzi do kabiny za moimi plecami. Przenoszę wzrok na własne odbicie. Wyglądam fatalnie. Mam syfy, zarośnięte brwi, a dziś rano olałam nawet malowanie oczu. Bez czarnej kredki moje oczy wyglądają na malutkie i zapuchnięte.

Wyciskam trochę niebieskiego mydła na dłoń. Nie mogę się powstrzymać. Podnoszę do nosa i wącham. Mimo że moje życie jest teraz tak strasznie do dupy, uśmiecham się, bo rzeczywiście mydło pachnie trochę jagodowo. Pocieram dłonie i mydło zaczyna się pieniść.

Zerkam na zamknięte drzwi kabiny za moimi plecami i wtedy przychodzi mi do głowy myśl: ja nie mam telefonu, ale tamta kobieta ma. Tylko jak go od niej zdobyć? Czy gdyby odłożyła go obok umywalki podczas mycia rąk, mogłabym go po prostu capnąć i dać dyla? Ale co potem? Dokąd uciec? Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie jestem nawet pewna, w którym miejscu zjechałyśmy z autostrady. A jak wezwie gliny? Todd raczej nie wyciągnie mnie z aresztu.

Nie chcę jej telefonu na własność. Chcę go tylko na chwilę pożyczyć.

Słyszę, jak kobieta spuszcza wodę. Nadal mydlę dłonie. Wychodzi z kabiny i podchodzi do umywalki obok mnie. Znowu się uśmiecha. Zastanawiam się, czy nie przypominam jej kogoś znajomego, bo chyba nie wyglądam na dziewczynę, do



której ludzie uśmiechają się w publicznej toalecie. Odwzajemniam uśmiech, znowu tak jak Caitlin, i po raz stutysięczny żałuję, że Caitlin tu nie ma. Ona wiedziałaby, jak oczarować tę kobietę, tak żeby pożyczyła telefon. Caitlin była moją młodszą siostrzyczką, ale w te klocki była lepsza niż ja. W gruncie rzeczy lepiej radziła sobie w życiu. Wiedziała, jak się do kogo odezwać, co powiedzieć.

– Dzień dobry. – Staram się nie brzmieć jak wariatka, która się tnie.

– Dzień dobry. – Kobieta namydła ręce mydłem jagodowym.

Parskam cichym śmiechem; brzmi strasznie sztucznie.

– Pachnie jagodami.

– Jagodami? – Spogląda na mnie zdeorientowana.

– Mydło. – Wskazuję dozownik i zaczynam płukać ręce.

Kobieta wacha swoje dłonie i się śmieje.

– Rzeczywiście, trochę.

Przygryzam wargę, gdy podchodzę do suszarki. Spoglądam na kobietę, na swoje mokre ręce i znowu na nią. Jest chyba jakąś Indianką, ale nie znam się na poszczególnych szczepach.

– Mogłabym poprosić panią o wielką przysługę?

Patrzy na mnie, wciąż trzymając ręce pod wodą.

– Zrobiłam coś strasznie głupiego – mówię, naśladowując głos Caitlin, czyli kogoś, komu wszyscy ufają i kogo wszyscy lubią. – Zatrzasnęłam swoje kluczyki w samochodzie. Moja komórka też tam została. Czy mogłabym, proszę, skorzystać z pani telefonu i napisać esemesa do taty?

– Jasne, moja droga. – Podchodzi do mnie. – Nie chcesz do niego po prostu zadzwonić?

Uśmiecham się znowu i kręcę głową. Nie chcę dzwonić do Todda, bo nie jestem pewna, co miałabym mu powiedzieć, żeby zajarzył, że mama mnie porwała i że zależy mi na tym, żeby po mnie przyjechał. Przecież nie mogę tego powiedzieć tak po prostu. Ta kobieta mogłaby podkablować mnie mamie. Esemes to w mojej sytuacji znacznie lepsze rozwiązanie.

– Wolalabym nie. – Pół uśmiech, pół grymas. – Ma ważne spotkanie. Jest prawnikiem. – Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy. – Jeśli wyślę mu esemesa, może przyjechać po mnie, jak spotkanie się skończy. Nie chcę mu przeszkadzać, ale jednocześnie muszę go poprosić, żeby przyjechał.

– Oczywiście, że możesz skorzystać z mojego telefonu. – Dwoma mokrymi palcami wyciąga komórkę z zewnętrznej kieszeni żółtej torebki. – A może po prostu gdzieś cię podwieźć?

Kręcę głową i jednocześnie piszę esemesa tak szybko, jak potrafię. Pamiętam numer do Todda, co zakrawa na cud, bo kto w naszych czasach pamięta numery telefonów? Wystarczy zacząć wpisywać nazwisko lub imię osoby, do której chce się zadzwonić, a od razu wyskakuje odpowiedni numer. Ale tak jak

mama, mam pamięć do liczb.

„To ja. NIE DZWON pod ten numer”, piszę.

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast: „Kto tam?”.

Potrząsam głową. Co za trep.

„Haley. Nie mam komory, więc pozyczylam od kogos. Mama wsadzila mnie do swojego samochodu i jedziemy do Maine”.

Podnoszę wzrok. Kobieta wysuszyła ręce. Stoi teraz i czeka.

– Przepraszam – mówię. Uśmiecham się raz jeszcze i jednocześnie wciskam „wyślij”. Natychmiast zaczynam pisać kolejną wiadomość: „Musisz po mnie przyjechać. Jeszcze nie wiem dokąd konkretnie. Ruszamy w stronę Utah. Jedź drogą I-15”.

„Jehac do Juta?”.

Zamykam oczy. Może to jednak zły pomysł. Todd może być za głupi, żeby znaleźć na mapie Alaskę. Albo Utah.

„Musze leciec. Napisze, jak tylko bede mogla. Nie pisz wiecej na ten numer”.

Wysyłam wiadomość, podnoszę wzrok, uśmiecham się i jednocześnie usuwam swoje esemesy.

– Dziękuję. Tato niedługo przyjedzie. Spotkanie prawie się skończyło.

Jeszcze jeden uśmiech.

– Na pewno chcesz czekać tutaj? Nie wolisz posiedzieć ze mną w moim samochodzie?

Oddaję jej telefon. Wsuwam kciuki w kieszenie džinsów.

– Nie, dziękuję. Kupię sobie kubek iced, a potem, wie pani... – Kiwam brodą w kierunku sklepu. – Poczekam na niego. – Otwieram kobiecie drzwi. – Jeszcze raz dziękuję. Miłego dnia.

– Nawzajem.

Macha mi i wychodzi. Idę za nią, ale się ociągam. Jak tylko wyłaniam się z korytarzyka, gdzie znajdują się wucety, od razu spostrzegam mamę i Izzy. Stoją przy automacie z mrożonymi napojami. Mama na mnie czeka. Cały czas czujna. Podchodzę do najbliższego regału z żywnością i sięgam po pierwsze lepsze opakowanie. Studiuję listę składników tak wnikliwie, jakbym na serio zastanawiała się nad kupnem mieszanki Chex Mix o obniżonej wartości kalorycznej. Jeśli mama podejdzie i zacznie ze mną rozmawiać, zanim kobieta, która pożyczyła mi komórkę, wyjdzie, to nie wiem, co zrobić. A jeśli mama zapyta ją, czy jej się naprzykrzałam? Zachowuje się tak... nietypowo jak na nią, że naprawdę nie wiem już, czego się po niej spodziewać. Godzinę temu powiedziałabym, że nie wróciłaby po Izzy. A teraz Izzy stoi obok niej z ogromnym kubkiem iced.

Kobieta z telefonem bierze butelkę wody z lodówki przy kasie i płaci za nią oraz za paczkę gum do żucia. Przed drzwiami odwraca się i macha do mnie. Ja też

macham i posyłam jej promienny uśmiech.

Chwilę potem jest przy mnie mama. W garści trzyma duży kubek mrożonej coca-coli i torbę precelków. Izzy zatrzymuje się parę kroków za nią.

– Kto to był? – pyta mama.

Potrząsam głową, odkładając opakowanie chrupek na półkę.

– Jedna pani, z którą rozmawiałam w łazience.

Wchodzę w następną alejkę między regałami, żeby oddalić się od mamy i zobaczyć, co mają na półce z bakaliami.

Mama stoi przez moment bez ruchu. Zaczynam się bać, że coś podejrzewa. Caitlin zawsze mówiła, że mama ma nosa i świetnie wyczuwa, kiedy chcemy coś przeskrobać.

– Masz ochotę na coś do jedzenia? Coś do picia?

Już mam powiedzieć „nie”, kiedy zdaję sobie sprawę, że jeśli Todd po mnie przyjedzie, najrozsądniej będzie udawać, że godzę się na tę wariacką wycieczkę. Nie dałam mu tego jeszcze do zrozumienia, ale jestem prawie pewna, że będzie musiał pojechać po mnie aż do miejsca, w którym zatrzymamy się na noc. Nie chcę, żeby mama nabrała podejrzeń. Może jeśli będę udawała uległą, pozwoli mi wyjść z pokoju po lód czy coś takiego i wtedy ucieknę.

– To. – Biorę torebkę pistacji.

– Lubię pistacje. – Izzy siorbie mrożony napój przez słomkę. Jej iced jest niebieski, co wydaje się niesmaczne, jeśli wziąć pod uwagę, że przed chwilą myła ręce niebieskim mydłem.

Mama pochyla się obok mnie i bierze drugą paczkę orzeszków.

– Coś do picia? – pyta. Patrzy mi w oczy o sekundę dłużej, niż mogę znieść, i nie wiedzieć czemu jakaś maleńka cząstka mnie wstydzi się za to, że poprosiłam Todda o pomoc. Mama naprawdę się stara. Kompletnie nie ma racji, jeśli chodzi o tę całą wyprawę, ale należą jej się punkty za to, że próbuje. Kiwa głową. – Spotkamy się przy kasie.

Odchodzi, a Izzy dalej stoi jak wryta. Gapi się na mnie i siorbie przez słomkę swój napój. Wciąż ma na sobie mundurek, który jest cały wymięty, a na dodatek nie uczesała sobie rano włosów. Caitlin czasem ją czesała.

Odchodzę, żałując, że nie mam przy sobie szczotki.

## ROZDZIAŁ 25

JULIA

51 dni

Po powrocie do samochodu milczymy przez jakieś pół godziny. Jadę międzystanówką I-15 na Północ. Wkrótce przemierzmy północno-zachodni kraniec Arizony i znajdziemy się w Utah. Teraz, gdy minęliśmy Vegas Strip, ruch na szosie jest nieduży, więc mogę się trochę rozluźnić.

Mój icee jest przepyszny. Od dawna takiego nie piłam. Od lat. W walce o szczupłą talię zrezygnowałam z deserów, masła na kanapkach i napojów mrożonych, tych z alkoholem i bez niego. Za dużo kalorii. Za dużo cukru. I na pewno właśnie dlatego tak mi smakuje. Otwieram torbę precelków i zjadam jednego.

– Precelka? – Podaję torbę Izzy.

Ona ma doritos, chrupki kukurydziane z serem i czerwone laski lukrecjowe. I jeszcze kwaśne żelkowe dżdżownice. Powinam jej powiedzieć, żeby odłożyła cały ten szajs, za dużo tłuszczów nasyconych i cukru. Ale tak bardzo cieszyła się w sklepie, że mogła wybierać do woli, że postanowiłam tym razem odpuścić. Niech tam! Kilka dni żywienia się śmieciowym jedzeniem żadnej z nas nie zaszkodzi. Zarówno Haley, jak i ja możemy przytyć parę kilogramów. A jeśli zatrzymamy się u Laney, w jej szafkach na pewno nie znajdziemy ani łańcucha cukru, ani trójkąta kwasu tłuszczowego trans.

Izzy trzyma swój kubek w obu dłoniach. Torby chrupek i żelków leżą jej na kolanach.

– Jasne. – Wtyka kubek z piciem między kolana i chrupki kukurydziane wysypują się na podłogę. Bierze ode mnie precelki, wyciąga garść i zwraca mi torebkę.

– Podaj siostrze – mówię.

Izzy patrzy na mnie, jakbym właśnie kazała jej wstawić głowę do piecyka gazowego. Wargi ma sine od niebieskiego barwnika.

Powinam ostrożniej dobierać słowa, wszystkie jesteśmy takie kruche. Ale reaguję z lekką irytacją. Powoli mam tego dość.

– Chciałaś się z nami zabrać, więc z nami jedziesz. Ale ostrzegam cię, Isobel, to ignorowanie siostry musi się skończyć. Nie zamierzam przejechać ponad czterech tysięcy kilometrów z wami dwiema i wkurzać się, że ze sobą nie rozmawiacie.

Haley wsuwa rękę między fotele i bierze od Izzy torebkę z precelkami.

– Ja wcale nie przestałam się do niej odzywać – mówi. – To ona nie rozmawia ze mną, odkąd zabiłam Caitlin.

Słyszę szelest torebki, a potem chrupnięcie precelka.

Reaguję na to, co powiedziała, z pewnym opóźnieniem. Zastanawiałam się nad różnymi scenariuszami na początek rozmowy z Haley o Caitlin, o wypadku. Staralam się wypunktować sobie w myślach wszystkie sprawy, o których powinniśmy pogadać, żeby wydostać się z dołka, który same sobie wykopałyśmy. Wszystkie trzy tkwimy w tym ciemnym głębokim dole – teraz widzę to wyraźnie. Może się wydawać, że z Izzy jest wszystko w porządku, ale to nieprawda. Bo niby jak mogłoby być w porządku? Nie wyobrażam sobie, ile pokładów siły woli potrzebowała, by nie odezwać się ani słowem do jedynej siostry, która jej pozostała.

Wkładam kubek z mrożoną colą w specjalnie wyprofilowane wgłębienie na konsoli między fotelami. Mam wrażenie, że mózg mi zamarza.

– Nie możesz tak mówić, Haley.

– Jak?

– Nie możesz mówić, że... – Głos więźnie mi w gardle. Przełykam gulę i próbuję wytrzymać zalew rozpacz. Brnę dalej: – Nie możesz mówić, że zabiłaś Caitlin. – Moje słowa padają z pełną mocą, każde oddzielone od poprzedniego jak w staccato.

Izzy nieruchomieje z precelkami w jednej garści i ogromnym kubkiem picia w drugiej. Jej sine wargi zacis-kają się wokół słomki.

– Ale taka jest prawda. – Haley mówi z naiwnością małej dziewczynki.

– Nie – wyduszam z siebie. – Miałaś wypadek samochodowy i twoja siostra zginęła w tym wypadku. – Po każdym słowie kiwam głową, żeby podkreślić jego wagę.

– Ale to ja spowodowałam wypadek. Zabiłam ją.

Zmuszam się, żeby spojrzeć na nią we wstecznym lusterku.

– To był wypadek, Haley. Nie zrobiłaś tego celowo.

Kiedy to mówię, słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Wiem, że nie zamierzała przejechać za znak „stop” bez zatrzymania. Wiem, że nie zamierzała wyrządzić siostrze krzywdy. Ale wiem też, że mimo wszystko gdzieś w głębi duszy, gdzie nie sięgają logika i racjonalność, mam do niej żal.

Jaką matkę to ze mnie czyni? Wyrodną? Złą?

Spoglądam prosto przed siebie, podczas gdy po bokach z prędkością jakichś stu kilometrów na godzinę śmigają suche, jałowe, brunatnobure krajobrazy. Nienawidzę Nevady. Nienawidzę słońca, które wszystko wysusza i praży tak mocno, że ziemia staje się popękana i bez życia. Nienawidzę tych nużących, monochromatycznych widoków. Tęsknię za zielonymi lasami, srebrzącymi się

jeziorami i stawami. Pragnę poczuć zapach igliwia i trawy.

Słyszę, jak Haley chrupie precelki. Zerkam na Izzy. Dalej siedzi z kubkiem napoju w jednej ręce i precelkami w drugiej.

– Nie wiem, czy potrafię – mówi do mnie cicho. – Nie wiem, czy dam radę znowu się do niej odezwać. Wiem, że to źle. Wiem, że powinnam, ale ja po prostu... – Patrzy na mnie, jakby miała się rozplakać. – Nie mogę, mamo.

Wyciągam rękę i klepię ją po kolanie. Nie mogę zmusić Izzy do rozmawiania z siostrą. Wiem to. Ale teraz po raz pierwszy wypowiedziałam się na ten temat. Jestem ich matką. Mam obowiązek powiedzieć Izzy, że jej zachowanie w stosunku do Haley jest nieodpowiednie. Mam obowiązek powiedzieć Haley, że nie może obciążać się winą za zabicie Caitlin.

– Pij icedee, zanim się roztopi – mówię łagodnie.

Przez pięćdziesiąt kilometrów milczymy, pochłonięte własnymi myślami. Ale w końcu pora skoczyć na głęboką wodę. Wiem, że nie mogę trwonić cennego czasu. Zastanawiam się nad różnymi rzeczami, które przeczytałam wczoraj o przeżywaniu żałoby. Mnóstwo stron internetowych mówi o potrzebie rozmowy o zmarłym.

– Wiecie, za czym tęsknię? – To pytanie retoryczne. Nie czekam na odpowiedź. – Brakuje mi liścików, które Caitlin mi zostawiała. Na różowych i fioletowych karteczkach samoprzylepnych. Pamiętacie? Miała cały duży blok tych karteczek. Zostawiała je to na lodówce: „Kup mleko migdałowe”, to na blacie: „Wracam po treningu”.

Przejeżdżamy jeszcze dziesięć kilometrów. Dwadzieścia. Nikt nic nie mówi, a we mnie narasta frustracja. Czy mam powiedzieć coś jeszcze? Czy poprosić każdą z córek z osobna, żeby opowiedziała o swoich wspomnieniach dotyczących siostry? Bo ze wszystkiego będą nici, jeśli Izzy dalej nie będzie się odzywać do Haley, a Haley nie będzie się odzywać do mnie.

Po kolejnych dziesięciu kilometrach Izzy wreszcie zabiera głos:

– Kiedy miałam żółwia, tego, który zdechł, Caitlin często zostawiała mi liściki przyklejone do jego miski. Z napisem „Nakarm mnie”. – Parska śmiechem.

Uśmiecham się do tego słodkiego wspomnienia. Jestem prawie pewna, że żółw zdechł z głodu, a przynajmniej z ogólnego zaniedbania, ale zachowuję te podejrzenia dla siebie.

Kilka kilometrów dalej z tylnej kanapy odzywa się Haley:

– Zawsze się podpisywała, rysując serduszka nad literą „i” zamiast kropek. Jakby była czwartoklasistką. – To brzmi jak przytyk, lecz w głosie Haley pobrzmiewa nostalgia.

Łzy napływają mi do oczu, ale nie pozwalam sobie na płacz. W szkatułce z biżuterią mam liścik, który Caitlin przylepiła mi na lustrze w łazience pewnego ranka, gdzieś w okolicach Gwiazdki. Weszła tam, bo bez pytania pożyczyła sobie

moją dobrą pincetkę. Zawsze mnie to wkurzało, bo nigdy nie odkładała jej na miejsce. Na liścik składało się zdanie „Kocham swoją mamę” i rysunek pincety. Cait-lin podpisała się z serduszkami zamiast kropek nad „i”.

Izzy wysysa resztę mrożonego napoju, aż z kubka rozlega się głośnie bulgotanie.

– Caitlin robiła najlepsze tosty z serem na świecie – mówi. – Z mnóstwem masła i sera. Brakuje mi ich.

– Chleb żytni z delikatesów i trzy gatunki sera. W każdym z tych tostów musiało być z tysiąc przepysznych kalorii – wzdycham i sięgam po swój kubek.

Słyszę, jak Haley czymś szeleści. Zerkam w lusterko i widzę, że otwiera paczkę pistacji.

– Chrapała – mówi. – Często leżałam w łóżku i jej słuchałam. Chrapanie było słyhać nawet w moim pokoju.

– Rozmawialiśmy o tym, żeby wyciąć jej migdałki – mówię – ale zawsze szkoda jej było czasu.

Haley otwiera łupinkę orzecha.

– To pewnie zabrzmiało głupio, zwłaszcza że ciągle na to narzekałam, ale tak naprawdę lubiłam słyszeć, jak chrapie. To był znak, że wszystko w domu jest w porządku. Że jest normalnie, tak jak zawsze.

Czuję, jak gardło mi się zaciska.

– Pamiętasz, jak kiedyś nagrała swoim telefonem, jak chrapiesz, bo tak bardzo się skarżyłaś, że nie możesz przez nią spać?

Haley się śmieje. Nie jest to śmiech na całe gardło, raczej dyskretny chichot.

– Ale ja nie chrapię. Myślę, że wszystko sfingowała.

– Nie wydaje mi się. – Izzy kręci głową i odstawia kubek. – Myślę, że to było prawdziwe chrapanie. – Nie mówi wprost do Haley, ale czuję, że to krok w dobrym kierunku.

– Brakuje mi jej śmiechu. Śmiała się najfajniej na świecie. Ktoś ma ochotę na pistacje? – Haley wtyka między dwa przednie fotele paczkę orzeszków.

Izzy ostentacyjnie otwiera swoje opakowanie doritos. Wpycha sobie kilka chipsów do ust, chrupiąc hałaśliwie.

Robi mi się żal Haley.

– Ja chętnie się poczęstuję. – Wyciągam otwartą dłoń, a ona wysypuje na nią kilka pistacji. Rozłupuję jedną w zębach i orzeszek wpada mi do ust. Dobry. Słonawy. Właściwie go nie chciałam, ale to przyjemne uczucie – dzielić się czymś, gdy wspólnie wspominamy Caitlin. Jest w tym coś z łamania się chlebem. Nie mogę uwierzyć, że minęły dwa miesiące i dopiero teraz powiedziałyśmy sobie, że za nią tęsknimy. – Chcesz jednego?

Wyciągam rękę do Izzy.

– Mam doritos.

– Są naprawdę pyszne – zachęcam.

W odpowiedzi chrupie kolejnego chipsa. Trochę to paskudne z jej strony, ale ma dopiero dziesięć lat. Na co dzień o tym zapominam, bo zwykle zachowuje się bardziej dojrzałe.

– Caitlin lubiła doritos – mówi Izzy. – Cool ranch. Lubiła klasyczne nachosy serowe, ale jej ulubiony smak to cool ranch.

Dopiero teraz spostrzegam, że zajada się chipsami w tym właśnie smaku.

– I lubiła chrupki serowe – dodaje Haley. – I czerwoną lukrecję, i kwaśne żelkowe dżdżownice.

Wszystko to są przekąski, które Izzy wybrała, kiedy pozwoliłam jej wziąć, co chce. Zastanawiam się, czy już zawsze będzie je najbardziej lubić.

Słyszę, jak szyba w oknie Haley się opuszcza. Zerkam we wsteczne lusterko, ale nie widzę, co robi moja córka. Natychmiast zaczynam się niepokoić. Słyszę, jak coś wysypuje się za okno, i zdaję sobie sprawę, że pewnie po prostu wyrzuciła lupinki. Nie wiem, czemu się tak przejmuję. Drzwi są zablokowane. Przecież nie wyskoczy przez okno z pędzącego samochodu. Poza tym sprawia wrażenie, jakby pogodziła się z tym, że z nami jedzie. Muszę wyluzować i zaufać jej aż do czasu, gdy znów da mi powód do niepokoju.

– Którędy jedziemy? – pyta Izzy.

Z plecaka na podłodze wyciąga iPada. Jej własny, który wcześniej służył Benowi do pracy, zepsuł się tuż przed śmiercią Caitlin. Zamierzaliśmy kupić jej nowy, ale później już o tym nie myśleliśmy. A Izzy nie prosiła.

– To nie twoje – oskarża ją Haley.

Zerkam w bok. Urządzenie ma różowe neoprenowe etui. Tablet należał do Caitlin. Spada to na mnie jak grom z jasnego nieba.

– Mogę, mamó? – Izzy podnosi na mnie wzrok. Widzi, że się zdenerwowałam. – Wzięłam go z jej biurka. Chciałam posprawdzać różne rzeczy przed podróżą. Wciąż ma dostęp do Internetu. – Przyciska tablet do piersi i torby doritos. – Myślałam, że nie będziecie mieli nic przeciwko.

– W porządku. – Zerkam we wsteczne lusterko. – Ty masz swój tablet, Haley. Nie ma powodu, żeby Izzy nie mogła dostać tableta po Caitlin. – Czekam. – Czy twoim zdaniem jest jakiś powód?

Słyszę syk uwalnianego dwutlenku węgla. Haley otworzyła puszkę coli.

– To po prostu dziwne uczucie znowu go zobaczyć. – Wskazuje tablet palcem. – To ja dałam jej tę naklejkę. Kupiłam ją w jednym z tych staromodnych automatów, które stoją w kręgielni. Cały czas dorzucałam ćwierćdolarówki, żeby zdobyć tę jedną naklejkę, którą sobie upatrzyłam. Wydałam na nią w sumie chyba ze cztery dolary w ćwierćdolarówkach.

– Która to? – pytam. Różowe etui iPada jest całe w naklejkach. Są wśród nich kwiatki i pacyfki, słowo „wojna”, zamknięte w czerwonym kręgu



i przekreślone ukośną czerwoną linią. Na jednej z naklejek widnieje napis: „Jedź naturalnie”.

Caitlin wyrastała na rodzinną hipiskę. Nie mam pojęcia, skąd jej się to wzięło. Ani Ben, ani ja nigdy nie byliśmy zbyt zainteresowani ochroną środowiska. Segregujemy śmieci i mamy panele słoneczne na dachu, ale to głównie wynik tego, gdzie żyjemy. Staramy się zdrowo odżywiać, ale to Caitlin uświadomiła nam, że jest coś takiego jak wołowina z krów wypasanych na łąkach czy organiczne zboża. Wiem, że dzieci są genetyczną mieszanką rodziców i na pewno na ich rozwój ma wpływ środowisko, ale myślę, że Caitlin była wspaniałym przykładem tego, jak nasze dzieci wyrastają na niepowtarzalne indywidualności.

– Ta z błyszczącą różową pacyfką.

Haley pochyla się, żeby pokazać naklejkę. Izzy w tym czasie otwiera etui, żeby ukryć naklejki. O mało nie przytrząskuje siostrze palca.

– Możemy pojechać przez Kanion Bryce’a, mamó? – pyta. – Podróż zajmie nam trochę więcej czasu, ale jest tam naturalnie ukształtowany kamienny most, który chciałabym zobaczyć.

Haley prycha prześmiewczo i osuwa się na kanapę.

– Widzieliśmy go już.

Izzy wlepia wzrok w iPada.

– Tak naprawdę to wcale nie jest kanion. – Otwiera zdjęcie na ekranie tableta. – Są tam formacje skalne, które nazywa się bajecznymi kominami.

– Naprawdę nie pamiętasz, jak pojechaliśmy tam parę lat temu? – Haley popija swoją colę. – Tata chciał, żebyśmy całą rodziną wybrali się na wycieczkę krajoznawczą i...

– Nazywa się je bajecznymi kominami, a czasem kominami wrózek – ciągnie niewzruszona Izzy. – Są zrobione z miękkiej skały, która jest twarda na szczycie, i osiągają wysokość nawet pięćdziesięciu metrów. W Kanionie Bryce’a można podobno zobaczyć jedno z najwspanialszych bajecznych kominów na świecie. Fajnie będzie je obejrzeć. Zwłaszcza jeśli tam nie wrócimy.

– Mamó, powiedz jej, że już tam była.

– Wracamy do Vegas, Izzy – mówię.

– Tak naprawdę to nie jest kanion, ponieważ w terminologii naukowej kanion oznacza wąwóz wyłobiony przez pojedynczy strumień. Tymczasem Kanion Bryce’a powstał, gdy...

– Mamó! Czy powiesz wreszcie tej smarkatej mądralińskiej, że już tam byliśmy? Że widziała już te baśniowe kominy?!

– Bajkowe – poprawia ją Izzy.

Zerkam na młodszą córkę.

– Byłaś tam, Izzy. Miałaś wtedy pięć czy sześć lat. Tylko bez wyzwisk, Haley, proszę. – Ileż razy wykrzykiwałam podobne słowa w głąb naszego

minivana, kiedy podróżowaliśmy z Caitlin i Haley? Zawsze dobrze się dogadywały, pewnie dlatego, że były w zbliżonym wieku, ale jednocześnie droczyły się i dogryzały sobie nawzajem bez litości.

– Nie pamiętasz? W kanionie zobaczyliśmy ludzi jadących konno i dopytywałam, dlaczego my idziemy piechotą. Chciałaś pojeździć konno, a ja zaprowadziłam cię, żebyś mogła obejrzeć konie z bliska – tłumaczy Haley. – Mama spakowała nam kawałki jabłka, poprosiliśmy przewodnika, a ten pozwolił ci nakarmić nimi swojego konia.

Tablet spoczywa na kolanach Izzy. Nie przytrzymuje go.

– Pomyślałam, że fajnie byłoby go zwiedzić – mówi moja młodsza córka. – Jest położony znacznie wyżej niż Park Narodowy Zion. Piętnastka międzystanowa przebiega tuż obok parku Zion. Pomyślałam, że mogłybyśmy zboczyć trochę z drogi i w zamian przejechać przez Kanion Bryce’a.

– Nie powiedziałam, że nie chcę tamtędy jechać, Izzy. – Haley pochyla się z jedną ręką na oparciu mojego fotela, a drugą na oparciu fotela Izzy. – Zauważyłam po prostu, że już tam kiedyś byłaś. Tylko nie pamiętasz.

– Myślę, że fajnie byłoby go zobaczyć – rzuca Izzy pod nosem. – Ten kamienny most widać nawet z szosy. Obok jest parking, żeby można było się zatrzymać, porobić zdjęcia i tak dalej. Ale nie musimy przystawać, możemy po prostu przejechać obok. Myślę, że szosa krzyżuje się z międzystanówką.

Izzy otwiera mapy Google’a i ogląda trasę.

Biorę łyk swojej mrożonej roztopionej już coli. Nie jest nawet w przybliżeniu tak dobra jak przedtem.

– Sama nie wiem – mówię. – Miałam nadzieję, że dotrzemy dziś do Grand Junction. Zobacz, jak dużo musiałybyśmy nadłożyć drogi. Chciałam jechać piętnastką i w którymś momencie odbić na siedemdziesiątkę.

– Jedziemy do Grand Junction? – dziwi się Haley. – W Kolorado?

Wzruszam ramionami.

– To całkiem duże miasto. Pewnie ze cztery godziny jazdy stąd. Pomyślałam, że łatwo znajdziemy tam jakiś hotel.

Haley osuwa się na oparcie kanapy.

– Nie spodziewałam się, że zajdziemy dziś tak daleko.

– Kanion Bryce’a jest trochę nie po drodze – mówi Izzy. – Zaraz zobaczę jak bardzo.

Haley szeleści torebką z orzeszkami.

– Mogę pożyczyć iPada, jak skończysz? – Ton jej głosu wydaje mi się jakiś dziwny. Zerkam w lusterko. Haley spogląda mi w oczy. – No co? Chciałam zobaczyć, jakie hotele mają w Grand Junction. I przy okazji obczaić, gdzie można tam coś zjeść.

– Powiedz mi, jak daleko od piętnastki jest Kanion Bryce’a – proszę Izzy.

Znowu zerkam w lusterko na Haley. Przyciska palce do przedramienia. Odkąd wyjechałyśmy z domu, już parę razy widziałam, jak to robi. Zdaje się, że przynosi jej to jakąś ulgę czy odprężenie. Mam tylko nadzieję, że nie nachodzi jej chęć, żeby znowu się ciąć. – A potem daj iPada Haley na parę minut.

## ROZDZIAŁ 26

### HALEY

50 dni, 12 godzin

Izzy bawi się iPadem co najmniej pół godziny, zanim mi go pożycza. Smarkuła bez przerwy siedziałaby na necie. Zresztą daje mi go tylko dlatego, że poprosiłam trzy razy, a mama powiedziała, że ma to zrobić, kiedy w St. George wróciliśmy do samochodu. Mama znów musiała się wysiusiać. Powiedziałam jej, że powinna uważać z tymi dużymi kubłami icedee, a ona się roześmiała. Kiedyś często śmiała się z tego, co mówiłam. Potrafię być całkiem zabawna. W każdym razie Caitlin tak uważała.

Po powrocie do samochodu mama gada z Izzy o projekcie, jaki ta ma przygotować na socjologię. Izzy chce zrobić kamienną tablicę z egipskimi hieroglifami, a mama podsuwa jej pomysł, żeby kupić do tego płytę kartonowo-gipsową w sklepie budowlanym. To stary numer, Caitlin i ja obie go przećwiczyłyśmy. Rozsiadam się na tylnej kanapie jak gdyby nigdy nic, żeby mama nie kapnęła się, po co mi tak naprawdę ten iPad. Z ulgą odkrywam, że Caitlin ma iMessage. Piszę esemesa do Todda: „Bedziesz musiał przyjechać po mnie do Grand Junction. Sorki”. „W Kolorado”, dodaję, bo zdążyłam się zorientować, że Todd zna się na geografii jak kura na pieprzu.

Nie odpisuje od razu. Czekając, sprawdzam hotele w Grand Junction. Zdaje się, że mama wrzuciła trochę na luz: myśli, że zgadzam się na tę całą podróż i że kilka dni w toycie mnie uzdrowi.

– Hmm, są tam takie hotele jak wszędzie – mówię. – Days Inn, La Quinta. Zbierasz punkty w Marriotcie, prawda, mamo?

Widzę ją we wstecznym lusterku. Kiwa głową.

– Sprawdź ofertę za jakieś sto dolarów za noc. Dwa podwójne łóżka.

– Nie zamierzam z nią spać – oświadcza Izzy. Wymawia „z nią”, tak jakby chodziło o czarną ospę.

Puszczam Toddowi drugiego esemesa: „Jestes tam?”.

– Wygląda na to, że Marriott ma parę hoteli: Springfield Inn, Courtyard – wymieniam. No, dalej, Todd, odezwij się! – myślę jednocześnie.

– Można zarezerwować pokój przez Internet? – pyta mama.

– Tak. Zaraz zobaczę, jakie pokoje są wolne.

W końcu nadchodzi wiadomość. Na szczęście zdążyłam ściszyć dźwięk w iPadzie. „Kolorado???”.

„Tuz za granica z Utah. Wyguglaj se”, odpisuję pośpiesznie i zaraz: „Jedziesz?”.

Wiem, że jest co najmniej godzinę drogi za nami. Prawdopodobnie nawet dalej, ale nie szkodzi. Dzięki temu będę miała czas, żeby wydostać się z pokoju hotelowego. Mogę po prostu poczekać, aż mama i Izzy zasną. Potem się wymknę i będę wolna. Kiedy mama się kapnie, że zniknęłam, Todd i ja będziemy już w drodze do Kanady. Myślę, że pomkniemy autostradą Alcan aż do końca, a jak już się znajdziemy na Alasce, zdecydujemy, w którą stronę jechać dalej. Todd dowie się, gdzie jest jego brat. Oby tylko nie zapomniał paszportu. Ja swój mam w plecaku razem z gotówką, którą udało mi się zebrać samodzielnie i wziąć z pokoju Caitlin. Jej kartę bankową też wzięłam.

– Hmmm – mruczę, przełączając się na inny widok na ekranie. – Jest parę miejsc w pobliżu lotniska, ale wygląda na to, że ceny będą niższe, jeśli zatrzymamy się trochę dalej. – Podnoszę wzrok na mamę. Wiem, że mnie obserwuje i stara się rozstrzygnąć, jak bardzo jestem świrnięta. Jeżeli ma mi się udać, muszę zachowywać się w miarę spokojnie. Ale nie mogę przesadzić, bo wtedy zacznę coś podejrzewać. Dlatego starałam się nie być za bardzo miła dla Izzy. Bo zawsze się z niej nabijam. Wilcze prawo starszej siostry.

– Courtyardy Marriotta są fajne. – Mama popija wodę z butelki. Wszystkie kupiliśmy sobie wodę na ostatnim postoju. – Sprawdź, czy serwują gdzieś śniadania kontynentalne.

– Lubię hotele, w których pozwalają gościom robić własne gofry – wtrąca Izzy. – W takich obrotowych gofrownicach. – Demonstruje, jak to się robi.

No, Todd. Odpowiesz mi? Sprawdzam, jakie śniadania oferują w Marriott Courtyard w Grand Junction na Kompletnym Zadupiu, gdy wreszcie nadchodzi esemes: „Chcesz zebym przyjechał po ciebie do Korolado”.

Zamykam na chwilę oczy. Zastanawiam się, jak to możliwe, że napisał z błędem słowo „Kolorado”, skoro ma w swoim cholernym telefonie sprawdzanie pisowni. Odpisuję: „Tylko 6 czy 7 godz od Las Vegas. Do zobaczenia wieczorem. Nie odpisuj mi juz. Przesle Ci adres hotelu, gdzie sie zatrzymamy, jak tylko bede mogla”.

Czekam, a gdy nie odpowiada, piszę: „OKAY????”.

Czekam.

„Ok”.

Oddycham z ulgą, przecieram czoło i kasuję esemesy. Wracam na portal Marriotta, żeby znaleźć nam pokój. Kiedy przeglądam kolejne strony, słyszę coś, co brzmi jak miauczenie. Podnoszę wzrok, bo myślę, że może mama albo Izzy włączyły radio. Tak, wiem. Nie ma żadnej kocięj radiostacji.

Mama i Izzy chyba tego nie słyszą. Siedzą bez ruchu.

Sprawdzam ceny w Courtyardzie, a potem otwieram zakładkę rezerwacji.

– Jesteś zarejestrowana w necie, mamó?

– Na mój e-mail – mówi.

Znowu słyszę kota. Stanowczo coś miauknęło. Zastanawiam się, czy to nie jakaś reklama na iPadzie. Pokazałam Caitlin, jak blokować tego typu szajs na kompie, ale może nie umiała tego zrobić na tablecie. Gdy sprawdzam, czy żadna inna strona nie jest otwarta, odzywa się mama:

– Co to było?

## ROZDZIAŁ 27

JULIA

51 dni

Co to za dźwięk? – pytam.

– Dźwięk? – Izzy nieruchomieje z ręką wepchniętą w torbę doritos.

Powinam jej powiedzieć, żeby odłożyła te chipsy. Oczywiście gdybym była lepszą matką, zjadłybyśmy jakiś normalny lunch, kiedy zatrzymałyśmy się ostatnim razem na siku. Nie mam pojęcia, gdzie przed Grand Junction możemy dostać coś do jedzenia. Zastanawiam się, czy jak pojechałybyśmy do Kanionu Bryce'a, przy muzeum znajdzie się jakiś bar z przekąskami czy restauracja. Powinam zapakować lodówkę turystyczną; kiedyś radziłam sobie lepiej jako mama.

– Oglądasz na iPadzie jakiś filmik, Haley? – pytam, zerkając we wsteczne lustro.

Uznałam, że w porządku będzie, jak pozwolę jej skorzystać z tabletu i znaleźć dla nas hotel na dzisiejszą noc. Chcę, żeby poczuła, że przynależy do tej rodziny, że jest potrzebna. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby oglądała filmiki na tylnym siedzeniu. Nie po to zamknęłam ją ze sobą w samochodzie na pięć dni. Chodzi o to, żeby skłonić ją do poważnej rozmowy.

– Nie, mam. Nie oglądam filmików o kotach.

Więc też to słyszała.

Znowu ten dźwięk. To na pewno kot.

I nagle uświadamiam sobie, że doskonale znam ten odgłos.

– Isobel Mae – mówię ostro.

Na drodze z żadnej strony nie widać ani jednego innego pojazdu, więc zjeżdżam na pobocze i zatrzymuję się.

Gdzieś z tyłu mojego samochodu dobiega miauczenie. Błagalne miauczenie Pana Kota.

– Mama mówi ci, żebyś spakowała torbę, a ty myślisz, że chce, żebyś wzięła kota? – rzuca Haley na wpół żartobliwie, na wpół kpiąco. – Wzięłaś swojego kota w podróż samochodem do Maine?

Izzy wpatruje się we mnie ze skruszoną miną. W kącikach ust ma okruszki chrupek.

– Nie chciałam go zostawiać – mówi cicho.

Haley odpina pasy i zagląda za tylną kanapę.

– Zostaw go w spokoju! – krzyczy moja młodsza córka, w pośpiechu próbując odpiąć swoje pasy.

– Gdzie on jest? – Haley siada na kolanach i zaczyna przeszukiwać bagaże. – Jezu, włożyłaś kota do torby podróźnej?!

Na ostatnim postoju Haley, nie patrząc, przerzuciła moją torbę z kabiny do bagażnika. To chyba cud, że Panu Kotu nic się nie stało. Nie mogę uwierzyć, że tak długo był cicho.

Kot znowu zaczyna miauczeć. Słyszę odgłos otwieranego suwaka.

– Zapakowałaś go do torby? Izzy, mógł się udusić!

Izzy zaczyna płakać.

– Nie mógł. Po obu końcach włożyłam pudełka z chusteczkami higienicznymi, a pośrodku jest siateczka, więc mógł oddychać.

Patrzę na najmłodszą córkę. Nie mogę uwierzyć, że spakowała do torby kota. Żywego kota!

Pan Kot, z głośnym miauczeniem, przeskakuje nad oparciem i ląduje obok Haley.

– A ty martwisz się *moim* stanem umysłowym? – kpi starsza córka.

Wciąż nie do końca wierzę własnym oczom, gdy kot daje susa z tylnej kanapy na konsolę między przednimi fotelami, po czym przysiada i spogląda na Izzy.

– Ooo, kici, kici, Panie Kocie. Nic ci nie jest? – szczebiocze Izzy. – Miałeś być cichutko. Obiecałeś mi, że jeśli cię wezmę, będziesz cicho. – Głaszcz go po grzbiecie.

Pan Kot, pręgowany dachowiec, nie jest duży. Nigdy nie był, ale na starość jakby jeszcze się kurczy. Waży może ze dwa kilogramy. Na szczęście po przejeździe w torbie podróźnej wygląda nie gorzej niż zwykle. Zaczyna przymilnie mrużyć.

Posyłam córce najsurowsze matczyne spojrzenie.

– Nie możemy jechać przez cały kraj z kotem w samochodzie, Izzy.

– Czemu nie? – Kiedy go głaszcz, na futerku zostają mu okruszki doritos. – Będzie grzeczny. Prawda? – zwraca się do kota, a potem podnosi na mnie wzrok. – Proszę, mamó. Nie będziesz nawet wiedziała, że jest w samochodzie.

– Jeśli nie liczyć miauczenia – stwierdza Haley z tylnego siedzenia. – A co będzie, jak zrobi siku albo kupę? Będzie tu pachniało po prostu nieziemsko.

Wzdycham i kładę obie dłonie na kierownicy. Zamykam na chwilę oczy. Jesteśmy dwie i pół godziny jazdy od domu. Przed nami jeszcze około czterdziestu godzin. Kiepski początek.

Może Ben miał rację. Może nie dam rady.

Ale jak mogłam przewidzieć akurat ten problem? Kto sprawdziłby bagaże po to, by przekonać się, czy dziesięcioletnia córka przypadkiem nie spakowała kota?



No, bądźmy poważni. Kota?!

Izzy sięga po Pana Kota. Strąca z kolan torbę i kolejne chipsy wysypują się na podłogę mojego nowego auta. No, może nie jest już nowe, ale nadal takie się wydaje. Tak jakbym utraciła ostatnie dwa miesiące swojego życia.

Wyciągam telefon i zerkam we wsteczne lusterko. Mija nas rozpędzony samochód. Stoimy jednak na tyle daleko od jezdni, że chyba jesteśmy bezpieczne.

– Zostańcie w aucie – nakazuję. – Obie! – dodaję ostrym tonem. – Zadzwoń do waszego ojca.

– Mamo, proszę... – błaga Izzy. – Nie może z nami pojechać? Obiecuję, że będę się nim opiekować. Obiecuję, że nie będzie z nim żadnych problemów. Nie będziesz nawet wiedziała, że z nami jest.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta Haley. – Powinniśmy chyba wrócić do domu, prawda?

– Nie wracamy do domu. Zostańcie w samochodzie. – Wysiadam, pilnując, żeby kot nie uciekł. Powstrzymuję się przed mocnym trzaśnięciem drzwiami. Nie jestem nawet zła na Izzy, raczej na sytuację. Rozumiem, że wzięcie kota wydało jej się sensowne. On tak dużo znaczy w jej życiu, a jej życie jest teraz w rozsypce. Ten stary kocur jest jak ulubiony kocyk z dzieciństwa, przynosi pokrzepienie i ulgę.

To jednak nie znaczy, że zabiorę go w podróż do Maine.

Obchodzę samochód i staję na tyle daleko, by córki mnie nie słyszały. Wszystko wokół mnie jest suche, jałowe i bure. Jak okiem sięgnąć po obu stronach autostrady rozciąga się pustynia. Powinnam uważać na węże. Wpatruję się w spieczoną ziemię i dzwonię do Bena. Ale Ben nie odbiera.

Jasne, że nie.

Zostawiam wiadomość:

– Możesz do mnie oddzwonić? Jak najszybciej? – Waham się. Nie chcę, żeby się niepokoił, że miałyśmy wypadek albo że Haley mi uciekła. – Nic nam się nie stało. Tylko że... Izzy zapakowała do torby Pana Kota. Nie wiedziałam, że jest w samochodzie. Zadzwoń do mnie.

Rozłączam się. Czuję, że powinnam zadzwonić do kogoś jeszcze, ale do kogo? Nie do Laney. Ma lekcje, a poza tym jest w Maine. Stoję tak dobrą minutę i zastanawiam się, aż dochodzę do wniosku, że nie mam do kogo zadzwonić. Żałosne, prawda?

Nie mam w Las Vegas żadnych przyjaciół, odkąd cztery lata temu odeszła moja droga Maureen, która przegrała walkę z białaczką. Jakoś z nikim później nie złapałam takiego kontaktu. I jeśli mam być szczerą, nawet się nie starałam. Byłam zbyt zajęta wychowywaniem dziewczyn i pracą na część etatu, rozmaitymi wolontariatami i... po prostu – życiem.

Przypuszczam, że mogłabym zadzwonić do kogoś z rodziny Bena, ale jak powiem, że potrzebuję pomocy przy odebraniu kota z trasy, tłumaczeniom nie

będzie końca. Nie wiem nawet, czy Ben dał im znać, że jadę z dziewczynami do Maine. Nie zamierzam wdawać się w niepotrzebne dyskusje z Lindą czy braćmi Bena.

Nie mogę uwierzyć, że nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym zadzwonić.

Przed śmiercią Caitlin miałam mnóstwo znajomych, którzy nie stali się jeszcze moimi przyjaciółmi, ale ich numery wciąż są zapisane w moim telefonie. Są to osoby, z którymi spędzałam sporo czasu ze względu na zajęcia naszych dzieci. Mnóstwo ludzi przyszło na pogrzeb, a później przynosiło jedzenie pod nasze drzwi. Do dziś mam w zamrażalniku niezidentyfikowane zapiekanki. Ludzie dzwonili i wpadali do nas, ale tylko na samym początku. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem ktoś z nich zadzwonił, żeby zapytać, jak się miewamy. Może to moja wina. Do nikogo nie oddzwaniałam. Nie otwierałam nawet drzwi.

Stoję tak z telefonem w dłoni i gapię się na samochód. Widzę, że Haley coś mówi. Izzy wyraźnie ją ignoruje. Nie mam pojęcia, co zrobić z Izzy. Powinnam lepiej to przemyśleć. Nie powinnam zabierać jej ze sobą, z kotem czy bez kota.

Ale jeśli mam być ze sobą zupełnie szczerą, nawet gdybym mogła cofnąć czas, nie zostawiłabym jej w domu z Benem. Zdaję sobie teraz sprawę z tego, że potrzebuje mojej obecności. Izzy potrzebuje matki. Tak samo jak Haley.

Przełykam gulę w gardle. Z piersi wrywa mi się ciche łkanie. Odwracam się od samochodu, twarzą do pustyni.

– Och, Caitlin... – szepczę.

Kiedy ponownie spoglądam na auto, Haley już nie próbuje rozmawiać z Izzy. Patrzy w iPada. Izzy ma na kolanach Pana Kota. Głaszcze go, a on się o nią ociera.

Jeszcze raz dzwonię do Bena. Wciąż nie odbiera. Tym razem nie nagrywam się na pocztę głosowej.

Na zewnątrz jest gorąco. Nie tak, jak będzie za miesiąc czy dwa, ale jednak gorąco. Pewnie ze dwadzieścia pięć stopni. Powinnam wracać do samochodu. Skórę mam tak bladą, że zaraz dostanę poparzeń słonecznych.

Ale zamiast wrócić do auta, przechadzam się w tę i z powrotem.

Co zrobić? Oczywiście nie mogę zabrać kota w podróż przez cały kraj. Musi wrócić do domu. Czy może ruszyć w stronę Las Vegas i liczyć na to, że Ben oddzwoni i umówimy się gdzieś po drodze? Ile godzin przez to roztrwonimy?

Nie zależy mi na kilometrach. Chodzi raczej o to, że nie chcę utracić tego, co udało mi się dzisiaj osiągnąć z Haley. Choćby tego, że w ogóle ze mną rozmawia, mało, ale jednak. Czy jeśli zawrócimy do Las Vegas, dynamika sytuacji się nie zmieni? Czy nie ubzdura sobie, że możemy po prostu wrócić do domu i zapomnieć o całej sprawie?

Nie chcę zawracać. Czuję, że nie mogę. Może to głupie. Może chodzi raczej

o Bena, o to, że chcę mu coś udowodnić. Co z pewnością jest śmieszne. Ale w zasadzie to właśnie sedno sprawy.

Nie zawrócę.

W takim razie co zrobić? Zostać tutaj? Zaczekać na Bena? To też raczej nie ma sensu. Może pojedziemy do Kanionu Bryce'a. O ile mnie pamięć nie myli, jest tam jakiś pensjonat. Może Ben dojechałby do nas. Może po spędzeniu nocy we czwórkę zdecyduje się jednak wybrać z nami do Maine.

Wzdycham ciężko. Najchętniej zwinęłabym się w kłębek i wyplakała. Wiem, że Ben nie przyjedzie spędzić z nami nocy. Nie zmieni zdania i nie dołączy do naszej wycieczki.

Idę powoli do samochodu. Wsiadam.

– Czy tata przyjedzie po kota? – pyta Haley, nie podnosząc wzroku znad iPada.

Zamykam drzwi i przystawiam twarz do wylotu klimatyzacji. Strumień zimnego powietrza owiewa moje policzki. Na chwilę zamykam oczy. Potem z powagą spoglądam na Izzy.

– Powinnaś zapytać, czy możesz wziąć kota.

– Nie zgodziłabyś się – odpowiada bez wahania. Już nie płacze, z jej twarzy – z całej jej postawy – bije raczej upór.

Jej reakcja mnie zaskakuje. Spodziewałam się, że będzie się spierać lub zasypie mnie wymówkami, ale nie oczekiwałam tak kategorycznego nieposłuszeństwa. Trudno powiedzieć, czy mnie to cieszy, czy raczej denerwuje. Podoba mi się, że jest na tyle odważna, żeby otwarcie mi się sprzeciwić. To dowód jej siły. Oznaka, że uda jej się przebrnąć przez straszliwą tragedię, która dotknęła naszą rodzinę; że wyjdzie na prostą. Ale świadomość, że wzięłaby kota, chociaż zdawałaby sobie sprawę z tego, że nie wyraziłabym na to zgody, mnie wkurza.

– Nie jedziemy do Kanionu Bryce'a. – Zdejmuję okulary przeciwsłoneczne i rąbkami koszulki wycieram smugę na prawym szkle.

Izzy obronnym gestem bierze kota w ramiona.

– Więc wracamy do domu? – pyta Haley.

Wyraźnie na to liczy.

Zakładam okulary, zerkam w lusterka, wrzucam bieg i wyjeżdżam na szosę. W kierunku północnym.

– Co? Więc najpierw ona, a teraz jeszcze jej kot? – Moja starsza córka mówi głośno i agresywnie. – Myślałam, że to ma być tylko *nasza* wyprawa.

Zastanawiam się przez chwilę, zanim odpowiadam:

– To ma być nasza wyprawa. Nas wszystkich. Zabukuj nam pokój w Grand Junction. I sprawdź, gdzie w okolicy jest jakiś Walmart, Target czy coś takiego. Pan Kot będzie potrzebował jedzenia.

– Wzięłam kocią karmę – wtrąca Izzy.

Dopiero gdy to mówi, przypominam sobie puszkę kociego żarcia, która wypadła jej z kieszeni bluzy jeszcze w Vegas. Jak mogłam być tak głupia i nie skojarzyć faktów?

Ale kto by się spodziewał, że córka przemyci do samochodu kota na wyprawę przez cały kontynent?

– Będzie mu potrzebna kuweta – stwierdzam.

– Niewiarygodne – rzuca Haley z tylnej kanapy. – Naprawdę nie odwieziemy kota do domu?

Izzy, która wyraźnie jest z siebie bardzo zadowolona, nie zwraca uwagi na siostrę.

– Pan Kot od dawna chciał odwiedzić Maine – mówi.

\*

Słyszę, jak Laney parska śmiechem.

– To wcale nie jest zabawne – karcę ją, ale sama też chichoczę. Jak to mówią, lepiej się śmiać, niż płakać. Przeplakałam już tyle, że wystarczy mi na całe życie.

Z windy wychodzi jakiś mężczyzna. Idzie w przeciwnym kierunku, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, i obrzuca mnie wzrokiem. Siedzę na podłodze w korytarzu oparta plecami o drzwi naszego pokoju. Kiedy Haley poszła wziąć prysznic, zostawiłam Izzy i Pana Kota (przemyczonego do Marriotta) przed telewizorem i wymknęłam się, żeby zadzwonić do Laney. Najpierw opowiedziałam jej o tym, jak wróciłam po młodszą córkę, potem o naszych rozmowach w trakcie podróży, a dopiero na koniec o kocie.

– Ale kiedy to naprawdę zabawne. – Moja przyjaciółka się śmieje. – I nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego jak kuweta podróżna.

– Ja też. Takie cuda tylko w Walmarcie. – Popijam witaminizowaną wodę z butelki, żałując, że to nie kieliszek wina. – Znalazłam ją w dziale zoologicznym.

– A Ben nadal się nie odezwał?

Poważnieję.

– Nie. Naprawdę się na mnie zezłościł, Laney. Za to, że postanowiłam pojechać. Uważa, że Haley potrzebuje terapii.

– Pewnie potrzebuje – przyznaje Laney. – Ale matka musi robić to, co podpowiada jej instynkt. Zawsze miałaś dobrą intuicję, Jules. Później będzie mnóstwo czasu na terapię.

Obie przez chwilę milczymy.

– Postępujesz słusznie. Z zabranie Izzy też miałaś rację. Super, Jules. Nie wiem, czy sama miałabym dość ikry, żeby zrobić coś takiego.

– Nie czułam się odważna – wyznaję, bawiąc się nakrętką od butelki. – Zachowałam się po prostu impulsywnie, a teraz czuję się nieodpowiedzialna.

– Izzy potrzebuje twojego towarzystwa nie mniej niż Haley. I też zasługuje na twoją uwagę.

Pochyłam się, podciągam kolana i obejmuję je wolnym ramieniem.

– Ale czy naprawdę powinna się stykać z... – Szukam właściwego słowa. – Laney, to poważna sprawa. Cięcie się? Kiedy byłam w wieku Izzy, w ogóle nie wiedziałam o istnieniu czegoś takiego.

– Nic jej nie będzie. To mądra, silna dziewczyna. Po matce.

Wybucham ściszym śmiechem, który brzmi raczej jak zduszony płacz.

– Nie czuję się silna. A już na pewno nie czuję się mądra. Jak mogłam nie zauważyć, że coś takiego dzieje się w moim domu?

– Przestań robić sobie wyrzuty. Jesteś silna – mówi Laney. – Gdybyś nie była, nie wstałabyś z łóżka i nie wsiadła do samochodu. Nie zawlekłabyś do tego samochodu Haley.

– Ale groźby, że zamknę ją w psychiatryku? – Zamykam na chwilę oczy. – To dopiero będzie temat do rozmowy. Kiedy będzie już po wszystkim i wyjdziemy z tego obronną ręką.

– Ale przynajmniej będziecie miały okazję o tym porozmawiać – uświadamia mi Laney. – Wciąż będziesz miała córkę, z którą możesz porozmawiać.

Przyciskam dłoń do czoła.

– Masz rację. Wiem, że masz rację.

– No, mam. – Słyszę, jak coś popija. W przeciwieństwie do mnie, ona ma lampkę wina! – Myślisz, że Haley pogodziła się z myślą o tej podróży, skoro tak stanowczo postawiłaś na swoim? – pyta.

– Tak sądzę. – Wertuję w pamięci wydarzenia z dzisiejszego dnia. – Wyraźnie daje do zrozumienia, że nie jest zadowolona z sytuacji, ale nie boję się już, że ucieknie mi przez okno.

– Hotelowe okna tylko się uchylają. Nie macie balkonu, prawda?

Parskam śmiechem.

– Nie. Żadnego balkonu. W dodatku trzecie piętro. – Słyszę w telefonie sygnał drugiego połączenia. Zerkam na ekran. Widzę imię Bena. Korci mnie, żeby nie odbierać, ale wiem, że to niczego by nie rozwiązało. – Muszę kończyć – mówię. – Dzwoni Ben.

– Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała wsparcia.

– Poradzę sobie. Zadzwonię jutro wieczorem.

– Albo wcześniej, jeśli będziesz mnie potrzebowała – podkreśla Laney raz jeszcze.

Rozłącza się, a ja odbieram połączenie od Bena.

– Wzięła kota? – pyta.

Żadnego „cześć”. Żadnego „Jak się macie?”.

Opieram głowę o drzwi. Postanawiam, że jutro kupię sobie butelkę wina, żebym mogła napić się kieliszeczek wieczorem. Po obejrzeniu mapy na iPadzie podczas kolacji uznałam, że następnego dnia spróbujemy dotrzeć do Lincoln w Nebrasce. Pewnie zajmie nam to ze dwanaście godzin, z postojami dyktowanymi przez mój słaby pęcherz, ale skoro już wieziemy ze sobą kota, porzuciłam pomysł zwiedzania po drodze. W tej chwili zależy mi tylko na tym, byśmy wszystkie trzy, całe i zdrowe, dotarły do Maine.

– Owszem. Wzięła kota – mówię. – Kiedy go usłyszałyśmy, było już za późno, żeby zawrócić. Czemu nie oddzwoniłaś do mnie wcześniej, Ben? Dzwoniłam do ciebie kilka godzin temu.

– Więc to moja wina? – Jest na mnie zły.

A ja jestem zmęczona. Zbyt zmęczona, żeby się z nim kłócić.

– Nie, okay. Damy radę. – Wzdycham i odgarniam włosy, które opadły mi na twarz. Kiedy wstąpiłyśmy do sklepu po kuwetę i klatkę dla Pana Kota, myślałam o kupnie farby do włosów. Nie kupiłam jej, ale zastanawiałam się nad tym.

– Nie możesz jechać przez cały kraj z kotem w samochodzie – mówi mój mąż.

Wstaję. Dziewczyny są same już wystarczająco długo. Muszę wracać do pokoju. Muszę położyć się do łóżka, bo czuję, że oczy zaczynają mi się kleić.

– Jasne, że mogę – odpowiadam. – Kot nie sprawiał w samochodzie żadnych problemów. Całą drogę do Grand Junction siedział na kolanach Izzy. Wkurzył się, dopiero gdy dostał kuwetę. – Próbuję go rozbawić. Ale Ben się nie śmieje.

– Co ty robisz, Julio?

– Co robię? Jak to? Powiedziałam ci, co robię. Staram się pomóc Haley. Staram się... – Szukam odpowiednich słów, słów, które uświadomią facetowi, który od prawie dwudziestu lat jest moim mężem, jak jestem emocjonalnie poharatana. Jak blisko byłam zrobienia sobie czegoś gorszego niż to, co robi sobie Haley. – Właściwie to myślę, że udało nam się posunąć trochę do przodu. Rozmawiałyśmy o Caitlin i o tym, jak bardzo za nią tęsknimy. – Kiedy Ben nic nie mówi, ciągnę: – Wiesz, wcześniej w ogóle o niej nie rozmawiałyśmy. Ben, czemu nie rozmawialiśmy o Caitlin... o tym, jak bardzo ją kochaliśmy, jak bardzo nam jej brakuje i... – Milknę, nie kończąc zdania.

Cisza po drugiej stronie słuchawki trwa tak długo, że zaczynam się zastanawiać, czy Ben się nie rozłączył. Ale nie. Słyszę jego oddech.

Kiedy wreszcie odpowiada, głos mu się łamie, a mnie łzy napływają do oczu, gdy słyszę w nim cierpienie.

– Po co mamy o niej rozmawiać, Jules? Ona nie żyje. Nic, co powiemy lub zrobimy, tego nie zmieni.

Wzdycham rozdygotana.

– Rzecz w tym, że my żyjemy, Ben. Chodzi o to, że musimy znaleźć sposób, żeby żyć pomimo jej śmierci. Musimy w jakiś sposób pomóc Izzy i Haley żyć bez siostry. Musimy pomóc Haley, żeby sobie wybaczyła.

Znowu długo milczy, a potem pyta:

– Zadzwonisz do mnie jutro wieczorem?

A więc nasza szczerza rozmowa dobiegła końca.

– Możliwe, że będzie bardzo późno.

– Nie szkodzi. Zaczekam. Uważajcie na siebie.

Waham się.

– Kocham cię – mówię.

Przerywa połączenie. Chyba nie zdążył usłyszeć moich słów. Zastanawiam się, czy nie oddzwonić tylko po to, żeby mu je powtórzyć.

Ostatecznie jednak po prostu wracam do pokoju.

## ROZDZIAŁ 28

### HALEY

51 dni, czarodziejska godzina

To Hamlet pierwszy wspomniał o czarodziejskiej godzinie w jednym ze swoich monologów. Pamiętam ten fragment z lekcji angielskiego:

*Teraz jest właśnie czarodziejska, straszna  
Godzina nocy, w której się podnoszą  
Groby i same piekła wyziewają  
Na świat zarazę!*

Mary Shelley we *Frankensteinie* również mówi o godzinie czarów. Większość ludzi o tym nie wie.

Tą godziną ma być północ.

Dla mnie to jedenasta wieczorem. Prawdopodobnie około dwudziestej trzeciej trzy.

O dwudziestej trzeciej trzy siedemnastego lutego piekła wyzionęły zarazę na mnie i całą moją rodzinę. Maglowałam Caitlin za jej nieodpowiedzialne zachowanie. Impreza. Faceci. Zastanawiałam się, co z nią zrobić – zawieźć do domu czy pojechać po mieście, żeby trochę wytrzeźwiała. Właśnie nad tym się zastanawiałam, kiedy umknął mi ten znak.

Wpatruję się w zegar elektroniczny na szafce nocnej. Cyfry są czerwone. Jest dwudziesta trzecia jeden. Za jakieś dwie minuty Caitlin będzie martwa od pięćdziesięciu czterech dni. Pięćdziesiąt cztery dni temu moje serce wyskoczyło z piersi przy zderzeniu z furgonetką Forda i roztrzaskało się na jezdni.

Pocieram przedramię w szorstkim miejscu. Dzisiaj wieczorem w Walmarcie, kiedy kupowałyśmy cały ten szajs dla kota, nabyłam duże plastry. Miałam nadzieję, że zakrywanie sznytów sprawi, że mniej będzie mnie ciągnęło do cięcia. Teraz mam ochotę się pociachać, ale nie mam niczego ostrego. Wiem też, że nie powinnam tego robić. Nie chcę być wariatką. To jasne – nikt nie chce!

Zerkam na drugie łóżko. Przez zasłony w oknie wpada trochę światła ulicznej latarni. Mama i Izzy śpią głęboko. Mama leży na plecach, jej blond włosy są rozsypane na poduszce wokół głowy jak aureola. Jest taka ładna.



Izzy leży zwinięta w kłębek obok niej z Panem Kotem w ramionach. Potargane rude włosy zakrywają jej buzię. Mama zastrzegła, że kot musi zostać w swojej klatce i nie może spać w łóżku. Zdaje się, że Pan Kot miał inne zdanie na ten temat.

Izzy wygląda tak młodo, kiedy śpi. Jak wtedy, gdy była mała i zasypiała na kanapie z głową na moich kolanach, kiedy oglądałam telewizję. Mama mówiła, że powinna spać w swoim łóżeczku, że ją rozpieszczę, bo najpierw pozwalam jej zasnąć na kanapie, a potem zanoszę do jej łóżeczka. Ale mnie to nigdy nie przeszkadzało. Podobało mi się, że moja najmłodsza siostra ufa mi na tyle, że przy mnie zasypia. Wiem, że Izzy tego nie pamięta, ale jak była mała, to ja dawałam jej smakołyki i bawiłam się z nią na podłodze. Byłam jej ulubioną siostrą. Caitlin nigdy nie była dla niej złośliwa ani nic. Ale też nigdy nie okazywała jej specjalnego zainteresowania. Była za bardzo pochłonięta sobą.

Zerkam w stronę okna.

Wcześniej wysłałam Toddowi esemesa. Odpisał, że jest w drodze. Podałam mu adres hotelu. Zapytałam, kiedy dotrze na miejsce, ale nie odpowiedział.

Zaglądam na iPada. Nic.

Myślę, że powinnam już teraz wymknąć się z pokoju. Poczekać na Todda na dworze. Mama i Izzy śpią, aż miło. Raczej mnie nie usłyszą, a jeśli nawet, to skłamię, że idę na korytarz po colę.

Mama nieźle się wścieknie, jak się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma. Głupio się z tym czuję. Ale... cały ten pomysł z jazdą samochodem do Maine z nią i z Izzy, i z tym durnym kocurem? Po prostu w to nie wchodzę. Nie chcę rozmawiać o Caitlin. Nie chcę rozmawiać o wypadku. Czuję, o co mamie biega, ale wcale nie chcę poczuć się lepiej. Zaslługuję na to, żeby czuć się paskudnie. Zaslługuję na to, żeby czuć się tak już zawsze.

Poza tym beze mnie będzie im lepiej, nie? W końcu to wszystko moja wina. Mama nie przepłakałaby w łóżku ostatnich dwóch miesięcy, gdyby nie ja. A Izzy nie robiłaby tych wszystkich dziwactw: nie gadałaby do siebie, nie chowałaby się pod łóżkiem ani nie przemyślałaby przez granice stanowe kota.

Ostrożnie wstaję i znów patrzę na ich łóżko. Ani drgną. Zastanawiam się, czy nie założyć swoich dzinsów. W tej chwili mam na sobie jedną ze starych koszulek Caitlin, w których lubię spać, i spodnie od piżamy w podobizny Małej Syrenki. Nie zapakowałam żadnych ciuchów do spania, mama zresztą też nie. Za to Izzy wzięła chyba z sześć par spodni piżamowych. Nie ogarniam, po co jej aż tyle. Tak czy siak, wszystkie poszłyśmy spać w spodenkach Izzy. Mnie się dostała Mała Syrenka, mamie SpongeBob, a Izzy – *Zwariowane melodie*. Powiedziałam jej, że to dlatego, że sama jest zwariowaną melodią. Nie zaśmiała się.

Postanawiam włożyć dzinsy, które miałam dziś na sobie, do plecaka i zostać na razie w spodniach od piżamy. Byłam głupia, że nie spakowałam więcej rzeczy.

Typowe zachowanie w stylu „na złość mamie odmrozę sobie uszy”. Teraz pojedę na Alaskę z dwoma T-shirtami, parą džinsów, jednym kompletem bielizny i spodniami od piżamy z Małą Syrenką. Dobrze mi tak.

Staję przy łóżku i macam dookoła w poszukiwaniu swoich czarnych conversów. Wkładam najpierw jednego, potem drugiego, cały czas zerkając na mamę i Izzy. Biorę z oparcia krzesła bluzę Izzy; nie spakowałam nawet swojej czarnej bluzy z kapturem. Podnoszę z podłogi plecak i spoglądam przez ramię na iPada, który leży na moim łóżku. Powinnam zostawić go Izzy, ale jak wejść do Internetu albo wyśle do kogoś esemesa, skoro nie mam telefonu? Todd wprawdzie ma komórkę, ale notorycznie robi z nią coś głupiego: a to wpadnie mu do klopa, a to zostawi ją na dachu samochodu i odjedzie. Wolę nie polegać na jego telefonie – nigdy nie wiadomo, kiedy go straci. Biorę więc iPada i ostrożnie zamykam różowe etui.

Zastanawiam się, czy zostawić mamie liścik. Obok telewizora leżą notes i długopis. Ale co bym napisała? „Przepraszam”? Za co?

Za wszystko.

Daję sobie spokój z liścikiem. Denny pomysł.

Przed wyjściem zatrzymuję się przy drzwiach i lukam jeszcze na łóżko. Mama i Izzy się nie ruszają, ale spostrzegam coś błyszczącego. Oczy Izzy. Siora się obudziła. I obserwuje mnie.

Serce zaczyna mi walić jak oszałałe. Nie wiem, co robić. Wracać do wyra? Udawać, że wychodzę z klopa?

Z plecakiem i iPadem? Ubrana w jej bluzę? Izzy to bystra dziewczyna. Bystrzejsza ode mnie. Kuma, co teraz?

I dlaczego nic nie mówi? Wystarczy, żeby wyciągnęła rękę i potrząsnęła mamą. Nawet ja nie wyobrażam sobie, co byłoby potem. Czy mama wezwie gliny i wyśle mnie na oddział zamknięty, tak jak zagroziła? Czy może wrócimy do Walmartu i kupimy te plastikowe trytytki, których gliniarze używają jako jednorazowych kajdanek? Nie zdziwiłabym się, gdyby mama przywiązywała mnie do samochodu, do łóżka, do siebie...

Patrzę na obserwującą mnie Izzy i w pewnym momencie zdaję sobie sprawę, że niczego nie powie. Po prostu pozwoli mi odejść. Cieszę się, oczywiście, bo tak będzie lepiej dla nas wszystkich, przynajmniej na dłuższą metę. Ale kiedy otwieram drzwi i wychodzę na korytarz, ogarnia mnie głębokie poczucie osamotnienia. Idę do windy, wspominając, jak to było trzymać na rękach maleńką Izzy.

1 Fragment *Hamleta* w przekładzie J. Paszkowskiego (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 29

JULIA

52 dni

Dryfuję w powietrznej krainie między snem i jawą. Wiem, że już nie śpię, bo czuję ciepło ręki Izzy na swoim brzuchu i słyszę szum powietrza z wywietrznika przy oknie. Ale nie otwieram oczu, bo wtedy w pełni bym się przebudziła i musiałabym poradzić sobie ze wszystkim, co się dzieje w tym pokoju i poza nim.

Odpywam myślami.

Zbliżają się urodziny Haley. Nie kupiłam jej jeszcze prezentu. Nawet o tym nie pomyślałam, a ona nie wspomniała o niczym, czego pragnie. Nikt w naszym domu o tym nie wspominał. Wszyscy byliśmy pochłonięci czymś innym. Ale jedenastego maja moja córka skończy osiemnaście lat.

Pamiętam, jak byłam w jej wieku. Myślałam, że jestem dorosła. I wkurzałam się, że nikt, zwłaszcza rodzice, tak mnie nie traktuje. Oczywiście kiedy patrzę wstecz, widzę, że nie zachowywałam się zbyt dojrzałe.

Myślę o dniu, kiedy wyskoczyłam z samochodu ojczyma. Mogłam sobie zrobić poważną krzywdę. A potem te trzy dni na gigancie. W końcu uświadomiłam sobie, że muszę wrócić do domu. Musiałam skończyć ostatnią klasę szkoły średniej. Potrzebowałam jedzenia i miejsca, żeby się przespać i żeby odrabiać prace domowe. Zostałam już przyjęta na uczelnię stanową w Bakersfield. Jeżeli na jesieni chciałam rozpocząć tam naukę i liczyć na to, że rodzice dorzucą się choć trochę do mojego utrzymania, musiałam się pogodzić z mamą. A to oznaczało konieczność pogodzenia się również z ojczymem. Przeproszenia. Wyduszenia z siebie tego, co trzeba było powiedzieć, żeby wkupić się w ich łaski.

Kiedy po tych trzech dniach nieobecności weszłam do domu, mama była akurat w kuchni. Wcześniej grała w golfa – wciąż miała na głowie biały daszek. Kiedy stanęłam w drzwiach, podniosła wzrok. Nie podbiegła, żeby mnie uściskać. Nie wyglądała nawet na szczególnie zadowoloną, że mnie widzi. Ani nie ulżyło jej, że nic mi nie jest. Pamiętam, że było mi z tego powodu przykro. Nie zadzwoniła do żadnej z moich koleżanek z pytaniem, czy ktoś mnie widział. Wmawiałam sobie, że wstydziła się przyznać do tego, że jej siedemnastoletnia córka uciekła z przytulnego domu przy miłym polu golfowym. Że wiedziała, że nic mi nie jest i że wrócę.

Kiedy jednak zobaczyła mnie w naszej kuchni, wyglądała raczej na zawiedzioną. Tak jakby liczyła na to, że już się nie znajdę. „Jesteś w niezłych

opałach, moja panno”, stwierdziła. Nie powiedziała nic więcej.

Dorastając, zawsze wierzyłam, że matka mnie kocha. „Na swój sposób”, mówiłam sobie. Tłumaczyłam ją przed sobą. Po odejściu mojego taty było jej ciężko. Kiedy poznała Francisa, poczuła się tak, jakby złapała Pana Boga za nogi. Ale małżeństwo z nim nie było łatwe. Francisowi trudno było dogodzić. Wydawało się naturalne, że jego potrzeby są ważniejsze od moich. Byłam tylko małą dziewczynką. A kiedy podrosłam, zaczęłam przysparzać problemów. Byłam kapryśna i nie zawsze dokonywałam właściwych wyborów. Dopiero w college’u stałam się tą obowiązkową i poczciwą kobietą, którą znają moje córki i której czasem zarzucają zbyt dobrą dobroć.

Zastanawiam się, czy przez kiepskie relacje z matką teraz nie radzę sobie lepiej z Haley. Ale tak bardzo starałam się być inna niż moja matka. Angażować się w życie moich dziewczyn. Kurczę, poświęcałam się do tego stopnia, że sama nie mam życia osobistego! A moje małżeństwo też nie wygląda teraz zbyt różowo.

Matka była dla mnie taka surowa. Chociaż to raczej ojczym był surowy, a matka zawsze robiła to, co mówił. Zastanawiam się, czy przez to nie byłam dla swoich córek zbyt pobłażliwa. Czy przez to Haley tak się teraz pogubiła? Czy to nie jest w pewnym sensie moja wina?

Czy po prostu przykładam nadmierną wagę do swoich przemyśleń?

I czy w ogóle ma znaczenie, jak znalazłyśmy się w tym punkcie?

Podnoszę rękę nad głowę i się przeciągam. Spałam zaskakująco dobrze, jeśli wziąć pod uwagę ciężar moich zgrzyot. Miło było mieć obok przytuloną Izzy. I kota.

Powoli obracam się na bok. Właściwie nie mogę się już doczekać nowego dnia. Przejedziemy przez Kolorado, poprzez góry i Park Narodowy Lasu Arapaho, a później znajdziemy się w Nebrasce. Ja i moja wesoła banda. Myślę, że dzisiaj może od razu skoczmy na głęboką wodę. Tylko wcześniej wypiję kawę. Musimy porozmawiać o tamtej nocy, kiedy zginęła Caitlin. Szczegóły rozmywają mi się w pamięci, bo byłam w szoku. Zastanawiam się, czy Haley też tak mało pamięta. Czy w ogóle zechce o tym rozmawiać? Może nie. Jeśli nie – w porządku, ale czuję, że powinnam dać jej taką okazję.

Otwieram oczy i widzę zarys Haley w pościeli. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że jej głowa nie leży na poduszce i że w ogóle nie ma jej w łóżku. Czuję trzepot paniki w piersi. Siadam i spoglądam na drzwi do łazienki. Są zamknięte.

Budzik pokazuje ósmą piętnaście.

Zsuwam nogi na podłogę i podchodzę do drzwi. Mam na sobie swój T-shirt i spodnie od piżamy, które pożyczyłam od Izzy. Ze SpongeBobem Kanciastoportym. Nie wiem, jak to się stało, że zapomniałam spakować coś, w czym mogłabym spać.

– Haley? – szepczę.

Pukam cicho do łazienki. Nie chcę obudzić Izzy.

– Haley?

Drzwi są tylko przymknięte. Haley nie odpowiada. Nie słyszę szumu wody. Wolę nie przekraczać granic intymności. Moja matka mi to robiła i naprawdę mnie to denerwowało, ale...

– Haley?

Słyszę w swoim głosie lekką panikę.

Nikt nie odpowiada.

Otwieram drzwi.

Haley nie ma.

Odsuwam zasłonę prysznicową.

Haley nie ma.

Z walącym sercem biorę z biurka klucz i otwieram drzwi wyjściowe. Nie mam czasu na obudzenie Izzy. Wybiegam na korytarz – w jaskrawożółtych spodniach od pizamy i cukierkowej różowej koszulce, pod którą nie mam stanika.

Na korytarzu też jej nie ma.

Jest jeszcze jadalnia, gdzie serwują śniadanie. Może zeszła do recepcji po szklankę soku pomarańczowego? Wciskam guzik windy. Gdy dźwig nie reaguje tak szybko, jak bym sobie życzyła, naciskam guzik po raz drugi i trzeci.

Wreszcie winda się otwiera, a ja słyszę, jak Izzy mnie woła. Odwracam się. Stoi w drzwiach naszego pokoju.

– Mamo? Dokąd idziesz?

– Na kawę. Zostań w pokoju.

Drzwi windy zaczynają się zasuwać, więc szybko wskakuję do środka.

– Ale mamo, jest...

– Wracaj do pokoju, Izzy!

Drzwi się zamykają i winda jedzie w dół. Na parterze wybiegam, jeszcze zanim w pełni się otworzy.

Jadalnia mieści się tuż obok recepcji. Kilkanaście osób raczy się jajkami na twardo, płatkami śniadaniowymi i pieczywem. Haley nie ma wśród nich. Z trudem powstrzymuję się od biegu.

Zaglądam do damskiej toalety przy recepcji. Do wszystkich trzech kabin. Tam też nic.

Teraz naprawdę czuję, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Gdzie ona jest? Gdzie jest moja córka? Jak mogłam okazać się tak głupia? Powinnam spać na podłodze pod drzwiami. Powinnam była wymyślić coś, co zapobiegłoby jej ucieczce. Powinnam przewidzieć, że wykręci mi taki numer. Powinnam zostać w domu, tak jak chciał Ben. Powinnam zostać w łóżku z głową pod kołdrą...

Nie, nie mogłabym zostać. *My* nie mogłybyśmy tam zostać. Musiałśmy

wyjechać. Musiałyśmy wyrwać się z domu – uciec od całego smutku, którym nasiąkł.

Nie mogłam się domyślić, że Haley pryśnie z pokoju hotelowego. Dokąd, do cholery, mogła uciec? Jesteśmy w Kolorado. Haley nie zna nikogo w Kolorado. A wczoraj, przynajmniej po południu, zdawała się... jeśli nie entuzjastycznie nastawiona, to przynajmniej pogodzona z myślą o tej wyprawie.

Wybiegam z hotelu i zatrzymuję się pod biało-zieloną markizą. Owiewa mnie chłodne poranne powietrze. Drzwi wejściowe zamykają się za mną z szumem mechanizmu pneumatycznego i cichym trzaśnięciem zamka. Rozglądam się. Haley nie ma. Nie ma jej na ławkach przy wejściu. Nie ma jej na okrągłym podjeździe. Ktoś zaparkował od frontu, mężczyzna pakuje walizki do swojego minivana. Z kabiny auta dolatują mnie głosy dzieci.

Samochód. Tylko tam mogę jej jeszcze poszukać. A potem? Potem nie wiem, nie mam zielonego pojęcia.

Biegnę na bosaka wzdłuż fasady hotelu. Czuję chłód chodnika pod stopami, luźne kamyki wpijają się boleś-nie w moją skórę. Zaparkowałam na bocznym parkingu. Wieczorem, po wypadzie na kolację, weszliśmy do hotelu bocznymi drzwiami, właśnie tymi.

Pędzę za róg i szukam wzrokiem swojego wozu. Na parkingu stoi więcej samochodów niż wczoraj wieczorem, więc potrzebuję chwili, żeby zorientować się w przestrzeni. W końcu spostrzegam swoją toyotę w trzecim rzędzie. Jest częściowo zasłonięta przez białą furgonetkę.

Pędzę przez parking za trzeci rząd aut. Kiedy dobiegam do niebieskiego wozu, zatrzymuję się gwałtownie. Haley leży w piżamie na masce mojego samochodu i czyta wyświechtany egzemplarz *Zabić drozda*.

– Haley...

Mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, od bosych stóp po górę piżamy, a potem wraca do książki. Opiera się plecami o przednią szybę, nogi ma wyciągnięte jak na leżaku.

– Własność szkoły – mówi, pokazując książkę. – Chyba powinnam ją zwrócić.

Pochyliłam się zdyszana. Próbuję uspokoić oddech.

– Co... ty... tu... robisz?

– Myślałaś, że zwiałam? – pyta ze spokojem i odkłada książkę na maskę.

Prostuję się i spoglądam jej w oczy. Serce wciąż łomocze mi w piersi. Kręci mi się w głowie. Ale czuję wielką ulgę. Tak bardzo się cieszę, że widzę atramentowoczarne włosy Haley, że nie obchodzi mnie nawet to, że wyglądają, jakby farbowała je pastą do butów.

– A zwiałaś?

Patrzy mi w oczy przez dłuższą chwilę.

– Jestem tu, prawda?

Spostrzegam ciemną plamkę na jej rękawie i gapię się na nią przeciągle. To to ramię, które tnie, a ja jestem prawie pewna, że ta plamka to krew.

Haley wędruje wzrokiem za moim spojrzeniem i dotyka mokrej bluzy. Potem znowu patrzy na mnie.

– Och, Haley – wzdycham. – Czy ty...

– Tylko trochę – mówi na jednym wydechu i widzę w jej oczach cierpienie. Cierpienie, które rani mnie tak boleśnie, że nogi się pode mną uginają.

Robię krok w jej kierunku. Chcę zapytać, czym to sobie zrobiła, ale pytanie wydaje mi się nie na miejscu. Jakie to ma znaczenie?

– Nie jest tak źle – mówi. Widzę, że jest zdenerwowana.

Wciąż gapię się na jej ramię.

– Pozwól mi zobaczyć, Haley. Pokażesz mi?

Waha się przez chwilę, a potem powoli podciąga rękaw. Natychmiast spostrzegam kawałek zakrwawionej gazy. Świeża krew.

Ostrożnie unosi gazik i widzę dwie mokre rany, ale to te same, które widziałam w niedzielę. Nie krwawią już same z siebie, tylko trochę się mażą. Wygląda na to, że rozdrapała stare nacięcia. Ale nowych nie ma.

Dławię panikę, starając się wmówić sobie, że to dobry znak. Żadnych nowych nacięć. To jest dobry znak.

– Powinnaś oczyścić te rany i założyć świeży opatrunek. Może następnym razem, jak wstąpimy do sklepu, kupimy duże plastry, takie na otarte kolana – mówię spokojnym tonem. Spoglądam jej w twarz, gdy opuszcza rękaw, zakrywając zakrwawioną gazę. – Dobrze się czujesz?

Zwiesza głowę. Ale potem potakuje i podnosi na mnie wzrok.

– Myślę, że nieźle.

Mam tak wiele pytań, ale czuję, że nie pora je zadawać. Mogą upłynąć lata, zanim ten moment nadejdzie. Muszę poprzestać na bieżących problemach. Muszę mówić i postępować tak, jak należy – tu i teraz.

– Chciałabym, żebyś opowiedziała mi, co czujesz, kiedy to sobie robisz. Mogłabyś spróbować? Mogłabyś mi opowiedzieć?

– Okay – szepcze.

Ton, jakim to mówi, daje mi nadzieję, że może rzeczywiście mi opowie. Czeka ją jeszcze dużo pracy i wysiłku, ale w jej oczach widzę coś, czego nie widziałam od śmierci Caitlin. Życie?

– Co się dzieje? – Między zaparkowanymi autami zjawia się Izzy. Też w piżamie i na bosaka. – Czy możemy się przynajmniej ubrać, zanim pojedziemy dalej?

Stoję na parkingu, wciąż dysząc, z rękami na biodrach, i wybucham głośnym śmiechem.





## ROZDZIAŁ 30

### IZZY

Drugi dzień najfajniejszej przygody mojego życia

Mama się śmieje, a potem Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, również zaczyna się śmiać. Ja też chichoczę. Nie mam pojęcia dlaczego. Rozglądam się dookoła. Na parkingu nikogo nie ma i pewnie dobrze, bo każdy, kto by nas teraz zobaczył, pomyślałby, że jest z nami coś nie tak. Matka i córki na parkingu – w samych piżamach – śmiejące się zupełnie bez powodu.

Zerkam ukradkiem w stronę Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Leży na masce samochodu (na pewno ją wgniotła) jakby nigdy nic. Jakby po prostu czekała na nas i się relaksowała.

Ciekawe, gdzie się podziewała przez całą noc. Poszła do jakiegoś baru? Pewnie ma fałszywe prawo jazdy albo jakąś podrobioną legitymację. Oczywiście nie wygląda na starszą niż ja, więc nie mam pojęcia, jak mogliby ją wpuścić. Ale nie mogę uwierzyć, że przez całą noc siedziała tu, na dworze. Nie miała kluczyków do samochodu. Wiem to, bo kluczyki są wciąż w naszym hotelowym pokoju.

A może planowała ucieczkę? Bo niby czemu miałyby się wykraść z pokoju w środku nocy? Wiem, że poprzedniej nocy mama się bała, że Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, znów ucieknie przez okno. Dlatego z nią spała.

Ale dlaczego jednak nie uciekła? Zrozumiała, że zupełnie nie jest przygotowana do samodzielnego życia? Czy zdała sobie sprawę, że nasza rodzina mimo wszystko jest lepsza niż brak rodziny?

Sama nie wiem, czemu jej nie wydałam, kiedy obudziłam się w nocy i zobaczyłam ją przy drzwiach. Wystarczyło, żebym potrząsnęła mamą, i Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, miałyby totalnie przerabane. Ale nie obudziłam mamy. Patrzyłam tylko, jak tamta wychodzi. Będę musiała później się nad tym zastanowić – jak już się ubiorę.

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, łapie mnie na tym, jak się na nią gapię, więc migiem odwracam wzrok. Dziwnie się czuję, jak tak na mnie patrzy. Dziwnie, jakby sumienie mnie gryzło.

W domu łatwo było ją ignorować. Czasami mogłam nawet udawać, że jej nie ma. Ale w samochodzie, w jednym pokoju hotelowym razem z nią – to co innego. Jest trudniej. Ciągłe przypominają mi się różne rzeczy z czasów, zanim Caitlin wykorkowała. Haley robiła mi przykrości, na przykład się ze mnie nabijała, ale bywała też dla mnie miła, chociaż wołałabym o tym nie pamiętać. Jak wtedy, gdy

stłukłam jeden z ulubionych wazonów mamy, a ona powiedziała, że sama to zrobiła, kiedy wygłupiały się z Cait-lin. Potem odkupiła wazon z własnej kasy i powiedziała, że nie jestem jej nic winna. Powiedziała mi: „Biorę to na siebie, mała”.

Spoglądam na mamę.

– Czy możemy chociaż coś zjeść przed wyjazdem?

– Obawiam się, że w bufecie nie mają gofrów. Tylko zimne przekąski. – Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, wkłada książkę do plecaka i zaczyna w nim grzebać, jakby czegoś szukała. Widzę coś różowego – to iPad Caitlin. Wstrętna złodziejka. To ja go wzięłam. To ja powinnam mieć prawo nosić go w plecaku. Może chciała uciec i dlatego go buchnęła? – Ale mają ciastka i muffinki z jagodami. – Teraz patrzy prosto na mnie. Wie, że przepadam za jagodowymi muffinkami. W niedziele, w czasach, zanim Caitlin przepравиła się przez Styks, ktoś zawsze biegł do piekarni po świeże wypieki. Ja dostawałam jagodową muffinkę, taką z kruszonką na górze. – Widziałam je, jak brałam sobie kawę – najwyraźniej mówi do mnie. Wyjmuje z plecaka i kładzie na masce przede mną coś zawiniętego w serwetkę. – Wzięłam jedną ekstra. Na wypadek gdyby później zabrakło. – Gapię się na muffinkę. Naprawdę uwielbiam muffinki z jagodami i naprawdę jestem głodna. Wczoraj wieczorem zamówiłam jarskiego burgera. Kiepski wybór. Gapię się na muffinkę i gapię. Jest spora, z kruszonką i cukrem trzcinowym. – Ale jeśli nie chcesz... – Wzrusza ramionami i wyciąga rękę, żeby ją zabrać.

Jestem szybsza. Łapię ciastko i biorę dużego gryza.

Mama stoi i patrzy na nas obie. Nie mogę uwierzyć, że nie wypytuje Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, o to, co robi na masce jej samochodu o ósmej rano. Ale mama jest ślepa na wady swoich córek. Każdej z nas. Zawsze taka była. Nawet w stosunku do mnie. Myśli, że jestem najbystrzejszą dziesięciolatką na świecie.

– Mogłabyś podziękować – mówi do mnie. Zamiast objeżdżać Haley za to, że jest tutaj, a nie w pokoju, gdzie możemy mieć na nią oko, mówi coś takiego.

Specjalnie nie patrzę na Tę, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

– Czy jeśli tego nie zrobię, to będę musiała oddać babeczkę?

Mama kręci głową, jakbym ją zirytowała, a potem odchodzi w stronę bocznego wejścia do hotelu.

Stoję chwilę jak kolek i jem muffinkę. Chcę spytać Tę, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, dokąd poszła w nocy. Dlaczego wyszła z pokoju. Ale nie wiem, jak mam to zrobić, nadal się do niej nie odzywając. A zdążyłam się już przyzwyczaić do tego, że się do niej nie odzywam. Nie odezwałam się do niej chyba ani razu od rana po tej nocy, gdy umarła Caitlin.

Przygląda mi się, jak wpycham babeczkę do buzi.

– Dzięki, że mnie nie wydałaś. To było... to było miłe z twojej strony, Izzy.  
– Nic nie mówię, ale oczy mnie szczypią, jakbym miała się rozpłakać. Nie mam pojęcia dlaczego. Jestem na nią tak wściekła. Dlaczego w ogóle się przejmuję tym, czy uważa, że jestem miła? – Nie rozumiem tylko jednego – mówi, schodząc z maski samochodu. – Dlaczego mnie nie podkablowałaś? Dlatego że chciałaś, żebym odeszła? Dlatego że nie chcesz mnie już nigdy więcej widzieć? Czy może nie obudziłaś mamy, bo wiedziałaś, że wcale nie chcę uciekać? – Stoję i milczę. Muffinka nie smakuje mi już tak bardzo. Żałuję, że wepchnęłam sobie do ust aż tyle. Przeżuwam powoli. Nie chcę się rozpłakać. Powinnam po prostu odejść, ale nie mogę ruszyć nogami. Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, stoi teraz blisko mnie. – Gdybym tamtej nocy miała wybór, wołałabym sama zginąć zamiast Caitlin. Rozumiesz to, prawda? – Stoi przy mnie jeszcze przez chwilę. Potem rusza w stronę hotelu. – Chodź – rzuca przez ramię. – Ubierzmy się i sprawdźmy, czy zostały jeszcze jakieś muffinki.

## ROZDZIAŁ 31

JULIA

52 dni

Jazda z Grand Junction w Kolorado do Kearney w Nebrasce zapowiada długi dzień za kółkiem. Mijają co najmniej dwie godziny od wyruszenia w trasę, zanim udaje mi się choć trochę rozluźnić. Tak bardzo się bałam, że Haley mi uciekła. Tak bardzo się bałam, że ją straciłam.

Ale nie uciekła.

Nie straciłam jej.

Muszę przejść nad tą sprawą do porządku dziennego.

Nie jestem pewna, co robiła rano na parkingu ani o której godzinie wymknęła się z pokoju. (Na szczęście nie dałam się pochłonąć czarnym myślom, że jestem najgorszą matką na świecie, bo zasnęłam i umożliwiłam jej wyjście z pokoju). Kiedy spróbowałam podpytać ją o to po śniadaniu, gdy się pakowałyśmy, dała mi jasno do zrozumienia, że nie chce na ten temat rozmawiać. Opuściłam jej, bo uznałam, że mamy sobie ważniejsze rzeczy do powiedzenia, a nie chciałam torpedować szans na dokonanie dalszych postępów. Mam tylko nadzieję, że naprawdę kierowałam się tymi powodami, a nie tchórzliwą chęcią uniknięcia nieprzyjemności.

Podjęłam parę prób wszczęcia poważnej rozmowy, ale po kilku porażkach uznałam, że nic na siłę. Ale chociaż nie mogę zmusić Haley do tego, żeby się przede mną otworzyła, mogę wciągnąć ją w jakąś interakcję. Przedpołudnie spędziłyśmy więc na grze w tablice rejestracyjne. Chodziło o to, żeby wypatrzeć pojazdy z każdego stanu. Haley oczywiście nie miała na to ochoty, ale dała się wciągnąć w grę, gdy zauważyła samochód z Alaski. Izzy zapisywała wyniki na iPadzie i na godzinę przed przyjazdem do Kearney udało nam się zauważyć tablice trzydziestu ośmiu stanów.

Gramy też w inne gry samochodowe. W gry słowne, w które graliśmy, kiedy podróżowaliśmy całą rodziną. Teraz jest oczywiście trochę trudniej, bo Izzy nie odzywa się do Haley, ale jakoś dajemy radę. Moje dziewczyny zawsze uwielbiały grę w skojarzenia i w jej odwrotność. Ben, Cait-lin i Izzy bardziej lubili grę w proste skojarzenia. Polega ona na tym, że gracz musi podać słowo, które kojarzy się ze słowem wypowiedzianym przez poprzednią osobę. Gra w skojarzenia *à rebours* zawsze była domeną Haley i moją.

Po obiedzie w knajpie z hamburgerami Izzy postanawia przesiąść się na

kanapę, żeby Pan Kot miał bliżej do swojej kuwety, którą ustawiliśmy z tyłu. Mimo obaw Haley kuweta na razie nie stanowi problemu. O ile mogę się zorientować, Pan Kot traktuje ją raczej jako piaskownicę do zabaw niż jako wychodek.

Na tylnym siedzeniu Izzy głównie milczy, chociaż kilka razy widziałam we wstecznym lusterku, jak porusza bezgłośnie wargami i patrzy na puste siedzenie obok, jakby z kimś rozmawiała. Nic nie mówię, bo boję się, że Haley zaczęłaby się z niej nabijać, ale postanawiam, że zapytam ją o to później.

Haley jedzie na fotelu z przodu przez dwie godziny, nie wdając się ze mną w żadne poważne rozmowy. Patrzymy na wiejskie krajobrazy, powoli opuszczamy góry, na których miejsce pojawiają się równiny. Od czasu do czasu któraś z nas komentuje mijany pojazd lub drzewo o szczególnie ciekawym kształcie. Haley nie prosi o włączenie radia, a ja tego nie proponuję. Wszystkie trzy zdajemy się dzisiaj zatopione we własnych myślach.

Kiedy w pewnym momencie widzimy jaskrawozielonego volkswagena garbusa z lat siedemdziesiątych i napomykam o chłopaku, który zawiózł mnie na bal szkolny właśnie takim garbuskiem, Izzy pyta:

– Miał na imię Rudolph? Jak ten renifer?

Uśmiecham się na wspomnienie Rudolpha Lexingtona. Był z niego miły chłopak, mimo że rodzice uważali inaczej.

– Raczej jak Valentino. Ten aktor filmowy. No wiesz, z *Szejka i Czterech Jeźdźców Apokalipsy*.

– Izzy nie wie teraz ani trochę więcej niż przed minutą – stwierdza Haley z pokerową miną.

Zapomniałam, jak potrafi być zabawna. Jak mogłam zapomnieć? Zawsze uwielbiałam jej poczucie humoru.

Izzy ignoruje siostrę.

– Nosiałaś sukienkę?

– Oczywiście, że nosiłam sukienkę. – Ogarnia mnie nostalgia. – Nawet dwie.

– Dwie? Naraz? – kolejna dowcipna uwaga ze strony córki na fotelu obok.

Żałuję, że tak rzadko udaje mi się wydobyć tę stronę jej osobowości. Przez cały dzień zdawała się tak odległa, a teraz nagle się ożywiła. To cała Haley, ta, którą znałam przed śmiercią Caitlin.

Zerkam na nią z ukosa, starając się podtrzymać lekki, żartobliwy nastrój.

– Nie, nie naraz. Była taka jedna urocza kusa sukieneczka, którą naprawdę chciałam kupić, ale matka mi nie pozwoliła, mimo że miałam własne pieniądze. W zamian kupiła mi brzydką granatową suknię z kołnierzykiem, która sięgała aż do kolan.

– Na bal w strojach wieczorowych? – Izzy rechocze na tylnym siedzeniu.

– I założyłaś ją? – pyta Haley.

– W moim domu albo robiło się tak, jak kazali rodzice, albo nie szło się na żaden bal. Zasady dotyczące tego, w co mogę się ubrać, ustalał ojczym, ale matka je egzekwowała. Żadnego dekoltu, żadnych odkrytych ramion, żadnych odsłoniętych kolan. Żadnych spódniczek ani szortów.

– Był mormonem? – znowu Haley. Kręcąc głową. – Amiszem?

Izzy śmieje się z dowcipu siostry, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że choć żadna z zaplanowanych przeze mnie rozmów nie doszła do skutku, między Haley i Izzy stanowczo dzieje się coś ciekawego. Wydaje się, jakby Izzy była już prawie gotowa do rozmowy z siostrą. Na granicy powiedzenia czegokolwiek, choćby zwykłego „Odwal się”. Myślę, że Izzy chce się odezwać do Haley, tylko jeszcze nie potrafi się przełamać.

– No więc założyłam to granatowe szkaradziejstwo od matki – ciągnę – ale w torebce miałam drugą sukienkę. Pożyczyła mi ją koleżanka. Stałam do zdjęcia przed kominkiem w naszym salonie z Rudym w tej idiotycznej niebieskiej kiecy. Miał dość taktu, by nie powiedzieć ani słowa o tym, jak okropnie w niej wyglądam. A potem, jak już odjechaliśmy, w jego zielonym garbusie przebrałam się w tę drugą sukienkę.

– W samochodzie? Przy chłopaku? – pyta Izzy.

Haley przewraca oczami, ale nic nie mówi.

– Ta druga była jasnoróżowa. Krótka. – Pokazuję, gdzie się kończyła: wysoko na moim udzie. – I na ramiączkach. Dosyć prosta w kroju, ale koronkowa. W stylu lat dwudziestych. Jak na dzisiejsze standardy prezentowała się dosyć skromnie, ale dla mnie była bardzo śmiała. – Przypominam sobie tę sukienkę i radość, że Rudy zaprosił mnie na ten bal, i robi mi się ciepło na sercu. – Bawiłam się wspaniale. Przynajmniej do czasu, gdy zostałam przyłapana. – Patrzę na auta śmigające obok nas w przeciwnym kierunku i rozsmakowuję się we wspomnieniach. Byłam tak oczarowana Rudym. Naprawdę myślałam, że go kocham. Był moją pierwszą poważną miłością. – Po balu pozwolono mi pójść do restauracyjki, do której chodziliśmy z kumplami, pod warunkiem że wrócę do domu najpóźniej za kwadrans dwunasta. Miałam przebrać się z powrotem w granatową suknię w samochodzie podczas drogi do domu. Ale mój ojczym zjawił się w restauracji, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jestem tam, gdzie mówiłam, i nakrył mnie – ubraną jak lafirynda.

Izzy pochyla się do przodu.

– Co to lafirynda?

– To staromodne określenie puszczalskiej – wyjaśnia Haley.

– Mamo! – wykrzykuje Izzy z dezaprobatą.

Zerkam na nią we wstecznym lusterku, rozbawiona definicją Haley i trochę zaniepokojona tym, że moja najmłodsza córka wie, co znaczy „puszczalska”.

– Miałam szlaban przez wiele tygodni – podejmuję. – A kiedy kara prawie

się skończyła, rodzice nakryli mnie na kłamstwie, że byłam na kursie przygotowującym do egzaminów SAT, podczas gdy w rzeczywistości szwendałam się z Rudym, więc ojczym dołożył mi kolejne tygodnie aresztu. W rezultacie pół lata przed rozpoczęciem nauki w klasie maturalnej spędziłam w swoim pokoju.

Haley patrzy na mnie i uśmiecha się pod nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że robiłaś takie rzeczy. Okłamywałaś rodziców? Oszukiwałaś?

Rumienię się. Nigdy nie mówiłam dzieciom o swojej młodości, ponieważ nie chciałam, żeby myślały, że to, co robiłam, jest w porządku. Kłamanie, oszustwa, przekonanie, że wiem lepiej niż rodzice, co jest dla mnie dobre – w czym prawdopodobnie miałam rację, ale to akurat inna para kaloszy.

– Byłam dosyć bezczelna. A oni po prostu robili to, co uważali za najlepsze.  
– Haley zapada się w fotel. Pograżona w rozmyślaniach pociera przedramię. Zerkam na nią kilka razy, starając się ocenić jej nastrój. Wreszcie pytam: – Chciałabyś to zrobić?

Odpowiada bez wahania:

– Trochę. – Zastanawia się przez moment. – Ale... nie jest najgorzej.

– Pocieranie podrażni rany – mówię, zanim zdążę się zastanowić. – Znowu będą krwawić. A ty zużyłaś już całe opakowanie plastrów. Musimy kupić więcej.

– Staram się nie ciąć – odpowiada ostrym tonem i wygląda przez okno. – W tej chwili musi ci to wystarczyć, mamo.

Przez następne pół godziny jedziemy w ciszy. Zepsułam nastrój. Jestem na siebie zła. Czemu po prostu nie odpuściłam? Przecież Haley ma rację. Stara się. To dobry początek.

Kiedy zjeżdżamy z autostrady w stronę hotelu, gdzie Haley zrobiła rezerwację, jest już po zachodzie słońca.

Haley podnosi iPad nad głowę, żeby podać go Izzy.

– Możemy się zatrzymać pod apteką? – pyta. – Muszę kupić te plastry. I parę innych rzeczy.

– Chcecie najpierw coś zjeść czy wstąpić do apteki? – Staram się mówić lekkim tonem. – Czy może najpierw pojedziemy do hotelu i zostawimy w pokoju wiecie kogo? – Kiwam głową w stronę tylnej kanapy. Staram się być zabawna.

– Mamo, nie możemy zostawić Izzy samej w pokoju hotelowym – mówi Haley. – Jest za mała. Ktoś wezwie opiekę społeczną.

Śmieję się głośno, a Izzy robi urażoną minę.

– Mogłabym zostać sama, gdybym chciała. – Krzyżuje ręce na piersi. – Nie wiem, czemu ona musi być wobec mnie taka złośliwa.

Uwaga nie jest skierowana bezpośrednio do Haley, ale jest już blisko. Stanowczo widać postępy – nic, tylko się cieszyć. Jeżeli jeszcze uda mi się w nocy zatrzymać Haley w pokoju, uznam, że dzień był udany.

– Dobra – mówię. – Więc najpierw apteka, potem zabukujemy się w hotelu, żeby rezerwacja nam nie przypadła, a później pójdziemy na kolację. Wy wybieracie dokąd. Mnie już mózg się lasuje.

Włączam kierunkowskaz i zatrzymuję się na parkingu sieciowej drogerii. Jak tylko samochód staje, Haley otwiera drzwiczki i wyskakuje. Pochyla się i zagląda do kabiny.

– Potrzebujemy czegoś jeszcze?

Zastanawiam się, czy iść z nią. Tak żeby mieć ją na oku. Ale czuję, że muszę dać jej trochę oddechu. Mogła uciec dziś rano, gdyby chciała. Nie zrobiła tego, więc muszę mieć trochę wiary.

– Potrzebujesz pieniędzy? – pytam.

– Oczywiście. – Mówi zupełnie jak dawna Haley. A może bardziej jak Caitlin. Caitlin zawsze wystawiała rękę po pieniądze. Ale takie już są nastolatki, prawda?

Wyciągam portmonetkę z torebki, którą trzymam za swoim fotelem, i wręczam jej dwudziestaka.

– Wystarczy?

Haley robi minę. Daję jej jeszcze dychę zadowolona, że pomyślałam o wzięciu gotówki z bankomatu, kiedy dziś po południu zatrzymałyśmy się na siusiu.

– Zaraz wracam – mówi i zatrzaskuje drzwiczki, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Czekam, aż światło w kabinie zgaśnie, po czym odwracam się do Izzy. Trzyma boscę stopy na siedzisku, Pan Kot siedzi jej na kolanach.

– Wszystko okay? – pytam.

– Ona traktuje mnie, jakbym była małym dzieckiem. Ty też mnie tak traktujesz. Nikt nie docenia tego, jak jestem dojrzała. Wiedziałaś, że Macy, ta, z którą chodzę na taekwondo, nadal śpi przy zapalonym świetle? Ma koszmary z *Potworów i spółki*, wydaje się jej, że potwory wyłażą z jej szafy. – Robi minę. – A to przecież głupota, bo kto się boi takich potworów? Sulley jest uroczy i milusi. Przecież o to chodziło w filmie, nie?

– Nie uważam cię za małe dziecko. – Nic już nie mówi. – Izz, gdybym uważała, że jesteś mniej dojrzała niż w rzeczywistości, nie zabrałabym cię w tę podróż. Twoja siostra boryka się z bardzo poważnymi problemami. Problemami, od których dziewczyny w twoim wieku trzyma się raczej z daleka.

– Bo zabiła Caitlin.

– Powiedziałaś to już Haley – reaguję ostrzej, niż zamierzam – i powiem to tobie. – Łagodzę trochę ton. – Haley nie zabiła Caitlin. – Głos mi się łamie, gdy wymawiam imię mojej zmarłej córki. – Słowo „zabić” sugeruje premedytację. Wiesz, czym jest premedytacja? – Izzy nie odpowiada. – Masz swoją listę słów?



Jak Haley i Caitlin kiedyś? Jeżeli tak, powinnaś umieścić na niej ten termin. Zrobić coś z premedytacją to znaczy zrobić coś, co zamierzało się zrobić. Premedytacja oznacza, że ktoś coś zaplanował, a potem wcielił ten plan w życie. Haley nie wjechała na skrzyżowanie, dlatego że zamierzała zignorować znak „stop”. Nie zamierzała zderzyć się z innym samochodem. Nie chciała...

– Żeby Caitlin wyleciała przez przednią szybę – kończy półgłosem Izzy. Wpatruje się przed siebie. Widzę jej twarz w świetle tablicy reklamującej darmowe zastrzyki w programie Medicare. Głaszcze podbródkiem łebek Pana Kota. – Wiedziała, że Caitlin nie ma zapiętych pasów? Zawsze jeździmy z zapiętymi pasami. – To dobre pytanie. Nigdy nie zadałam go Haley. Nie jestem pewna, czy chcę poznać na nie odpowiedź. Zresztą niczego by to nie zmieniło. Oczywiście, jeśli Haley nie zdawała sobie sprawy z tego, że Caitlin nie zapięła pasów, może udałoby mi się przekonać ją, że tym bardziej nie powinna czuć się winna. Ale jeśli wiedziała? – Jak się nie zapnie pasów, rozlega się sygnał alarmowy – zauważyła Izzy, wciąż unikając patrzenia mi w oczy. – Powinna usłyszeć alarm i kazać Caitlin zapiąć pasy. Chyba że alarm był zepsuty. Myślisz, że był zepsuty? – Spogląda na mnie z nadzieją. – To był kiepski samochód. Myślisz, że może alarm był zepsuty?

Ma taką minę, że chętnie bym ją okłamała. Co by było, gdybym powiedziała jej, że system alarmowy, który ostrzega o niezapiętych pasach, rzeczywiście nie działał? Czy wtedy zaczęłaby rozmawiać z Haley? Ale nie mogę jej okłamać. Jasne, że nie mogę.

– Nie wiem, czy Haley wiedziała, że Caitlin nie ma zapiętych pasów. Może odpięła je tylko na chwilę, żeby coś wziąć. – Czuję, jak napiera na mnie przytłaczający ciężar. Brzemie śmierci Caitlin powraca, gnąc mi kark i gniołąc brzuch. – Myślę, że mogłabyś ją o to spytać.

Izzy nic nie mówi, tylko dalej głaszcze kota.

Rozsiadam się wygodniej w fotelu i zamykam oczy. Przejechałam dziś z osiemset, dziewięćset kilometrów, a rano przeżyłam chwile grozy. Jestem zmęczona. Tak zmęczona, że zastanawiam się, jak dziewczyny przyjęłyby pomysł, żeby kupić coś do jedzenia w sklepie, pojechać do hotelu i darować sobie restaurację. Mogłybyśmy urządzić sobie piknik w łóżku: dobre pieczywo, ser, oliwki, jakieś ciastka. Byłoby fajnie. Mogłabym jeść w spodenkach ze SpongeBobem, które pożyczyła mi Izzy. Przez kilka minut po prostu marzę o długim prysznicu.

Potem otwieram oczy.

– Jak długo Haley jest w środku?

– Nie wiem – mówi Izzy.

Biorę swoją komórkę. Laney napisała mi esemesa: „Zbiórka skautów. Wracam do domu o 9. Zadzwon do mnie, jak dojedziecie. Mam nadzieję, że miałyscie udany dzień”.

Zadzwońię do niej później. Albo tylko wyślę esemesa.

Jest dwudziesta czterdzieści trzy. Czy Haley jest w sklepie jakieś dziesięć minut? Czy upłynęło więcej czasu? Nie potrzeba aż dziesięciu minut, żeby kupić plastry opatrunkowe. A w drogerii nie ma wielkiego ruchu. Nie widziałam, żeby po mojej córce ktokolwiek tam wszedł, a wyszła tylko jedna osoba.

Odkładam telefon na konsolę. Czekam jeszcze dwie minuty, po czym wyciągam kluczyki ze stacyjki.

– Zostań w samochodzie – mówię.

– Zostawiasz mnie tutaj? – Słyszę, jak Izzy odpina pasy. – Nie chcę zostać sama. Chcę iść z tobą.

– Zostań. – Wysiadam. – I nie odblokowuj zamków aż do mojego powrotu.

– To chyba zabronione, żeby zostawiać dzieci w zamkniętym...

Zatrząskuję drzwi i zamykam wóz pilotem. Zerkam jeszcze raz na Izzy. Patrzy na mnie z tylnego siedzenia z niepokojem na twarzy, a potem odchodzę. Biegiem przemierzam chodnik i wpadam do zalanego światłem sklepu. Spoglądam na stanowisko z kasą. Haley ani widu. Właściwie w ogóle nie ma klientów. Jest tylko młody mężczyzna w luźnej niebieskiej koszuli z identyfikatorem na piersi, który klepie coś na swoim telefonie.

– Witamy w drodze do szczęścia i zdrowia – mówi do mnie jakoś zbyt radośnie.

Odwracam się ku jasno oświetlonej hali sklepowej, starając się rozeznąć w sytuacji. Przebiegam wzrokiem tablice informacyjne. „Pierwsza pomoc” w głębi sklepu. Ruszam przez jedną z głównych alejek biegnącą prostopadłe do krótszych. Nie ma jej w „pielęgnacji włosów”. Nie ma jej w dziale z pastami i szczoteczkami do zębów. Kosmetyki do twarzy były na początku. Tam też jej nie widziałam. W „plastrach i maściach” też pusto. Skręcam w drugą z głównych alejek, zawracając ku frontowym drzwiom. Jakiś facet w dziale dziecięcym zastanawia się, jakie pieluchy kupić. Poza nim w sklepie nie ma żywego ducha, jeśli nie liczyć chłopaka przy kasie i innego pracownika obsługi – androgynicznego indywiduum, które wyklada na półki papier toaletowy.

Młodzieniec przy kontuarze podnosi wzrok i wsuwa komórkę do kieszeni bluzy.

– W czym mogę pomóc?

– Czy widział pan tu dziewczynę, parę minut temu? Brunetkę? – Dotykam swojego krótkiego kucyka i wpatruję się w twarz chłopaka, modląc się, żeby okazał się uczciwy. – Kupiła plastry opatrunkowe?

Kiwa głową.

– Jasne.

Kładę obie dłonie na kontuarze.

– Wie pan, dokąd poszła? To moja córka. – Znow czuję narastającą panikę.

Ale przecież Haley nie wzięła nawet plecaka. Nie mogła uciec. – Czekałam na nią na zewnątrz. Nie widziałam, żeby wychodziła.

– Zapytała, gdzie jest toaleta. – Wskazuje mi kierunek. – W pobliżu apteki.

Wypuszczam powietrze, dopiero teraz uświadamiając sobie, że cały czas je wstrzymywałam.

– Toaleta – powtarzam. – Jasne. Dziękuję.

Posyłam mu przelotny uśmiech i pędzę we wskazanym kierunku.

W głębi sklepu jest krótki korytarzyk odchodzący od działu aptecznego. Sama apteka jest zamknięta. Pcham ciężkie drzwi z oznaczeniem DLA PAŃ i wchodzę. Słyszę szum wody, jeszcze zanim dostrzegam Haley.

Zaskoczona, podnosi na mnie wzrok. Myje ręce.

Oddycham z ulgą. Mam paranoję? Chyba tak.

– Muszę siusiu. – Posyłam córce taki sam uśmiech jak chłopakowi przy kontuarze. Nie chcę, żeby wiedziała, że ją kontroluję.

– Znowu? Stawałyśmy godzinę temu.

– Półtorej godziny.

Idę prosto do najbliższej kabiny. Na szczęście naprawdę chce mi się siku.

Kiedy wychodzę, Haley czeka na mnie przy drzwiach. Mała plastikowa torebka zwisa przy jej nadgarstku. Dzisiaj, inaczej niż zwykle, nie obrysowała oczu czarnym eye-linerem i zdaję sobie sprawę, jak młodo bez tego wygląda. Młódziej niż w rzeczywistości. Czy dlatego go używa?

Puszczam wodę i mydlę ręce.

– Kupiłaś, co trzeba?

– Tak.

Pluczę dłonie i podchodzę do podajnika ręczników jednorazowych. Jest zwykły, nieautomatyczny. Wyciągam kilka płatków szarego papieru i wycieram dłonie. Przy drzwiach jest nieduży kubek bez pokrywy. Kiedy wyrzucam ręczniki, na samej górze śmieci zauważam biało-różowe pudełko.

Nawet bez czytania wiem, co to takiego. Test ciążowy. I jestem taka naiwna... taka głupia, że z początku myślę sobie: Ooo, jakie to urocze. Jakaś młoda kobieta kupiła test i była tak podekscytowana, że nie zaczekała nawet na powrót do domu.

A potem nagle do mnie dociera – z taką siłą, jakby Haley zamachnęła się i dała mi prosto w twarz.

To test ciążowy Haley. Moja córka właśnie zrobiła sobie test ciążowy.

Spoglądam jej w oczy i wiem, że się nie mylę. I znów nie mam pojęcia, co we mnie wstępuje. Haley uchyliła już drzwi, a ja wyciągam rękę i je zamykam. Siłuję się z nimi, bo mają pneumatyczny spowalniacz.

– Jesteś w ciąży?! – krzyczę na tyle głośno, że bez wątpienia słyszy mnie młody mężczyzna przy kasie. – Jesteś, kurwa, w ciąży?!



## ROZDZIAŁ 32

HALEY

51 dni, 22 godziny

Mama zaskakuje mnie tak, że robię krok w tył. Jej głos dudni w mojej głowie i w wykafelkowanej toalecie tak głośno, że mam ochotę zakryć uszy dłońmi.

Chyba jeszcze nigdy tak na mnie nie wrzeszczała. Na pewno nigdy nie rzuciła we mnie słowem na „k”. Mamy nie powinny tak mówić. To słowo dla zbuntowanych nastolatków, takich jak ja, prawda?

No i przez to mam pietra.

Przez nią! Boję się jej.

Kiedy zatrzaskuje drzwi, zamykając nas w tym kiblu, cofam się zupełnie bezrefleksyjnie. To chyba taki odruch. Człowiek stara się oddalić od wariatki jak najbardziej, nawet jeśli to akurat rodzona matka.

Kiedy Todd nie zjawił się po mnie wczoraj w nocy i nawet nie puścił mi esemesa, że nie przyjedzie, jakoś dziwnie się tym nie przejęłam. Teraz żałuję, że jednak mnie nie zabrał. Żałuję, że nie udało mi się go do tego namówić. Żałuję, że nie jedziemy w tej chwili na Alaskę. Nawet podróż samochodem z tym nieudacznikiem byłaby lepsza od uwięzienia przez matkę w publicznej toalecie w pobliżu drogi międzystanowej.

– Jesteś w ciąży? – powtarza przez zaciśnięte zęby.

– Nie – odpowiadam ściszym głosem. Można by pomyśleć, że powinnam raczej wydrzeć się na całe gardło. Sama tak myślę, ale jednak tego nie robię. – Wynik jest negatywny. Zobacz. – Kiwam głową w stronę kubła. Nie mogę uwierzyć, że byłam na tyle głupia, by wyrzucić test do kosza na śmieci. Ale w kabinie nie było jednego z tych pojemników na zużyte artykuły higieniczne, a poza tym nie spodziewałam się, że mama tu wejdzie. Miała czekać na mnie w samochodzie. – Sama się przekonaj. – Podchodzę do kosza, biorę pudełko i wyciągam tester. Podnoszę go tak, żeby widziała wskaźnik. Ręka mi się trzęsie. Nie wiem dlaczego. – Wynik negatywny. Widzisz?

Wyrzywa mi test, co jest dosyć obrzydliwe, bo na niego sikałam. Przez chwilę gapi się na wskaźnik.

– Postępowałaś zgodnie z instrukcją? – Wciąż jest hałaśliwa. I wciąż bardzo wkurzona. – Bo jeśli nie...

– Spokojnie, postępowałam zgodnie z instrukcją – mówię. – Wystarczy

nasikać na tester i poczekać trzy minuty. Ja poczekałam chyba ze cztery czy pięć, żeby mieć pewność.

Znowu patrzy na wskaźnik, a potem wyrzuca go do kosza.

– Z kim? Z kim uprawiałaś seks?

W tym momencie ktoś puka do drzwi. Obie wlepiamy w nie wzrok.

– Czy wszystko w porządku? – dobiega głos. To jakaś kobieta. Myślę, że ona też się boi mojej mamy.

– Wszystko w porządku – woła mama, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że tamta nie powinna się wtrącać.

Ciekawe, co by się stało, gdybym powiedziała tej pani za drzwiami, że potrzebuję pomocy. Zastanawiam się nad tym gorączkowo. Mogłabym jej powiedzieć, że porwała mnie i przetrzymuje wbrew mojej woli jakaś wariatka, której wydaje się, że jest moją matką.

Jest w tym odrobina prawdy.

Założę się, że wtedy ktoś zadzwoniłby po policję. A gdyby przyjechali gliniarze? Porozmawialiby tylko z mamą i ze mną i dowiedzieliby się, że jestem nastolatką przechodzącą trudny okres. Jak tylko byśmy to wyjaśniły, puściliby nas wolno. Mama byłaby wściekła, ale na pewno miałabym trochę spokoju.

Już otwieram usta, żeby zawołać o pomoc, ale wtedy przypominam sobie o Izzy, która siedzi w samochodzie razem z tym szczirowatym kotem. Gdyby przyjechali gliniarze, byłaby przerażona. A gdyby jeszcze aresztowali mamę do czasu, aż skontaktują się z tatą i potwierdzą jej tożsamość?

Wtedy mama musiałaby powiedzieć tacie o teście ciąży. Nie chcę, żeby się dowiedział. Nie zrozumiałby. Pomyślałby, że jestem wywłoką. On nie jest dziewczyną. Nigdy tego nie zrozumie.

Mama wciąż przytrzymuje drzwi, żeby nikt ich nie otworzył.

Tamta kobieta puka jeszcze raz.

– Proszę pani?

Mama otwiera drzwi.

– Czy mogłaby nam pani chwilę nie przeszkadzać? Chciałabym porozmawiać ze swoją córką o teście ciąży, który właśnie zrobiła w waszej toalecie.

Nie widzę twarzy tej kobiety. Drzwi mi ją zasłaniają. Ale widzę twarz mamy. Wygląda na mocno wkurzoną i jest opryskliwa.

– Przepraszam – mamrocze tamta. – Chciałam się tylko upewnić, że nikomu nic się nie stało.

– Dziękuję.

Mama puszcza drzwi.

Słyszę odgłos kroków, gdy pracownica drogerii bierze nogi za pas.

Mama krzyżuje ręce na piersiach.

– Z kim uprawiasz seks? Z tamtym facetem? Z meliny, z której cię zabrałam? Trzeba cię zbadać pod kątem chorób wenerycznych? AIDS? – Wciąż jest hałaśliwa. Jej głos odbija się echem od ścian toalety. Wiem, że ludzie w całym sklepie ją słyszą, i jest mi wstyd. Chyba nawet bardziej za nią niż za siebie. Kiedy nie odpowiadam, krzyczy dalej jak wariatka: – Są jeszcze jacyś mężczyźni oprócz niego?! Ten facet, Miguel, który przychodził do nas przed śmiercią Caitlin? I Todd? Doskonale wiem, że się z nim spotykałaś. Z kim jeszcze chodziłaś do łóżka? Kto może być ojcem mojego wnuka?

Spuszczam wzrok. Plastikowa siatka wisi mi przy nadgarstku. Nowy zapas plastrów i gumki do włosów dla nas wszystkich. Dzisiaj rano zdałyśmy sobie sprawę, że we trzy mamy do podziału tylko dwie gumki. W końcu spięły nimi włosy mama i Izzy, ale uzgodniłyśmy, że przy najbliższej okazji kupimy ich więcej.

Mam ochotę potrzebę przedramię. Albo przynajmniej poodbijać piłeczkę. Przez cały dzień jechałyśmy samochodem, więc nie miałam okazji jej poodbijać. Brakuje mi tego. Tęsknię za jej ciężarem w dłoni, za zapachem gumy na palcach.

– Nie wiem – odpowiadam cicho. Gapię się na swoje conversy.

– Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć? – dopytuje mama.

Oczy pieką mnie od wzbierających łez.

– Zawsze używam prezerwatywy. Tylko że...

Wierzchem dłoni wycieram oczy.

Nie wiem, dlaczego płaczę. Byłam właściwie pewna, że nie zaszłam w ciążę. Naprawdę wymagam od facetów, żeby zakładali prezerwatywy. Nie chcę od nikogo żadnego syfa. Ale zdarzyło się parę razy, kiedy byłam napruta czy najarana, czy... sama nie wiem. Nie miałam okresu od sześciu czy siedmiu tygodni. Uznałam, że lepiej się upewnić, żeby potem nie żałować...

– Z kim uprawiałaś seks, Haley? – Mama chwyta mnie za ramiona. – Kto mógł cię zapłodnić?

Krztuszę się łzami. Nie chcę ryczeć. Nie chcę być słaba. A już na pewno nie chcę, żeby mama widziała, jak płaczę.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?! – pochyła się i wrzeszczy mi prosto w twarz. A potem nagle cofa głowę. – Zostałaś zgwałcona? – Ton jej głosu gwałtownie się zmienia. – O Boże, Haley... Czy ktoś cię zgwałcił?

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć „tak”. Tylko przez ułamek sekundy.

Wyrywam jej się i wycieram rękawem oczy. Przesuwam ręką po twarzy tak, że czuję rany pod plastrami. Boli. Od razu robi mi się lepiej.

– Nie jestem w ciąży, więc jakie to ma znaczenie? – rzucam. – Ale gdybym była... – Milknę i zaczynam od nowa: – Gdybym była, to nie wiedziałabym, kto jest ojcem. Bez, no wiesz, badań genetycznych. Ale nie jestem w ciąży. – Staram

się zdobyć na buntowniczą bezczelność, ale wiem, że mówię jak mała dziewczynka. – Wynik jest negatywny, mamó. Nie jestem w ciąży. – Łzy płyną mi po policzkach. – Przepraszam – szepczę. – Przepraszam. Ale nie musisz się martwić. Nie jestem w ciąży.

Mama przez chwilę tylko stoi i się we mnie wpatruje. Oddycha z trudem. Dyszy. A potem nagle odwraca się i odchodzi kilka kroków.

– Przepraszam, Haley. – Głos jej drży. Zaczyna się przechadzać w tę i z powrotem. Kręci głową. – Nie powinnam... nie powinnam mówić do ciebie w ten sposób.

– W porządku. – Pociągam nosem i wycieram go rękawem. – Gdybym była swoim dzieckiem, też dostałabym kurwicy. Jestem złym człowiekiem. – Teraz ja też kręcę głową. Spuszczam wzrok. – Narobiłam tyle złego, a teraz jeszcze uprawiam seks z przypadkowymi facetami i...

– Nie w tym rzecz, kochanie. – Mama podchodzi i staje naprzeciwko mnie. Znowu chwyta mnie za ramiona, ale tym razem łagodnie. Bez złości. – Zdenerwowałam się, bo zobaczyłam w tobie siebie.

Podnoszę wzrok. To jakieś wariactwo. Mama jest idealna. Jest piękna i idealna. Dlatego tak jej nienawidzę. Zawsze robi to, co dobre i słuszne. Zawsze mądrze się wypowiada. Ludzie ją lubią.

– Jak to widzisz we mnie siebie? – pytam. – Jesteśmy zupełnie inne.

– Kiedy miałam siedemnaście lat... – Puszczą mnie i otula się jednym ramieniem. – Kiedy miałam siedemnaście lat, Haley... Ten chłopak, o którym wam opowiadałam, Rudy... – Co rusz zaczyna, nie kończy i zaczyna od nowa. – Tamtego lata przed klasą maturalną zaszłam w ciążę.

Wiem, że opada mi szczęka. Nie mogłabym być bardziej zaskoczona, nawet gdyby oznajmiła mi, że ona i tata są kosmitami, którzy przybyli na Ziemię, aby założyć swoją kolonię.

– Zaszłaś w ciążę? – szepczę, wciąż prawie pewna, że się przesłyszałam. Mama kiwa głową. – Miałaś aborcję?

Mama kręci głową.

– Matka powiedziała, że muszę urodzić. Mój ojczym, on... – Spuszczą wzrok. Widzę, że to wspomnienie wciąż jest dla niej bolesne. Jakaś część mnie pragnie ją objąć i przytulić, ale nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. – Uparli się, że muszę urodzić to dziecko. Ale poroniłam w dziesiątym tygodniu. Nikt nie wie, że jako siedemnastolatka byłam w ciąży, oprócz mojej mamy i ojczyma, Laney, twojego taty i teraz... – Głos więźnie jej w gardle. – Teraz ciebie.

Stoję jak wryta i patrzę się na nią przez dłuższą chwilę. Nie mogę uwierzyć, że moja idealna matka wpadła z chłopakiem, z którym w jedenastej klasie poszła na szkolny bal.

Mama wzdycha i odchodzi. Zagląda do jednej z kabin i wyciąga długą



wstęgę papieru toaletowego. Patrzę, jak wydmuchuje nos.

– Ostatniej nocy zamierzałaś uciec? Powiedz prawdę, Haley.

Staram się zważyć wagę tego, o co mnie prosi – prawdy – z bólem, jaki jej to sprawi. Ale kogo ja oszukuję? Mama wie, co to ból. I jeszcze jej nie zabił.

– Nosилаm się z takim zamiarem – mówię, nie siląc się na przeprosiny. – Ale potem zmieniłam zdanie.

Skłamałam tylko trochę. Gdyby Todd przyjechał, to nie wiem, czy wsiadłabym z nim do samochodu.

Mama jest blada. Stoi, mnąc papier toaletowy, a ja myślę o tym, że powinna się wylaszczyć. Potrzebuje dzinsów, które by na nią pasowały. Powinna pofarbować włosy i pociągnąć usta szminką. Musi znowu zacząć wyglądać jak żywy człowiek.

– Powinnyśmy wracać do auta – odzywa się w końcu. – Izzy została sama.

Kładę dłoń na ciężkich drzwiach.

– Powiesz tacie? – pytam. – O teście?

Mama ostatni raz wyciera nos papierem, który następnie wyrzuca do kosza.

– Twój tata i ja nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– A Izzy? – pytam.

Podchodzi do mnie. Wygląda na zmęczoną, zdenerwowaną i przerażoną. A ja mam wyrzuty sumienia, bo to wszystko znowu przeze mnie.

– Nie wydaje mi się, żeby to było coś, o czym powinna wiedzieć twoja dziesięcioletnia siostra. Jak myślisz? – Otwieram drzwi. – To jeszcze nie koniec naszej rozmowy – ostrzega mnie, wychodząc na korytarz. – Odkładamy ją po prostu na bardziej odpowiednią porę. Zrozumiano? A jak wrócimy do domu, musisz się przebadać. Na wszystko. Nie obchodzi mnie gdzie. U lekarza rodzinnego. W klinice. Po prostu masz się przebadać. – Unosi palec. – I to się musi skończyć. Ten ryzykowny seks. Nie pozwolę ci zrujnować sobie życia, Haley. Do jasnej cholery, nie pozwolę ci na to!

A potem bierze mnie w ramiona i tuli tak mocno, że aż boli.

I z jakiegoś powodu zaczynam się czuć trochę lepiej.

## ROZDZIAŁ 33

JULIA

Illinois

Następnego wieczoru stoję w drzwiach do łazienki w hotelu na obrzeżach Chicago i trzymam telefon przy uchu.

– Zostańcie w pokoju, dziewczyny – mówię tak zmęczona, że ledwie mam siłę chodzić. – Albo będziecie miały przerabane.

Izzy śmieje się i wlepia wzrok w ekran telewizora, wpychając do buzi frytkę.

Ona i Haley siedzą na jednym łóżku i jedzą frytki oraz kanapki z kurczakiem. Żadnych warzyw; jednogłośnie uchwaliliśmy, że nasza ekspedycja będzie wolna od warzyw. Przynajmniej do czasu, aż dotrzemy do domu Laney, gdzie, jak wiemy, będziemy bombardowane wielkimi michami sałat i ekologicznych jarzyn gotowanych na parze.

Haley i Izzy nie rozmawiają ze sobą, a przynajmniej Izzy nie odzywa się do siostry, ale siedzi obok niej z własnej i nieprzymuszonej woli. Głównie dlatego, że nie widziała ekranu z poziomu naszego łóżka. Ale trzeba się cieszyć z tego, co się ma.

W łazience puszczam wodę w prysznicu, żeby dziewczyny nie słyszały mojej rozmowy, a potem dzwonię do Laney.

– Hej, kochana – słyszę na powitanie. – Czekałam na twój telefon. – Słyszę, jak mówi stłumionym głosem: – Chłopcy, idźcie z tym do drugiego pokoju. – W drodze na Wschód zmieniały się nam strefy czasowe. Dzisiaj między nami a Laney jest tylko godzina różnicy. Czuję się dzięki temu, jakbym wreszcie była bliżej niej. I naprawdę wierzę, że dotrzemy do Maine. Wczoraj o tej samej porze miałam wątpliwości. – Gdzie jesteś? – pyta Laney.

– W Chicago. – Pochyłam się i zerkam w lustro nad umywalką. Wyglądam fatalnie. Znowu dziesięć godzin w trasie. – Właściwie to gdzieś pod Chicago. Nawet nie wiem, jak się ta miejscina nazywa. Haley zrobiła rezerwację.

– Więc wciąż jest z wami? Super – droczy się ze mną Laney.

– No. – Nie śmieję się, ale uśmiecham. Wczoraj nie spałam pół nocy, bo rozmawiałam z Laney. Rozmawiałam i płakałam – najpierw na hotelowym korytarzu, a potem, kiedy zaczęłam straszyć innych gości swoimi łkaniami, w naszym pokoju. Laney zachowała się, jak na najlepszą przyjaciółkę przystało – jak zawsze. Współczuła mi i mnie pocieszała, gdy potrzebowałam pociechy, i kazała mi wziąć się w garść, kiedy za bardzo się nad sobą użalałam.

– Jak minął dzień? – pyta teraz.

– Dobrze. – Zastanawiam się nad tym przez chwilę i uświadamiam sobie, że... rzeczywiście całkiem nieźle. – Dosyć dobrze – uściślam. – Z jakiegoś powodu, odkąd Haley dowiedziała się o mojej nastoletniej ciąży, zaczęła się do mnie odnosić... sama nie wiem. Z mniejszą wrogością? Poza tym wciąż rozciera sobie ramię, ale nie pocięła się ani razu, odkąd wyruszyliśmy w drogę. Gdyby miała to zrobić, to chyba wczoraj wieczorem, po tym, jak na nią nakrzyczałam. Nie uważasz? – Tak naprawdę nie szukam odpowiedzi. Z kosmetyczki, która leży na umywalce, wydaję swoją szczoteczkę do zębów i wyciskam trochę pasty z małej podróżnej tubki. – Tak, to był całkiem udany dzień. Haley zaproponowała, żeby Izzy po południu jechała z przodu, a kot został przy niej na tylnym siedzeniu. Dwa razy zagrałyśmy w tablice rejestracyjne. – Stękam przeciągle. – Ta gra jest naprawdę starożytna, ale dzięki niej czas szybciej płynie i wszystkie możemy się w nią pobawić bez złośczenia się i płaczu.

Laney się śmieje.

– A rozmowy?

– Łeee. – Zaczynam szczotkować zęby. Przeplukuję usta wodą, którą nabrałam w garść. – Sorki – mówię – myję zęby przed wejściem pod prysznic. Rozpaczliwie potrzebuję prysznic. Cuchnę. A Haley czeka na swoją kolej. Zamierzam też zmusić do kąpieli Izzy bez względu na to, czy będzie tego chciała, czy nie. Nie mam pojęcia, kiedy ostatnio brała kąpiel. – Strzepuję szczoteczkę. – Dzisiaj nie było żadnych poważnych rozmów. Myślę, że zarówno ja, jak i Haley byłyśmy zbyt przytłoczone wczorajszymi przeżyciami. – Zakręcam wodę. – Ale myślę, że Haley czuje się... sama nie wiem... w porządku. Zupełnie tego nie rozumiem, ale po tym, jak nakrzyczałam na nią niczym kompletna wariatka, wydaje się bardziej sobą. Sobą sprzed śmierci Caitlin. Nie wyrosły jej anielskie skrzydła ani nic podobnego, ale dzisiaj kilka razy widziałam przebłyski mojej ekscentrycznej, mądralińskiej i spostrzegawczej córki.

– Kontaktowała się jeszcze z tym swoim chłopakiem?

– Z Toddem? – Wrzucam szczoteczkę do kosmetyczki. – Nie wydaje mi się. Okazało się, że korzystała z iPada, żeby komunikować się z nim esemesami. Czuję się jak ostatnia idiotka. Do głowy mi nie przyszło, że na iPadzie można korzystać z iMessage. Ale dziś cały dzień iPadem bawiła się Izzy, a Haley użyła go tylko do zrobienia rezerwacji. Myślę, że między nią i Toddem już koniec. Dzisiaj powiedziałam jej coś o nim, a ona stwierdziła, że ma nadzieję, że odpadną mu pewne części ciała.

– Oby – kwituje Laney.

– Właśnie.

Rozpinam workowate džinsy, zsuwam je z siebie, a potem rzucam na nie majtki. Po kąpieli będę musiała przebrać się w spodenki ze SpongeBobem, ale na

jutro mam świeżą parę dzinsów. Żałuję, że nie wzięłam więcej ubrań. Nie wiem, o czym myślałam w niedzielę wieczorem, kiedy się pakowałam. Zdaje się, że po prostu nie myślałam.

– Rozmawiałaś z Benem?

– Od wczorajszego wieczoru nie. – Zdałam mu na szybko sprawę ze sceny w toalecie drogerii i powiedziałam, że musi przylecieć do Maine. Że potrzebujemy go, zwłaszcza w świetle nowych rewelacji. Odparł, że odezwie się do mnie, kiedy sprawdzi w robocie, czy to możliwe, co, szczerze mówiąc, nie przejęło mnie za bardzo. Myślę, że po prostu byłam w szoku. Dzisiaj jednak, kiedy ochłonęłam, zaczęłam mieć mu tę reakcję coraz bardziej za złe. Na dobitkę dziś do mnie nie zadzwonił i robię się naprawdę wściekła. – Pewnie powinnam do niego zadzwonić, jak już się wykąpię – wzdycham. – Ale wątpię, żebym wytrzymała jeszcze jedną nocną rozmowę. Nie zamierzam wdawać się z nim przez telefon w żadne dyskusje. Muszę się wyspać.

– Ben musi zmęźnieć. Musi tu przyjechać i być ze swoją rodziną – mówi stanowczo Laney.

– Pełna zgoda. – Wyswobadzam się z koszulki, oddalając telefon od ucha, a potem znów go przykładam, gdy rzucam T-shirt na stertę brudnych rzeczy. – Czy byłoby z mojej strony bardzo brzydko, gdybym do niego dziś nie dzwoniła? Gdybym zaczekała, aż sam się odezwie?

– Powinnaś przynajmniej dać mu znać, że nic wam nie jest. Że jesteście już w hotelu.

Odgarniam włosy do tyłu i znów spoglądam na swoje odbicie. Nadal nie poznaję tej chudszej wersji siebie.

– Może po prostu puszczę mu esemesa. Wtedy piłeczka będzie po jego stronie.

– Jules...

– Tak, wiem. Wiem, co powiesz. Nie mogę od niego uciekać. Nie mogę uciekać od problemów w naszym małżeństwie. Ale szczerze ci mówię, Laney, nie wiem, czy dałabym radę znieść aż tyle nieszczęść.

– Wszystko będzie dobrze – mówi łagodnie. – Postępujesz słusznie. Ty i dziewczyny wyjdziecie na prostą.

– A ja i Ben? – Laney nie odpowiada, a ja czuję w piersi ciężar, który mnie przeraża. Nigdy nie wyobrażałam sobie życia bez Bena. Do oczu napływają mi łzy. Nie mogę o tym myśleć dziś wieczorem, po prostu nie mogę. – Powinnam wejść pod prysznic – mówię, bo nie chcę zmuszać Laney do wypowiedzenia na głos tego, o czym obie myślimy. Bo co będzie, jeśli Ben nie przyleci do Maine? Co, jeśli nie zależy mu na naszych córkach, na mnie na tyle, by przyjechał i ze mną porozmawiał? By porozmawiał z dziewczynami? Pomógł mi wymyślić, co, do cholery, powinniśmy zrobić z Haley?

– Idź, weź ten prysznic – mówi Laney. – Poczujesz się lepiej. A na pewno będziesz lepiej pachnieć – dodaje ze śmiechem.

– Zabawna jesteś. – Spoglądam w lustro i stękam. – Jezu, ale mam odrosty, Laney.

– Zajmiemy się nimi, kiedy tu dotrzecie. Buteleczka l'oréala, pół godziny w mojej kuchni i znów będziesz tą piękną blondynką, którą znam i kocham.

– Umowa stoi. Jutro mam zamiar dojechać do Rochester w Nowym Jorku.

– Hurra! – woła Laney. – A więc dotrzecie tu w piątek wieczorem! I będziemy miały dla siebie cały weekend! Chcesz, żebym przygotowała wam chatkę? Czy wolisz spać z dziewczynami u mnie w domu?

– Och, nie wiem. – Laney mieszka w uroczym wiktoriańskim domku w miasteczku nieopodal jeziora Sebago, niecałą godzinę drogi od Portland. Kusząca wydaje mi się myśl, że po tym, jak dzieciaki pójdą spać, będziemy mogły położyć się w jej łóżku i pogadać. Może wypić po lampce wina. Ale Laney ma w domu tylko trzy sypialnie, więc byłoby trochę ciasno. I chłopcy mogą się czuć niezręcznie, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności naszych odwiedzin. – Może w piątek wieczorem przenocujemy u ciebie, a potem się zobaczy. Jeżeli Ben przyjedzie, choćby tylko na weekend, to możemy się przenieść do domku gościnnego – mówię z nadzieją.

– Wtedy będziecie potrzebować przestrzeni, w związku z czym stanowczo powinniście zająć domek gościnny.

Uśmiecham się, wdzięczna losowi, że mam taką przyjaciółkę.

– Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem.

– Trzymaj się.

Jeszcze przez chwilę trzymam telefon w dłoni, zastanawiając się, czy zadzwonić do Bena. W łazience jest coraz więcej pary. Nie widzę się już w lustrze. Waham się, a potem otwieram apkę do pisania esemesów.

„Dotarliśmy do Chicago. Cale i zdrowe. W piątek będziemy nad Sebago. Wybierasz się?”. Wysyłam esemesa, kładę komórkę na umywalce i wchodzę pod prysznic. Myję się pod strugami gorącej wody bez pośpiechu, starając się rozluźnić i nie myśleć o niczym. Nawet nie płaczę. Po wyjściu z kabiny przytrzymuję ręcznik jedną ręką, a drugą sprawdzam wiadomości w telefonie. Ben odpisał: „Cieszę się, że u Was wszystko dobrze. Pogadamy jutro”. Nic o tym, czy przyjedzie, czy nie.

Wycieram się, zakładam spodenki ze SpongeBobem i dołączam do swoich dziewczyn.

\*

O wpół do jedenastej gasimy światło. Wszystkie jesteśmy zmęczone. Izzy zasypia po pięciu minutach, zwinięta w kłębek obok mnie, z Panem Kotem

w ramionach. Ja nie mogę zasnąć, mimo że jestem wykończona. Leżę i słucham szumu klimatyzatora; wszystkie lubimy spać w chłodzie.

Boli mnie, że Ben nie zadzwonił. Ani nawet nie napisał, czy przyjedzie do Maine, chociaż go o to zapytałam. Jestem wściekła. I nadal nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

Obracam się na bok, twarzą do drugiego łóżka. Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do mroku, widzę Haley. Leży na wznak z rękami nad głową. Też nie śpi.

– O czym myślisz? – pytam ściszym głosem, żeby nie obudzić Izzy.

Widzę, jak Haley wzrusza ramionami.

– O niczym takim.

Obserwuję ją przez moment – moje piękne, bystre, popaprane dziecko – i współczucie ściska mi serce. Ona tak cierpi, a ja nie mogę jej pomóc.

– A ja właśnie myślałam o waszym tacie. – Wstaję i przechodzę te pół metra, które dzieli nasze łóżka. Wsuwam się pod kołdrę obok niej, zanim zdąży zaprotestować. – Naprawdę mnie dziś zranił.

Przysuwa się do mnie trochę. Nie za bardzo, tylko tak, żebyśmy się przypadkiem nie szturchnęły.

– Nie przyjedzie do Maine – mówi monotonnym głosem. Sprawia wrażenie rozczarowanej.

– Nie wiem. Myślę, że naprawdę powinien przyjechać. – Odwracam głowę, żeby na nią spojrzeć. – Nie sądzisz?

Opuszcza ręce i spostrzegam, że trzyma gumową piłeczkę. Odkąd wyruszyliśmy z domu, nosi wciąż tę samą czarną koszulkę z długim rękawem; nie widzę plastrów na jej przedramieniu. Ale wiem, że tam są, i wiem, co jest pod nimi.

– Tata to tata – mówi ściszym głosem. – Nie możesz po nim oczekiwać niczego więcej niż tego, jaki był do tej pory.

Obracam się na bok i wkładam ręce pod głowę.

– Co masz na myśli?

– No, sama nie wiem... – Wpatruje się w sufit, obracając w palcach piłeczkę.

– Chyba tylko to, że... nie zmienisz go. My go nie zmienimy. Nie chodzi mi o to, że nas nie kocha, ale... – Milknie na chwilę. – Każdy może z siebie dać tylko tyle, ile ma. Rozumiesz?

Nie wiem, co ma na myśli. W każdym razie niezupełnie. Rozumiem jednak, że na swój sposób stara się mnie pocieszyć, a jednocześnie nie zwalać winy na swojego ojca.

Obracam się na plecy. Przez parę minut leżymy w ciszy. Wyczuwam lekkie ruchy ciała Haley, gdy obraca piłeczkę. Słyszę miarowy oddech Izzy. I mruczenie Pana Kota. I wśród tych kojących dźwięków w końcu czuję nadchodzącą senność.

– Powiedz mi o tej piłeczce – proszę.

– Co masz na myśli? – rzuca defensywnie. – To tylko głupia piłeczka.

– Głupia różowa piłeczka? Pamiętam ją, Haley – mówię łagodnie. – Pamiętam, jak Caitlin odbijała ją tydzień przed śmiercią. W pizzerii. To była piłeczka Caitlin. – Haley milczy. – Czy Caitlin ci ją dała? Czy dlatego cały czas masz ją przy sobie? Bo jest...

– Nie dała mi jej – przerywa mi szeptem. – Wykradłam ją jej z plecaka. Zrobiłam to, bo grała mi na nerwach, kiedy ją odbijała, a bardzo to lubiła. A potem... – Jej głos przepelniają emocje. Zaciskam powieki, starając się powstrzymać łzy. – Zapytała mnie, czy ją widziałam, ale... – Milknie na chwilę. – Już nie miałam okazji jej oddać.

Szukam w głowie słów, które by ją pocieszyły, czegoś w rodzaju „Jestem pewna, że Caitlin nie miałaby o to pretensji” albo „Myślę, że chciałyby, żebyś ją zachowała”, ale wolę nic takiego nie mówić. Odnoszę wrażenie, że cokolwiek bym powiedziała, zakwestionowałabym jej uczucia. A jeśli nauczyłam się czegoś przez ostatnie dwa miesiące, to tego, że człowiek nie potrafi nic poradzić na to, co czuje. Milczę więc przez dłuższy czas, a potem pytam:

– Sądzisz, że z Izzy wszystko gra?

– Co masz na myśli?

– Zaczynam się martwić. Zdaje się, że w miarę dobrze radzi sobie ze śmiercią Caitlin. Ale nie odzywa się do ciebie tak długo... Dwa miesiące to szmat czasu. – Kładę sobie dłoń na czole. – Może jednak popełniliśmy błąd, że po wypadku nie posłaliśmy jej na psychoterapię.

– Zacznie się do mnie odzywać, kiedy będzie gotowa.

Waham się, nie do końca pewna, czy powinnam powiedzieć to, co myślę. W końcu się decyduję.

– Powiedziałaś jej, jak bardzo jest ci przykro?

– Jak to?

– Ja tylko... – Poważnie myślę o tym, żeby się wycofać. Ale powiedziałam już dużo, a Haley to bystra dziewczyna. Musi zdawać sobie sprawę, do czego zmierzam. – Czy powiedziałaś jej, jak bardzo jest ci przykro z powodu tego, co się stało?

– Jak mogłoby mi nie być przykro? Codziennie o tym myślę, co godzinę, co minutę. Myślę o wszystkim, co mogłam zrobić inaczej, żeby do tego nie doprowadzić. Gdybym po prostu pojechała do domu inną trasą. Gdybym zatrzymała się, żeby kupić sobie gatorade. Gdybym...

Głos więźnie jej w gardle. Wyciągam ramię i znajduję w mroku jej rękę. Ścisną w dłoni piłeczkę, więc po prostu nakrywam ręką jej pięść.

– Tak tylko sobie pomyślałam... – mówię.

A potem obie zasypiamy.





## ROZDZIAŁ 34

### IZZY

Czwarty dzień najfajniejszej przygody mojego życia

Kiedy się budzę, mamy nie ma ze mną w łóżku. Myślę, że może poszła do łazienki, ale gdy spycham z siebie Pana Kota i obracam się na bok, widzę, że śpi z Tą, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Jestem trochę zazdrosna. Naprawdę fajnie jest spać z mamą w jednym łóżku, bo mogę się obrócić i dotknąć jej, kiedy tylko chcę, przypuszczam jednak, że to sprawiedliwe, że tamta też ma swoją kolej. Chociaż chyba i tak częściej z nią spała, bo ma już prawie osiemnaście lat, nie?

Większość ludzi myśli, że najmłodsze dziecko w rodzinie jest najbardziej rozpieszczone. Dużo się gada o tym, jak to rodzice pozwalają najmłodszemu dziecku na wszystko, trzęsą się nad nim i w ogóle. Ja tak nie miałam. Może i byłam ulubienicą rodziców, kiedy byłam mała, ale nie pamiętam tego okresu. Ale jak tylko Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, poszła do szkoły średniej, stałam się dla mamy niewidzialna.

Trzy lata i osiem miesięcy temu.

Wiem. Miałam sześć lat, chodziłam do pierwszej klasy. Jak mogłabym to pamiętać? Ale mam naprawdę dobrą pamięć. A tamten moment zapamiętałam bardzo dobrze.

Moje wspomnienia są naprawdę wyraźne. Najstarsza poszła do szkoły średniej i nagle mama zrobiła się szalenie zajęta sprawami Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać: radą rodzicielską, komitetem organizacyjnym balu na koniec sezonu sportowego, pilnowaniem dzieciaków na szkolnych dyskotekach i tak dalej. A potem Caitlin wciągnęła się w bycie cheerleaderką, więc mama była zajęta także w weekendy, bo woziła ją na rozmaite konkursy, robiła jej fryzury i szyła kostiumy razem z innymi mamami.

To nie tak, że nagle wszyscy zaczęli być dla mnie niemili, ale jak siostry poszły do szkoły średniej i zrobiły się takie ważne, ja w pewnym sensie wmieszałam się w tło. Mniej więcej w tym samym czasie tata zaczął znikać. To znaczy wciąż z nami był, ale nie wydawał się już tak mną zainteresowany jak przedtem. Chociaż jeśli mam być sprawiedliwa, jeśli mam być obiektywna (na ostatnim dyktandzie strzeliłam w tym słowie ortografa: napisałam „objektywna”, przez „j”), tata zaczął zapominać nie tylko o mnie. Zaczął zapominać o nas wszystkich. Chyba po prostu się nami znudził.

Pan Kot znowu się na mnie wdrapuje i zaczyna mruścić. Jak to jest, że cały

czas chce siedzieć na mojej klatce piersiowej? Kiedy urosną mi cycki, co powinno nastąpić lada dzień, to gdzie będzie siadał?

Drapię się po głowie i zerkam na mamę i Tę, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Coś się między nimi dzieje. Czy raczej coś między nimi zaszło. Wczoraj wieczorem. I to akurat w drogerii. Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, poszła zrobić zakupy i długo nie wracała. No to mama poszła za nią. Jak wróciły, obie wyglądały, jakby przed chwilą płakały. Później spytałam mamę, co się stało, ale tylko pokręciła głową i powiedziała, że jak chcę, to mogę posłuchać radia. Generalnie od wyjazdu z domu nie możemy słuchać radia, bo powinniśmy rozwiązywać swoje problemy. A przynajmniej ta, która tnie się ostrymi przedmiotami dla frajdy, powinna je rozwiązywać.

Słyszę, że w drugim łóżku coś się poruszyło, więc patrzę i widzę, że mama otwiera oczy. Uśmiecha się na mój widok i od razu robi mi się miło, że tak na mnie patrzy, i prawie przestaje mi być przykro, że spała z tą wariatką zamiast ze mną.

– Dzień dobry. – Jej głos jest cichy i zaspany.

Ładnie dziś wygląda. I nie tak smutno. Przez ostatnie parę dni zauważyłam, że rano, jak się budzi, nie wygląda tak smutno jak później, w ciągu dnia. Tak jakby z upływającymi godzinami Caitlin coraz bardziej nie żyła. Co nie jest takie głupie, bo jak sama rano się budzę, to czasem nawet nie pamiętam, że moja siostra wacha kwiatki od spodu.

– Dobrze ci się spało? – pyta mama, wciąż jeszcze senna.

Kiwam głową.

– To dobrze. – Przeciąga się, odgarnia włosy i znów na mnie spogląda. – Może wskoczysz pod prysznic, zanim Haley wstanie?

Stękam z wielkim dramatyzmem. Nie lubię, kiedy mama myśli, że trzeba mi przypominać o kąpielach. Jestem na tyle duża, żeby wiedzieć, kiedy wziąć prysznic. Moje włosy prawie wcale nie są jeszcze brudne. Jak je myję, robią się kręcone. A jedyną rzeczą gorszą od rudych włosów są rude kręcone włosy.

– Idź, idź – mówi.

A ponieważ nie mogę powiedzieć po prostu „nie”, tak jak robi to Haley, wstaję i idę do łazienki.

– Włóż go do klatki – prosi mama. Ma na myśli Pana Kota.

– Spoko. Jest za stary, żeby uciec.

Kilka minut później stoję pod prysznicem i szoruję sobie pachy mydełkiem, które znalazłam w koszyczku na umywalce, kiedy nagle otwierają się drzwi łazienki. Szyba jest dość zaparowana, ale widzę, że to Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Ma na sobie tę swoją durną czarną koszulkę i moje spodenki z Małą Syrenką.

O mało nie wrzeszczę: „Ej! Ja tu się kąpie!”, ale w porę gryzę się w język. Nie rozmawiam z nią. Już nigdy się do niej nie odezwę. To ona załatwiła mi

siostrę. Przez pamięć o Caitlin mogę zrobić przynajmniej tyle.

Odwracam się, na wypadek gdyby widziała coś przez zaparowaną szybę kabiny. Może jak zobaczy mój goły tyłek, to załapie.

Słyszę, jak podnosi deskę klozetową. Nie mogę uwierzyć, że ma czelność sikać, kiedy ja się kąpię.

– Mama mówi, żebyś się pośpieszyła. Chce ruszać w drogę. – Słyszę, jak sika, co jest totalnie obrzydliwe. – Słyszysz mnie, kruszynko?

Spuszcza wodę.

Ale nie wychodzi z łazienki. W końcu już nie mogę tego znieść i się odwracam. Ciepła woda oblewa mi plecy.

„Co? – mam ochotę wrzasnąć. – Czego chcesz?”. Ale patrzę na nią tylko przez zaparowaną szybę, jedną ręką zakrywając moje przysze cycki, a drugą miejsce intymne. Wiem, że kiedyś zmieniała mi pieluchy i tak dalej, ale mam prawo do prywatności, bo w końcu jestem już prawie nastolatką. No nie?

– Izzy. – Wciąż tam stoi, z rękami zwisającymi po bokach. Gapi się w podłogę. – Izzy, chciałabym ci tylko powiedzieć... – Kiedy tak na nią patrzę przez zaparowaną szybę, wydaje się cała rozmyta, jak na kiepskim zdjęciu. Ma taki głos, jakby zaraz miała się rozpląkać, i czuję, jak gardło mi się ściska. – Nieważne – mówi. – To bez znaczenia.

A potem wychodzi.

Za to wchodzi mama. I susia.

– Co to? Hala dworcowa? – krzyczę spod prysznic.

– Mówi się: „Co to? Dworzec?” – poprawia mnie i spuszcza wodę. – Pobiegnę na dół po kawę i pogadam z kimś z recepcji. – Słyszę jakieś szurum-burum przy umywalce. Potem leci woda. – Zdaje się, że nie dali mi zniżki – mówi jakoś bełkotliwie. Aha, szcztokuje zęby. – Pośpiesz się. Wyrzuciłam zużytą kuwetę do śmieci. Otworzymy nową w samochodzie. Jak będziesz schodzić, weź ze sobą Pana Kota. Ja już nie wrócę do pokoju. Chcę ruszać w drogę. – Nic nie mówię. – Słyszysz, Izzy?

– Słyszę. Zostawiłam swoje ubrania na łóżku. Możesz mi je tu przynieść?

– Jasne.

Wychodzi, a potem wraca.

– Wyłaż, Izzy. Jak na dziewczynę, która nie lubi się kąpać, cholernie długo tam siedzisz.

Zamyka drzwi. Wreszcie jestem sama. Następnym razem, jak będę brała prysznic, na pewno nie zapomnę zaryglować drzwi.

Wychodzę, jednym rącznikiem owijam sobie włosy, a drugim ciało. Biorę szmatkę i wycieram zaparowane lustro. Z turbanem na głowie wyglądam inaczej niż zwyk-le. Starzej. I trochę jak Caitlin. Ta myśl sprawia, że się uśmiecham.

– Do zobaczenia na dole! – słyszę wołanie mamy. A potem trzask

zamykanych drzwi na korytarz.

Super, teraz jestem sama z Tą, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Pewnie będzie próbowała ze mną rozmawiać, jakby myślała, że jej odpowiem.

Wycieram się i ubieram, co jest dość trudne, bo w łazience jest tyle pary, że nie mogę się wytrzeć do sucha. Ale nie ma mowy, żebym ubrała się w pokoju, w towarzystwie tamtej.

Podsuszam trochę włosy suszarką przymocowaną do ściany, a później myję zęby, biorę swoją piżamę i wchodzę do pokoju.

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, siedzi na swoim łóżku i ogląda program informacyjny. Jest już ubrana. Jej plecak leży obok niej na łóżku. Odwracam się od niej i zaczynam pakować rzeczy do swojej torby. Potem biorę klatkę, którą kupiliśmy dla Pana Kota, i wsadzam go do środka. Nie lubi tam wchodzić i wcale mnie to nie dziwi. Sama też nie chciałabym być więziona.

– W Maine wciąż jest zimno – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. – Ostatniej nocy temperatura spadła do jednego stopnia powyżej zera. Odmrozimy sobie tyłki.

Zatrząskuję drzwiczki klatki trochę zbyt gwałtownie. Pan Kot podskakuje ze strachu. Bez słowa biorę klatkę i swoją torbę i idę do drzwi. Nie ma mowy, żebym przebywała w jednym pomieszczeniu z Tą, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, dłużej, niż to konieczne. Drzwi zamykają się za mną, kiedy słyszę, jak krzyczy:

– To chyba znaczy, że jesteś gotowa do drogi!

Rozlega się dźwięk windy, więc biegnę przez korytarz. Nie chcę jechać razem z Tą, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Kiedy dobiegam, ludzie zdążyli już wysiąść i drzwi się zasuwiają, ale w ostatniej chwili udaje mi się wskoczyć do środka. Kiedy się odwracam, drzwi się zamykają. Uśmiecham się do siebie.

Tamta może sobie pojechać następną windą.

Wysiadam i widzę mamę stojącą przed kontuarem w recepcji. Idę jednak dalej. W hotelu nie wolno przetrzymywać zwierząt. Nie chcę dać się złapać: mama miałaby wtedy kłopoty. Jak się dowiedzą, że Pan Kot spał w pokoju, na pewno nie dadzą nam tej zniżki.

Dopiero gdy podchodzę do samochodu, orientuję się, jaka ze mnie ofiara losu. Nie mam kluczyków. Kładę torbę i klatkę na ziemi. Widzę kawałek papieru zatknięty za wycieraczką z przodu, więc obchodzę auto i go wyjmuję. To reklama. „Dwie pizze za 10 dolarów”.

Obok przejeżdża jakiś samochód. Patrzę na ludzi w kabinie: mama, tata, mały chłopiec i leciwy dziadek. Nigdy nie miałam dziadka. Ojciec mamy nie żyje. Taty też. Mama nie poznała swojego prawdziwego taty. Jej ojczym zmarł, zanim się urodziłam, ale to chyba akurat nic strasznego, bo zdaje się, że nikt go nie lubił, nawet moja babcia.

Wracam za samochód. Wciąż nie ma mamy, za to widzę, jak Ta, Której

Imienia Nie Wolno Wymawiać, wychodzi frontowymi drzwiami. Zastanawiam się, czy ma kluczyki.

Obok przejeżdża następne auto. Facet w garniturze. Sam. Żadnych dzieci. Żadnego dziadka.

Spuszczam wzrok na Pana Kota w klatce... i ulotka wylatuje mi z ręki.

Drzwiczki klatki są otwarte, a Pan Kot zniknął!

Czuję, że nie mogę oddychać. Łzy stają mi w oczach.

Rozglądam się, ale go nie widzę. Dopiero po chwili zauważam, że coś przemyka między naszą toyotą a następnym rzędem samochodów. Coś futrzastego. Kot pręgowany!

Bez zastanowienia odwracam się w stronę hotelu i wrzeszczę:

– Haley!

## ROZDZIAŁ 35

### HALEY

53 dni, 10 godzin

Słyszę krzyk Izzy i odwracam głowę. Stoi przy samochodzie i mnie woła. Jakiś dziwny dreszcz przebiega mi po plecach, oblatuje mnie strach. Upuszczam plecak na chodnik i pędzę do niej, śmigając przed nadjeżdżającym samochodem. Kierowca trąbi na mnie, ale olewam go i biegnę dalej.

– Izzy! – Nie wiem, co jest nie tak. Stoi przy samochodzie, więc niemożliwe, żeby była ranna. – Izzy?

Chodzi o mamę? Nie, nie może chodzić o mamę. Właś-nie widziałam ją w recepcji.

– Haley! Pomóż! Pan Kot uciekł! – wrzeszczy Izzy, machając ręką.

Przebiegam między dwoma rzędami aut na parkingu. Pędzę coraz szybciej. Wydaje mi się, że trwa to całą wieczność.

– Widzisz go?

– Wydostał się... – mamrocze tak, że ledwo ją rozumiem. – Wydostał się z klatki! Nie wiem, jak to się stało. Nie wiem, jak drzwiczki się otworzyły! Postawiłam go na ziemi i...

Kładę ręce na jej ramionach. Zaglądam jej prosto w oczy.

– Widziałaś, w którą stronę uciekł? – pytam spokojnie, mimo że serce mi wali, a od galopu brakuje tchu. Bałam się, że stała się jej krzywda. A to tylko kot. Kota można zastąpić, siostry nie.

– Nie... nie wiem. Tam! – Wskazuje w stronę autostrady, która ma po trzy pasy ruchu w każdą stronę.

Patrzę, ale nie widzę. Tylko samochody i duży ruch na autostradzie za parkingiem.

– Jesteś pewna, że uciekł w tamtą stronę?

Wierzchem dłoni wyciera zasmarkany nos.

– Wydaje mi się, że wlaźł pod tę białą furgonetkę. – Pokazuje palcem. – Ale nie jestem pewna! Nie wiem. Po prostu zniknął...

Odwracam się w stronę wozu, który wskazuje. Stoi w następnym rzędzie, bliżej ulicy.

– Okay. Ty idź tędy. – Pokazuje. – A ja pójdę tędy.

Rzuca się pędem.

– Nie biegnij! Możesz go wystraszyć!

Zwalnia, ale wciąż truchta.

Poruszam się szybko, przemykając między rzędami aut, parę samochodów za furgonetką, którą wskazała. Co rusz kucam i zaglądam pod podwozia. Po parkingu ciągle jeżdżą auta. Ludzie wyjeżdżają z hotelu, ruszają w drogę. Zastanawiam się, gdzie Pan Kot wpadnie pod koła – na parkingu czy na autostradzie.

Nie mogę uwierzyć, że Izzy nie zamknęła klatki.

Klękam i podpierając się rękami, rozglądam się we wszystkich kierunkach. Kota nie ma. Żadnego cholernego sierściucha. Boże, Izzy się załamie, jeżeli przejedzie go jakiś samochód. Poruszam się coraz szybciej, ale nie biegnę.

– Widzisz go? – wołam do niej. – Bo ja nie widzę!

Obok mnie przejeżdża samochód – znacznie szybciej, niż powinien poruszać się po parkingu.

– Zwolnij, do cholery! – drę się, kiedy mnie mija.

– Tam jest! – krzyczy nagle Izzy i podskakuje. Jest jeden rząd aut za mną i jakieś osiem miejsc parkingowych w bok. – Pod tym niebieskim!

Na parkingu roi się od niebieskich samochodów. Znowu klękam, żwir na ziemi boleśnie wpija mi się w kolana.

– Pod którym niebieskim? – Wstaję, ale pochylam się. Widzę papierowe kubki, widzę gumkę do włosów, pod jednym z samochodów widzę nawet skarpetkę. Ale nie kota.

Izzy znów podskakuje. Ma na sobie za krótkie dzinsy i koszulkę z Tutenchamonem. Myślę o tym, że powinnam jej pomóc lepiej dobrać ubrania. Żadna ze mnie modnisia, ale Izzy mogłaby wyglądać znacznie lepiej, niż wygląda.

– Ten niebieski obok białego! – krzyczy.

Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem. W końcu spostrzegam samochód, o którym mówi. Padam na ziemię.

I widzę Pana Kota.

Przycupnął przy prawym tylnym kole niebieskiego samochodu.

Podrywam się na nogi i idę tak szybko, jak umiem.

I nagle ten pieprzony sierściuch wybiega spod auta jak oparzony.

– Kici, kici! Panie Kocie. – Izzy woła go płacząco, okrążając inne auto i zachodząc kota z przeciwnej strony.

Futrzak zatrzymuje się na samym środku drogi między dwoma rzędami miejsc parkingowych. Natychmiast zwalniam kroku.

– Kici, kici, kici – nawołuję ścisłym głosem. – Dobry kotek.

Ogon mu drga. Zobaczył mnie.

– Grzeczny kotek. Kochany kotek – przemawiam do niego słodkim głosem.

Wtem zwierzak znów daje dyla. Rzucam się w pościg między samochody, żeby zablokować mu drogę, zanim dotrze do autostrady.

Ale tracę go z oczu.

– Haley! – krzyczy Izzy.

Kiedy wbiegam w następny rząd aut, kątem oka spostrzegam jakiś ruch – a z drugiej strony widzę kota.

Izzy piszczy.

Samochód przejedzie sierściucha jak nic.

Reaguję bez namysłu. Auto jest tak blisko, że czuję żar silnika.

Kładę rękę na masce i wóz gwałtownie hamuje.

– Zwolnij! Kto jeździ siedemdziesiątką po parkingu?! – wrzeszczę na kierowcę, gdy wybiegam wprost przed jego auto.

Czytałam o pracach Herkulesa – gdy przemierzam ostatni metr dzielący mnie od kota, czuję się właśnie jak Herkules. Wiem, że znowu będzie zwiewał. Wiem, że pobiegnie prosto na autostradę, i wiem, że nie da rady przebiec na jej drugą stronę żywy. Będę musiała poprosić w recepcji hotelu o łopatkę, żeby zeskrobać jego resztki z chodnika przed fast foodem Wendy's naprzeciwko.

Ale jakoś udaje mi się do niego zbliżyć. Z jakiegoś powodu tym razem nie ucieka. Chyba po prostu jego godzina jeszcze nie wybiła.

Biorę go na ręce i tulę do piersi. I wtedy, nie mam pojęcia dlaczego, zaczynam ryczeć. Ledwo mogłam płakać, kiedy roztrzaskałam siostrze czaszkę o asfalt, a teraz ryczę z powodu durnego sierściucha.

Chwilę później pojawia się przede mną Izzy: zapłakany i zasmarkany obraz nieszczęścia i rozpaczy.

Wyciąga ku mnie ramiona, a ja wkładam w nie kota.

– Trzymaj go mocno – mówię, wycierając nos rękawem koszulki. – Serce bije mu tysiąc razy na minutę.

– Panie Kocie, Panie Kocie, tak bardzo przepraszam... – mamrocze.

Słyszę trąbienie. Podnoszę wzrok i widzę samochód, który o mało nie przejechał Pana Kota. Rzucam kierowcy naprawdę nienawistne spojrzenie. Potem obejmuję moją siostrę i prowadzę ją na bok, żeby tamten mógł przejechać.

Wspólnie wracamy do naszej toyoty. W kieszeni mam kluczyki. Mama jeszcze raz szła do łazienki, chyba żeby wysikać się na zapas przed podróżą, więc dała mi je, gdy spotkałyśmy się w recepcji.

Naciskam guzik pilota.

– Wsiadaj – mówię do Izzy. – Wezmę twoje rzeczy.

Nadal płacze, ale już nie tak bardzo. Siada na tylnej kanapie i zamyka drzwiczki, podczas gdy ja otwieram bagażnik i wkładam do niego torbę Izzy i klatkę tak szybko, jak potrafię. Boję się, że Pan Kot da się ponieść zewowi śmierci i ucieknie za tylną kanapę, a wtedy znowu musiałabym go ganiać między samochodami.

– Haley? – słyszę głos mamy, właśnie gdy zamykam bagażnik. Odwracam się. – To twój plecak? – woła z chodnika przed hotelem. Trzyma plecak w górze.



– Tak! – odkrzykuję.

Patrzę, jak idzie w moją stronę.

– Czemu zostawiłaś swój ple...

– Opowiem ci za chwilę – mówię. Biorę plecak i jej torbę. Patrzy na mnie i robi mi się głupio, bo na pewno widzi, że płakałam. Wycieram twarz rękawem, czerpiąc skrytą przyjemność z bólu wywołanego tarcie. – Ale najpierw wsładźmy – szepczę.

Mama stoi jeszcze chwilę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Zauważam, że wygląda lepiej niż parę dni temu. Nadal jest za chuda, a jej włosom przydałoby się farbowanie, ale na jej twarzy nie ma już zmęczenia ani rozpacz. Chyba nawet nieco zaróżowiły się jej policzki. Może ta podróż ma na nią dobry wpływ?

– Jak się czujesz? – pyta ściszym głosem.

Otwieram bagażnik.

– W porządku. Jedźmy.

Jedziemy autostradą międzystanową, a Izzy opowiada ze szczegółami historię ucieczki Pana Kota. Po jakimś czasie zahaczamy o kawiarnię dla zmotoryzowanych, gdzie mama i Izzy zamawiają kanapki na śniadanie. Mnie nadal jest niedobrze po niedosłej kociej katastrofie, ale biorę mrożoną kawę. Mama kupuje kilka pączków z kwaśną śmietaną, które lubię. Na później.

Podaję Izzy jej kanapkę i sok, a potem zaczynam rozpakowywać kanapkę dla mamy.

– Biedny Pan Kot – mówi mama, po czym zwraca się do Izzy: – Masz szczęście, że twoja siostra była w pobliżu. Mam nadzieję, że jej podziękowałaś.

Na tylnym siedzeniu – ogłuszająca cisza. Izzy przestała nawet mieć papier śniadaniowy.

– Izzy Mae – odzywa się znowu mama – siostra uratowała życie twojemu kotu, a ty nie możesz jej nawet podziękować?

– Mamo – szepczę. Nie potrzebuję podziękowań. Cieszę się po prostu, że udało mi się ocalić kota. Cieszę się, że choć raz zrobiłam coś, jak należy. Coś, od czego nikt nie płacze. – Nic nie szkodzi.

Mama łypie na mnie z ukosa.

– Szkodzi, szkodzi. Ona tak dłużej nie może. Nie pozwolę na to.

Spoglądam jej w oczy.

– Odpuść – mówię. – Daj jej trochę czasu.

Mama otwiera usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zamyka je bez słowa. Bogu dzięki.

Kilka minut później jesteśmy na międzystanówce I-90.

– Sto pięćdziesiąt kilometrów do South Bend w Indianie – mówię, popijając mrożoną kawę. – Normalna gra w skojarzenia czy *à rebours*?

Zerkam do tyłu.

Izzy trzyma na kolanach kota. Słyszę jego mruczenie.  
Nasze spojrzenia się spotykają i po raz pierwszy Izzy nie odwraca wzroku.  
„Dziękuję”, mówi bezgłośnie.  
Uśmiecham się i po raz drugi tego ranka łzy cisną mi się do oczu.  
„Proszę”, odpowiadam tak samo.

## ROZDZIAŁ 36

JULIA

Maine

Jak daleko jeszcze? – Izzy siada na tylnej kanapie, przesuając Pana Kota na bok. Od czasu wczorajszej przygody na parkingu zwierzak woli chyba trzymać się w pobliżu i nie sprawdzać, czy ma siedem żyć.

Znowu siadam za kierownicą.

– Za pół godziny będziemy na miejscu. – Trzy kwadranse temu byłam wyczerpana, ale po przerwie na siusiu i szybki posiłek czuję się jak nowo narodzona. Jestem podekscytowana. Podróżujemy tym samochodem od pięciu dni. Dotarłam do Maine. Dotarliśmy do Maine. Wszystkie. – Puściłam Laney esemesa z wiadomością, jak blisko jesteśmy. Zamierzała poczekać na nas z kolacją, ale napisałam, że już jadłyśmy.

– Może, jak dojedziemy, poszłybyśmy na lody do Farmer’s Ice Cream – proponuje Izzy, zapinając pasy.

– Może. – Zerkam na siedzącą obok mnie Haley. Od paru godzin jest jakaś zgaszona. Nie obrażona ani zła, ale małowówna. – Wszystko w porządku? – pytam ją, gdy wycofuję wóz z parkingu przed delikatesami pod Portland.

Haley wygląda przez okno. Widzę, że coś ją gryzie. W pierwszym odruchu chcę ją zasypać pytaniami, ale gryzę się w język. Czekam. Uczę się lepiej słuchać.

– Zatrzymamy się w domu cioci Laney? – odzywa się w końcu.

– Dzisiaj tak. Później się zobaczy. Chatka nad jeziorem stoi pusta. Laney powiedziała, że możemy tam zamieszkać, jeśli chcemy. A co?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie już jej powiedziałaś... – Milknie i wzdycha. Cały czas patrzy przez okno. Zaczyna od nowa: – Pewnie już obrobiłyście mi dupę.

Będę musiała się zająć tym jej niewyparzoną językiem. Krzywię się za każdym razem, gdy słyszę, jak przeklina. Ale w ostatnim tygodniu sama nie świeciłam pod tym względem przykładem. Rozkładaj siły! To moje nowe motto. Podobnie jak: Nie wybiegaj z nadmierną w przyszłość – skup się na jednym dniu, czasami na jednej minucie.

– Rzeczywiście, Laney wie, co się z tobą dzieje. Przykro mi, słonko, że cię to wkurza, ale muszę mieć kogoś, z kim mogę pogadać od serca.

Patrzę na nią, a potem rozglądam się na boki i wyjeżdżam na ulicę.

Przyjemnie jest przemierzać te ostatnie kilometry trasy. Czasami nie byłam

pewna, czy uda nam się dotrzeć do celu. Ben na pewno w to nie wierzył. Ale równocześnie trochę mi przykro, że podróż skończy się już za pół godziny. Spędzenie pięciu dni w samochodzie z Izzy i Haley okazało się krzepiące. Mimo że sprawy nie zawsze szły gładko czy tak, jak sobie wyobrażałam, w samochodzie z córkami czułam się odizolowana od świata zewnętrznego. Bezpieczna. Wyjście z auta przed domem Laney będzie oznaczało powrót do ogromnego, nieprzychylnego świata. Nie wiem, czy jestem na to gotowa. A jeśli znów się załamie? Jeśli położę się do łóżka Laney i przestanę wstawać, dziewczynom nie przyniesie to nic dobrego.

Haley nie zareagowała jeszcze na fakt, że Laney wie ze szczegółami o jej niedawnych wybrykach. Czy wyborach. Zwał, jak chciał.

– Wiesz – mówię – Laney cię nie osądza. Zależy jej tylko na tym, na czym zależy i mnie, i wszystkim: żebyś wyszła na prostą. Pragniemy, żeby udało ci się przeboleć śmierć Caitlin i żyć dalej, szczęśliwie i zdrowo.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym odwraca się do mnie. Od wyjazdu z Las Vegas nie widziałam czarnej kredki na jej oczach. Czarny lakier do paznokci też zniknął. Jej włosy wciąż mają ten nienaturalny kolor, ale nie wydaje mi się to już tak szokujące. Widzę jej twarz, a nie czarne ciuchy czy włosy. Widzę jej piękną twarz, która przez większość czasu jest naznaczona bólem. Żałuję, że nie mogę złagodzić go pocałunkiem jak wtedy, gdy była mała i zrobiła sobie kuku.

– Naprawdę myślisz, że to możliwe? Żebym była szczęśliwa? – W jej tonie nie ma agresji. Chyba po prostu chce się przekonać, co myślę. Zanim zdążę odpowiedzieć, dopytuje: – A myślisz, że sama możesz być szczęśliwa po śmierci Caitlin?

Ściskam mocniej kierownicę. Interesujące pytanie jak na szóstą po południu, po przejechaniu ponad czterech i pół tysiąca kilometrów w pięć dni.

Nie wiem, jak jej odpowiedzieć.

Od śmierci Caitlin chyba nawet przez chwilę nie zastanawiałam się nad własnym szczęściem. Oczywiście, że już nigdy nie będę szczęśliwa. A może jednak? Skoro myślę, że Haley może być szczęśliwa, to czemu nie miałyby się to odnosić także do mnie?

Wręcz powinno, nie?

Przez te ostatnie dni zdarzały mi się chwile szczęścia. Sam widok uśmiechniętej Haley budzi u mnie uśmiech. To szczęście, prawda? Nawet jeśli bardzo ulotne. Kiedy słyszę, jak Izzy i Haley się śmieją, sama też jestem szczęśliwa. Przyjemność, jaką sprawiło mi picie mrożonej coli pierwszego dnia naszej podróży, też mogę nazwać szczęściem. Czy jeśli naniżę dość dużo takich momentów – niczym koraliki na nić – to będę szczęśliwa?

Spoglądam na Haley.

– Nie sądziłam, że to będzie jeszcze kiedyś możliwe – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Myślę, że po części dlatego nie mogłam wstać z łóżka przez parę pierwszych tygodni.

– Miesiące, gwoli ścisłości – wytyka mi Haley.

Liżę czubek palca i podnoszę go do góry. Punkt dla niej. Ale nie chcę brnąć teraz w ten temat. Musimy porozmawiać o kwestii szczęścia i wydaje się sprawiedliwe, że skoro oczekuję od Haley pełnej szczerości, sama powinnam być gotowa na szczerść.

– Przez tych kilka dni myślałam chyba właśnie o tym, że moje życie nigdy nie będzie takie samo. Moje życie bez Caitlin – przykładam rękę do serca i głos mi się załamuje – już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Ale wciąż mam ciebie i Izzy, i waszego tatę, i... – Wzdycham. – Myślę, że powinnam szukać szczęścia. Jestem to winna wam wszystkim, może nawet samej sobie. Nie wiem, czy bez Caitlin będę mniej szczęśliwa. Będę po prostu szczęśliwa... w inny sposób. – Czuję, że marszczy mi się czoło. – Czy to ma sens?

– Caitlin mówi, że nie powinnam być smutna – odzywa się Izzy.

Haley zerka na mnie z ukosa, jakby mówiła: „A ta znowu gada jak potłuczona”. Spoglądam we wsteczne lustro.

– Myślę, że masz rację. Caitlin nie chciałaby, żebyśmy się smuciły. – Znowu patrzę na Haley. – Wolałabyś nocować w domku gościnnym zamiast u Laney?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. A gdzie wszystkie się pomieścimy u cioci Laney?

– Przypuszczam, że dzisiejszej nocy ja będę spać z Laney. Wy dwie zajmiecie jeden z pokoiów chłopaków, a Liam i Garret zajmą drugi pokój. Dacie radę przespać razem noc i nie zrobić sobie krzywdy?

– Ja mogę spać na kanapie. – Haley spogląda za siebie, w kierunku siostry. – Jeżeli mała tak woli.

– Nie ma sprawy, póki nie musimy spać w jednym łóżku. – Izzy wyraźnie nie jest zadowolona z pomysłu, ale nie jest też kategorycznie przeciwna. – Chyba będzie okay.

Uśmiecham się. Może się mylę, ale czuję, że to dzień postępów – na kilku frontach.

\*

Trzydzieści pięć minut później wjeżdżamy na ulicę Laney. Moja przyjaciółka mieszka w uroczym żółto-białym wiktoriańskim domku w miasteczku Larkgate, kilka kilometrów od jeziora Sebago. Miasteczko ma główną ulicę, którą dziesięć lat temu poddano rewitalizacji po tym, jak ludzie z Portland zaczęli restaurować tutejsze domy wiktoriańskie, a inni zaczęli otwierać nowe biznesy. W śródmieściu, zaledwie jedną przecznicę od domu Laney, roi się teraz od

wszelkiego rodzaju niesztabowych artystycznych sklepików.

Kiedy skręcam na podjazd przed jej domem, Laney stoi na werandzie. Oparta o poręcz macha do nas obiema rękami. Potem zbiega po schodkach z taką euforią, jakbym była jej dawno niewidzianą, zaginioną siostrą. Może coś w tym jest. Ostatnio byłam jeśli nie zaginiona, to dość zagubiona, a Laney na pewno jest dla mnie jak siostra.

Zahaczam stopą o krawędź dywanika samochodowego i o mało nie wypadam z auta, tak szybko próbuję wysiąść. Obie wybuchamy śmiechem.

Laney mnie obejmuje, żebym się nie przewróciła, a ja ją przytulam.

– Laney... – W oczach kręcą mi się łzy.

– Udało ci się – szepcze, ściskając mnie mocno.

– Tak, udało mi się.

Trzymamy się w objęciach przez długą chwilę, ale gdy się puszczaamy, czuję, że to wciąż za krótko.

– Oj, nie płacz – mówi, ale jej oczy też się szklą. Laney jest moim absolutnym przeciwieństwem. Jest wysoka i śniada, ma przepiękne kruczoczarne włosy. Urodę odziedziczyła po ojcu, Indianinie ze szczepu Penobscot.

Śmieję się i przecieram twarz.

– Wiem, że wyglądam okropnie.

– Nie. – Robi krok w tył, żeby mi się lepiej przyjrzeć. – Jesteś chuda, masz siwe odrosty, ale nie wyglądasz okropnie.

Szarpię się za włosy i aż zginam ze śmiechu. Widok Laney, objęcia jej ramion są jak zastrzyk adrenaliny i miłości zmieszany w jednej ampułce. Tak bardzo mi jej brakowało. Tak bardzo jej potrzebowałam.

– Izzy! – Laney bierze moją najmłodszą córkę w objęcia i tuli tak mocno, że aż podnosi ją z ziemi.

Haley też wysiada, ale tylko stoi przy samochodzie. Kiwam głową, żeby do nas dołączyła.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś, Izzy – mówi Laney, a potem zwraca się do mnie: – Tak się cieszę, że nie zostawiłaś jej w domu.

Ociągając się, Haley wreszcie wychodzi z samochodu.

Laney puszcza Izzy i zwraca się w stronę mojej starszej córki. Uśmiecha się, a w jej uśmiechu widzę wręcz nieprawdopodobną mieszaninę uczuć. Jest smutna i szczęśliwa, i zła na Haley, i tak się cieszy, że widzi ją jednak całą i zdrową.

– No co? – Rozkłada ramiona. – Teraz, jak masz prawie osiemnaście lat, czujesz się zbyt dorosła, żeby mnie uściskać?

Haley uśmiecha się półgębkiem, podchodzi i ściska ją krótko, ale serdecznie.

– Cieszę się, że przyjechałaś. Serio – mówi Laney, a potem odwraca się i klaszcze. – No, to bierzcie swoje rzeczy – zerka na Izzy – i kota i chodźcie do domu. Garret i ja zastanawialiśmy się nad spacerem do Farmer's Ice Cream. Ktoś

jeszcze ma ochotę na lody?

– Tak! – Izzy piszczy, podskakuje i unosi zaciśniętą pięść. – Mówiłam mamie, że powinnyśmy pójść do Farmer's!

Dwadzieścia minut po tym, jak zostawiłyśmy nasz majdan i kota w pokoju Garreta, maszerujemy do lodziarni, która znajduje się zaledwie trzy przecznice od domu. Izzy i rok starszy od niej Garret idą przed nami. Słyszę, jak gadają o jaszczurkach i o tym, dlaczego to najfajniejsze z gadów. Laney i ja idziemy za nimi, a Haley zamyka pochód. Liam, w pierwszej klasie szkoły średniej, jest akurat u kumpla, u którego będzie nocował po zawodach lekkoatletycznych.

– No to jak z Benem? – pyta Laney ściszone głosem. – Przyjeżdża?

– Nie wydaje mi się. – Powiedzenie tego na głos jest bolesne. Nie mogę uwierzyć, że kiedy poprosiłam, żeby przyjechał, mówiąc, że z Haley jest jeszcze gorzej, niż z początku myśleliśmy (o ile to w ogóle możliwe), stwierdził, że musi najpierw skonsultować się w pracy.

Nagle z otwartego okna samochodu, który zatrzymał się na czerwonym świetle nieco przed nami, wychyla się dziewczynka i zaczyna do nas machać.

– Izzy!

– Megan! – woła moja córka.

Dopiero teraz rozpoznaję tę blondynkę. To Megan, rówieśniczka Izzy, która mieszka przy tej samej ulicy co Laney. Dziewczyny bawiły się razem w te i poprzednie wakacje, kiedy tu przyjeżdżaliśmy. Megan ma fajną rodzinę. Elaine, jej matka, zawsze traktowała nas bardzo przyjaźnie. W ostatnie wakacje byliśmy u nich na grillu.

– Co tu robisz? – woła Megan.

Słyszę, jak ktoś w samochodzie każe jej zapiąć pasy.

– Przyjechałam w odwiedziny do cioci Laney!

– Wpadnij jutro! – krzyczy Megan, gdy zapala się zielone światło i samochód rusza.

Izzy odwraca się do mnie.

– Mogę, mam? Mogę jutro pójść do Megan?

– Jasne, czemu nie – odpowiadam. – Dogadamy to jeszcze jutro z jej mamą.

Ruszamy dalej. Oglądam się przez ramię. Haley wciąż jest z nami.

Laney bierze mnie pod ramię.

– A czy chcesz, żeby Ben przyjechał?

Spoglądam na nią i zapinam suwak bluzy z kapturem, którą od niej pożyczyłam. Zachodzi słońce i robi się chłodno. Zdaje się, że będę żałować, że nie wzięłam więcej ciepłych ubrań.

– Nie zamierzasz chodzić wokół mnie na paluszkach, co? Jestem tu dopiero pół godziny, a ty już zadajesz osobiste pytania o fundamentalne życiowe sprawy.

– A kto ma czas i energię na bawienie się w subtelności? Mnie to wszystko

wydaje się dosyć proste, Jules. – Nie mogę się nadziwić, że mówi tak rzeczowo o sprawach, które są dla mnie bardzo osobiste. – Czy chcesz, żeby przyjechał, żebyście rozwiązali ten problem wspólnie, czy wyjechałaś z Vegas po to, by od niego uciec?

Marszczę brwi. Nie jestem pewna, czy chcę się zagłębiać w ten temat akurat w tej chwili. Właśnie przejechałam cztery i pół tysiąca kilometrów. Wolałabym po prostu zjeść lody miętowe z kawałkami czekolady i pogadać o jaszczurkach.

– Przyjechałam tu, dlatego że Haley potrzebowała zmiany otoczenia – odpowiadam. Laney przygląda mi się z uwagą. Jej ciemne migdałowe oczy zdają się zagłębiać człowiekowi prosto w duszę. – Może kiedy wrócimy... – Przez chwilę idę obok niej w milczeniu, starając się uporządkować myśli. W końcu przyciągam ją bliżej i zniżam głos, tak żeby dziewczyny mnie nie usłyszały. – Słuchaj, wiem, że Ben i ja mamy problemy, ale czuję, że nie dam rady zająć się wszystkim naraz. W tej chwili liczy się Haley.

– Ty i Ben też się liczycie. Izzy też się liczy. – Stękam. Ale Laney nie odpuszcza: – Co, jeśli nie przyjedzie?

Wzruszam ramionami. Izzy i Garret przystanęli przed witryną lokalu o dwa sklepy od lodziarni. Zaglądają do środka.

– Chyba zajmiemy się tym po naszym powrocie.

– Patrz, mamó – woła Izzy. – Zamknęli tę smażalnię kurczaków. – Marszczy nos. – Garretowi też nie smakowały. – Zagląda przez okno, osłaniając oczy dłońmi. – Powinniśmy wynająć to miejsce i założyć tu naszą kawiarnię.

– Albo moglibyśmy założyć sklep zoologiczny – podsuwa Garret. Uroczy z niego chłopiec i taki podobny do swojego taty. Uśmiecham się za każdym razem, gdy widzę ten jego półuśmiech, identyczny jak u Seana. – Gadzie Królestwo Izzy i Garreta.

Izzy śmieje się i uderza go pięścią w ramię. Garret jej oddaje.

Laney i ja przystajemy przed zamkniętą restauracją.

– Więc kurczaki smażone po teksańsku nie przyjęły się w miasteczku Nowej Anglii? – pytam.

Widzę krzesła ułożone na stolikach i długi kontuar, przy którym przyjmowano i realizowano zamówienia.

Laney patrzy przez szybę.

– Garret ma rację. Te kurczaki były po prostu niedobre.

Haley dołącza do nas i też zagląda do środka.

– Twoja siostra uważa, że powinniśmy wynająć ten lokal i sprzedawać burgery z jaszczurek – mówię, starając się wciągnąć ją do rozmowy.

Izzy wybuchła śmiechem, a potem razem z Garretem idzie dalej, do lodziarni.

– Moglibyśmy sprzedawać Benburgery – mówi Haley zamyślona. – Z mięsa z krów pasionych trawą, z serami wytwarzanymi przez lokalnych producentów,



z domowym pieczywem. Ale też inne fajne kanapki i wrapy z organicznych składników.

Patrzę na nią ze zdziwieniem.

– Nie wiedziałam, że interesuje cię praca w restauracji.

– Bo nie interesuje. – Puka w szybę i odchodzi. – Interesuje mnie prowadzenie restauracji.

Laney i ja, ramię w ramię, patrzymy, jak Haley rusza chodnikiem.

– Niezła jest – mówi Laney.

– Tak myślisz?

Podnoszę na nią wzrok. Odwraca się do mnie i krzyżuje ręce na piersi.

– Co ty na to?

Zaciskam powieki.

– Nie chcę teraz myśleć. Nie chcę podejmować w tej chwili żadnych poważnych decyzji. – Otwieram oczy. – Chcę po prostu zjeść lody. Mnóstwo lodów.

– Dobra. – Ruszamy dalej. – Ale jedną poważną decyzję będziesz musiała podjąć już dziś wieczorem – mówi Laney. – W drodze powrotnej wstąpimy do Thompsona i wybierzesz sobie farbę do włosów. Jutro rano otwieramy salon piękności. Nie mogę znieść widoku tych twoich siwych włosów.

Wybucham śmiechem. I dobrze mi z tym.

## ROZDZIAŁ 37

### HALEY

54 dni

Owinięta kocem siedzę w fotelu ogrodowym na werandzie u Laney i przysłuchuję się, jak ciocia i mama rozmawiają. Ale ziąb! Zwykle przyjeżdżamy na wakacje do cioci, dopiero gdy skończy się szkoła, a wtedy nie jest tu tak zimno. Mam na sobie zielony polar, który pożyczyła mi Laney. Nie jest czarny jak reszta moich ciuchów, ale przynajmniej jest ciepły.

Każda z nas ma swój fotel, ja siedzę na końcu, obok mnie Laney, a mama najbliżej drzwi. Izzy i Garret poszli już spać. Staram się dać Izzy trochę czasu na zaśnięcie, zanim wejdę do pokoju, w którym wspólnie nocujemy. Nie chcę, żeby czuła się niezręcznie. Nie przeszkadza mi jednak, że siedzę tu i słucham, jak mama i Laney gadają. Lubię ich rozmowy. Kiedy byłam młodsza, marzyłam czasem, żeby to Laney była moją mamą, chociaż Liam przysięga, że ciocia potrafi być taką samą żołą jak moja mama.

Laney opowiada zabawną anegdotkę o swojej uczennicy. Mała co rusz przynosi do szkoły bieliznę swojej mamy.

– Ogranicza się tylko do gustownych koronek? – pyta mama, chichocząc. – Czy przynosi też ogromne majtasy?

– Och, przynosi wszystko, co akurat uda jej się świsnąć. – Laney też parska śmiechem.

Obie popijają wino i myślę, że trochę już się ubzdryngoliły. To nawet zabawne widzieć mamę w tym stanie; chyba nigdy wcześniej nie widziałam jej podpitej. A jeśli widziałam, to byłam za mała, żeby się zorientować, co jest grane.

Laney bierze łyk ze swojego kieliszka.

– Czasami jest to sportowy biustonosz, czasami stringi. Pewnego dnia przyniosła nawet czarny gorset korekcyjny.

Mama nadal rechocze.

– Ale dlaczego to robi?

– Mnie też to nurtowało. Rozmawiałam z jej mamą. Przypuszczamy, że chodzi o poczucie bezpieczeństwa.

– Taki obiekt przejściowy, jak kocyk Linusa z *Fistaszków*? – pyta mama.

– Możliwe. Ale rzecz w tym, że mała nie chowa tej bielizny do tornistra. Gdyby po prostu trzymała ją w plecaku, wcale by mi to nie przeszkadzało. Ale ona z uporem maniaka wiesza tę bieliznę na wieszaku na kurtkę. I to *над* kurtką!

Mama śmieje się tak bardzo, że zasłania sobie ręką usta.

Słyszę brzęczyk telefonu. Sygnał nowej wiadomości. Przypomina mi o tym, jak brakuje mi mojego iPhone'a. Dziwnie się bez niego czuję. Tydzień temu był dla mnie jak tlen. Ale teraz tydzień wydaje się zamierzchną przeszłością. Myślę o tym, jaką osobą byłam tydzień temu, w piątek, kiedy zarygłowałam się w kiblu Dodge'a. Dzisiaj czuję się kimś zupełnie innym. Nie rozstrzygnęłam jeszcze, czy to dobrze, czy źle, ale na pewno jestem teraz bardziej zrównoważona. Muszę oddać mamie sprawiedliwość. Miała rację. Wyrwanie się z domu, z Vegas, było mi potrzebne. Po raz pierwszy od śmierci Caitlin jestem w stanie normalnie głęboko oddychać. Może to po prostu zasługa czystego powietrza w Maine.

Nadal jednak brakuje mi mojego telefonu.

Zastanawiam się, co się dzieje u moich przyjaciół. Ciekawe, czy oni zastanawiają się, co się, do cholery, dzieje ze mną. Czy ktoś zapytał o mnie Todda? Czy Todd zadał sobie trud, by napisać esemesa do Marissy i Cassie i powiadomić je, że mama mnie porwała? Brakuje mi telefonu nie tylko dlatego, że straciłam kontakt z kumplami – bez niego nie mogę słuchać swojej muzy.

Mam ochotę poprosić mamę, żeby pozwoliła mi skorzystać ze swojej komórki, i wejść na Spotify, ale przeczuwam, że odmówiłaby – tak na wszelki wypadek, gdyby przyszło mi do głowy namówić Todda, żeby przyjechał po mnie do Maine, co zresztą zupełnie odpada. Dureń nawet mi nie odpisał. Po prostu się nie zjawił. Założę się, że nawet nie wyjechał z Vegas. Nie raczył ruszyć dupska z kanapy. Pewnie wciąż tam siedzi ze swoim durnym gamepadem w łapskach.

Słyszę drugi dźwięk telefonu.

– Nie patrz na mnie – mówi Laney do mamy. Obie też owinęły się kocami. Lampki na werandzie palą się teraz po obu stronach drzwi, sprawiając, że kładą się na nas cienie. Ja siedzę prawie ukryta w mroku. Co zupełnie mi odpowiada. Tak jakbym tu była i jednocześnie mnie nie było. Nikt nie drażni mnie pytaniami o to, czy dobrze się czuję, i nie oczekuje, że wyjawię jakieś głęboko skrywane tajemnice.

Mama szuka komórki po kieszeniach.

– Nie wiem, gdzie się podziała – mówi. – Musi gdzieś tu być.

– Zaraz wracam. – Laney wstaje. – Czy ktoś coś chce?

Korci mnie, żeby powiedzieć, że skoro już wstała, może mi przynieść piwko, ale się powstrzymuję. Laney mogłaby się roześmiać, ale jestem prawie pewna, że mama nie uznałaby tego za zabawne.

Mama wciąż szuka telefonu. Niechcący przewraca pusty kieliszek po winie, który stał przy jej nogach.

– Jest! – Podnosi komórkę, stawia kieliszek z powrotem na tarasie, a potem zaczyna czytać wiadomość.

Zagłębam się w fotelu i spoglądam w mrok. Na ulicy jest cicho i spokojnie.

Jakiś pan przechodzi obok, prowadząc czarno-białego psa. Macha nam, a ja macham jemu.

Nigdy nie mieliśmy psa. Tata za nimi nie przepada. Myślę, że chciałabym psa. Jakiegoś dużego, na przykład labradora, tylko nie czarnego. Czekoladowobrązowego. Laney kiedyś takiego miała, wabił się Zeus. Ale się zestarzał i zdechł.

Zatrzymuję spojrzenie na domku naprzeciwko. Na jego werandzie też pali się światło, ale wiem, że nikogo nie ma w domu. Kiedyś mieszkał tam pewien staruszek, ale wyprowadził się do swojego syna do Vermont. Teraz dom jest na sprzedaż albo do wynajęcia. Jest dosyć fajny, szaro-biały, z dwoma kondygnacjami obudowanymi werandą.

Zerkam na mamę. Klepie esemesa tak długo, jakby pisała książkę.

– To tata? – pytam.

Kiwa głową.

Po chwili przychodzi odpowiedź. Mama czyta ją, wpatruje się w ekran przez dłuższą chwilę, a potem odpisuje jednym słowem.

Laney wraca na werandę z torbą organicznych chipsów z niebieskiej kukurydzy.

– Przyjedzie – mówi mama, podciągając koc, na którym siedzi. Nie wygląda na szczególnie zadowoloną.

– Ben? – Laney klapnęła na swój fotel. – To chyba dobrze?

Otwiera paczkę i podsuwa ją mamie.

– Nie, dzięki. – Mama kręci głową.

Laney zwraca się w moją stronę.

– Częstuj się śmiało – mówi. – Na pewno masz ochotę.

Biorę parę chrupek, bo to łatwiejsze niż odmowa.

Ciocia odwraca się znowu do mamy i wsuwa chipsa do buzi.

– Nie odpowiedziałas na pytanie. Czy to dobrze, że Ben przyjedzie?

– Oczywiście – mama odpowiada tak szybko, że sprawia wrażenie, jakby wcale tak nie myślała. – Powinien przyjechać.

Rozsiadam się wygodniej w fotelu i opieram nogi o balustradę. Zastanawiam się, czy nie wejść do domu, żeby nie musieć słuchać dalszej rozmowy. Szkoda mi mamy. Uważa, że tata ją zawiódł. Że powinien jej ze mną pomagać – cokolwiek to znaczy. I chyba rzeczywiście na swój sposób ją zawiódł. Ale tak od śmierci Caitlin nie angażuje się w życie rodzinne mniej niż przedtem. Już lata temu zaczął pracować do późna i przestał się interesować, co u nas słychać. Mama była chyba zbyt zajęta nami, żeby to zauważyć. Zastanawiam się, czy to nie czyni jej współwinną.

– Jules? – naciska Laney, a gdy mama znacząco kiwa w moim kierunku, rzuca: – Och, na litość boską, Julio! – Rozsiada się w fotelu, ale nadal patrzy na

mamę. – Ona ma prawie osiemnaście lat, a po tym, przez co przeszła, jest pewnie najstarszą osobą siedzącą na tej werandzie.

– Dzięki, ciociu. – Kiwam do niej głową. – Zaadoptujesz mnie?

– Nie – odpowiada stanowczo. – Masz już matkę, i to cholernie dobrą matkę.

– Znowu patrzy na mamę. – Więc jak?

Mama jakby przez chwilę zbiera myśli.

– Naprawdę sędzę, że Ben powinien przyjechać. Powinien – powtarza. – Nie jestem tylko pewna... Och, sama nie wiem. Nie jestem pewna, czy mam ochotę zajmować się nim akurat w tej chwili. Rozumiesz?

– Kiedy przyjedzie? – pyta Laney.

– Jeszcze nie jest pewien. W połowie przyszłego tygodnia.

– Dobrze. Będziemy miały kilka dni tylko dla siebie. I mnóstwo czasu na to, żeby zrobić coś z twoimi włosami. Jak długo tu zostanie?

– Tego też nie wiem. – Mama wciąż trzyma komórkę i wpatruje się w ciemny ekran. – Zdaje się, że muszę odesłać Izzy do domu. Szkoła jej ucieka.

– Izzy mogłaby nie chodzić do szkoły nawet do końca roku, a i tak we wrześniu będzie do przodu z nauką w stosunku do reszty dzieciaków – stwierdza Laney rzeczowo i przenosi wzrok na mnie. – A ty? Spieszysz się z powrotem do Vegas?

– Znowu w tym samochodzie? Z kotem? – Kręcę głową. – Wcale mi się nie spieszy.

– Właśnie. Jesteście teraz tutaj. Nie ma potrzeby od razu wracać. Potrzebujecie odpoczynku. Wszystkie.

Mama wzdycha.

– Powinnam do niego zadzwonić.

– Owszem.

Mama powoli wstaje z fotela. Zdaje się, że jednak wcale nie była na rauszu. Cała ta wesołość i wygłupy sprzed paru minut zniknęły. Nikt nie trzeźwieje tak szybko.

– Chyba przygotuję się do spania. – Spogląda w moją stronę. – Potrzeba ci czegoś, kochanie? – Kręcę głową. Przykro mi, że tak dobrze się bawiła, a teraz znów jest smutna. Dzięki, tato. Jakbyś nie mógł poczekać do jutra. Uśmiecha się do mnie, ale jest to uśmiech zmęczony i smutny. – Zostaniesz tu, prawda? Nie wybierasz się nigdzie?

Rozkładam ręce.

– A dokąd miałabym pójść, mamo?

Bierze z fotela swój koc.

– To nie jest odpowiedź.

Spoglądam z werandy na uliczne latarnie. Podoba mi się, jak się jarzą, promieniując blaskiem w kształcie kuli, który robi się coraz słabszy i słabszy, im

dalej od źródła światła.

– Nigdzie się nie wybieram, mamó.

– Dobrze. Bo jak uciekniesz, serce mi pęknie. – Uśmiecha się znowu. – Kocham cię. Dobranoc.

Gardło mi się ściska. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem mi to powiedziała. To znaczy wiem, że mnie kocha, ale... miło to od niej usłyszeć.

– Ja też niedługo pójdę do łóżka – mówi Laney. – Więc nie zagarniaj całej kołdry dla siebie. I zadzwoń do Bena. Dowiedz się, co się dzieje pod jego czaszką.

Mama stoi teraz w blasku lamp. Unosi brwi, jakby mówiła: „A kto to może wiedzieć”. A potem idzie do domu.

Laney bierze swój kieliszek. Od odejścia mamy nie minęły jeszcze dwie minuty, gdy zwraca się do mnie.

– No dobra, to teraz mi powiedz, co się z tobą, do cholery, dzieje, Haley. Twoja matka bardzo się o ciebie martwi. I ja też. Czemu zachowujesz się tak autodestrukcyjnie, a przy okazji ciągniesz za sobą całą rodzinę?

Przez chwilę siedzę tylko i na serio zastanawiam się, czy nie wstać i nie wejść bez słowa do domu. Za kogo ona się w ogóle uważa, że ma czelność zadawać mi takie pytanie? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, jak krucha jest teraz moja psychika? Nie rozumie, czemu tu jestem?

Mimo wszystko podziwiam tupet, z jakim wyłożyła kawę na ławę. Większość ludzi nie ma dość ikry, by zapytać popaprańców, dlaczego są popaprani. Caitlin i ja żartowałyśmy kiedyś, że jak dorośniemy, chciałobyśmy mieć takie jaja, jakie ma ciotka Laney.

– Wcale nie próbuję niszczyć życia wszystkim – odpowiadam, nawet nie starając się ukryć irytacji.

– Okay. A własne życie? Dlaczego chcesz je sobie zniszczyć? Pijesz, ćpasz, uprawiasz ryzykowny seks, tniesz się żyłką – wylicza, tak jakby robiła listę sprawunków, a na koniec wrzuca sobie do ust kolejnego chipsa.

Zaciskam wargi, starając się ucześcić tej irytacji i znaleźć w sobie gniew. Dużo łatwiej jest czuć gniew niż żal. Żal wsysa człowieka w dziurę, z której nie może się wydostać.

– Zabiłam swoją siostrę, ciociu Laney – mówię. – Zabiłam tę ładną i bystrą siostrę, a sama żyję.

– Spowodowałaś wypadek samochodowy. Twoja siostra zginęła w tym wypadku. To co innego.

– To samo ciągle powtarza mi mama. – Opatulam ramiona kocem. Już nie jest po prostu chłodno, jest zajebiście zimno. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaraz zaczął padać śnieg.

Przez parę minut milczymy. Temat zabójstwa siostry zwykle uśmierca wszystkie rozmowy.

Ale potem ciocia Laney składa torbę z chipsami i mówi:

– Opowiedz mi o tamtej nocy.

– Co masz na myśli? – Spoglądam na nią.

– Opowiedz mi o tej nocy, kiedy Caitlin zginęła. Kiedy przyjechałam na pogrzeb, w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. – Nie rozmawiałam o tym z nikim. Kumple pytali, ale nie miałam ochoty o tym z nimi gadać. Nie byłam pewna, czemu się tym interesują; pachniało mi to jakimś chorym wścibstwem. Mama i tata nigdy mnie o to nie zapytali. Wiedzą to, co usłyszeli od gliniarzy. – Tamtego wieczoru obie wybrałyście się na imprezę, tak? – Laney nie odpuszcza.

– Nie. A tak ci mówili? – Wpatruję się w ciemność. – To Caitlin poszła na imprezę, ja tylko ją podwoziłam. Byłam u koleżanki. Na poniedziałek miałyśmy przygotować wspólny projekt na anglika. – Myślę o prezentacji w PowerPoincie o prawach kobiet w czasach elżbietańskich, której nigdy nie dokończyłyśmy. Była naprawdę dobra. Nie tylko oprawa graficzna, ale też wiadomości, które wygrzebałyśmy, były ciekawe, zwłaszcza te o małżeństwie w szesnastym wieku. – Powiedziałam Caitlin, że to zły pomysł i że nie powinna tam iść. Mama myślała, że Caitlin wybiera się do domu jednej dziewczyny, która ćwiczyła z nią w drużynie cheerleaderek, ale tak naprawdę melanż był w domu jej chłopaka. – Laney bierze łyk wina. Jej uwaga jest skupiona wyłącznie na mnie. – Pili alkohol.

– Oczywiście – mówi.

– Właśnie – przyznaję. – Ale nie tylko piwo. Chłopak tej dziewczyny był starszy. Jego starzy wyjechali z miasta. Impreza studencka. – Zaciskam powieki. Nie myślałam o tym od tamtej nocy. Po prostu nie byłam w stanie. Wtedy nie wydawało się to takie straszne – to, że poszła na imprezę bez zgody mamy. To znaczy jasne, że to był problem, byłam na Caitlin naprawdę wkurzona, ale właśnie zerwała ze swoim chłopakiem... Mama i tata nie wiedzieli nawet, że z nim chodziła. No i była zdenerwowana. – Zaciskam wargi. – Miałyśmy wrócić do domu o wpół do dwunastej, więc o dziesiątej trzydzieści napisałam jej esemesa, że podjadę po nią o jedenastej. Odpisała, że jest pod innym adresem. – Kręcę głową, przypominając sobie, jak się na nią wściekłam. – Zaczęłam mieć złe przeczucia. Zadzwoiłam do niej, a jej głos brzmiał... dziwnie. No więc pojechałam po nią od razu, a jak dotarłam na miejsce, Caitlin była jedyną dziewczyną na całej imprezie, jeśli nie liczyć takiej jednej puszczałskiej. – Znów zaciskam wargi i zastanawiam się, gdzie jest moja pomadka. – Była sama w chacie pełnej facetów i... – Czuję, że się rozklejam. – Kiedy weszłam, takich dwóch koleś... – Zaczyna mną trochę telepać. Spoglądam na ciocię. – Była nieźle naprana. Gdybym nie przyjechała akurat wtedy... Myślę, że tamci... – Nasze spojrzenia spotykają się w półmroku. – Powiedzmy, że ona nie wyraziłaby na to zgody.

– Och, kochanie... – Laney ściska moją dłoń. Tylko krótki uścisk, zaraz mnie puszcza. Jakby rozumiała, że jestem w stanie znieść dotyk tylko przez pewien

czas, zanim... zanim ból stanie się zbyt dojmujący.

– Właściwie siłą wywlekłam ją z tamtego domu. Naprawdę ostro ją objechałam. Była taka naiwna, ciociu... Nie miała pojęcia, o czym mówię, kiedy jej tłumaczyłam, że ci kolesie mogli zrobić jej krzywdę. Nie wiem, jak to możliwe, że była jednocześnie tak bystra i tak głupia.

– Więc wsiadłyście do samochodu?

Kiwam głową.

– Była mocno pijana.

– I nigdy nie opowiedziałaś o tym mamie. Prawda?

Zerkam na nią z ukosa.

– A czemu miałyby to służyć?

– Jasne – mówi ściszym głosem. Zastanawia się przez chwilę. – Ale po wypadku nie zrobili Caitlin badań toksykologicznych?

– Czemu mieliby robić? To ja prowadziłam. Mnie zbadali. Byłam czysta.

– Racja – mówi pod nosem.

– No więc... – Pochyliam się. – Wsiadamy do samochodu i właściwie dalej się kłócimy. Caitlin mówi, żebym się nie wtrącała w nie swoje sprawy. – Patrzę na Laney. – Ale zapina pasy. Każę jej zapiąć pasy i ona je zapina. – Odwracam wzrok. – I mówię jej, że nie może się zadawać z takimi ludźmi. Nie obchodzi mnie, jak sympatyczna jest jej koleżanka. Jej chłopak i jego kumple to banda groźnych nieudaczników. Ale Caitlin jest nawalona jak stodoła. Drze się na mnie, że nie jestem jej matką i tak dalej. – Na sekundę zamykam oczy. Zdarzało mi się sporo wypić, popalać trawkę, ostro imprezować, ale nigdy, przenigdy nie dałabym się wmanewrować w taką sytuację. Caitlin po prostu... pewnych rzeczy zupełnie nie czaiła. Oddycham głęboko. – No więc Caitlin robi się opryskliwa i mówi mi, że wysiada z samochodu. A ja jej na to, że nie ma mowy. Przez cały czas gada i mnie wyzywa, ja prowadzę, a alarm ostrzegający, że pasy są niezapięte, pika. – Łzy kręcą mi się w oczach, gdy usiłuję sobie przypomnieć ten moment, gdy alarm przestał pikać. Kiedy przestał mnie ostrzegać, że Caitlin nie ma zapiętych pasów. Kiedy zapomniałam, że nie jest już zapięta. – Zastanawiałam się, co z nią zrobić. Czy zadzwonić do mamy i naściemniać, że się spóźnimy, bo... sama nie wiem... jakaś koleżanka się upiła i wieziemy ją do domu? Czy może wprowadzić Caitlin do jej pokoju, tak żeby rodzice się nie zorientowali? Mogłoby mi się to udać. Mogłabym szybko zaprowadzić ją korytarzem do pokoju, a później zajrzeć do mamy i taty, usiąść na brzegu ich tapczanu i zagadywać mamę przez kilka minut. Zwykle nie czekała z pójściem do łóżka, aż wrócimy, ale zawsze wiedziała, kiedy byłśmy z powrotem. Musiałyśmy jej mówić, że wróciłyśmy. Jak się spóźniłyśmy o pięć minut, to o tym wiedziała. A potem... – Głos więźnie mi w gardle. Czuję ciepłą dłoń Laney na swojej ręce. Tym razem jej nie cofa. – Po prostu... nie zauważyłam tego znaku. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć, bo jestem dobrym



kierowcą. *Byłam* dobrym kierowcą. Nie dostałam nawet mandatu za przekroczenie prędkości. – Nie wiem, jak to się stało, ciociu... – Spoglądam na nią. Łzy jak ziarna grochu płyną po jej policzkach. – Rozległ się straszny, rozdzierający huk, taki, że nawet sobie nie wyobrażasz. Trzask pękającego szkła, zgniatanego i wyginanego metalu i... to było tak głośne...

Wysuwam rękę spod jej dłoni, chwytam krawędź koca i próbuję się nim mocniej przykryć. Jest mi tak zimno, że cała dygoczę.

– I niczego nie powiedziałaś mamie?

Kręcę głową.

– Caitlin po prostu popełniła błąd. To nie tak, że wpadła w złe towarzystwo i zaczęła się staczać. – Pociągam nosem i przecieram twarz rąbkiem koca. – Nie pozwoliłabym na to.

Znowu milczymy.

– Byłaś dla niej dobrą starszą siostrą – mówi Laney.

– Nieprawda. Pozwoliłam jej rozpiąć pasy i nie powiedziałam, żeby je zapięła. Gdyby zapięła...

– Och, Haley. To był tylko błąd. – Spogląda mi prosto w twarz. – Takich błędów popełniamy w życiu setki, tysiące. To był po prostu pech. Fatalny zbieg okoliczności. – Wpatruję się w ulicę przed domem. Lubię dom Laney. Lubię tę ulicę z zielonymi trawnikami i drzewami, gdzie w lecie wszędzie są kwiaty. Lubię tutejszą ciszę i spokój. Ludzie są przyjaźni, ale nie tacy... bo ja wiem... wścibscy. – Musisz przestać się winić, Haley – dodaje Laney ściszonego głosem.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Bo krzywdzę mamę, tatę i Izzy?

Wpatruje się we mnie i choć wcale nie chcę, też na nią patrzę.

– Bo krzywdzisz samą siebie. – Z jakiegoś powodu, nie wiem jakiego, śmieję się i pocieram przedramię, które wciąż mam oklejone plastrami. Boli, gdy dotykam zranionych miejsc, ale nagle zdaję sobie sprawę, że zrobiłam to po raz pierwszy od wielu godzin. – Jesteś inteligentną dziewczyną, Haley. Jesteś dobrym człowiekiem, masz świetne poczucie humoru...

– Nie zapomnij dodać, że jestem piękna – dorzucam żartobliwie.

Uśmiecha się, mimo że wciąż ma łzy w oczach.

– I jesteś piękna. Masz światu tak dużo do zaoferowania, ale znalazłaś się w sytuacji, w której musisz dokonać wyboru. Będziesz dawać światu coś z siebie czy tylko brać? Dasz światu głównie smutek czy głównie szczęście? To twój wybór. Naprawdę tak uważam. Wiesz... – Milknie. Cisza się przeciąga, aż wreszcie spoglądam na nią wyczekująco. Zaszklonymi oczami wpatruje się w dal. – Wiesz, kiedy Sean zginął w Afganistanie, to... ale nie waż się mówić o tym nikomu, nawet swojej matce... zastanawiałam się nad popełnieniem samobójstwa. – Kręci głową. – Tak bardzo cierpiałam. Ale potem popatrzyłam na swoich

chłopaków i pomyślałam o tym, czego życzyłby sobie Sean, i uznałam, że nie mogę tego zrobić ani jemu, ani moim synom... ani sobie. Nie chciałam dokładać światu zmartwień i smutku. Chciałam dawać z siebie coś dobrego. Chciałam wychować swoich synów. Chciałam uczyć dzieciaki. Pewnie zabrzmiało to głupio, ale chciałam... nadal chcę uczynić świat lepszym. – Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Myślę o wszystkich planach na przyszłość, o których Cait-lin i ja gadałyśmy. Pragnęła być kimś w rodzaju ekologa. Chciała uświadamiać ludzi, jak niszczą planetę, i uczyć ich, jak o nią lepiej zadbać. – Wiem, że to niełatwe. Nie wyobrażam sobie, jak musisz się czuć, ale... Haley, twoja mama i Izzy tak bardzo cię kochają.

Zauważyłam, że nie wspomina o tacie. Co jest dość dziwne, bo nigdy nie odniosłam wrażenia, że go nie lubi.

– Izzy ma do mnie ogromne pretensje – mówię.

– Izzy ma dziesięć lat. Jeszcze zmieni zdanie. Tylko musisz przy niej wytrwać i jej pomagać. – Ciocia Laney klepie mnie po kolanie. – Wiesz co?

– Co?

– Myślę, że powinniśmy położyć się spać. – Wstaje i bierze swój koc.

Wyglądam za balustradę.

– Czy mogę tu jeszcze trochę posiedzieć?

– Jasne. – Rusza do drzwi. – Tylko potem zamknij drzwi na klucz.

Odprawiam ją wzrokiem.

– Nie boisz się, że spróbuję uciec?

Jest już w progu. Przytrzymuje się framugi i groźnie macha palcem.

– Nie. Bo jak uciekniesz, to ruszę za tobą w pościg. Zresztą sama wiesz. A jak cię złapię, będzie sajgon. – Uśmiecha się. – Dobranoc, kochana.

– Dobranoc – odpowiadam.

A potem wyciągam z kieszeni różową piłeczkę Caitlin i trzymając ją w garści, siedzę w mroku i ciszy.

## ROZDZIAŁ 38

### IZZY

Dzień 7.

Przechodzę przez taras na tyłach gościnnego domku cioci Laney. Opieram się o balustradę i spoglądam na jezioro. Właściwie to chyba domek jej rodziców. Mieszkamy tu w każde lato, kiedy przyjeżdżamy do Maine na wakacje. Płacimy im za wynajem, ale myślę, że dają mamie sporą zniżkę, bo po prostu ją lubią. Fajne miejsce. Może przeniesiemy się tu później, jak już tata przyjedzie. Nie wiemy, kiedy to będzie. Mama trochę dziwnie się zachowuje. Nie wiem dlaczego. Chyba jest zła, bo tata jest zły, że wyjechałyśmy.

Czekam, aż wszyscy wyjdą na dwór, żebyśmy mogli wynieść kanadyjki. Ale ciocia Laney i mama musiały najpierw coś zrobić. Chyba był jakiś problem z bojlerem podgrzewającym wodę i trzeba było go wymienić. Garret i Liam przenoszą łódki nad wodę. Mama, ciocia Laney i Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, są w domu.

Naprawdę dobrze się bawię. To najlepsza przygoda, jaką przeżyłam. Tak się cieszę, że mama zabrała mnie ze sobą. Będę jej za to wdzięczna już zawsze. Wczoraj moja koleżanka Megan i jej mama wstąpiły do cioci Laney i zaprosiły mnie do swojego domu na zabawę i kolację. Tak świetnie się bawiłam z Megan, bo ona wcale nie uważa, że jestem dziwna. Też uwielbia Discovery Channel. W przyszłym tygodniu wybiera się ze swoją drużyną skautów do Muzeum Kryptozoologicznego w Portland, a jej mama powiedziała, że mogę się z nimi zabrać. To muzeum jest naprawdę superowe. Mają tam rozmaite eksponaty dotyczące syren, wielkiej stopy i yeti. Nie wiem, czy któreś z nich rzeczywiście istnieje, ale samo muzeum fajnie byłoby zwiedzić.

Mama nie powiedziała jeszcze, czy się zgodzi, bo nie wie, kiedy wracamy do Vegas. Ale nie ma mowy, żebyśmy wsiadły do samochodu w drogę powrotną już w następny weekend. Tata nie powiedział nawet, kiedy przyjeżdża. Wiem, że mama martwi się tym, że opuszczam szkołę, ale ciocia Laney chyba uważa, że to nic wielkiego. Jest nauczycielką, więc chyba wie lepiej.

Widzę, jak Garret wychodzi zza domku, pomagając bratu nieść canoe. Podnoszę z tarasu szyszkę i rzucam w niego. Taras wisi nad ziemią, bo domek jest zbudowany na zboczu, które schodzi do jeziora. Pudłuję i trafiam w łódkę.

– Hej! – krzyczy Garret. – Ofermo!

– Jeszcze większa ofermo! – odkrzykuję i oboje się śmiejemy.

Odwracam się od poręczy i podchodzę do przeszklonych drzwi, które prowadzą do dużego pokoju. Ktoś zostawił je otwarte, żeby wywietrzyć dom: przez całą zimę nikt tu nie mieszkał. Jeszcze przed drzwiami słyszę mamę; mówi coś swoim poważnym tonem, więc się zatrzymuję. Wiem, że nie powinnam podsłuchiwać cudzych rozmów, ale nie mogę się powstrzymać. Podsłuchiwanie to chyba moje nowe hobby.

– ...Ale pomyślałam, że dobrze nam zrobi, jeśli zatrzymamy się tu wszyscy razem – mówi mama. – Kiedy tata przyjedzie.

– Zapytałaś mnie o to, co myślę – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. – Zrobisz, co zechcesz. Jak powiedziałaś w Vegas, nie mam jeszcze osiemnastu lat, więc nie mogę decydować o swoim losie. Ale skoro pytasz mnie o zdanie, to ci mówię: nie chcę tu nocować.

Słyszę dziwne odgłosy, jakby ktoś układał jakieś rzeczy. Zaglądam przez otwarte drzwi do salonu połączonego z kuchnią. Sypialnie są na parterze i na piętrze. Domek zbudowano w ten sposób, żeby jak najlepiej wykorzystać widok na jezioro. Widzę mamę i Tę, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, jak stoją przy kanciapie z bojlerem. Widzę stopy wystające z kanciapy. Sportowe buty cioci Laney.

Mama krzyżuje ręce na piersiach. Ma na sobie kraciatą flanelową koszulę, którą pożyczyła od cioci. Wczoraj ciocia pofarbowała mamie włosy. Teraz mama znowu jest blondynką. Dobrze wygląda. Od kiedy Caitlin gryzie piach, mama nie była u fryzjera, więc jej włosy są dłuższe niż zwykle. Podobają mi się takie. Mama odwraca się w moją stronę, więc szybko się cofam, żeby mnie nie zauważyła.

– Okay. Masz rację. Przepraszam. Rzeczywiście zapytałam. – Unosi rękę. – Dlaczego uważasz, że nie powinniśmy tu nocować?

– Jeżeli tak ci na tym zależy, to w porządku, nocuj sobie tutaj – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. – Ale ja nie chcę. Chcę zostać w domu cioci Laney. Nie chcę spać w łóżku na dole, które dzieliłam z Caitlin. Nie chcę się tam kłaść bez niej.

– Możesz spać w innym pokoju – podsuwa mama.

Znowu zaglądam do środka. Nikt mnie nie widzi.

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, ma w ręku książkę. Musiała ją wziąć z regału przy kominku.

– Nie chcę smażyć naleśników na patelni, na której ona je smażyła w ostatnie wakacje. – Stęka, jakby rozdrażniona. – Nie chodzi o to, że chcę ją zupełnie wymazać, mamó, ja po prostu... – Milczy przez moment. – Nie chcę tu nocować, okay? Chyba że muszę. Jeśli muszę... – Wzrusza ramionami. – Jakoś dam radę.

– Ale u Laney też spałaś z Caitlin – dziwi się mama. – Dlaczego to co innego?

– Chłopcy i ja możemy pomieszkać tu przez parę dni, kiedy Ben będzie w mieście – proponuje ciocia. Zdaje się, że wyszła już z kanciapy. – I tak muszę przygotować dom na letni sezon.

– Nie chcę ci robić kłopotu – mówi mama.

– To nic wielkiego. Ważne, żebyś miała to, czego potrzebujesz, Jules. – Znowu zerkam do pokoju. Ciocia Laney stoi teraz przed mamą. Też ma na sobie flanelową koszulę. Trzyma miotłę. – Rozumiem, co Haley ma na myśli. I nie chcę stawać po niczyjej stronie. Ale czułam się tak samo. Po śmierci Seana próbowałam mieszkać dalej w naszym domu: z finansowego punktu widzenia to było najlepsze rozwiązanie. – Kręci głową. – Ale nie byłam w stanie. Dlatego się przeprowadziliśmy. – Mama coś mówi, ale nie słyszę co. – Uwielbiałam ten domek przy Locust Street, który kupiliśmy z Seanem – ciągnie ciocia. – Ale nie mogłam sobie poradzić z nieustannym rozpamiętywaniem każdej chwili, którą przeżyłam z nim w tym domu. Wiem, że to dziwnie brzmi. Większość ludzi nie chce opuszczać miejsc związanych ze swoimi najbliższymi, ale ja... sama nie wiem... potrzebowałam odseparować się od tych wspomnień. Żebym mogła znaleźć miejsce na nowe.

Przez chwilę nikt się nie odzywa, a potem mama mówi:

– Cóż, chyba możemy o tym porozmawiać, jak wreszcie się dowiemy, kiedy przyjeżdża Ben. Jak na razie wciąż nie kupił sobie biletu.

Mama spogląda w moją stronę. Myślę, że mogła mnie zauważyć, więc po prostu wchodzę do domu, tak jakbym właśnie wracała z dworu.

– Garret i Liam wynieśli na brzeg dwie kanadyjki i kapoki – mówię. – Teraz idą po trzecią. Jesteście gotowe?

Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, odkłada książkę na półkę. Wiem, że nie chce pływać kanadyjką, ale mama jej kazała. Powiedziała, że nie musi się dobrze bawić, ale musi z nami popłynąć.

– Ja jestem gotowa – mówi Laney i opiera miotłę o ścianę. Wygląda jak indiańska squaw ze starych zdjęć czy filmów dokumentalnych. Długie czarne włosy ma splecione w dwa warkocz. Zastanawiam się, czy mi też zaplotłaby takie. Wiem, że raczej nie będę wyglądać jak Indianka, Indianki nie mają rudych włosów, ale byłoby fajnie.

Caitlin co jakiś czas robiła mi warkocz francuski.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nie pomyślałam o Caitlin przez cały ranek. I teraz czuję przez to lekkie klucie w piersi. Czy to źle, że nie myślałam o niej przez tyle godzin? Czy to znaczy, że jestem złą siostrą?

Cieszę się, że pożegnałam się z nią, kiedy wyjeżdżałyśmy z Vegas, bo od tamtego czasu się nie pojawiła. Staralam się zagadać do niej parę razy w samochodzie, a potem w pokoju hotelowym, ale myślę, że po prostu musiała odejść. Staralam się nawet porozumieć z nią w pokoju Garreta, ale tam też jej nie

było. Zdaje się, że duchy nie mogą pozostawać w tym samym miejscu zbyt długo. Smutno mi, że odeszła, ale to rozumiem. Zastanawiam się, dokąd się przeniosła. Myślę, że to jedno z najważniejszych pytań bez odpowiedzi w naszym życiu, tak zresztą mówią w Discovery Channel.

– Pomóc ci powstawić resztę do kanciapy, Laney? – pyta mama. Wskazuje duży stos pudeł z workami na śmieci, przyborami sanitarnymi i innymi rzeczami, wśród których jest też łapka na muchy.

– Nie. – Ciocia przechodzi nad pudełkiem myjek. – Można z tym poczekać. Chodźmy popływać, póki słońce świeci. Taka ładna pogoda, że szkoda się kisić w domu.

Ciocia idzie przodem, a my podążamy za nią jak stado kurczaków: mama, potem Haley, potem ja. Schodzimy po schodkach z tarasu i idziemy wśród zarośli ścieżką, która prowadzi na piaszczystą plażę. Garret i Liam opuszczają na wodę ostatnią kanadyjkę, która jest do połowy w jeziorze, do połowy na lądzie. Lubię Liama. Zawsze jest dla mnie miły i nigdy mnie nie wyzywa. Jest znacznie wyższy niż wtedy, gdy widzieliśmy się ostatnim razem, w sierpniu; ani on, ani Garret nie przyjechali na pogrzeb Caitlin. I jest dosyć ładny – jak na chłopaka.

Nad brzegiem jeziora ciocia zaczyna rozdzielać kamizelki ratunkowe. Bierze je i rzuca po jednej każdemu z nas.

– Julia i ja bierzemy jedno canoe.

Łapię niebieski kapok. Cuchnie stęchlizną, ale to nie szkodzi, bo ułożymy go tylko na dnie łódki.

– Ja mogę popływać z Garretem – mówię.

– Nic z tego. – Laney rzuca Tej, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać, pomarańczową kamizelkę. – Garret płynie z Liamem. A ty z Haley. Takie są osady na dzisiaj.

Tamta nic nie mówi. Bierze tylko jedno z wiosł, które rozdaje Liam.

Stoję przez chwilę naburmuszona. Naprawdę chciałam popływać canoe, ale nie chcę być w jednej łódce z nią. To żadna frajda. Spoglądam na ciocię Laney, potem na mamę. Może ona się nade mną ulituje.

– Proszę... Garret i ja chcielibyśmy poćwiczyć synchronizację w wiosłowaniu.

– Ciocia Laney tu rządzi, marudo. – Mama klepie mnie lekko wiosłem. Próbuje być zabawna.

Ale ja wcale się nie śmieję.

Ciocia bierze ostatni kapok. Garret wsiada już do jednej z kanadyjek, żeby Liam mógł odepchnąć ją od brzegu. Jestem pewna, że zrobi się z tego wyścig. Chłopaki zawsze chcą się ścigać.

Stoję jak wryta, trzymając ten durny kapok. A tak się cieszyłam na te łódki. Teraz tylko marzę o tym, żeby wsiąść do samochodu i poczekać, aż wrócą.

– Chodź, kruszyno – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Przechodzi obok mnie, niosąc dwa wiosła. – Mam twoje wiosło.

Spoglądam raz jeszcze na mamę w nadziei, że unieważni decyzję cioci, ale ona przekomarza się z nią tylko o to, która wsiada pierwsza, a która odpycha.

Jak przy odpychaniu biegnie się dostatecznie szybko, to można nawet nie pomóc sobie stóp, ale czasem się to nie udaje, a wszyscy mamy na nogach buty. Jest jeszcze za zimno, żeby chodzić na bosaka.

Idę do ostatniego canoe.

– Wsiadaj, ja popchnę – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

Ciągnę nogę za nogą, rozkopując butami igliwie, którego mnóstwo leży na piasku. Nie ma tu naturalnej plaży: rodzice cioci Laney nawieźli piachu ciężarówką. Jezioro jest takie ładne, kiedy słońce odbija się migotliwie od tafli wody. A raczej byłoby ładne, gdybym pływała w kanadyjce z Garretem.

Wrzucam do łódki swoją kamizelkę ratunkową. Od ostatniego lata, kiedy udowodniłam mamie, że potrafię dobrze pływać, już nie każe mi jej nosić. Z moim pływaniem jest po prostu tak, że tego nie lubię. W każdym razie nie w basenie, w czepku i okularkach, które musiałam nosić, kiedy wbrew mojej woli mama w zeszłym roku zapisała mnie do drużyny pływackiej.

Tamta rzuca swoją kamizelkę na moją i wkłada wiosła do canoe. Wchodzę na łódkę i siadam ciężko na dziobie, plecami do niej. Wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale naprawdę chciałam popływać razem z Garretem. Przyjechałam tu, zamiast zostać w mieście z Megan, specjalnie po to, żeby popływać z Garretem.

Nasze canoe się kołysze, mimo że jest tylko do połowy na wodzie. Ponieważ jesteśmy ostatnie, dostała nam się stara szajsowata łódka. Bardzo nią buja.

– Ooo, uważaj, kilerko – mówi Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

Spoglądam na nią przez ramię. Ma na sobie czarne dzinsy i czarne trampki, ale odkąd przyjechałyśmy tu dwa dni temu, nosi zielony polar cioci Laney. Dziwnie jest widzieć ją w czymś innym niż czerń.

Biorę jedno z wiosel.

Słyszę, jak Garret i Liam odbijają od brzegu, a potem widzę, jak śmigają po wodzie. Wiosłują jak wariaci. Mama i ciocia się śmieją. Ciocia mówi, że teraz kolej mamy na odpychanie. Twierdzi, że wyraźnie pamięta, że to ona ostatnim razem odpychała canoe, kiedy pływały razem w lecie.

– Gotowa, Izz? – rzuca do mnie Ta, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać.

Oglądam się przez ramię, gdy mama i ciocia odbijają. Ciocia wygrała. Mama musiała popchnąć canoe i zamoczyła jeden but. Jeden z butów Caitlin. Wczoraj zauważyłam, że je nosi. Caitlin uprawiała w nich jogging. Nigdy by ich nie zamoczyła.

Ona odpycha łódkę tak mocno, że rzuca mną w tył, a potem w przód, zgodnie z zasadą zachowania pędu. Uczyliśmy się o tym na fizyce.

Wskakuje i słyszę, jak bierze wiosło.

– Prawa czy lewa strona? – pyta.

Wsuwam swoje wiosło do wody po prawej stronie.

Słyszę, a potem czuję, jak jej wiosło też zanurza się w wodzie. Garret i Liam są już daleko przed nami. Szpanerzy.

Wiosłuję tak, jak nauczył mnie tata: nie wkładam całego pióra do wody, ale zanurzam je na tyle, żeby popchnąć łódkę mocno do przodu. Nie jesteśmy jednak zgrane, więc mama i ciocia też nas przeganiają.

Słyszę warkot motorówek. Nigdy nie wypływamy na środek, tylko wiosłujemy wzdłuż brzegu, ale jezioro Sebago jest olbrzymie. Sprawdzałam to kiedyś. To sto piętnaście kilometrów kwadratowych wody i linia brzegowa o długości stu sześćdziesięciu kilometrów.

Wiosłujemy tak niezbornie, że całe canoe się kołysze.

– No dalej, Izzy. Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj – mówi ona. Powtarza słowa tak, żeby nadawały mi rytm.

Ignoruję ją.

– Chryste – mówi znowu po jakiejś minucie. Wyciąga wiosło z wody i natychmiast skręcamy w prawo, bo ja nadal mam wiosło w wodzie. Obserwuję, jak dwie pozostałe łódki coraz bardziej się oddalają.

Zanurzam wiosło z drugiej strony. Wiosłuję z lewej, potem znowu z prawej, ale ona siedzi beczynnienie, więc nie posuwamy się za bardzo do przodu.

– Może trochę pomożesz? – rzucam przez ramię z pretensją w głosie.

– To nagle ze mną rozmawiasz?

Odwracam się na ławeczce i siadam przodem do niej, wyciągając wiosło z wody. Nie mam pojęcia, czemu to robię. Wcale nie chcę, ale nie mogę się powstrzymać.

– Nie, nie rozmawiam z tobą! Nigdy nie będę z tobą rozmawiać.

Tylko siedzi i mi się przygląda. Bez oczu maźniętych czarną kredką wygląda inaczej. Nawet mimo czarnych włosów jest bardzo podobna do Caitlin. Trochę kręci mi się w głowie, kiedy zdaję sobie z tego sprawę.

– Izzy, jest mi przykro. Okay? – Patrzy prosto na mnie. – Nie zrobiłam Caitlin krzywdy celowo.

Rzadko wpadam w gniew. Ale teraz mocno się wkurzam, chyba dlatego, że mieliśmy z Garretem wypróbować fajne nowe manewry, a utknęłam w łódce z nią.

– Nie zrobiłaś jej krzywdy. Zabiłaś ją.

Uderzam wiosłem w jej wiosło.

– To był wypadek. – Widzę w jej oczach łzy. – Przykro mi. Przykro mi. Przykro mi – powtarza to w kółko. – Co jeszcze mogę powiedzieć? Co mam, twoim zdaniem, zrobić? Gdybym mogła umrzeć zamiast niej, to chętnie bym umarła. Ale nie miałam takiego wyboru.



– Nie zamierzam z tobą rozmawiać – odpowiadam. – Nie obchodzi mnie, że ocalałaś Pana Kota. To znaczy cieszę się, że to zrobiłaś, ale...

Znowu uderzam wiosłem o wiosło.

– Izzy... – Wstaje i rusza w moją stronę. Właściwie pół stoi, pół siedzi, pomagając sobie wiosłem, żeby utrzymać równowagę. Uderzam jej wiosło jeszcze raz. Mocniej. Canoe się chybcze. Za nią widzę w oddali mamę i ciocię. Kiedy miałam wiosło w wodzie, a ona nie, zboczyłyśmy na prawo. Wszyscy inni popłynęli w lewo. Chyba słyszę głos mamy, ale nie jestem pewna. Po jeziorze pływa kilka motorówek, a teraz, gdy oddaliśmy się od brzegu, ich warkot jest głośniejszy. – Izzy, proszę... – mówi.

Płaczę, mimo że wcale tego nie chcę.

– Odejdź ode mnie. Nie zbliżaj się. – Biorę zamach wiosłem. Nie uderzam jej, ale znowu trafiam w wiosło. Kiedy podchodzi za blisko, wstaję i biorę kolejny zamach. Uchyła się, schodząc mi z drogi, ale ja się przewracam. Puszczam wiosło, ale jest już za późno. Nasze canoe zaczyna się obracać.

– Izzy! – Próbuje mnie złapać i czuję, jak obija się o mnie, upadając. Jedno z wiosel uderza mnie mocno w nogę, kiedy lecę w dół.

Ludzie mówią, że takie rzeczy dzieją się w zwolnionym tempie. Guzik prawda. Wszystko dzieje się tak szybko, że nawet nie wiem, co jest grane.

Z bolesnym plaśnięciem wpadam do wody. Jest tak zimna, że dech mi zapiera i przez chwilę nie mogę się ruszyć. Woda działa dezorientująco i mój mózg dopiero po chwili załapuje, co się dzieje. Jestem pod wodą, a ubrania ciągną mnie w dół. Jestem tak zziębnięta, że odmarzają mi cztery litery. Płuca zaczynają palić mnie od wewnątrz. Potrzebuję powietrza.

Wypycham się nogami i rękami ku górze i wypływam na powierzchnię.

Pierwszą rzeczą, którą widzę, jest pomarańczowy kapok. Natychmiast go chwytam. Durne canoe obróciło się do góry dnem. Rozglądam się dookoła, odgarniając z oczu mokre włosy. Jest tak zimno, że ciało zaczyna mi drętwieć.

Nie widzę Haley.

Słyszę krzyk mamy, ale jest daleko. Pyta, czy nic nam się nie stało.

Latem wywracamy łódki specjalnie. Ale latem woda nie jest taka lodowata.

– Haley! – wołam.

Nie widzę, co jest po drugiej stronie canoe. Próbuję podskoczyć, opierając się o jej dno.

– Haley!

Obracam się w wodzie, oglądając się za siebie. Siostry nie ma.

– Haley! Haley!

Nagle oblatuje mnie strach. Serce wali mi nawet mocniej niż przed chwilą. Woda jest tu głęboka na co najmniej trzydzieści metrów. W niektórych miejscach głębokość sięga stu metrów. A co, jeśli uderzyła się w głowę wiosłem albo rozbiła

ją sobie o łódkę? Co, jeśli właśnie w tej chwili opada na dno nieprzytomna? Macham rękami, chlapiąc sobie w twarz. Cały czas wołam Haley. Co mogło jej się stać? Gdzie może być?

– Haley!

Wstrzymuję oddech i zanurzam się, puszczając kapok. Rękami szukam jej po omacku.

Wynurzam się, żeby zaczerpnąć powietrza, i znowu nurkuję. Tak się boję, że nie jestem w stanie zastanowić się nad tym, co robić. Tylko nie ona! Tylko nie moja siostra! Potrzebuję Haley, mojej wielkiej wybawicielki kota!

Znowu się zanurzam, tylko że tym razem nabieram za mało powietrza i czuję żar w płucach. Woda wdziera mi się do ust i nosa. Zaczynam się szamotać. Woda smakuje paskudnie, boję się i...

Nagle czuję, jak coś chwyta mnie za ramię i ciągnie. Ręka.

Haley?

Podciąga mnie do góry i wynurzam się pod przewróconym canoe. Jest! Moja siostra! Widzę ją, mimo że pod kanadyjką jest prawie ciemno. Moja starsza siostra Haley.

– Przepraszam, przepraszam, nie chciałam przewrócić łódki... – Krztuszę się i kaszlę. Nałykałam się wody, fuj! I marznę, i płaczę, mimo że wcale nie chcę być beksą.

Twarc Haley jest oblepiona włosami.

– Nic nie szkodzi. Nic mi nie jest – mówi. A potem przyciąga mnie do siebie jedną ręką, podczas gdy drugą trzyma się belki siedzenia. Też jest mokra, ale czuję ciepło jej ciała, kiedy mnie tuli. – Nic nam nie jest, Izi Mizi – szepcze mi do ucha.

## ROZDZIAŁ 39

### JULIA

W środę rano budzę się w łóżku Laney, wciąż dryfując w przytulnym ciepelku flanelowej pościeli i pierzyny, które pachną lawendą. Po dwóch dniach urlopu, które Laney wzięła specjalnie po to, żeby spędzić z nami czas, dziś wróciła do pracy. Rozmawiałyśmy krótko o szóstej rano, planując kolację, a potem obróciłam się i – cud nad cudem – znowu zasnęłam.

Powoli otwieram oczy i rozkoszuję się ciszą. Chłopaki Laney są w szkole. Haley i Izzy pewnie jeszcze śpią. Odwracam głowę i zerkam na budzik elektroniczny, który stoi na szafce nocnej, przykrytej płóciennym obrusem w kwiaty. Jest ósma czterdzieści. Wyciągam ręce nad głowę i przeciągam się. Spałam dziewięć godzin i czuję się autentycznie wypoczęta. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem czułam się tak dobrze po przebudzeniu.

Przez kilka ostatnich dni świetnie się bawiłyśmy. Co nie znaczy, że przez cały czas było różowo. Nie obyło się bez gorszych momentów, na przykład kiedy Izzy przewróciła canoe, próbując uderzyć siostrę wiosłem. Co ostatecznie dobrze się skończyło, bo kiedy Laney i ja dopłynęłyśmy do nich (ja bliska apopleksji), gramoliły się z powrotem do łódki, a Izzy rozmawiała z siostrą.

Wczoraj rano Haley i ja wdałyśmy się w ostry spór. Chciała pójść do piekarni i kupić dla wszystkich świeże pączki. U Cioci Em smażą świeże pączki codziennie rano, ale jak już zostaną wykupione, to trzeba czekać do następnego dnia. To miło ze strony Haley, że chciała zdobyć dla wszystkich te pyszności, ale wolałam, żeby nie szła sama. A gdyby spróbowała uciec? W zamian oskarżyła mnie o to, że karzę ją za szczerą rozmowę o uprawianiu seksu, którą odbyłyśmy poprzedniego wieczoru. Upierała się, że to jej ciało i jej decyzja, choćby nawet dokonywała złych wyborów.

Nie pozwoliłam jej pójść po te pączki. Ale później ją przeprosiłam i obiecałam, że postaram się traktować ją bardziej poważnie. Zapowiedziałam też, że do tematu seksu jeszcze wrócimy. Przestrzegłam, że zawsze będzie moją córką i nigdy nie przestanę być jej mamą, ale przyznałam, że ma sporo racji. Mogę być mamą również dorosłej córki, co znaczy, że muszę przyjąć do wiadomości to, że nie zawsze będę się zgadzać z jej życiowymi decyzjami. Ostatecznie zależy mi tylko na tym, żeby była zdrowa i szczęśliwa, i muszę o tym pamiętać, gdy będę ją krytykować.

Mój wzrok wędruje ku podwójnym oknom, zakrytym zielono-niebieskimi płóciennymi zasłonkami w kwiaty. Sypialnia Laney jest tak dziewczęca, że aż chce mi się śmiać, zwłaszcza że sama Laney nie jest zbyt dziewczęca. Makijaż w jej wykonaniu ogranicza się do błyszczczyka do ust Burt's Bees, a do tego potrafi bekać na zawołanie głośniejsz niż każdy ze znanych mi facetów.

W naszej sypialni zawsze stawiałam na neutralne kolory – barwy pustyni i proste desenie, ponieważ żaden facet nie lubi spać w pościeli w kwiatki. Ale uwielbiam te wzorki, puszystą pościel i ozdobne poduszki, które leżą teraz w nieładzie na podłodze. Laney ma nawet chustę zarzuconą na jedną z lampek nocnych po to, by wieczorem dawała barwne i rozproszone nastrojowe światło. Bardzo ekscentrycznie i hipisowsko.

Moje spojrzenie znów wędruje do okna. Poranne słońce prześwieca przez szparę między płóciennymi zasłonami, rzucając blask na miodowozłocisty parkiet i ożywiając kolory na pościeli. Zamykam oczy i rozkoszuję się ciepłem słońca na twarzy. Jak to jest, że w Las Vegas słońce wydaje mi się wrogiem, a tutaj przynosi mi spokój? I odnowę.

Odnowa. Ciekawe, że pomyślałam właśnie o tym słowie.

Bez pośpiechu wstaję z łóżka, powtarzając to słowo w głowie. Mam je na czubku języka. Nawet wypowiadam je na głos:

– Odnowa.

Błogi stan powtórnej nowości i świeżości.

Czy tak właśnie działa na mnie to miejsce? Regeneruje mnie i odnawia?

Idę do łazienki, myję się i wracam do pokoju, żeby się ubrać. Kiedy to robię, wpadam na pomysł, że pójde po pączki dla moich dziewczyn. Prezent na zgodę dla Haley.

Kiedy w Vegas wsiadłam do samochodu i wyruszyłam na Wschód, myślałam, że zmiana otoczenia przyda się Haley. Myślałam, że to ona musi się wyrwać z domu przepełnionego wspomnieniami o Caitlin i z miasta, które ma na nią zły wpływ. Ale nie przyszło mi do głowy, że mnie ta odmiana jest potrzebna równie mocno. Kiedy odjeżdżałam sprzed domu, ten pierwszy raz, wydawało mi się, że Izzy ma się całkiem nieźle. Tak dobrze, jak tylko może się mieć dziesięcioletka, która właśnie straciła siostrę. Ale czas, który z nią spędziłam, zwłaszcza odkąd przyjechałyśmy do Maine, przekonuje mnie, że Izzy radziła sobie po prostu trochę lepiej niż Haley i ja, ale też potrzebowała tej podróży.

W dzinsach i jednej z licznych kraciastych flanelowych koszul Laney, tym razem w kolorach owoców cytrusowych, siadam na brzegu łóżka i zakładam buty. Ciągle łapię się na tym, że wybieram jaskraworóżowe adidas, które przed wyjazdem zabrałam z pokoju Caitlin. Rozumiem, że to buty do joggingu; nawet już zastanawiałam się nad tym, żeby zacząć biegać. Ale zakładam je po prostu dlatego, że dają mi pokrzepienie. Wiem, że to nonsensowne, jednak czuję się lepiej, gdy

mam przy sobie coś po Caitlin, coś, co nie wywołuje rozpaczki.

Wsuwam nogę w jeden but, potem w drugi, a następnie zawiązuję sznurowadła. To nie tak, że już nie cierpię – stan Maine i to miasteczko, ten dom, to nie żaden magiczny eliksir – ale naprawdę czuję się tu lepiej. I myślę, że moje dziewczyny również.

W przedpokoju zakładam jedną z puchowych kamizelek Laney i wkładam do kieszeni portmonetkę.

Wciąż zastanawiam się nad tym, co dała mi ta wyprawa, kiedy w drodze do piekarni zatrzymuję się przed zamkniętą smażalnią kurczaków. Staję przy oknie i zaglądam do środka, osłaniając twarz dłońmi tak samo, jak robiła to Izzy w dniu naszego przyjazdu.

Myślę o tym, co powiedziała wtedy Haley – o założeniu kawiarni i sprzedawaniu Benburgerów.

Szalony pomysł.

Smażone kurczaki się tu nie przyjęły. Skąd pomysł, że akurat ja odniosłabym sukces? Nie mam zielonego pojęcia o prowadzeniu lokalu gastronomicznego.

Ale wiem sporo o optymalizacji wydatków, przychodach, dochodach i o kosztach stałych. Umiem liczyć.

Wpatruję się przez szybę w stoliki kawiarniane i długi kontuar, który wygląda jak przerobiony bar. Taki kontuar mógłby oznaczać oszczędności, bo nie trzeba by zatrudniać kelnerów. Za ladą widzę dużą czerwono-biało-niebieską podświetlaną tablicę z ofertą dań z kurczaka. Wyobrażam sobie na jej miejscu staromodną szkolną tablicę z menu i informacją, od jakich miejscowych producentów pochodzą określone składniki.

W sezonie letnim nie byłoby trudno o przyzwoite zyski – co do tego nie mam wątpliwości. Latem w miasteczku roi się od turystów, a w okolicy nie ma żadnej kawiarnio-restauracji. Większość lokali to eleganckie restauracje dla gości o zasobniejszych portfelach. Sztuka polegałaby raczej na tym, by zdobyć klientów poza sezonem – nie przyjezdnych mieszczuchów, lecz tutejszych mieszkańców, którzy wpadaliby na coś dobrego – na Benburgera lub kanapkę z warzywami z grilla.

Robię krok w tył i spoglądam na drzwi. Wyobrażam sobie, jak wchodzę przez nie i witam się rano z pracownikami.

Zupełnie nieprawdopodobny pomysł.

Ben nigdy nie zgodziłby się na przeprowadzkę. Musiałby sprzedać braciom swój udział w rodzinnym przedsiębiorstwie.

Ale zawsze mówił, że nie cierpi pielęgnowania trawników. „Kto potrzebuje cholernego trawnika na pustyni?”, zwykł mawiać.

Kiedyś marzyliśmy o otwarciu kawiarni – tylko on i ja.

Wpatruję się w witrynę. To naprawdę wariacki pomysł. Ale może nie taki

zły. Mam pieniądze, które odziedziczyłam po matce. Brudną forszę mojego ojczyma. Czy dzięki takiej inwestycji stałaby się znowu czysta? Zawsze uważałam, że jeśli pewnego dnia ją wydam, to tylko dla dobra swoich dzieci.

Ta kawiarnia byłaby dla moich dzieci. Może nie mogę poukładać naszego życia na nowo w Vegas, ale mogłabym dokonać tego tutaj... Może ja... my, Ben i ja, moglibyśmy stworzyć nowe życie dla naszej rodziny w tym miejscu? Może przez ostatnie dwa miesiące zupełnie źle do tego podchodziłam? Bez Caitlin moje życie nie będzie już nigdy takie, jak było, ale może stać się inne. Inne, niż sama się spodziewałam, ale mimo wszystko dobre. Dobre w innym sensie i na innym polu.

Uśmiecham się do siebie.

Ben przylatuje do Portland jutro po południu. Może wybierzemy się we dwoje na kolację, a później na spacer, tak jak kiedyś, zanim zaczął sypiać na fotelu w dużym pokoju. Kiedy Caitlin jeszcze żyła. Przy piekarni, za rogiem, jest restauracja specjalizująca się w owocach morza, które Ben uwielbia; zawsze odwiedzamy ją, gdy przyjeżdża z nami do Maine. Jeśli uzna pomysł z kawiarnią za wart obgadania, moglibyśmy nawet tędy przejść i pokazałabym mu lokal. Może podsunie jakieś świetne pomysły. Moglibyśmy zacząć od serwowania śniadań i obiadów. Ben robi niesamowite naleśniki śmietankowe z żurawiną, których recepturę Caitlin zmodyfikowała, tak by zawierała same świeże i organiczne składniki. Wszystko z żurawiną dobrze się sprzedaje w krainie żurawiny.

Zwracam uwagę na tabliczkę w oknie. Jest na niej imię i nazwisko agenta nieruchomości oraz numer telefonu, pod który należy dzwonić w sprawie najmu lokalu. Nie mam przy sobie nic do pisania, ale telefon zapamiętam. Myślę, że zadzwonię tam, jak wrócę do domu. Tylko po to, żeby dowiedzieć się, ile wynosi miesięczny czynsz. Wtedy będę wiedziała, czy pomysł w ogóle jest realny, zanim przedstawię go Benowi.

Kiedy przechodzę ostatni odcinek drogi do piekarni, myślę o naszej kawiarence. Waham się między stwierdzeniem, że to najbardziej szalony pomysł, jaki kiedykolwiek strzelił mi do głowy, a przekonaniem, że to genialne.

W piekarni zamawiam dużą latte o smaku karmelowym i pół tuzina pączków. Są jeszcze ciepłe, kiedy wracam do domu Laney.

\*

– Tata nigdy na to nie pójdzie, mamó – mówi Haley, wyglądając przez okno w samochodzie.

Zgodziła się pojechać ze mną po Bena na lotnisko, mimo że wcale nie miała na to ochoty. Od wyjazdu z Vegas stała się w stosunku do swojego ojca bardzo obojętna. Nie dlatego, że ma mu coś za złe. Raczej skutek ogólnej refleksji – i właśnie to mnie martwi. Haley jakby odcięła się od Bena emocjonalnie.

Ale jak kilkakrotnie wskazała mi w ciągu ostatnich dni Laney, nie mogę

oczekiwać, że Haley zmieni się z dnia na dzień w dziewczynę, którą przedtem znałam. Albo raczej w dziewczynę, której wyobrażenie mam w swojej głowie. Poza tym jak mogę narzekać na jej nastawienie do ojca, skoro przełamała upór i niechęć Izzy. To prawda – młodsza siostra znowu z nią rozmawia.

– Myślisz, że kawiarnia to zły pomysł? – pytam.

Pada deszcz i widoczność jest kiepska. Cieszę się, że wyjechałyśmy trochę wcześniej, bo na szosie numer dziewięćdziesiąt pięć będzie tłok – ludzie wracają z pracy.

– Nie powiedziałam, że to zły pomysł. Mówię tylko, że tata nie zechce się przeprowadzić do Maine i otworzyć z nami ekokawiarni.

Ściskam mocno kierownicę. Wycieraczki pracują z rytmicznym szelestem.

– A ty? Myślisz, że dalibyśmy radę?

Zerkam na nią, a potem znowu na drogę. Cały czas nosi te same czarne dżinsy i zielony polar od Laney. Zastanawiam się, czy zgodziłaby się na kupno nowych ubrań. Ładnie jej w zielonym. Z przyjemnością patrzę na nią w kolorze innym niż czerń.

Ma w garści tę różową piłeczkę. Nie widziałam, żeby odbijała ją w tym tygodniu choć raz, ale zdarza mi się zauważyć, jak wyciąga ją z kieszeni i obraca w palcach niczym talizman.

– Mogłabym stać przy kasie – mówi. – Znam się na tym. Ale chciałabym też robić kanapki. Może wymyślać i testować nowe dania do jadłospisu. Sezonowe specjały.

– Na przykład co?

Kiedy mówi, w jej głosie brzmi autentyczny entuzjazm. Tak dawno go u niej nie słyszałam. Zwykle jej głos jest taki obojętny i monotony.

– Na przykład na jesieni mogłybyśmy robić wrapy z indykiem, sosem ze świeżych żurawin i orzechami włoskimi. Może też podawać sałatkę z jabłkami i gruszkami. W okresie bożonarodzeniowym mogłybyśmy oferować miętową czekoladę na gorąco z pełnotłustym mlekiem i... coś zwariowanego, na przykład kanapkę z gęsiną lub kaczką, i nazwać ją przysmakiem kolędników.

Uśmiecham się, bo naprawdę mi zaimponowała swoją niewymuszoną kreatywnością.

– Ale musiałybyś skończyć szkołę średnią – mówię. – I jakieś zajęcia z dietyki na miejscowym college’u byłyby wskazane.

Wzrusza ramionami.

– Może jeszcze jakieś kursy z zarządzania i przedsiębiorczości? – zastanawia się. – Musiałybyśmy też zrobić badania rynku, żeby się zorientować, jakie produkty organiczne łatwo pozyskać w tej okolicy. Rozsądnie byłoby zacząć od skromnego menu, a potem stopniowo je rozbudowywać. Gdybyśmy chciały. Lub może zaoferowałybyśmy z pół tuzina różnych kanapek i burgerów, kilka

sałatek, ale wszystkie byłyby tak niesamowite i pyszne, że ludzie nie mogliby się doczekać, żeby do nas wrócić i spróbować czegoś innego.

– Wymagałoby to od nas dużo pracy. – Ustawiam wycieraczki na szybszy bieg, bo deszcz zmienia się w prawdziwą ulewę. – Od rana do nocy, przynajmniej na początku. I nie ma mowy, żebyśmy otworzyły lokal, zanim opracujemy plan działania w najdrobniejszych szczegółach.

Haley patrzy na mnie.

– Ile twoim zdaniem by to kosztowało? Jak byśmy za to zapłaciły?

– Cóż, zastanawiałam się już nad tym. Na rozkręcenie interesu mogłyby pójść pieniądze, które odziedziczyłam po matce. Oczywiście musiałybyśmy zapewnić sobie jakąś sumę na życie, dopóki lokal nie zacznie przynosić zysków. To wcale nie jest łatwe.

– Masz tyle pieniędzy?

Dziewczyny wiedzą, że odziedziczyłam jakieś pieniądze, ale nigdy nie mówiłam im ile. Wiem, że suma wydałaby się im astronomiczna, ale to dlatego, że nigdy w życiu nie musiały opłacić ani jednej raty kredytu hipotecznego czy rachunku za prąd. Nie mają pojęcia, ile co kosztuje.

– Myślę, że na początek by nam wystarczyło.

– Rany – wzdycha Haley. – Naprawdę fajnie byłoby zmienić pusty lokal po kurczakach w miejsce, do którego ustawiają się kolejki klientów.

Widzę, jak kładzie dłoń na przedramieniu.

– Jak ręka? – pytam jakby nigdy nic i jednocześnie szukam wzrokiem drogi, w którą powinnam skręcić.

Haley waha się, po czym podciąga rękaw.

– Odkleiłam wszystkie plastry. Bolało, ale po prostu je oderwałam. – Dotyka kilku wypukłych strupów. – Chyba wygląda to lepiej, odkąd rany są na otwartym powietrzu.

Myślę o naszych emocjonalnych ranach i narzucającej się analogii. Z nich też w pewnym sensie zerwałyśmy opatrunki. Bolało, ale teraz rany goją się na otwartym powietrzu...

– Odczuwałaś ostatnio ochotę, żeby znów to sobie zrobić? – Staram się zachować neutralny, nieoceniający ton głosu.

Leje jak z cebra, a na szosie robi się coraz tłoczniej. Wydaje się, jakby wszystkim się strasznie spieszyło – wszystkim oprócz nas. Bo mnie naprawdę nie spieszy się na lotnisko. Wcale się nie rwę do rozmów, które Ben i ja musimy odbyć.

– Myślałam o tym, ale chyba nie na tyle intensywnie, żeby to zrobić. – Spogląda na mnie i opuszcza rękaw. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Ja nigdy nie chciałam tego robić, mamó. To po prostu... Po prostu to robiłam.

Zerkam na nią i się uśmiecham. Nie mogę powiedzieć, że całkowicie ją



rozumiem, bo to nieprawda, ale chcę, żeby wiedziała, że odnoszę się do niej z empatią. Zjeżdżam z szosy, podążając za drogowskazami na I-95 – Wjazd Maine Południe. Dotrzemy na lotnisko za kwadrans.

Oglądam się przez ramię, gdy dojeżdżamy do końca estakady, i przygotowuję się do zmiany pasa. Właśnie odwracam głowę, żeby powiedzieć coś do Haley, gdy słyszę za sobą trąbienie klaksonu i pisk hamulców. Odbijam gwałtownie w prawo. Duża biała ciężarówka zakładu oczyszczania miasta śmiga obok nas, wciąż trąbiąc.

– O mój Boże... – Serce mi dudni, gdy ostrożnie wjeżdżam na międzystanówkę. Spoglądam na Haley. Jest blada, jeszcze bledsza niż zwykle. – Nic ci nie jest? – Dzwoni mi w uszach. – Haley?

Patrzy na mnie.

– Ta ciężarówka o mało w nas nie walnęła. – Głos jej drży.

– Przepraszam. – Czuję się rozdygotana. Naprawdę mało brakowało. – Nie zauważyłam jej. Nie wiem, skąd się wzięła. – Haley powoli odwraca głowę do okna, a ja widzę w szybie jej odbicie. Od wypadku nie wyraziła chęci poprowadzenia samochodu. Zastanawiam się, czy mój błąd za kierownicą przywołał wszystkie wspomnienia. – Dobrze się czujesz? – pytam. – Może chcesz, żebym zjechała z autostrady i się zatrzymała?

Kręci głową. Nie jestem w stanie odczytać wyrazu jej twarzy.

– Jedźmy po tatę, a potem do domu.

## ROZDZIAŁ 40

### IZZY

Chyba idzie nie za dobrze.

– Najlepiej, nie idzie najlepiej – poprawia mnie Haley.

Pokazuję jej język.

Haley i ja mamy zmywać naczynia, ale co rusz wymyślam jakąś wymówkę, żeby wejść do dużego pokoju. Jeżeli stanę przy końcu stołu, słyszę, jak mama i tata rozmawiają na werandzie.

Rodzice powinni wybrać się dziś wieczorem na kolację we dwoje. Na randkę. Ciocia Laney i chłopaki mieli tu zostać i zjeść z Haley i ze mną spaghetti. Ale tata nie chciał iść, więc ciocia z chłopakami wzięli część spaghetti i pojechali na parę dni do chaty nad jeziorem. Żeby dać nam więcej przestrzeni, kiedy tata tu jest.

– Przestań być taka wścibska – mówi Haley, idąc do jadalni po szklanki ze stołu. – Chodź, załaduj naczynia do zmywarki.

Zerkam na okno. Słyszę, jak tata coś mówi, ale nie rozumiem słów. Wiem tylko, że ton jego głosu nie jest fajny. Mówi po cichu. Brzmi bardzo poważnie. I smutno.

Wracam do kuchni. Haley płucze naczynia w zlewie.

– Pomóż mi powkladać te gary do zmywarki – prosi.

Staję obok i przygryzam dolną wargę.

– Nie myślisz chyba, że tata każe mi wrócić ze sobą do Vegas? Bo ja nie chcę wracać. Chcę zostać tutaj, z tobą i z mamą.

Haley zerka na mnie, a potem zabiera się do ładowania zmywarki.

– Cztery dni temu miałaś już nigdy się do mnie nie odezwać – mówi, odkładając szklankę na górną półkę zmywarki. – A teraz chcesz tu zostać razem ze mną?

– Chcesz, żebym przestała się do ciebie odzywać? – pytam. Tak naprawdę wcale nie mam na to ochoty. Źle się z tym czułam. Trudno mi jest żyć bez Caitlin. Nie chcę żyć jeszcze bez Haley.

Odwraca się do mnie i wyciera ręce. Ma na sobie parę szarych spodni od dresu Liama, zielony polar cioci Laney i zielone skarpety-kapcie, które ktoś zrobił na drutach dla Liama, ale Liam ich nie lubi. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna widzę ją ubraną tak kolorowo – bez żadnego czarnego akcentu. Zmyła

nawet czarny lakier z paznokci.

– Nie, nie chcę, żebyś przestała się do mnie odzywać – odpowiada. – Nie chcę, żebyś jeszcze kiedykolwiek traktowała mnie w ten sposób. Okay? Możesz się na mnie złościć, nie ma sprawy. Bo wciąż jesteśmy siostrami. Okay? – Kiedy nie odpowiadam od razu, powtarza z naciskiem: – Okay?!

– Okay! – odpowiadam, też podnosząc głos.

– No. A teraz włóż do zmywarki sztućce. – Wskazuje mi zlew.

Podchodzę powoli. Mama wreszcie oddała mi spodenki od piżamy ze SpongeBobem i teraz mam je na sobie. Lubię je tak bardzo, że jutro chyba też je założę.

– Jak myślisz, kiedy będziemy musiały wrócić? – pytam.

– Nie wiem. Jeżeli mama przekona tatę, żeby się tu przeprowadzić, to może nigdy. Moglibyśmy zapisać cię do tutejszej szkoły. Razem z Garretem. Megan też tam chodzi.

Zastanawiam się nad tym, gdy odkręcam kran i patrzę, jak leci woda. Ciocia Laney ma taki fajowy duży biały zlew, podobny do tych, jakie widuje się w starych wiejskich domach pokazywanych w telewizji.

– Chcesz tu zostać? – pytam. Haley kiwa głową. – Czemu? Mieszkałaś w Las Vegas prawie osiemnaście lat. Tam są twoi przyjaciele. Tam jest twój dom.

– Moi przyjaciele nie są już tak naprawdę moimi przyjaciółmi. A w Vegas jest budynek, w którym mieszkamy – mówi. – Ale już nie czuję się w nim jak w domu. Wiesz? – Podoba mi się to, jak ze mną rozmawia – jakbym miała więcej niż dziesięć lat. – Mama uważa... ja uważam – mówi Haley – że może tutaj byłoby nam lepiej, bo Caitlin nigdy tu nie mieszkała.

– Ale przyjeżdżała na wakacje – przypominam jej. Nie próbuję się z nią kłócić. Tak tylko mówię.

Spogląda na mnie tymi swoimi smutnymi brązowymi oczami.

– Ale to nie to samo. Ja w każdym razie tak tego nie odbieram. A ty?

Oplukuję widelec i wsadzam go do koszyczka na sztućce. Musiałam sięgnąć za Haley i niechcący ją trąciłam, ale mi to nie przeszkadza. Już nie myślę, że ma jakąś chorobę zakaźną. Nie wiem, czy całkiem wybaczyłam jej to, co się stało, ale cieszę się, że znowu ze sobą gadamy, bo nie czuję się już taka samotna.

– Ja chyba też nie – odpowiadam. Namysłam się przez chwilę, a potem patrzę na Haley. – Obiecasz, że nie będziesz się śmiała, jeśli zdradzę ci swoją tajemnicę? I nie możesz powiedzieć o tym mamie.

Odwraca się do mnie.

– Obiecuję.

Spuszczam wzrok na strumień wody. Wciąż czuję się trochę dziwnie, kiedy rozmawiam z Haley, bo od miesiący tego nie robiłam. Niby wciąż jest tą samą Haley, ale wydaje się jakaś inna.

– W domu czasem z nią rozmawiałam – szepczę.

Haley wyciąga rękę i głaszcze mnie po głowie. Patrzy na mnie tak, jak czasem patrzy mama.

– Ja też – mówi.

– Serio? – Podnoszę na nią wzrok. – Odpowiadała ci?

Haley kręci głową.

– A z tobą rozmawiała? – Powoli kiwam głową. – Ty farciaro.

## ROZDZIAŁ 41

### JULIA

Kiedy po południu jechałam na lotnisko, byłam pełna nadziei. Jasne, miałam pewne obawy, ale wciąż wierzyłam, że Ben zrobiłby dla nas wszystko. Gdyby przyszło co do czego.

I przychodzi co do czego – właśnie teraz.

Leżymy w łóżku Laney, ja w uroczej koszulce nocnej, którą od niej pożyczyłam, a on w swoich bokserkach. Dziewczyny poszły spać. Laney i chłopcy nocują w domku nad jeziorem, żeby dać nam odrobinę prywatności. Zjedliśmy sympatyczną rodzinną kolację, spaghetti z klopsikami, i wypiliśmy nawet trochę wina. Potem Ben i ja wyszliśmy na werandę, żeby porozmawiać. Właśnie wtedy nastrój zaczął się psuć. Do rozmowy wróciliśmy, kiedy wszyscy poszli spać.

Jestem zrozpaczona.

Rozmowa z Benem poszła gorzej, niż sobie wyobrażałam nawet w najgorszym scenariuszu. Wcześniej wydawało mi się, że tego wieczoru będziemy się kochać. Ogoliłam nawet nogi.

Nie dość, że Ben dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza się przeprowadzać do Maine, to jeszcze teraz mówi mi, że przywiózł broszury szkoły z internatem dla Izzy. Chce ją posłać do St. Andrews w Karolinie Północnej, gdzie uczyli się on i jego bracia. Już teraz. To znaczy w przyszłym tygodniu. Chce, żeby poleciała z nim z powrotem do Vegas, żeby przygotować ją do drogi, podczas gdy Haley i ja możemy sobie wracać przez kraj, kiedy będziemy na to gotowe. Najwyraźniej wymodlił tę koncepcję razem z Lindą. Skoro Haley za parę tygodni skończy osiemnaście lat, zdał sobie sprawę (czy może to Linda zdała sobie sprawę i podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem), że nie może jej do niczego zmusić. Ale zapewne wspólnie uznali, że wciąż mogą sterować Izzy. Wciąż mogą ją ocalić. Przede mną.

Wpatruję się w sufit i próbuję śledzić tok jego rozumowania. Leżymy obok siebie, ale jeszcze nigdy w naszym małżeńskim życiu nie czułam się od niego bardziej odległa.

– Przecież Izzy nie sprawiała nawet najmniejszych problemów – mówię. – Skąd pomysł, żeby wyprawić ją z domu?

Odwraca głowę. Przynajmniej ma odwagę spojrzeć mi w oczy.

– Jules, bądźmy ze sobą szczerzy. Od wypadku nie jesteś sobą.

– Co to ma znaczyć? – Wlepiam w niego wzrok. – Moje dziecko straciło życie.

– Moje też. Ale to nienormalne leżeć przez dwa miesiące w łóżku, a potem... jeszcze to.

– To?!

– Ta podróż samochodem przez cały kraj. A teraz na dodatek pomysł, żebyśmy wszyscy przenieśli się do Maine i otworzyli tu restaurację.

– Kawiarnię – poprawiam go.

– Gdyby Izzy wyjechała do szkoły, miałabyś czas, żeby się pozbierać.

– Pozbierać się? – powtarzam z rozdrażnieniem. – A co z Haley?

– A niby co z Haley? Załatwimy jej psychoterapię, tak jak wcześniej o tym mówiliśmy... – Wzdycha. – Naprawdę nie wiem, czemu musimy cały czas to wałkować. – Milknie i zaczyna od nowa: – Kiedy skończy osiemnaście lat, chyba nie będziemy mogli jej niczego nakazać. Z prawnego punktu widzenia może opuścić nasz dom i zamieszkać w narkomańskiej melinie, a my nie będziemy mogli nic na to poradzić.

Obracam się na bok, twarzą do niego, i podciągam kolana pod brzuch; mam ochotę zwinąć się w kłębek jak embrion. Ogarniają mnie rozpacz i złość... i rozpacz.

– Nie zastanowisz się nawet nad możliwością przeprowadzki? – Zaglądam w jego piękne brązowe oczy, które przez lata tak bardzo kochałam. – Ben, zapomnij o tym, co mówi Linda. Pomyśl sam. Mój pomysł na kawiarnię jest dobry i zdajesz sobie z tego sprawę. To może wypalić. Mówiłam ci, czynsz jest symboliczny, a Laney zna człowieka, który byłby zainteresowany rolą kogoś w rodzaju cichego wspólnika, więc mogłabym liczyć na wsparcie finansowe. Rozmawiałam nawet z paroma właścicielami i kierownikami restauracji w mieście. Na tutejszym rynku jest miejsce na typ lokalu, jaki mam na myśli. Organiczna żywność staje się tu modna, a to pewnie dopiero początek. – Kładę dłoń na jego szerokim barku. – To było nasze marzenie, Ben. Pamiętasz?

Kręci głową.

– Nie mogę tego zrobić, Jules.

– Dlaczego nie? – Tłumię łzy. Nie chcę się rozpłakać. Nie mogę się rozpłakać. – Czemu nie możesz? Mamy dość pieniędzy. Jeśli sprzedasz swoje udziały w firmie, z łatwością moglibyśmy przeżyć dwa lata i poczekać, aż lokal zacznie przynosić odpowiednie zyski, a nawet trochę do niego dokładać.

– A jeśli ten biznes nie wypali, Jules? – Wpatruje się we mnie. Myślę o tym, co powiedziała Haley: nie można od nikogo oczekiwać, że da z siebie więcej, niż ma. Może Izzy nie jest moją jedyną mądrą córką. – Co wtedy? – pyta. – Po tym, jak całe dorosłe życie poświęciłem na rozwój naszej rodzinnej firmy? Co zrobimy, jeśli z tą kawiarnią się nie uda?

– Nie wiem. Pozbieramy się i zaczniemy od nowa. – Ścis-kam mocniej jego bark. – Razem: ty, ja, Haley i Izzy.

Obraca się na plecy i przyciska pięść do czoła. Patrzy w sufit.

– Moje życie jest w Vegas. Moja praca jest w Vegas. Moja rodzina.

Podpieram się na jednym łokciu i pochylam nad Benem.

– My jesteśmy twoją rodziną.

Widzę, że do oczu napływają mu łzy.

– Nie mogę, Jules. – Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. – Ja po prostu nie mogę.

Opieram policzek na jego nagiej piersi i słucham bicia jego serca. Czuję zapach jego ciała, który miesza się z aromatem lawendy.

– Co to znaczy? – szepczę.

– Jesteś zdecydowana? Naprawdę chcesz się przenieść tu razem z dziewczynami?

Głos więźnie mi w gardle. Mam wrażenie, jakby znowu dopadła nas śmierć. Tym razem to nie śmierć dziecka, tylko naszego małżeństwa. Dwudziestu lat śmiechu i łez. To boli. Kiedy ślubowałam uroczyście, że będę z nim, póki śmierć nas nie rozłączy, myślałam, że oznacza to śmierć jednego z nas. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może to oznaczać śmierć naszego dziecka.

Ale to najlepsze wyjście. Jestem tego pewna.

I myślę, że on też to wie.

## ROZDZIAŁ 42

### HALEY

61 dni... a może 62

Wczoraj w nocy przeżyłam coś w rodzaju epifanii, a dziś rano wciąż staram się w pełni zdać sobie z niej sprawę. Zabrałam Izzy do piekarni po świeże pączki, żeby mama i tata mieli trochę czasu tylko dla siebie, a teraz wracamy do domu. Tata odlatuje dziś do Vegas.

My nie odlatujemy.

Nie ogarniam jeszcze do końca całego tego bałaganu. Nie jestem w stanie przejmować się wszystkim naraz, zresztą myślę, że małżeństwo rodziców to bardziej ich problem niż mój.

Dzisiaj rano na iPadzie Caitlin sprawdziłam słowo „epifania”. Myślałam, że wiem, co oznacza, ale chciałam się upewnić. I tak epifania może oznaczać objawienie się Jezusa ludzkości, którą reprezentują Trzej Królowie. Ale może być tożsama z innym objawieniem: nagłym wglądem w naturę rzeczywistości zapoczątkowanym przez jakieś prozaiczne zdarzenie. Moja epifania nie była aż tak nagła. Ale prawie.

Dwa dni temu, kiedy jechałyśmy na lotnisko po tatę, mama o mało nie władowała nas pod dwutonową ciężarówkę. Gdyby przy takiej prędkości doszło do zderzenia, ktoś mógłby zginąć – czy to z naszego samochodu, czy z drugiego pojazdu. Prawdopodobnie byłaby to któraś z nas, jeśli wziąć pod uwagę rozmiary toyoty w porównaniu z rozmiarami ciężarówki.

Mama nie chciała tego zrobić.

Lał deszcz i widoczność była kiepska, a na drodze panował spory ruch. Gdyby jednak zderzyła się z tą ciężarówką, nie obwinałabym jej o to. Nawet gdybym teraz była mart-wa, siedziała w pokoju najmłodszej siostry i rozmawiała z nią w ciemności, kiedy ta się boi.

Gdyby mama zabiła mnie na tej autostradzie międzystanowej, to byłby tylko wypadek.

Dwa miesiące temu na tym skrzyżowaniu było tak samo.

Nie zabiłam Caitlin specjalnie. Popełniłam błąd. Straszny, okropny błąd. Ale tylko błąd.

Jest więc logiczne, że nie powinnam dłużej mieć sobie tego za złe. Mama i tata nigdy mnie nie obwiniali. Izzy już mnie nie obwinia. Ja też muszę sobie wybaczyć. Tak jak chciałabym, żeby Caitlin wybaczyła sobie, gdyby to ona



siedziała tamtego wieczoru za kierownicą.

Czuję się trochę rozedrgana. Biorę głęboki oddech.

Myśl o wybaczeniu samej sobie mnie przytłacza. Przecież przez ostatnie dwa miesiące – przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – nic, tylko sobą poniewierałam. Cięłam się. Każdą chwilę życia na jawie złościłam się na ludzi w szkole, na mamę, na cały świat, ale przede wszystkim na siebie. Ale co zrobię, jeśli przestanę wyżywać się na sobie? Kim teraz będę?

Mam wrażenie, że tu na żadną epifanię raczej liczyć nie mogę.

– Czyli że... w ogóle nie wracamy do Las Vegas? – pyta Izzy, a ja wracam do rzeczywistości, na chodnik, do gorącej kawy, którą niosę dla mamy.

Izzy nie sprawia wrażenia zdenerwowanej.

Obrzucam ją wzrokiem. Czuję zapach ciepłych pączków z torby, którą niesie. Jednego już zjadła, kąciki ust ma białe od cukru.

– Nie wiem – mówię. – Może tylko po nasze rzeczy. Chciałabyś się pożegnać z przyjaciółmi? Z babcią?

Zastanawia się przez chwilę, a potem wzrusza ramionami.

– Właściwie to nie. Babcia nigdy specjalnie za mną nie przepadała. A z przyjaciółmi mogę się łączyć przez FaceTime'a. – Uśmiecham się do siebie. – I tata naprawdę tu nie wróci? – dopytuje moja siostra. – Woli zostać z nimi, niż przeprowadzić się z nami?

Wzdycham.

– To znacznie bardziej skomplikowane.

Kiedy wczoraj wieczorem rodzice poprosili, żebyśmy usiadły, a potem oznajmili, że się rozchodzą, Izzy się poryczała. Mnie też zrobiło się trochę łzawo. Ale... nie sądzę, żebym mogła wrócić do tamtego domu, i nie sądzę, żebym była gotowa do zupełnie samodzielnego życia. Kurczę, przecież nie ukończyłam nawet szkoły średniej. Potrzebuję mamy. I potrzebuję Izzy. A to, że stracę tatę... Cóż, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie można mieć wszystkiego, prawda? Zresztą wierzę, że to nie oznacza zerwania moich więzi z tatą. Jakoś wszystko sobie poukładamy, tata i ja.

Myślę, że rodzice podjęli słuszną decyzję, i jestem dumna z mamy. Wiem, że to nie może być dla niej łatwe. Była tylko kilka miesięcy starsza niż ja teraz, kiedy poznała tatę. (Nie wyobrażam sobie nawet, że mogłabym być dostatecznie dorosła, żeby w tym momencie wybrać sobie partnera na całe życie. Trudno było mi nawet zdecydować, które pączki kupić). Ale wydaje mi się, że jak przyjechałyśmy do Maine, mama zdała sobie sprawę, że choć opuściła Vegas z myślą o tym, żeby pomóc mnie, to ostatecznie pomogła też samej sobie. Nigdy nie powiedziałabym tego na głos, ale myślę, że choć mama nie cięła się żyletką, tak jak ja, to kiedyś była równie popaprana.

Strasznie poważne sprawy jak na kwietniowy poranek.

– Uważasz, że będzie w porządku, jak zamieszkaś tu ze mną i z mamą? – pytam. – Bo możesz polecieć z tatą do Vegas. Mama tak powiedziała.

Izzy marszczy brwi.

– To rozczarowujące, że mówisz coś takiego. Jesteś moją siostrą. Powinnaś mnie lepiej rozumieć.

Wzruszam ramionami.

– Kiedy rodzina się rozpada, ważne, żeby dzieci nie czuły się bezsilne.

– Wyczytałaś to w Internecie? – Izzy zlizuje cukier z palca. – Ale z ciebie idiotka.

Parskam śmiechem, bo choć może nie jest miło usłyszeć coś takiego od własnej siostry, to wiem, że nie mówi tego zupełnie serio. A to, że znowu ze mną rozmawia, jest tak cenne, że bez żalu zniosę wszelkie obelżywe komentarze, którymi może mnie przy okazji uraczyć.

Kiedy wracamy do domu cioci Laney, mama i tata siedzą na werandzie i rozmawiają ściszym głosem. Oboje wyglądają na smutnych, ale nie rozgniewanych. Jest jasne, że podjęli decyzję za obopólną zgodą i że mama bez dwóch zdań zatrzyma Izzy. To dobrze, bo myślę, że dzięki temu Izzy będzie łatwiej. Byłoby fatalnie, gdyby rodzice zaczęli drzeć koty o prawa do opieki nad dzieckiem, tak jak zdarzyło się to niektórym moim koleżankom i kolegom.

Widzę torbę podrózną taty leżącą u podnóża schodów. Nie przywiózł zbyt dużo bagaży; chyba nie miał zamiaru zostać z nami na dłużej. Zastanawiam się, czy to dlatego, że po śmierci Caitlin przebywanie w naszym towarzystwie za bardzo go boli. To trochę tak jak ja nie jestem w stanie dłużej mieszkać w naszym domu. Nie do końca się w tym odnajduję, bo ludzie to jednak coś innego niż rzeczy, ale staram się nie osądzać. Kto jak kto, ale akurat ja powinnam wiedzieć, że ludzie różnie radzą sobie z cierpieniem. Nawet jeśli już nigdy więcej się nie potnę, pewnie będę nosiła moje blizny do końca życia.

Gdy mama nas spostrzeża, schodzi po schodkach.

– Zaczynałam się już martwić, że zabłądziłyście.

– Czekaliśmy na świeżą partię pączków. Mieli z posypką cynamonową i z nadzieniem jagodowym. Wzięłyśmy dwanaście.

Izzy pokazuje torbę.

Podaję mamie jej karmelową latte i podnoszę wzrok na tatę, który do nas dołącza.

– Nie odwozimy cię na lotnisko? – Staram się mówić neutralnym tonem. Staram się zachowywać dojrzałe, ale gdzieś w głębi serca wciąż jestem rozczarowana, że nie może być tatą, którego potrzebujemy.

– Zamówiłem taksówkę – odpowiada.

Wygląda smutno. Ma zaczerwienione oczy. Mama płakała – to jasne – ale myślę, że on też.

– Szkoda, że nie zostaniesz jeszcze dzień dłużej, tato – mówi Izzy. – Wieczorem na Discovery będzie film o tym, że może z innego układu słonecznego przylecieli kosmici i że to oni wybudowali piramidy.

Tata obejmuje ją i całuje w czubek głowy.

– Piramidy wybudowali Egipcjanie, kochanie. Mamy na ten temat źródła historyczne.

– No, wiem. – Izzy pociąga nosem. Jej oczy też robią się szkliste, ale nie płacze. – Po prostu fajnie jest oglądać wspólnie takie programy.

– To może spróbujemy oglądać je razem na FaceTimie.

Izzy marszczy brwi.

– W różnych strefach czasowych?

– Nie bądź malkontentką. Będziemy nagrywać filmy i oglądać je wspólnie. – Znów całuje ją w głowę, jakby było mu jej mało.

Izzy spogląda na mnie.

– Kto to malkontentka?

– Ktoś, kto szuka dziury w całym. Później ci wyjaśnię – mówię, widząc nadjeżdżającą taksówkę.

Wszyscy patrzymy w milczeniu, jak auto zatrzymuje się przed domem.

Tata bierze swoją torbę, a mama podchodzi do niego i mówi coś, czego nie słyszę. Potem tata całuje ją w policzek, a we mnie coś pęka. Nagle nachodzi mnie myśl, że może popełniamy straszny błąd. Że może powinniśmy wrócić do Vegas razem z tatą i postarać się bardziej. Ale kiedy spoglądam na twarz mamy, wiem, że nie ma takiej opcji, przynajmniej dla niej. A to znaczy, że dla mnie też nie. Kiedy rodzice powiedzieli nam wczoraj o separacji, w pierwszym odruchu próbowałam obwiniać siebie. Kolejna rzecz, którą spieprzyłam. Ale wiem, że to nie ja za to odpowiadam. Nie mam pojęcia, czy gdyby Caitlin nie odeszła, zostaliby razem, ale wiem, że małżeństwa często nie są w stanie przetrwać tego rodzaju tragedii.

Tata podchodzi do Izzy i znowu ją przytula. Potem zwraca się do mnie. Będę się czuła jak idiotka, jak się teraz rozplaczę.

– Do widzenia, Haley.

Obejmuje mnie ramieniem.

Odwracam się i przytulam do niego.

– Przykro mi, tato – szepczę. – Za wszystko.

Ściska mnie. Głos mu się łamie.

– Wiem.

Stoimy wszystkie, jedna przy drugiej, i patrzymy, jak tata wsiada do taksówki. Izzy unosi rękę na pożegnanie; w drugiej wciąż trzyma torbę z pączkami.

Obejmuję ją i mówię cicho:

– Wszystko będzie dobrze, Izzy. Jakoś damy sobie radę.

## EPILOG

JULIA

9 miesięcy

Mamo?

Słyszę pukanie, a potem drzwi się otwierają. Siedzę w biurze, przy swoim biurku, z okularami w różowych oprawkach na nosie, i wpatruję się w ekran komputera, analizując fakturę.

Haley staje w progu. Ma na sobie czarne dzinsy i błękitny polar z wyhaftowanym logo naszej kawiarni. Długie włosy spięła w kucyk. Wciąż są farbowane, ale na łagodniejszy odcień ciemnego brązu, bardziej zbliżony do jej naturalnego koloru. Moim zdaniem nadal przesadza z obrysowywaniem oczu czarną kredką, ale muszę przyznać, że wygląda uroczo. Jak normalna studentka pierwszego roku.

– Ed mówi, że będziemy potrzebować więcej piersi kurczaka, zanim w przyszłym tygodniu przyjedzie zamówienie.

Zdejmuję okulary do czytania. Są różowe, ze sztucznymi brylancikami; Izzy wybrała je w butik w Las Vegas, kiedy w zeszłym miesiącu poleciałyśmy na urodziny Bena. W sumie to była fajna wycieczka; po raz stutysięcny zwiedziłyśmy Tamę Hoovera i zjadłyśmy obiad w jednej z ulubionych restauracji dziewczyn. Trochę jak za dawnych lat, ale oczywiście nie do końca, bo nie ma już z nami Caitlin, a Ben i ja jesteśmy w trakcie rozwodu. Cieszę się, że się wybrałyśmy do Vegas. Ta wizyta przyniosła chyba coś w rodzaju ukojenia. A przynajmniej cichą akceptację naszej nowej normalności.

– Przedzwonię do Cabo Farms – mówię.

– Mogę zadzwonić do nich i odebrać kurczaki po jutrzejszych zajęciach z rachunkowości. – Haley wchodzi do biura zawalonego stosami rzeczy, które muszę przejrzeć: wzorami ubrań z naszym logo, nad których sprzedażą się zastanawiamy, dwiema skrzynkami chipsów wegańskich, które dostarczono nam przez pomyłkę, i cholera wie czym jeszcze. – Chciałam się tylko upewnić, czy mogę złożyć dodatkowe zamówienie.

– Jasne, w porządku.

Nie mogę się na nią napatrzeć; wygląda na zupełnie inną osobę niż dziewczyna, z którą tu przyjechałam. Przybrała trochę na wadze i policzki jej się zarumieniły – nie wiem, czy od słońca, czy raczej od wiatru. W lecie kupiła sobie kajak i pływa nim kilka razy w tygodniu. Mówi, że dzięki temu może się

zresetować. Dobrze jej idzie. Jestem z niej taka dumna. Co nie znaczy, że nie miewa gorszych chwil. Wszystkim nam się to zdarza. Ale w ramach programu letniego udało jej się uzyskać dyplom ukończenia szkoły średniej, a teraz studiuje w miejscowym college'u. Ma dwanaście godzin zajęć tygodniowo i jednocześnie pracuje w kawiarni.

– Co? – pyta i robi skrzywioną minę. – Czemu tak na mnie patrzysz? – Dotyka swoich ust. – Mam coś na twarzy? Próbowałam naszych nowych wrapów z sałatą. Koryfena z ailloli wymiata.

Kręcę głową.

– Nie, nic. Bez powodu.

– Mogę wziąć sobie kanapkę na wynos? – woła Izzy z korytarza. – Mamo! Eddie mówi, że nie zgasił jeszcze grilla.

Moja młodsza córka wchodzi do biura ubrana w biały dobok do taekwondo.

– Będiesz musiała się pospieszyć. – Biorę leżącą na biurku komórkę i patrzę na godzinę. – Za dziesięć minut musimy się zbierać. – Odkładałam telefon i mrużąc oczy, spoglądałam na ekran komputera. – Zdaje się, że dostawca warzyw znów pokićkał coś w fakturze. Nie zamawialiśmy skrzynki rzepy, prawda?

– Ja nie jem rzepy. – Izzy zaciąga mocniej pas.

Od wiosny urosła pięć centymetrów, a jak w zeszłym miesiącu zabrałam ją na zakupy, żeby kupić ubrania do szkoły, nabyłam nawet parę staników. Może nie potrzebuje ich jeszcze w tej chwili, ale myślę, że niedługo będą jak znalazł. Jej ciało zmienia się chyba aż nazbyt szybko; wcale nie cieszę się na przeżywanie okresu dojrzewania kolejnej córki.

– Nie zamówiliśmy skrzyni. Złożyłam tylko zamówienie na pęczek. Żeby wypróbować parę przepisów do jesiennego menu – mówi Haley. Zerka na siostrę, a potem znowu na mnie. – Jak chcesz dokończyć tu robotę, mogę zawieźć ją na trening. Poczekam pod salą i spotkamy się w domu. Dzisiaj kolej Laney na robienie kolacji. My sprzątam ze stołu i zmywamy.

Wynajęłyśmy dom po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Laney. W ciągu tygodnia na zmianę przygotowujemy kolacje. Dzięki temu wszyscy oszczędzamy trochę czasu, a wspólne posiłki to dobra okazja, żeby moje dziewczyny – i chłopcy Laney – poczuli się rodziną. Bo jesteśmy rodziną, tyle że nietypową.

– Nie masz pracy domowej? – pytam.

Haley robi minę.

– Nie możesz mnie pytać o pracę domową, mamo. Już ci mówiłam.

– Wiem, wiem. – Unoszę dłoń i wstaję od biurka, żeby rozprostować nogi. Siedzę tu od wielu godzin. To zdumiewające, ile papierkowej roboty wiąże się z prowadzeniem lokalu z dwudziestoma czterema miejscami przy stolikach. Co wieczór padam na łóżko wykończona. Ale to dobre zmęczenie, takie, jakie odczuwa się, gdy człowiek wybrał się w podróż, która wydawała się niemożliwa,

i odkrył, że jednak jest możliwa. – Nie chciałabym tylko, żebyś załat-wiała za mnie jakieś sprawy, jeśli musisz się uczyć.

– Nie ma problemu. Poczytam pod salą treningową.

– To mogę wziąć sobie tę kanapkę? – pyta Izzy. Ma włosy splecione w dwa warkocze, jak Laney. Zresztą to Laney ją tego nauczyła.

– Możesz, ale najpierw musisz dać mi buziaka. Nie widziałam cię cały dzień.

– Mamo... – jęczy Izzy.

Wychodzę zza biurka i przeciskam się między dwoma pudłami.

– Może chociaż się przytulisz? – droczę się z nią, rozkładając ramiona.

Haley wycofuje się za drzwi.

– Nie patrzcie tak na mnie – mówi. – Nie zamierzam brać udziału w tym festiwalu czułości.

Izzy przytula się do mnie na chwilę, ale zaraz się odsuwa.

– Do zobaczenia w domu. – Wybiega za drzwi. – Pa, mamo. Kocham cię. Serio.

– Na pewno nie wolisz, żebym to ja ją zawiozła? – pytam Haley.

– Nic jej nie będzie. – Kładzie dłoń na kłamce. – To dziesięć minut drogi stąd. Wiesz, że będę bardzo ostrożna.

Spoglądam jej w oczy.

– Nie o to mi chodziło.

Przy pierwszych paru razach, gdy Haley podwoziła gdzieś Izzy, rzeczywiście zamartwiałam się na śmierć, ale teraz, po trzech miesiącach, jestem spokojna. Co nie znaczy, że przestałam myśleć o wypadku czy o Caitlin. Nie przestałam. Myślę o niej codziennie. Czasami ból jest tak nagły i przenikliwy, że mam wrażenie, że się załamuję.

Ale się nie załamuję.

Bo jestem silna – tak jak moje córki.

## KRÓTKA ROZMOWA Z COLLEEN FAULKNER SPECJALNIE DLA WAS!

Co w pisaniu *Julii i jej córek* okazało się dla ciebie najtrudniejsze?

Myślę, że najtrudniejsza w pisaniu tego typu książki jest niemożność odgródnienia się od uczuć postaci, o których się pisze. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że postaci powieści nie są rzeczywistymi ludźmi, ale z drugiej nie byłam w stanie nie odczuwać cierpienia niektórych z nich, zwłaszcza Julii, bo sama też jestem matką. Na szczęście kiedy Julia i jej córki śmiały się lub czuły się dobrze, choćby tylko przez chwilę, to ja również odczuwałam tę radość.

W książkach *Just Like Other Daughters*, *As Close as Sisters* i teraz w *Julii i jej córkach* opisujesz dość trudne życiowe wyzwania. Co cię przyciąga do tego typu historii?

Pochodzę z rodziny bardzo silnych kobiet, dotyczy to zwłaszcza mojej matki, lecz miałam też szczęście poznać swoją babcię oraz prababcię i praprababcię. Wszystkie były dla mnie niesamowitymi autorytetami, a historie, które mi opowiadały, wciąż we mnie tkwią, mimo że ich główne bohaterki i autorki odeszły. W kobietach z rodziny Faulknerów najbardziej uderzające jest dla mnie to, co widzę u kobiet obecnych w moim życiu obecnie – u przyjaciółek i krewnych. Mianowicie w trudnych sytuacjach życiowych te zwyczajne kobiety stają się zupełnie niezwykle. Niestety, często dopiero w obliczu nieszczęścia dowiadujemy się, jak potrafimy być silne.

Opowiedz nam o tym, jak piszesz. Na komputerze czy ręcznie? Piszesz codziennie? Masz jakiś ulubiony kąt, w którym pisanie przychodzi ci najłatwiej?

Piszę od poniedziałku do piątku, mniej więcej od dziewiętej do osiemnastej, rzadko w weekendy, chyba że muszę odpracować zaległy dzień. Wiem, że to może się wydawać nużące, a już na pewno nie twórcze, ale zajmuję się pisaniem od dwudziestu ośmiu lat i trzymanie się harmonogramu oznacza, że nie zawałam terminów. Mam w domu gabinet, gdzie zawsze pracowałam, ale jakiś rok temu zaczęłam wstawać rano i chodzić do pobliskiej kawiarni, żeby tam pisać. Można by pomyśleć, że hałas i gwar wokół nie sprzyjają pracy twórczej, ale w moim wypadku jest inaczej. Pisanie to taka samotnicza praca, a ja chyba lubię przebywać w świecie, wśród ludzi. Piszę na laptopie i w stu procentach polegam na

nowoczesnych technologiach. Nigdy nie robię żadnych wydruków, co niepokoi moją matkę, która też jest pisarką i zawsze martwi się, że utracę swoją pracę. Jedynymi osobami, które czytają moje powieści przed redaktorem i moim agentem, są mama, która czyta ze względu na treść, i mąż, który poprawia literówki.

Co masz teraz na warsztacie?

Powiem tylko, że moja następna książka ma się ukazać w listopadzie 2016 roku. Jestem jedną z tych pisarek, które nie lubią zdradzać, nad czym pracują, dopóki nie jest to absolutnie konieczne. Uważam się raczej za gawędziarkę niż pisarkę i nie lubię opowiadać tej samej historii więcej niż raz. Mam wrażenie, że przy takich powtórzeniach magia opowieści gdzieś się zatracą. Dzięki temu, że nikomu nie zdradzam, o czym piszę, mam ochotę wstawać codziennie rano i zabierać się do pracy, ponieważ codziennie czuję, że opowiadam coś po raz pierwszy. W końcu jednak będę zmuszona podzielić się szczegółami powieści ze swoim agentem i redaktorem, a informacje o moich nowych książkach pojawiają się na mojej stronie internetowej: [www.colleenfaulknernovels.com](http://www.colleenfaulknernovels.com). Wystarczy zaglądać na nią raz na jakiś czas, żeby być na bieżąco.



## PYTANIA DO DYSKUSJI

Sugerowane pytania zostały przygotowane z myślą o tym, by wzbogacić i ułatwić dyskusję o powieści w ramach spotkań klubu czytelniczego.

Czy rozumiesz, dlaczego przez sześć tygodni po śmierci Caitlin Julia nie mogła wstać z łóżka? Jak ty zareagowałabyś na jej miejscu?

Czy myślisz, że brak porozumienia między Julią i Benem przyczynił się do problemów emocjonalnych Haley? Uzasadnij swoją odpowiedź.

Jak twoim zdaniem zareagowałyby Julia i Ben, gdyby dowiedzieli się, że Izzy rozmawia ze swoją zmarłą siostrą? Jak ty byś zareagowała? Czemu twoim zdaniem Izzy rozmawiała z Caitlin?

Czy myślisz, że to był dobry pomysł, żeby Julia pojechała z Haley do Maine? Dostrzegłaś logikę w jej rozumowaniu?

Dlaczego Julia zabrała ze sobą również Izzy? Czy dla Izzy byłoby lepiej, gdyby matka zostawiła ją w domu? Czy byłoby lepiej dla Haley, gdyby Izzy została w Las Vegas?

Czemu twoim zdaniem Ben odmówił podróży do Maine z resztą rodziny? Czy myślisz, że jego odmowa była usprawiedliwiona?

Jak twoim zdaniem potoczyłyby się wydarzenia, gdyby test ciążowy Haley miał wynik pozytywny?

Czy śmierć Caitlin osłabiła, czy wzmocniła więzi Julii z Haley i Izzy? Jak jej śmierć wpłynęła na związek Bena i Julii?

Jak sądzisz, czemu Izzy odcięła się od Haley tak radykalnie? Czy gdyby Julia nie wróciła po najmłodszą córkę, Izzy i Haley kiedykolwiek zdołałyby naprawić swoje relacje?

W epilogu wydaje się, że Julia i jej córki dobrze sobie radzą. Czy myślisz, że rodzina jest w stanie pozbierać się po takiej tragedii?

## **Spis treści**

ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18 ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21 ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24 ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26 ROZDZIAŁ 27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29 ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31 ROZDZIAŁ 32 ROZDZIAŁ 33 ROZDZIAŁ 34 ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36 ROZDZIAŁ 37 ROZDZIAŁ 38 ROZDZIAŁ 39 ROZDZIAŁ 40  
ROZDZIAŁ 41 ROZDZIAŁ 42 EPILOG KRÓTKA ROZMOWA Z COLLEEN  
FAULKNER SPECJALNIE DLA WAS! PYTANIA DO DYSKUSJI